

MARGINESY

WAŻ

ZESSEX

SARAH PERRY

„Jedna z najbardziej zapadających w pamięć powieści historycznych ostatniej dekady” *Sunday Times*



WĄŻ Z ESSEX

SARAH PERRY

PRZEŁOŻYŁ  
ADAM ZDRODOWSKI

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

## **NOC SYLWESTROWA**

### **I. DZIWNE WIEŚCI Z ESSEX**

STYCZEŃ

1

LUTY

1

2

3

4

5

MARZEC

1

2

3

### **II. BY POCZYNIĆ NAJLEPSZE STARANIA**

KWIECIEŃ

1

2

3

MAJ

1

2

3

4

5

6

### **III. CZUWAĆ BEZ USTANKU**

#### **CZERWIEC**

1

2

3

4

5

#### **LIPIEC**

1

#### **SIERPIEŃ**

1

2

### **IV. TE DNI OSTATNIE REBELII**

#### **WRZESIEŃ**

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

LISTOPAD

Od Autorki

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału THE ESSEX SERPENT  
Przekład ADAM ZDRODOWSKI

Wydawca KATARZYNA RUDZKA  
Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja KRYSTIAN GAIK  
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki PETER DYER  
Adaptacja projektu okładki AGNIESZKA WRZOSEK  
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com  
Zdjęcie na okładce © nicoolay / iStock

Copyright © 2016 Sarah Perry  
Copyright © for the translation by Adam Zdrodowski  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66140-31-8

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa  
tel. 48 22 663 02 75  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dla Stephena Crowe'a*

Gdyby mnie ktoś przypierał, abym powiedział, czemum go pokochał, czuję, że nie można by tego wyrazić inaczej, jak jeno odpowiedzią: „Bo to był on; bo to byłem ja”.

MICHEL DE MONTAIGNE, *O przyjaźni*  
(*Próby, Księga pierwsza*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński)



NOC  
SYLWESTROWA

W zimnym świetle księżycy w pełni brzegiem Blackwater przechadza się młody człowiek. Spijał stary rok do dna, aż oczy nabiegły mu krwią i zbuntował się żołądek, a on sam zmęczył się gwarem i jasnymi światłami.

– Przejdę się tylko nad wodę – powiedział i pocałował najbliższy policzek. – Wróć, nim wybije północ.

Właśnie spogląda na wschód, w stronę opadającej fali, ku ujściu rzeki, ciemnemu i ospałem, i na białe mewy skrzące się na wodzie.

Panuje chłód – mężczyzna odczuwałby go, gdyby nie morze piwa, które w siebie wlał, i niezawodny gruby płaszcz. Kołnierz uwiera w kark, jest duszno, mąci mu się w głowie, czuje suchość w ustach. *Szybka kąpiel* – myśli – *to mnie ocuci*; idzie ścieżką i staje nad brzegiem, gdzie strumienie, uśpione głęboko w ciemnym błocie, wyczekują przypląwu.

– „Kielichy wznieśmy jeszcze raz” – śpiewa ciepłym kościelnym tenorem; śmieje się, ktoś odpowiada mu śmiechem. Rozpina płaszcz, rozchyła poły, lecz to za mało: chce poczuć zimny dotyk wiatru na skórze. Zbliży się do wody i wystawia język, by skosztować słonego powietrza: *Tak, szybka kąpiel* – myśli i zrzuca płaszcz w błoto. Przecież próbował tego wcześniej, jako chłopiec, w wesołym towarzystwie: odważne szaleństwo kąpieli o północy, gdy stary rok umiera w ramionach nowego. Jest odpływ – wiatr ucichł – Blackwater nie kryje niebezpieczeństw; dajcie mu szklanę, a wypije do dna, z solą i muszlami, ostrygami i wszystkim.

Jednak coś zmienia się wraz z ruchem fal lub wiatrem: tafla wody się porusza, mężczyzna podchodzi bliżej – ma wrażenie, że pulsuje i drga, a potem wygląda się i nieruchomieje; następnie wibruje w konwulsjach, jak gdyby wzdragająca się przed dotykiem. Robi kilka kolejnych kroków, jeszcze nie czuje strachu; mewy jedna po drugiej zrywają się do lotu, ostatnia wydaje strwożony okrzyk.

Nagle czuje zimę – jak cios w kark – zimno przenika przez koszulę i wchodzi w kości. Ani śladu przyjemnego rauszu; stoi teraz niepokieszony w ciemności – szuka płaszcza, lecz chmury przysłoniły księżyc i mężczyzna nie widzi nic. Mroźne powietrze kłuje i szczypie skórę; błoto pod stopami w jednej chwili staje się mokre, jak gdyby coś wyparło masę wody z rzeki. *To nic takiego, to*

*nic* – myśli, rozgląda się i próbuje odnaleźć w sobie odwagę; tymczasem to znów nadchodzi: chwila, gdy wszystko dziwnie nieruchomieje, jak na fotografii, po czym następują nerwowe arytmiczne poruszenia, całkiem inne niż te, kiedy księżyc szarpie fale w czasie przyptyków i odpływów. Zdaje mu się, że widzi – pewny jest, że widzi – powolny ruch czegoś ogromnego, zgarbionego, pokrytego twardymi, złowieszczymi łuskami, które chlupoczą w wodzie; po chwili wszystko ustaje.

Mężczyzna stoi w ciemności i zaczyna się bać. Tam coś jest, on to czuje, coś, co spokojnie czeka – nieustępliwe, potworne, zrodzone w wodzie, z okiem bezustannie skierowanym na niego. Uśpione czaiło się w głębinach, a teraz wychynęło na powierzchnię; wyobraża sobie, jak pruje fale i łapczywie węszy. Ogarnia go trwoga – serce przestaje bić – w jednej chwili został oskarżony, skazany i ukarany: jakimż jest grzesznikiem – w jego wnętrzu tkwi czarna pestka! Czuje się obrabowany, pozbawiony wszelkiego dobra, nie ma nic na swoją obronę. Patrzy w stronę czarnej toni Blackwater i znów to dostrzega – coś przecina powierzchnię, zanurza się – tak, tkwiło tam cały czas, czekało i wreszcie go znalazło. Odczuwa dziwny spokój; przecież sprawiedliwości musi stać się zadość, a on dobrowolnie przyznaje się do winy. Jest skrucha, nie ma odkupienia, czyli dokładnie to, na co zasługuje.

Wtedy jednak zrywa się wiatr, rozgania chmury i księżyc nieśmiało pokazuje swe oblicze. Światło jest oczywiście słabe, ale przynosi pociechę; w jego blasku mężczyzna dostrzega swój płaszcz – leży mniej niż jard od niego, ubłocony na dole. Mewy wracają nad wodę, a on nagle czuje się niedorzecznie. Ze ścieżki przebiegającej gdzieś ponad nim dobiega śmiech – dziewczyna i chłopak w odświętnych strojach; młodzieniec macha i woła:

– Tu jestem! Tu jestem!

On zaś mówi w myślach: *A ja jestem tutaj* – na mokradłach, lepiej mu znanych niż własny dom. Woda wzbiera i nie ma się czego bać. *Potworne!* – myśli mężczyzna i natrzęsa się z siebie, oszołomiony odroczeniem wyroku, jak gdyby głębia mogła skrywać coś oprócz śledzi i makreli!

W odmętach Blackwater nie kryje się nic strasznego, a on nie ma czego żałować – to była tylko chwila zagubienia w ciemności, i o wiele za dużo piwa. Woda wychodzi mu na spotkanie i znów jest jego starą, dobrą znajomą; by to udowodnić, podchodzi bliżej, zanurza buty, rozpościera ramiona:

– Tutaj jestem! – krzyczy. Odpowiadają mu mewy. *Tylko szybka kąpiel* – myśli – „*za dawny, bracie, czas*”. Śmieje się i wyswabadza z koszuli.

Wahadło przechyla się ze starego roku w nowy, a ciemność spowija powierzchnię głębin.

I

DZIWNE  
WIEŚCI  
Z ESSEX



STYCZEŃ

Ponury dzień, godzina pierwsza, w obserwatorium astronomicznym Greenwich spadła kula czasu. Południk zerowy został skuty lodem, lód lśnił na takielunku szerokich barek na ruchliwej Tamizie. Szyprowie notowali godzinę i poziom wody i stawiali czerwono-brunatne żagle na północno-wschodni wiatr; ładunek żelaza płynął do odlewni w Whitechapel, gdzie dzwony brzmiały na kowadłach, jak gdyby kończył się czas. Za murami więzienia w Newgate skazańcy odliczali dni, a filozofowie w kawiarniach na Strandzie marnotrawili swoje; tracili je ci, którzy pragnęli, by przeszłość pozostała terażniejszością, i nienawidzili ich ci, którzy chcieli, by terażniejszość odeszła w przeszłość. „Pomarańcze i róże” – biły dzwony na górze, a dzwon w Westminsterze milczał jak grób.

Czas to pieniądz na Giełdzie Królewskiej, gdzie mężczyźni każdego popołudnia żegnają się z nadzieją, że da się wielbłądy przeprowadzić przez ucho igielne, a w biurach towarzystwa ubezpieczeń Prudential potężne koło zębate głównego zegara posłało impuls elektryczny do dwunastu pomniejszych zegarów, które odegrały melodie. Urzędnicy podnieśli wzrok znad ksiąg, by po chwili znów się w nich zatopić. Na Charing Cross Road czas zamienił swe rydwany na omnibusy i dorożki mknące w rącznych formacjach, a na oddziałach szpitali Świętego Bartłomieja i Royal Borough ból rozciągał minuty w godziny. W kaplicy metodystów Wesleya śpiewano *Zapada się piach dni* i chciano, by zapadał się szybciej, a nieopodal topniał lód na grobach cmentarza Bunhill Fields.

W towarzystwach prawniczych Lincoln's Inn i Middle Temple prawnicy wpatrzeni w kalendarze liczyli przedawnione sprawy; w pokojach w Camden i Woolwich czas okrutnie obchodził się z kochankami, którzy głowili się, jak mogło tak szybko zrobić się tak późno, choć z biegiem dni łagodnie traktował ich cielesne rany. W całym mieście na tarasach i w kamienicach, w wytwornym towarzystwie, w najpodlejszej kompanii i pośród klasy średniej czas trawiono i trwoniono, oszczędzano i chciano unicestwić; a przez cały dzień padał lodowaty deszcz.

Stacje metra Euston Square i Paddington przyjmowały pasażerów jak płynną masę, która po zmieleniu i obróbce trafia do form. W zacierającym na zachód pociągu Circle Line przerywane, to gasnące, to zapalające się światła pokazały, że „The Times” nie przyniósł dziś radosnych wieści, a w korytarzu z czyjejs torby wysypały się poobijane owoce. Płaszcz przeciwdeszczowe pachniały deszczem; wśród pasażerów siedział skulony za postawionym kołnierzem doktor Luke Garrett i odtwarzał z pamięci budowę ludzkiego serca.

– Lewa komora, prawa komora, *superior vena cava* – wymieniał, odliczając na palcach, z nadzieją, że owa litania wyciszy jego niespokojne serce. Jakiś współpasażer zerknął na niego skonfundowany i odwrócił się ze wzruszeniem ramion. – Lewa komora, prawa komora – wymamrotał Garrett; choć przywykł do badawczych spojrzeń nieznanym, wolał ich bez potrzeby nie przyciągać.

Skrzat – tak go nazywano, bo rzadko kiedy sięgał innemu mężczyźnie wyżej niż do ramienia i chodził w nieustępliwy, sprężysty sposób, tak że zdawało się, iż lada moment da susa wprost na czyjś parapet. Nawet płaszcz nie mógł zatuszować niepokonanej energii tego człowieka. Czoło mężczyzny było masywne, wystawało nad oczami, jak gdyby nie mogło pomieścić skali i siły jego intelektu. Długa czarna grzywka przypominała skrzydło kruk, pod którym czaiła się para ciemnych oczu. Doktor Garrett, trzydziestodwuletni chirurg o nienasyconym, nieposłusznym umyśle.

Światła zgasły i rozblęły na nowo, Garrett zbliżał się do celu. Za niecałą godzinę powinien stawić się na pogrzebie pacjenta i chyba nikt nigdy nie wkładał żałobnego stroju z lepszym sercem.

Michael Seaborne zmarł przed sześcioma dniami na raka gardła; wcześniej z równą obojętnością znosił wyniszczającą go chorobę, jak i wysiłki lekarza. Jednakże w tej chwili myśli Garretta nie krążyły wokół zmarłego, lecz wdowy, która (pomyślał z uśmiechem) być może właśnie teraz rozczesywała swoje niesforne włosy lub zauważyła brak guzika przy czarnej sukni.

Nigdy nie widział żałoby dziwniejszej niż żałoba Cory Seaborne – jednak już podczas pierwszej wizyty w domu na Foulis Street doktor wyczuł coś dziwnego. W wysokich pokojach panowała atmosfera ciągłego niepokoju, który wydawał się niepowiązany z chorobą. W tym okresie pacjent czuł się jeszcze w miarę dobrze, choć musiał nosić fular pełniący jednocześnie funkcję bandaża. Nieodmiennie zakładał fular jedwabny i jasny, często lekko poplamiony: trudno

sobie wyobrazić, by taki pedant jak Seaborne nie zauważył plam. Luke podejrzewał, że pan domu chciał, by jego goście czuli się nieswojo. Dzięki szczupłej sylwetce Michael Seaborne sprawiał wrażenie wysokiego. Mówił tak cicho, że należało podejść blisko, żeby usłyszeć jego syczący głos. Był uprzejmym człowiekiem. Na opuszkach jego palców widniały niebieskie plamy. Zniósł pierwszą wizytę lekarza ze spokojem, ale odmówił poddania się operacji.

– Zamierzam zejść z tego świata tak, jak nań przyszedłem – powiedział i pogładził jedwab na szyi. – Bez blizn.

– Nie ma potrzeby cierpieć – odparł Luke, który zauważył, że pacjent nie oczekiwał pocieszenia.

– Cierpieć! – Widać było, że ta myśl ewidentnie go rozbawiła. – Bardzo pouczające doświadczenie, bez dwóch zdań. – Następnie dodał, jak gdyby ta myśl naturalnie wynikała z poprzedniej: – Czy poznał pan już moją żonę?

Garrett często wspominał swoje pierwsze spotkanie z Corą Seaborne, choć trzeba dodać, iż nie należy zbyt ufać jego wspomnieniu, gdyż ukształtowały je późniejsze wydarzenia. Cora zjawiała się w tamtej chwili jak gdyby na wezwanie. Przystanąła na chwilę, by przyjrzeć się gościowi. Później przeszła po dywanie, nachyliła się, by złożyć pocałunek na czole męża, po czym stanęła za jego krzesłem i wyciągnęła dłoń.

– Charles Ambrose twierdzi, że jest pan jedynym lekarzem, któremu można zaufać. Pokazał mi pański artykuł o życiu Ignaza Semmelweisa; jeśli operuje pan tak dobrze, jak pisze, będziemy żyć wiecznie.

Garrett nie potrafił się oprzeć tak niewymuszonemu pochlebstwu, roześmiał się więc tylko i nachylił ku wyciągniętej dłoni. Mówiła niskim głosem, choć niezbyt cicho, i z początku wydawało mu się, że rozpoznał akcent nomady, kogoś, kto nigdy nie osiada w jednym kraju. Okazało się jednak, że Cora przeciągała niektóre spółgłoski, by zatuszować drobną wadę wymowy. Ubrała się skromnie i na szaro, lecz materiał spódnicy mienił się jak gołębia szyja. Była kobietą wysoką, choć nie smukłą, o oczach szarych jak jej strój. W kolejnych miesiącach Garrett zaczął rozumieć naturę niepokoju, który unosił się w powietrzu na Foulis Street wraz z zapachami sandałowca i jodiny. Michael Seaborne emanował złą energią, nawet kiedy cierpiał najdotkliwszy ból, i nie wynikało to bynajmniej z władzy, jaką miał nad innymi z racji swej choroby. Jego żona wiecznie czekała w pogotowiu, z chłodnym okładem lub dobrym

winem, zawsze gotowa nauczyć się robienia zastrzyków; można by pomyśleć, że zna na pamięć cały podręcznik powinności kobiety. Garrett nie dostrzegł jednak nawet cienia czułości pomiędzy Corą a jej mężem. Czasem doktor podejrzewał, że pani Seaborne wręcz pragnie, by ten ulotny płomień świecy zgasł – niekiedy obawiał się, że gdy będzie napełniał strzykawkę, Cora odciągnie go na stronę i poprosi: „Proszę dać mu trochę więcej – choć odrobinę więcej”. Kiedy się nachylała, by ucałować tę twarz umęczonego świętego, robiła to ostrożnie, jak gdyby z obawą, że mąż uniesie się z łóżka i w swej złośliwości wykręci jej nos. Najmowano pielęgniarki, by przemywały i opatrywały jego rany oraz zmieniały pościel, lecz te wytrzymywały najwyżej tydzień; ostatnia (pobożna Belgijka) wyszeptała w korytarzu do Luke’a: – *Il est comme un diable!*<sup>[1]</sup>, i pokazała nadgarstek, na którym jednakże nie widniały żadne ślady ni rany. Jedynie bezimienny pies – oddany, wyliniały, trzymający się zawsze blisko łóżka – nie bał się swojego pana, a może tylko się do niego przyzwyczaił.

Z czasem Luke Garrett przywykł do Francisa, czarnowłosego małomównego syna Seaborne’ów, i do Marthy, jego niani, która często stawała przy Corze i obejmowała ją w pasie zaborczym gestem, czego Luke nie lubił. Po pobieżnych oględzinach pacjenta (cóż można, koniec końców, poradzić?) Cora zabierała Luke’a, by pokazać mu skamieniały ząb, który właśnie przysłano, lub by wypytać go szczegółowo o jego ambicje związane z rozwojem kardiochirurgii. Stosował na niej hipnozę i opowiadał, jak niegdyś używano jej na froncie, by ułatwić amputację kończyn żołnierzy; rozgrywali partie szachów, co doprowadziło Corę do poczucia rozżalenia, gdy dostrzegła, że przeciwnik zmobilizował wszystkie swe siły przeciwko niej. Luke zdiagnozował u siebie miłość, nie szukał jednakże lekarstwa na tę przypadłość.

Cały czas czuł zgromadzoną w niej energię, która tylko czekała, by się uwolnić; wyobrażał sobie, że gdy wypełnią się dni Michaela Seaborne’a, stopy Cory będą krzesać błękitne iskry na trotuarze. Koniec nadszedł, a Luke czuwał przy pacjencie, gdy ten wydawał ostatnie tchnienie – głośne, pełne wysiłku, jak gdyby w tej chwili mężczyzna porzucił *ars moriendi* i pragnął jedynie żyć choćby chwilę dłużej. Nie zmieniło to jednak Cory: ani nie rozpaczała, ani nie okazała ulgi; raz tylko jej głos się załamał, gdy donosiła, że psa też znaleziono martwego, lecz trudno orzec, czy chciała się zaśmiać czy zapłakać. Po tym, jak



Garrett podpisał akt zgonu, a ciało Michaela Seaborne'a zabrano, lekarz nie miał zasadnego powodu, by powracać na Foulis Street; budził się jednakże każdego poranka z tym jednym pragnieniem w sercu, a kiedy stawał przed żelazną bramą posesji, okazywało się, że się go oczekuje.

Pociąg zatrzymał się na stacji Embankment i doktora porwał przelewający się na peronie tłum. Ogarnął go swego rodzaju smutek, lecz nie z powodu Michaela Seaborne'a ani wdowy po nim – najbardziej trapiła go myśl, że może już nigdy nie spotkać Cory, że ostatni raz zobaczy ją, kiedy spojrzy przez ramię, podczas gdy będą biły żałobne dzwony.

– Tak czy inaczej – powiedział sobie – muszę tam być, chociażby po to, by się przekonać, że wieko trumny jest dobrze przybite.

Za bramkami metra topniał lód na chodnikach; blade słońce chyliło się ku zachodowi.

Cora Seaborne, ubrana stosownie do okazji, siedziała przed lustrem. Z każdego jej ucha zwieszała się perłowa kropla na złotym druciku; bolały ją płatki uszu, gdyż trzeba je było przekłuć ponownie.

– I tyle łez na dzisiaj – powiedziała. – To będzie musiało wystarczyć.

Za sprawą pudru jej twarz nabrała bladości. Czarny kapelusz, który miała na głowie, niezbyt jej się podobał, lecz miał zarówno woalkę, jak i czarne pióro, okazał się więc dobrze dobrany do żałobnego stroju. Obciągnięte tkaniną guziki przy czarnych mankietach nie zapinały się i między końcem rękawa a rękawiczką widać było białą skórę. Dekolt sukni był głębszy, niżby sobie tego życzyła, i odsłaniał obojczyk z blizną o misternym kształcie, długą na kciuk i równie szeroką. Wyglądała jak replika liści ze srebrnych świeczników, które stały po bokach lustra w srebrnych ramach. Te liście mąż wbił w jej ciało, jak gdyby zatapiał sygnet w laku. Zastanawiała się kiedyś, czy nie maskować blizny makijażem, ale z czasem ją polubiła; doszło też do jej uszu, iż w pewnych kręgach z zazdrością szeptano, że jest to ślad po usuniętym tatuażu.

Odwróciła się od lustra i rozejrzała po pokoju. Niejeden gość musiałby przystanąć na progu, zdumiony takim widokiem: z jednej strony należące do zamożnej kobiety wysokie miękkie łóżko i adamaszkowe zasłony, z drugiej – stacja uczonej. W najdalszym kącie pokoju piętrzyły się tablice botaniczne, mapy wydarte z atlasów i arkusze papieru z cytatami zapisanymi czarnymi

wersalikami (PRZENIGDY NIE ŚNIJ Z DŁONIĄ NA RĘKOJEŚCI STERU! NIE ODWRACAJ SIĘ TYŁEM DO KOMPASU!<sup>[2]</sup>). Na gzymsie kominka ustawiono kilkanaście amonitów uszeregowanych według wielkości, a wyżej, zamknięci w pozłacaną ramkę, Mary Anning i jej pies podziwiali odłamany fragment skały z Lyme Regis. Czy to wszystko należało teraz do niej – dywan, krzesła, kryształowy kielich, który wciąż pachniał winem? Przypuszczała, że tak, i na tę myśl odczuła w całym ciele lekkość, jakby przestała podlegać prawom Newtona i miała się za chwilę znaleźć rozplaszczona na suficie. Odczucie owo było, jak wymagała przyzwoitość, stłumione, ale i tak potrafiła je nazwać: nie szczęście ani nawet zadowolenie, lecz ulga. Żałoba także – to oczywiste – i za nią również była wdzięczna. Choć pod koniec tak go znienawidziła, to właśnie mąż ją ukształtował, przynajmniej częściowo – a cóż dobrego kiedykolwiek przyniosła nienawiść do samej siebie?

– O tak, stworzył mnie – powiedziała, a wspomnienia rozsnuły się przed nią jak obłoczek dymu ze zdmuchniętej świecy. Miała siedemnaście lat, mieszkała z ojcem w domu na północ od centrum, matka odeszła dawno temu (zadbawszy jednak o to, by nie skazać córki na haft i lekcje francuskiego). Ojciec – niepewny, co począć ze skromnym majątkiem, uwielbiany, z odcieniem pogardy, przez lokatorów – wyjechał w interesach i wrócił z Michaeliem Seaborne'em. Z dumą przedstawił mu córkę – oto Cora, bosa, z łaciną na ustach – a gość ujął jej dłoń, wyraził podziw i zbeształ ją za złamany paznokieć. Przyszedł po raz drugi, i jeszcze raz, i znowu, aż zaczęto go oczekiwać z niecierpliwością; przynosił jej cienkie książki i małe twarde bibeloty. Kpił z niej: kładł kciuk we wnętrzu jej dłoni i głaskał tak długo, aż poczuła ból; zdawało jej się wtedy, że cała jej świadomość mieści się w podrażnianym miejscu. W jego obecności wszystko – stawy w Hampstead Heath, szpaki o zmierzchu, ślady owczych racic w miękkim błocie – zdawało się bezbarwne, nieistotne. Wstydziała się siebie – luźnego prostego ubrania, rozpuszczonych włosów.

Kiedyś powiedział:

– W Japonii naprawiają stłuczone naczynie kropelkami płynnego złota. Pomyśl tylko, jak wspaniale byłoby, gdybym cię rozbił na kawałki i poskładał na nowo, lecząc rany złotem.

Lecz ona miała siedemnaście lat, młodość służyła jej za zbroję i nie poczuła

ostrza w ciele; roześmiała się i on się roześmiał. W dniu swych dziewiętnastych urodzin zamieniła śpiew ptaków na wachlarze z piór, świerszcze w wysokiej trawie na żakiet w skrzydła żuków; została spętana fiszbinem, przekłuta kością słoniową, przyszpilona skorupą żółwia. Zaczęła mówić wolno, by ukryć drobną wadę; przestała chodzić pieszo. Dał jej złoty pierścionek, za mały; rok później następny, jeszcze mniejszy.

Z zamyślenia wyrwały ją kroki na górze, powolne, odmierzane tak dokładnie, jak tykanie zegara.

– Francis – powiedziała. Siedziała w milczeniu. Czekwała.

Rok przed śmiercią ojca i jakieś sześć miesięcy po tym, jak jego choroba dała o sobie znać po raz pierwszy, przy śniadaniu (gula w gardle uniemożliwiająca przełknięcie suchego tosta), Francis Seaborne został przeniesiony do pokoju na trzecim piętrze, w najdalszej części korytarza.

Jego ojca i tak nie zainteresowałyby sprawy domowe, nawet gdyby nie pomagał parlamentarzystom w przyjęciu ustawy o mieszkalnictwie. Decyzję podjęły matka i Martha, która zaczęła pracę jako niania chłopca i – jak sama to ujęła – jakoś się zasiedziała. Uznano, że najlepiej będzie trzymać Francisa na dystans, gdyż w nocy bywał niespokojny i często zjawiał się w drzwiach sypialni, a nawet, raz czy dwa, ujrano jego twarz w oknie. Nigdy nie prosił o wodę, nie chciał, jak każde inne dziecko, żeby go pocieszyć. Stał tylko na progu z jednym ze swoich talizmanów w ręku, aż ktoś ze śpiących wyczuwał niepokój i podnosił głowę.

Krótko po przenosinach do – jak nazywała go Cora – Górnego Pokoju, Francis stracił zainteresowanie nocnymi wycieczkami, a upodobał sobie gromadzenie (nikt nigdy nie nazwał tego kradzieżą) wszystkiego, co wpadło mu w oko. Swoje skarby układał w złożone i zagadkowe konfiguracje, nowe przy każdej wizycie matki. Wzory były jednocześnie piękne i dziwne; Cora podziwiałaby je, gdyby nie ułożył ich jej syn.

Jako że przypadał piątek, a także dzień pogrzebu jego ojca, Francis ubrał się sam. Był jedenastolatkiem, który wiedział, jak włożyć koszulę i zawiązać krawat. Śmierć ojca odebrał jako katastrofę, nie większą jednak niż zgubienie dzień wcześniej jednego ze skarbów (pióro gołębia: całkiem zwyczajne, poza tym, że dawało się uformować w doskonały okrąg, i to bez złamania). Gdy

słuchał tych wieści – zauważył przy tym, że matka nie płakała, lecz była sztywna, a zarazem rozpalona, jak gdyby raził ją piorun – od razu nasunęła mu się myśl: *Nie rozumiem, dlaczego mnie to wszystko spotyka*. Jednakże pióro przepadło, ojciec umarł, a on, zdaje się, miał teraz iść do kościoła. Pomysł ten go ucieszył. Świadom, że w tej sytuacji przystoi grzeczne zachowanie, powiedział:

– Odmiana jest równie dobra jak odpoczynek.

W dniach bezpośrednio po odkryciu ciała Michaela Seaborne’a to pies cierpiał najbardziej. Skamlał pod drzwiami pokoju chorego i nie chciał przestać; zapewne wystarczyłoby go pogłaskać, żeby ucichł, ale jako że nikt się nie kwapił, by dotknąć jego tłustej sierści, ubieranie zmarłego („Połóż mu monetę na powiece, dla przewoźnika – powiedziała Martha. – Nie sądzę, żeby święty Piotr zechciał się pofatygować...”) odbywało się przy akompaniamencie wycia. *Teraz oczywiście i pies nie żyje* – pomyślał Francis i wyczuł pod palcami drobny kłębek sierści zebrany z rękawa ojca – *i trzeba przeżyć żałobę po jedynym żałobniku*.

Nie wiedział, jakie rytuały towarzyszą pozbywaniu się zmarłych, lecz uznał, że warto przyjść przygotowanym. W każdej z licznych kieszeni jego kurtki znalazł się przedmiot, niekoniecznie święty, lecz – jak sądził – odpowiedni na tę okazję. Lupa z pękniętym szkłem; ów kłębek sierści (chłopiec miał nadzieję, że wciąż tkwi w nim pchła lub kleszcz, a w ciele pasożyta – kto wie? – może kropla krwi); pióro kruka, najlepsze z kolekcji, bo niebieskawe na czubku; kawałek tkaniny, który oderwał z rąbka spódnicy Marthy, gdyż zauważył na nim upartą plamę w kształcie wyspy Wight; i kamień z idealnie okrągłym otworem w środku. Napętnił i poklepał kieszenie, przeliczył skarby, czas więc dołączyć do matki. Pokonując trzydzieści sześć stopni w dół do jej pokoju, na każdym skandował fragment powiedzenia:

– Co było – a nie jest – co było – a nie jest; co-by-ło.

– Frankie – odezwała się Cora. I pomyślała: *Jest taki mały*. Jego twarz, w niewytłumaczalny sposób niepodobna do twarzy żadnego z rodziców, z wyjątkiem oczu po ojcu, czarnych i jakby pozbawionych głębi, pozostała bez wyrazu. Uczesane włosy przylegały do czaszki; poruszyło ją, że zadał sobie tyle trudu, by ładnie wyglądać, i wyciągnęła do niego dłoń, lecz po chwili jej ręka, pusta, musiała opaść na kolana. Stał, poklepując po kolei każdą kieszeń,

a potem zapytał:

– Gdzie on teraz jest?

– Będzie nas oczekiwał w kościele. – Czy powinna go teraz przytulić? Trzeba jasno powiedzieć, że nie wyglądał jak ktoś, kto potrzebuje pocieszenia. – Frankie, jeśli chcesz płakać, nie ma się czego wstydzić.

– Gdybym chciał płakać, tobym płakał. Robię to, na co mam ochotę.

Nie zbeształa go za tę odpowiedź, bo w istocie chłopiec tylko stwierdził fakt. Znów poklepał każdą kieszeń, a ona powiedziała łagodnie:

– Zabierasz swoje skarby.

– Zabieram moje skarby. Mam coś dla ciebie (*puk*), dla Marthy (*puk*), dla Ojca (*puk*) i dla mnie (*puk, puk*).

– Dziękuję, Frankie... – Na próżno szukała słów: oto jednak weszła Martha i jak zawsze rozświetliła swoją obecnością pokój i rozładowała napięcie. Delikatnie dotknęła głowy Francisca, jak gdyby był całkiem zwyczajnym dzieckiem, mocnym ramieniem objęła Corę w pasie; pachniała cytrynami.

– Chodźmy więc – powiedziała. – Nie lubił, gdy się spóźnialiśmy.

U Świętego Marcina dzwony za zmarłego biły o drugiej, dźwięk niósł się po Trafalgar Square. Francis, obdarzony do bólu wrażliwym słuchem, zasłonił uszy dłońmi w rękawiczkach i odmówił przekroczenia progu świątyni, dopóki nie wybrzmiało ostatecznie uderzenie, tak że zgromadzeni odwracali głowy w stronę spóźnionej wdowy i syna i wzdychali ukontentowani: „Jacy oni bladzi! Jacy smutni! Spójrzcie na ten kapelusz!”.

Cora przyglądała się temu spektaklowi z pełnym dystansu zainteresowaniem. W nawie, przesłaniając ołtarz, na czymś, co przypominało stół rzeźniczy, spoczywało ciało jej męża. Uświadomiła sobie, że chyba nigdy nie widziała tego ciała w całości, pamiętała tylko fragmenty bardzo bladej skóry na pięknie uformowanych kościach, oglądane przez ułamek sekundy, nierzadko z uczuciem paniki.

Uderzyło ją, że nie wiedziała nic o jego działalności publicznej, której oddawał się w (jak mniemała) identycznych gabinetach Izby Gmin i kancelarii w Whitehall, czy też w klubie, do którego nie miała wstępu, gdyż na nieszczęście urodziła się kobietą. Może gdzie indziej wykazywał się delikatnością – tak, może tak to właśnie wyglądało – za to ona przyjmowała



całe okrucieństwo, na które zasługiwali inni. Jeśli się dobrze zastanowić, to była w tym jakaś godność; spojrziała na swoje dłonie tak, jakby spodziewała się ujrzeć stygmaty.

Nad nią, na czarnym balkonie, który w półmroku kościoła zdawał się unosić nad podtrzymującymi go kolumnami, siedział Luke Garrett. *Skrzat* – pomyślała – *patrzcie tylko!*, a jej serce tłukło się o klatkę żeber i niemal ruszyło w stronę przyjaciela. Płaszcz, który włożył, nie bardziej nadawał się na tę okazję niż fartuch chirurgiczny. Cora wiedziała, że nie był trzeźwy, a za uwagę kobiety u swego boku musiał zapłacić. A jednak, mimo mroku i dzielącej ich odległości, zapragnęła się roześmiać. Martha też to poczuła, dlatego uszczypnęła ją w udo, dzięki czemu później, w Hampstead, Paddington i Westminsterze, przy kieliszku wina, goście mogli powiedzieć, że wdowa zdusiła szloch akurat przy słowach „choćby i umarł, żyć będzie”; było to na swój sposób piękne.

Siedzący obok Francis nie przestawał szeptać, przycisnąwszy wargi do kciuka, z zamkniętymi oczami; wyglądał znów jak mały chłopiec i Cora przykryła jego dłoń swoją. Nieruchoma i gorąca dłoń chłopca idealnie pasowała do jej dłoni. Po chwili cofnęła rękę i położyła ją z powrotem na kolanach.

Później, gdy czarne sutanny jak gawrony przemykały między ławami, Cora przystanęła na schodach, by pozdrowić żałobników, którzy nie szczędzili ciepłych słów i wyrazów troski: niech pamięta, że ma przyjaciół w City; zawsze jest mile widziana, z uroczym synkiem, na kolacji w każdym domu; będą ją polecać w modlitwach. Podawała Marcie tyle kart wizytowych, tyle bukietów, a także małe książki pamiątkowe i chusteczki obrębione czarną koronką, iż niejeden przechodzień mógłby pomyśleć, że ogląda ślub, choć cokolwiek ponury.

Mimo że nie zapadł jeszcze wieczór, oblodzone stopnie schodów lśniły w świetle latarni, a miasto spowijała blada mgła. Cora drżała z zimna, Martha więc podeszła bliżej, by Cora poczuła ciepło jej drobnego ciała w znoszonym płaszczu. Francis stał w pewnej odległości; lewą rękę trzymał w kieszeni kurtki, a prawą nerwowo wygładzał włosy. Nie wyglądał na zmartwionego; gdyby jednak był, jedna z kobiet przyciągnęłaby go bliżej i wyszeptała słowa pocieszenia, które przyszłyby tak łatwo, o ile tylko on by ich oczekiwał. Chłopiec wyglądał jednak jak ktoś, kto grzecznie znosi zakłócenie porządku dnia.

– Chryste, zmiłuj się nad nami – powiedział doktor Garrett, kiedy już ostatni żałobnicy pożegnali się i poszli, a on, w czarnym kapeluszu, z uczuciem ulgi, że już po wszystkim, pomyślał o nocnych uciechach i porannych obowiązkach. A potem, w ujmujący sposób poważniejąc, chwycił dłoń Cory obleczoną w rękawiczkę. – Świetnie się spisałaś, doskonale. Mogę cię odwiedzić do domu? Pozwól. Jestem głodny. A ty? Zjadłbym konia z kopytami.

– Nie stać cię na konia. – Martha odzywała się do doktora jedynie po to, by okazać irytację; to ona przezwalała go Skrzatem, choć nikt już o tym nie pamiętał. Jego obecność w domu na Foulis Street – najpierw kwestia obowiązku, później oddania – irytowała Marthę, która czuła, że jej oddanie jest więcej niż wystarczające. Tymczasem lekarz pozbył się swej towarzyszki i włożył do kieszonki na piersi chusteczkę z czarnym obszyciem.

– Mam wielką ochotę na długi spacer – odparła Cora. Francis, jak gdyby wyczuwając jej nagłe zmęczenie i widząc w tym szansę dla siebie, stanął przed nią i poprosił, żeby wrócili do domu metrem. Jak zwykle jego życzenie nie zabrzmiało jak prośba dziecka, która – jeśli się ją spełni – przyniesie mu zadowolenie, lecz jak zwykle stwierdzenie faktu. Garrett, jeszcze niepotrafiący sobie radzić z nieugiętą wolą chłopca, odpowiedział:

– Mam dość Hadesu na jeden dzień. – I machnięciem ręki przywołał przejeżdżającą dorożkę.

Martha wzięła chłopca za rękę, a on, zaskoczony śmiałością tego gestu, pozwolił, by spoczywała w jej dłoni.

– Ja cię zabiorę, Frank – powiedziała. – W metrze będzie ciepło, a stopy zmieniły mi się w sople lodu. Ale ty, Coro, nie zamierzasz chyba pokonać całej drogi pieszo? To chyba co najmniej trzy mile?

– Trzy i pół – uściślił doktor, jak gdyby sam kładł bruk. – Coro, pozwól, że pójdę z tobą.

Dorożkarz gestem okazał zniecierpliwienie, na co otrzymał nieprzyzwoitą odpowiedź.

– Nie powinnaś... – zwrócił się Garrett do Cory. – Nie możesz iść sama...

– Nie powinnam? Nie mogę? – Cora zdjęła rękawiczki, które chroniły jej dłonie przed zimnem nie bardziej niż najdelikatniejsza pajęczyna. Rzuciła nimi w Garretta. – Dawaj swoje. Nie rozumiem, po co je w ogóle szyją ani dlaczego

kobiety je kupują: mogę iść i pójść. Zobacz, jestem nawet odpowiednio ubrana.

Uniosła rąbek spódnicy i pokazała ciężkie buty, odpowiednie raczej dla niesfornego wyrostka niż eleganckiej kobiety.

Francis odwrócił się od matki, gdyż stracił zainteresowanie dalszym rozwojem wydarzeń; czekało go dużo pracy w Górnym Pokoju, a kilka nowych skarbów (*puk, puk*) domagało się jego uwagi. Wyswobodził się z uścisku Marthy i ruszył w stronę miasta. Martha, spojrzawszy na Garretta podejrzliwie, a na przyjaciółkę – z żalem, pożegnała się pośpiesznie i zniknęła we mgle.

– Pozwól, że pójść sama – powiedziała Cora i wciągnęła pożyczone rękawiczki, tak przetarte, że okazały się niewiele cieplejsze od jej własnych. – Mam taki zamęt w głowie, że potrzebuję przejść co najmniej milę, by go uciszyć. – Dotknęła chusteczki w kieszonce Garretta. – Jeśli chcesz, przyjdź jutro na grób. Powiedziałam, że pójść sama, ale rzecz chyba w tym, że zawsze jesteśmy sami, bez względu na towarzystwo.

– Powinien chodzić za tobą sekretarz, który notowałby twoje mądrości – rzucił Skrzat z przekąsem i wypuścił jej dłoń. Ukłonił się finezyjnie i wycofał do dorożki; zatrzasnął drzwiczki przy akompaniamencie jej śmiechu.

Cora, nie mogąc się nadziwić, jak przyjaciel potrafi odmienić jej nastrój, udała się nie w stronę domu, lecz w kierunku Strandu. Lubiła odnajdywać miejsce na wschód od Holborn, w którym rzekę Fleet skierowano pod ziemię; kiedy w spokojny dzień stanęło się nad jedną ze studzienek, można było usłyszeć, jak rzeka mknie ku morzu.

Dochodząc do Fleet Street, pomyślała, że gdyby naprawdę wyteżyła słuch, mogłaby usłyszeć rzekę sunącą przez swój długi murowany grobowiec pod ulicą; słyszała jednak tylko hałas miasta, którego ani mróz, ani mgła nie były w stanie odwieść od pracy lub zabawy. Poza tym powiedziano jej kiedyś, że rzeka jest dziś zaledwie ściekiem wzbierającym nie za sprawą deszczówki wypłukiwanej z Hampstead Heath, lecz z powodu rosnącej populacji Londynu. Stała jeszcze chwilę, aż poczuła ból w przemarzniętych dłoniach i pulsowanie w świeżo przekłutych uszach. Westchnęła i ruszyła w stronę domu; spostrzegła, że niepokój, który niegdyś wywoływał w niej widok wysokiego białego budynku na Foulis Street, zostawiła za sobą, gdzieś między czarnymi ławami kościoła.

Martha, niespokojnie wyczekująca powrotu Cory (ta wróciła nieco ponad

godzinę później, z piegami wyzierającymi spod białego pudru i w przekrzywionym kapeluszu), uważała apetyt za oznakę zdrowia psychicznego, z przyjemnością więc patrzyła, jak przyjaciółka je jajecznicę i tosty.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to się skończy – powiedziała Cora. – Te kondolencje, uściski dłoni. Nudzi mnie ta pogrzebowa etykieta!

Pod nieobecność matki syn, udobruchany przejażdżką metrem, wziął szklankę wody i bez słowa poszedł na górę, gdzie zaraz zasnął z ogryzkiem jabłka w dłoni. Martha stanęła w progu i patrzyła, jak czarne rzęsy Francisa odcinają się od jasnej cery, i czuła, jak mięknie jej serce. Na poduszce leżał kłębek sierści tego przekłętego psa; wyobraziła sobie, że roi się na nim od wszy i pcheł, nachyliła się więc nad chłopcem, żeby zabrać sierść i tym samym zapewnić mu bezpieczny sen. Widocznie jednak musnęła poduszkę nadgarstkiem, bowiem Francis w ułamku sekundy się obudził, zobaczył sierść w jej dłoni i wydał niemy, wściekły krzyk; Martha wypuściła tłusty kłęb z palców i wybiegła z pokoju. Schodząc po schodach, myślała: *Dlaczego ja się go boję, przecież to tylko mały półsierota!*, i prawie zdecydowała się wrócić, zażądać zwrotu niehigienicznego znaleziska, a może nawet wymóc na chłopcu pocałunek. Wtedy jednak ktoś głośno wsunął klucz do drzwi wejściowych i po chwili do środka weszła Cora. Zdjęła rękawiczki i otworzyła ramiona, by uściskać przyjaciółkę.

Wieczorem tego dnia Martha, która kładła się ostatnia, zatrzymała się przed drzwiami Cory; od kilku lat zawsze przed snem sprawdzała, czy u przyjaciółki wszystko w porządku. Drzwi były na pół otwarte, w kominku trzaskało polano. Martha spytała w progu:

– Śpisz? Można?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła na gruby jasny dywan. Na kominku stało mnóstwo wizytówek oraz gęsto zapisanych kart kondolencyjnych w czarnych ramkach; bukiet fiołków przewiązany czarną wstążką wpadł do paleniska. Martha schyliła się, żeby podnieść kwiaty, a one zdawały się chować przed nią za liśćmi. Wstawiła je do małej szklanki z wodą i postawiła tak, żeby Cora mogła je zobaczyć, gdy się obudzi, i nachyliła się, by pocałować przyjaciółkę. Cora coś wymamrotała, zmieniła pozycję, ale spała dalej; Martha przypomniała sobie dzień, kiedy pojawiła się na Foulis Street, żeby objąć posadę, i to, jak spodziewała się ujrzeć wyniosłą matronę ogłupioną plotkami

i modą, i jak bardzo zaskoczyła ją ta zmienna istota, która otworzyła drzwi. Martha, zarazem wściekła i zahipnotyzowana, szybko spostrzegła, że gdy tylko przyzwyczai się do jednej Cory, natychmiast pojawia się inna: w jednej chwili jest uczennicą zachwyconą swoją inteligencją, w następnej – długoletnią bliską przyjaciółką; kiedy po ekstrawagancko stylowej kolacji goście wychodzą, pani domu klnie, rozpuszcza włosy, kładzie się przed kominkiem i śmieje.

Nawet jej głos wywoływał podziw i zmieszanie – to dziwne połączenie śpiewnej intonacji i wady wymowy, które pojawiało się, gdy była zmęczona i niektóre spółgłoski sprawiały jej kłopot. A to, że za jej inteligentnym urokiem (który, jak Martha cierpko zauważyła, potrafiła włączyć i wyłączyć, tak jak odkręca się i zakręca kran w łazience) kryły się widoczne blizny, czyniło ją tylko droższą. Michael Seaborne traktował Marthę z obojętnością, którą mógłby zarezerwować dla stojaka na kapelusze w hallu: nie liczyła się – na schodach udawał, że jej nie widzi. Jednak uważnej Marcie nie umknęło nic – usłyszała każdą zakamuflowaną zniewagę, zauważyła każdy ukryty siniak – i tylko z najwyższym trudem powstrzymywała się od ukartowania zabójstwa, za które by z radością zawisła. Niecały rok po jej przybyciu na Foulis Street – rankiem, kiedy nikt nie spał – Cora przyszła do jej pokoju. To, co jej zrobił lub powiedział, sprawiło, że dygotała gwałtownie, choć noc była ciepła; jej gęste, nieuczesane włosy były mokre. Martha bez słowa uniosła kołdrę i wzięła Corę w ramiona; podciągnęła kolana, żeby zamknąć ją w uścisku i trzymała mocno, aż poczuła jej dygotanie w sobie. Wyswobodzone z rygoru fiszbinu i bielizny ciało Cory okazało się obfite i silne: Martha czuła poruszenia łopatek w wąskich plecach, miękki brzuch oparty o jej ramię, mocne mięśnie ud: zdawało się jej, że obejmuje zwierzę, które nie umie trwać w bezruchu. Obudziły się lekko przytulone, swobodne, i pożegnały się pieszczotą.

Podniosło ją na duchu, że Cora, choć zalegała w łóżku, nie pogrzyżyła się w żałobie, lecz zajęła tym, co nazywała „swoimi studiami”, jak chłopiec, który wkuwa do egzaminów. Na łóżku obok niej leżała stara skórzana teczka, należąca kiedyś do jej matki – z monogramu starła się pozłota, a sama teczka (jak utrzymywała Martha) pachniała zwierzęciem, którym niegdyś była. Na pościeli poniewierały się też notatniki zapisane drobnym, wyraźnym pismem, łącznie z marginesami, ze stronami przedzielonymi zasuszonymi łądygami chwastów i traw, oraz mapa odcinka wybrzeża z fragmentami zaznaczonymi



czerwonym tuszem. Dookoła piętrzyły się papiery, a ona zasnęła z amonitem z Dorset w ręku. Jednak we śnie ścisnęła go o wiele za mocno, tak że rozpadł się na kawałki i pobrudził jej dłoń.

LUTY

– Weźmy na przykład jaśmin. – Doktor Luke Garrett odgarnął papiery z biurka, jak gdyby spodziewał się pod nimi znaleźć rozkwitające białe pąki, a znalazłszy zamiast tego woreczek tytoniu, zabrał się do skręcania papierosa. – Ich zapach jest tak słodki, że zarazem przyjemny i nieprzyjemny; ludzie odsuwają się i zbliżają, odsuwają i zbliżają; nie wiedzą, czy czuć obrzydzenie, czy dać się uwieść. Gdybyśmy tylko spojrzeli na ból i przyjemność jak na całość, a nie dwa radykalne przeciwieństwa, moglibyśmy w końcu zrozumieć...

Zgubił wątek i próbował go odnaleźć.

Mężczyzna sączący piwo przy oknie, nawykły do tych wykładów, odparł łagodnie:

– Zaledwie w zeszłym tygodniu twierdziłeś, że wszelkie odmiany bólu są złem, a wszelkie odmiany przyjemności przeciwnie, czymś dobrym. Dokładnie pamiętam twoje słowa, bo powtórzyłeś je tyle razy, a nawet je dla mnie zapisałeś, żebym nie zapomniał; chyba nawet mam to przy sobie...

Poklepał kieszenie z ironicznym uśmieszkiem, po czym się zaczerwienił, gdyż nigdy nie opanował sztuki czulej kpiny. George Spencer był całkowitym przeciwieństwem Garretta: wysoki, bogaty, przystojny i nieśmiały; czuł głęboko, acz myślał nieco wolniej. Ci, którzy znali ich obu z czasów studenckich, żartowali, że Spencer to sumienie Skrzata, które jakimś cudem zostało w tyle i cały czas próbowało go dogonić.

Garrett rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– To się oczywiście zdaje kompletnie sprzeczne i całkiem bezzasadne, a przecież najlepsze umysły potrafią utrzymać w mocy dwie sprzeczne idee naraz. – Skrzywił się, przy czym jego oczy prawie całkiem zniknęły pod czarnymi brwiami i jeszcze czarniejszą grzywką, po czym osuszył szklanekę. – Pozwól, że wyjaśnię...

– Chętnie bym posłuchał, ale śpieszę się na kolację z przyjaciółmi.

– Ty nie masz żadnych przyjaciół, Spencer. Nawet ja cię nie lubię. To fakt:

nie ma sensu zaprzeczać, że sprawianie lub doświadczanie bólu jest najbrzydliwszym z ludzkich doświadczeń. Zanim nauczyliśmy się usypiać pacjentów, chirurdzy wymiotowali z przerażenia na myśl o tym, co za chwilę zrobią; zdrowi na umyśle mężczyźni i kobiety woleli skrócić swoje życie o dwadzieścia lat, niż iść pod nóż. I ty byś tak zrobił, i ja też! A mimo to nie da się określić, czym ból naprawdę jest, co naprawdę się odczuwa, i czy to, co jest bolesne dla jednej osoby, jest bolesne dla innych. To bardziej kwestia wyobraźni niż ciała; widzisz więc, jak nieoceniona może się okazać hipnoza? – Skupił wzrok na Spencerze i ciągnął: – Jeśli powiesz mi, że się oparzyłeś i czujesz ból, skąd mogę wiedzieć, że doznania, o których mnie informujesz, są choćby w najmniejszym stopniu podobne do tego, co odczuwałbym ja, gdybym odniósł podobne obrażenia? Z całą pewnością mogę stwierdzić jedynie to, że obaj doświadczyliśmy jakiejś fizycznej reakcji na identyczny bodziec. To prawda, że możemy obaj wyc i taplać się w zimnej wodzie, i tak dalej, ale skąd mam wiedzieć, że nie doświadczasz odczucia, które, gdybym ja go doświadczył, kazałoby mi wyc na całkiem inną melodię? – Drapieźnie wyszczerzył zęby i kontynuował: – I czy to ma znaczenie? Czy wpłynęłoby na zalecenia lekarza? Jeśli zaczniemy kwestionować istnienie, czy raczej nasilenie bólu, to czy oprzemy się pokusie niesienia pomocy lub jej odmowy na podstawie kryteriów, które, jak sami uznaliśmy, są całkowicie arbitralne? – Straciwszy zainteresowanie tematem, Garrett schylił się, żeby podnieść papiery z podłogi, i zabrał się do ich starannego porządkowania. – To nie ma najmniejszego znaczenia i żadnych konsekwencji w praktyce. Po prostu taka myśl przyszła mi do głowy. Różne myśli przychodzą mi do głowy i lubię o tym mówić, a nie mam nikogo innego. Powinienem kupić sobie psa.

Spencer wyczuł, że nastrój przyjaciela zmienia się na ponury; zapalił papierosa i nie zważając na tykanie zegara, usiadł na twardym krześle i lustrował pokój. Pomieszczenie było pedantycznie wręcz wyczyszczone, tak że wątle światło zimowego słońca nie mogło wydobyć nawet pyłku, choćby usilnie próbowało. Stały tu dwa krzesła i stół, umeblowania dopełniały dwa postawione pionowo kufry. Okno zasłaniała sprana płachta płótna; lśnił biały kamienny kominek. W powietrzu unosił się intensywny aromat cytryn i środka dezynfekcyjnego, a nad kominkiem wisały oprawione na czarno fotografie Ignaza Semmelweisa i Johna Snowa. Nad małym biurkiem, przypięty

szpilkami, wisiał rysunek (podpisany LUKE GARRETT LAT TRZYNAŚCIE) węża owiniętego wokół laski i badającego powietrze rozdwojonym językiem: symbol Asklepiosa – wydobytego na stosie żałobnym z łona matki – który stał się bogiem sztuki lekarskiej. W tym pokoju na trzecim piętrze, na które wiodły schody zamknięte w pobielonej klatce schodowej, Spencer nigdy nie widział napoju lub jedzenia innego niż tanie piwo i krakersy. Spojrzał na przyjaciela i jak zwykle w takich chwilach poczuł, że walczą w nim dwa sprzeczne uczucia – frustracja i czułość.

Doskonale pamiętał ich pierwsze spotkanie w sali wykładowej szpitala klinicznego Royal Borough, w którym Garrett szybko prześcignął swoich profesorów w wiedzy teoretycznej i szybkim rozumowaniu i źle znosił ich nauki; wyjątkiem były zajęcia z anatomii serca i układu krwionośnego, podczas których okazywał tak dziecięcy wręcz entuzjazm, iż sądzono, że sobie kpi, i często wyrzucano go za drzwi. Spencer – rozumiejący, że jedynym sposobem na ukrycie i przewyciężenie ograniczeń inteligencji jest uczyć się, i to dużo – unikał Garretta. Podejrzewał, że nie wyjdzie mu na dobre, jeśli będzie widywany w jego towarzystwie, a poza tym bał się trochę blasku, który rzucały oczy kolegi. Natknąwszy się na niego pewnego wieczoru, na długo po tym, jak laboratorium opustoszało i drzwi powinny zostać zamknięte, pomyślał z początku, że Garretta coś trapi, siedział bowiem ze spuszczoną głową w jednej z pomazanych i poprzypalanych palnikiem bunsenowskim ławkach i uważnie wpatrywał się w coś, co trzymał w wyciągniętych dłoniach.

– Garrett? – zapytał. – To ty? Wszystko w porządku? Co tu robisz o tej porze?

Garrett nie odpowiedział, odwrócił tylko w stronę Spencera twarz, wyjątkowo bez sardonicznego uśmiešku, za którym zwykle się chronił. Zamiast tego na jego ustach ukazał się uśmiech tak szczery i błogi, że Spencer pomyślał, iż Garrett wziął go za bliskiego przyjaciela; jednak ten przywołał go skinieniem, mówiąc:

– Chodź! Zobacz, co zrobiłem!

W pierwszej chwili Spencer pomyślał, że Garrett zajął się haftem. Wcale by go to nie zdziwiło: co roku odbywał się konkurs dla absolwentów chirurgii – chodziło o to, kto założy najlepsze szwy na kwadratowym wycinku jedwabiu. Niektórzy twierdzili, że wprawiali się na pajęczynach. Okazało się, że uwagę

Garretta zaprzętał piękny przedmiot podobny do miniaturowego japońskiego wachlarza z misternie splecioną frędzlą przy uchwycie. Rzecz nie była szersza niż kciuk Garretta, a zdobiły ją tak delikatne wzory w błękicie i czerwieni na żółtokremowym tle, że nie dało się dostrzec miejsc, w których nici przebijały jedwab. Spencer nachylił się, by się lepiej przyjrzeć, skupił i wyteńczył wzrok, i wtedy zrozumiał, na co patrzy: po mistrzowsku wycięty fragment wyściółki ludzkiego żołądka, cienki jak kartka papieru; wstrzyknięty atrament pokazywał szlak naczyń krwionośnych, a całość tkwiła między dwiema szybkami. Żaden artysta nie wykreśliłby wzoru subtelniejszego niż pętle i owale arterii i żył, które, choć niczego nie przedstawiały, przypomniały Spencerowi obraz nagich drzew wczesną wiosną.

– Och!

Spencer napotkał wzrok Garretta i w tym momencie połączył ich zachwyt w oczach, niby szew, którego żaden z nich nie miał już nigdy zdjąć.

– Ty to zrobiłeś?

– Tak. W dzieciństwie zobaczyłem rysunek czegoś takiego, myślę, że wykonał to Edward Jenner. Powiedziałem ojcu, że kiedyś sam coś takiego zrobię; wątpię, by mi uwierzył. A jednak, jak widzisz, udało się. Włamałem się do kostnicy. Nie powiesz nikomu?

– Nie, nigdy! – odpowiedział Spencer, oszołomiony.

– Jestem przekonany, że dla większości z nas, a na pewno dla mnie, istotniejsze jest przyjrzenie się temu, co skrywa się pod skórą, niż temu, co widać na zewnątrz. Wywróć mnie na lewą stronę, a okażę się prawdziwym przystojniakiem!

Garrett schował przezrocze do kartonowego pudełka, obwiązał je tasiemką i włożył do kieszeni na piersi; wszystko to czynił z nabożną wręcz czcią.

– Pójdę z tym do ramiarza i każę oprawić w kość słoniową. Kość słoniowa jest droga? Sosna, dąb... mam nadzieję pewnego dnia spotkać kogoś, kto dostrzeże w tym piękno, które ja widzę. Może się napijemy?

Spencer spojrział na zeszyt, który przyniósł ze sobą z pokoju, a potem na twarz Luke'a. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że Garrett jest nieśmiały i pewnie samotny.

– Czemu nie? – odpowiedział. – Skoro i tak mam nie zdać egzaminu, mogę

się przynajmniej przestać tym martwić.

Garrett uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Z nadzieją zakładam, że masz pieniądze, bo nie jadłem od wczoraj.

Po czym ruszył korytarzem, stawiając długie kroki i śmiejąc się z siebie, ze Spencera albo ze starego dowcipu, który właśnie sobie przypomniał.

Wyglądało na to, że Garrett wciąż nie znalazł godnego odbiorcy dla swojego dzieła, które nadal tkwiło – po tylu latach – w lekko już pożółkłym białym kartonowym pudełku, ustawione z czcią nad kominkiem. Spencer bawił się papierosem; naraz zapytał:

– Czy już wyjechała?

Garrett podniósł wzrok i przez chwilę się zastanawiał, czyby nie udać, że nie rozumie, ale ostatecznie uznał, że to nie miałyby sensu.

– Cora? Wyjechała w zeszłym tygodniu. Na Foulis Street żaluzje są opuszczone, meble w pokrowcach. Wiem, bo widziałem. – Zmarszczył brwi. – Kiedy przyszedłem, już jej nie było. Zastałem Marthę, ale ta stara wiedźma nie chciała podać mi adresu Cory; powiedziała, że potrzebuje ciszy i spokoju i że skontaktuje się ze mną, gdy będzie gotowa.

– Martha jest tylko rok starsza od ciebie. I przyznaj: cisza i spokój to akurat przymioty, które rzadko się z tobą kojarzą.

– Ale ja jestem jej przyjacielem!

– Tak, ale ani cichym, ani spokojnym. Dokąd pojechała?

– Do Colchester. Colchester! I co tam niby jest w tym Colchester? Jakieś ruiny i rzeka, wieśniacy o pletwiastych stopach i błoto.

– Czytałem, że na brzegu można znaleźć skamieniałości. Eleganckie kobiety noszą naszyjniki z zębów rekina oprawione w srebro. Cora będzie tam szczęśliwa jak dziecko, po kolana w błocie. Zobaczysz ją niedługo.

– Cóż mi po niedługo? Cóż mi po Colchester? Cóż mi po skamieniałościach? Nie minął nawet miesiąc. Powinna wciąż być w żałobie.

(Przy tych słowach uniknęli spojrzenia sobie w oczy).

– Powinna być z tymi, którzy ją kochają.

– Jest z Marthą, a nikt nigdy nie kochał jej bardziej.

Spencer nie wspomniał o Francisie, który kilka razy ograł go w szachy: sugestia, że chłopiec kochał matkę, wydawała się jakby nie na miejscu. Jego zegarek tykał głośniej, tymczasem stawało się jasne, że w Garretcie powoli rośnie furia. Na myśl o kolacji, o winie, o ciepłym, wyłożonym miękkimi dywanami domu Spencer powiedział, jak gdyby właśnie przyszło mu to na myśl:

– Miałem zapytać: jak ci idzie pisanie artykułu?

Wizja pochwały osiągnięć naukowych działała na Garretta jak soczysta kość na psa; poza tym ostatnio nic innego nie potrafiło odciągnąć jego myśli od Cory Seaborne.

– Artykuł? – Wymówił to słowo z niesmakiem. Po chwili jednak trochę zmiękł. – O możliwości przeszczepu zastawki aortalnej? Tak, całkiem nieźle. – Niemal bez patrzenia zręcznie wyciągnął ze sterty notatników kilka gęsto zapisanych na czarno kartek. – Termin upływa w niedzielę. Powinienem więc się tym teraz zająć. Idź już, dobrze?

Odwrócił się, zgarbił nad biurkiem i zaczął ostrzyć ołówek za pomocą żyletki. Rozłożył duży arkusz papieru z narysowanym w powiększeniu przekrojem poprzecznym ludzkiego serca. Na kartce widniały tajemnicze dopiski czarnym atramentem, niektóre fragmenty zostały przekreślone i wpisane na nowo wraz z seriami wykrzykników. Coś na marginesie przykuło uwagę Garretta: zaklął i zaczął bazgrać po arkuszu.

Spencer wyjął z kieszeni banknot, ostrożnie położył go na podłodze w takim miejscu, żeby przyjaciel mógł uznać, że sam go upuścił, i zamknął za sobą drzwi.



Po przeczesaniu brzegu rzeki w poszukiwaniu zimorodków i obejrzeniu zamku z nadzieją zobaczenia kruków Cora Seaborne spacerowała po Colchester pod rękę z Martha i trzymała rozłożony nad ich głowami parasol. Zimorodków nie było („Pewnie są gdzieś nad Nilem: Martho, może pójdziemy w ich ślady?”), za to zamkowa wieża roiała się od ponurych gawronów w spodniach z podartymi nogawkami.

– Niczego sobie ruina – przyznała Cora. – Wolałabym jednak zobaczyć szubienicę i łotra z wydziobanymi oczami.

Martha, która wykazywała niewiele cierpliwości do minionych czasów i wzrok miała zawsze utkwiony w jakiś oddalony o kilka lat jaśniejszy punkt, odparła:

– Cierpienie też tutaj znajdziesz, jeśli naprawdę chce ci się szukać. – I wskazała mężczyznę, którego nogi kończyły się nad kolanami, usadowionego naprzeciwko kawiarni, by łatwiej wywołać poczucie winy w przejeżdżonych turystach. Martha nie ukrywała, że źle się czuje, wyrwana z miejskiego środowiska; choć grube jasne warkocze i silne ramiona nadawały jej wygląd mleczarki rozsmakowanej w śmietance, nigdy nie ruszała się daleko na wschód od Bishopsgate, brunatne pola Essex wydawały się jej ponure, a tutejsze pomalowane na różowo domy miała za siedziby półgłówków. Jej osłupienie, kiedy się okazało, że na tym odludziu można dostać kawę, mogło się równać tylko z obrzydzeniem, które wywołała podana jej cierpka lura; do każdego napotkanego człowieka zwracała się z przesadną uprzejmością, jak do niemądrego dziecka. Mimo to po dwóch tygodniach od wyjazdu z Londynu – Francisa zabrano ze szkoły, ku niewyrażonej, acz ewidentnej uldze nauczycieli – Martha niemal pokochała to miasteczko za wpływ, jaki wywierało na jej przyjaciółkę, która, z dala od spojrzeń londyńskiej socjety, porzuciła udawaną żalobę i stała się sobą sprzed dziesięciu lat. Martha pomyślała, że w końcu zapyta Corę, jak długo zamierza mieszkać w dwóch pokojach na High Street i zajmować się jedynie chodzeniem na forsowne spacery i ślęczeniem nad

książkami. Na razie jednak cieszyła się, że widzi Corę szczęśliwą.

Poprawiając parasol, z którego cały użytek był taki, że dzięki niemu strumienie deszczu trafiały wprost za kołnierze płaszczy, Cora podążyła wzrokiem za wyciągniętą ręką Marthy. Inwalida przechytrzył deszcz o wiele skuteczniej niż one, a sądząc po zawartości jego kapelusza, uzbierał dziś pokaźną sumę. Siedział na czymś, co Cora z początku wzięła za kamienną ławkę, a co z bliska okazało się kawałkiem zwalonego muru. Fragment miał przynajmniej trzy stopy szerokości i dwie głębokości, a na lewo od kończyn żebraka widniały pozostałości łacińskiej inskrypcji. Mężczyzna zauważył dwie kobiety w eleganckich płaszcach, które obserwowały go z przeciwnej strony ulicy, i błyskawicznie nakazał swojej twarzy wyrażać skrajną nędzę; szybko uznał to za zbyt oczywiste i zrobił minę człowieka znoszącego cierpienia z godnością, kogoś, kto choć uważa swe zajęcie za wstrętne, nie może zostać oskarżony o lenistwo. Rozkochana w teatrze Cora wyswobodziła ramię z uścisku Marthy i prześlizgnąwszy się za przejeżdżającym omnibusem, stanęła z poważną miną przed żebrakiem, a przy okazji znalazła prowizoryczne schronienie przed deszczem w płytkim portyku.

– Dzień dobry. – Sięgnęła po portmonetkę.

Mężczyzna podniósł wzrok ku niebu, które w tej chwili rozchmurzyło się i pokazało zachwycający błękit.

– Nie taki dobry – odpowiedział. – Ale jeszcze może się poprawić; tyle chętnie przyznam.

Krótkie wyjaśnienie oświetliło budynek za mężczyzną i Cora zauważyła, że musiał on zostać rozerwany, jakby przez wybuch. Fragment po lewej wyglądał mniej więcej tak, jak zaplanował architekt – kilkupiętrowy gmach, który mógł mieścić luksusowe mieszkania lub ratusz – ale część po prawej oderwała się od reszty i zapadła kilka stóp w ziemię. Konstrukcja ze słupów i desek powinna chronić ruinę przed zawaleniem się na chodnik, lecz całość nie budziła zaufania i Corze wydało się, że nad szumem ruchu ulicznego słyszy zgrzyt stali trącej o kamień. Martha zjawiała się u jej boku i Cora odruchowo chwyciła ją za rękę, niepewna, czy się wycofać, czy zakasać spódnicę i rozejrzeć się uważnie po ruinach. Ten sam głód, który kazał jej rozłupywać skały w poszukiwaniu amonitów, aż powietrze cuchnęło kordytem, popchnął ją teraz naprzód; w górze widziała pokój z nienaruszonym kominkiem i strzępem czerwonego dywanu

zwisającym nad krawędzią zawalonej podłogi jak język. Jeszcze wyżej, obok klatki schodowej, korzenie zapuścił mały dąb, a blady grzyb o kształcie przywodzącym na myśl wiele pozbawionych palców dłoni skolonizował sufit.

– Ostrożnie, panienko! – Zaniepokojony mężczyzna przedostał się na drugą stronę ławki i chwycił rąbek spódnicy Cory. – Co pani najlepszego robi? Nie tutaj, trochę do tyłu, tak... i jeszcze trochę... teraz nic pani nie grozi, ale proszę więcej tego nie robić.

Mówił z taką pewnością, jak gdyby był oficjalnym strażnikiem ruin, tak że Cora poczuła się zawstydzona swoim zachowaniem i powiedziała:

– Przepraszam, nie chciałam pana zaniepokoić. Wydawało mi się jednak, że widziałam, jak coś się tam poruszyło.

– To tylko jaskòłki i nie trzeba, żeby się pani nimi martwiła. – Na chwilę zapomniał o zachowaniu, jakie przystoi jego profesji, poskubał szalik i powiedział: – Thomas Taylor, do usług. Zgaduję, że pani tutaj po raz pierwszy?

– Na parę dni. Moja przyjaciółka i ja – Cora wskazała Marthę, która stała w pewnej odległości w cieniu parasolki, sztywno, by okazać swą dezaprobatę – zostajemy tu na trochę, pomyślałam więc, że się przywitam.

Cora oraz inwalida przyjrzeni się temu zdaniu pod kątem logiki, nie znaleźli żadnej, więc nie drążyli dalej.

– Panie pewnie w sprawie trzęsienia ziemi – powiedział Taylor i pokazał za siebie na ruiny. Robił wrażenie wykładowcy, który tuż przed zajęciami jeszcze raz zagląda do notatek, a Cora, zawsze gotowa czegoś się nauczyć, dała do zrozumienia, że tak.

– Może nas pan oświecić? – zapytała. – Jeśli ma pan czas.

Wydarzyło się to (powiedział) osiem lat temu, jeśli go pamięć nie myli, dokładnie osiemnaście minut po dziewiątej. Był wyjątkowo piękny kwietniowy poranek, co później uważano za błogosławieństwo, bo większość mieszkańców wyszła z domów. Ziemia hrabstwa Essex wierzgnęła, jak gdyby chciała zrzucić z siebie wszystkie miasta i wsie; wszystko trwało dwadzieścia sekund, nie więcej – seria drgań, które ustały na chwilę, jak gdyby dla nabrania powietrza, i znów się zaczęły. Morze wdarło się w ujście rzek Colne i Blackwater; spienione fale splądrowały brzeg i roztrzaskały w drzazgi wszystkie łodzie.

Kościół w Langenhoe, podobno nawiedzony, prawie całkiem się zawalił, a ze wsi Wivenhoe i Abberton zostały rumowiska. Wstrząsy odczuwano aż w Belgii, gdzie filiżanki spadały ze stołów; tu, w Essex, śpiący w kołysce chłopiec zginął, uderzony przez spadający mózdzierz, a czyściciel zegara na wieży ratuszowej zleciał z drabiny i stracił ramię. W Maldon myśleli, że ktoś zdetonował dynamit, żeby sterroryzować miasto; w Virley nie dało się odbudować kościoła, tak że jedynymi wiernymi zostały lisy, a ławami – rzędy pokrzyw. Jabłonie w sadach straciły kwiaty i tego roku nie obrodziły.

Rzeczywiście, Cora mgliście przypomniała sobie nagłówki gazet, cokolwiek prześmiewcze w tonie (kto by pomyślał, że niepozorne i płaskie jak stół Essex zatrzęsie się i pomarszczy!).

– Arcyciekawe! – powiedziała zachwycona. – To wszystko skały paleozoiczne, pod naszymi stopami, wszędzie w tej części świata; pomyśleć, że one leżą tam od pięciuset milionów lat i jednym wzruszeniem ramion burzą wieże kościołów!

– Nie znam się na tym – odparł Taylor i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Marthą. – W każdym razie Colchester bardzo ucierpiało, jak widać, choć nikt nie zginął. – Jeszcze raz wskazał kciukiem ziejące pustką ruiny i dodał: – Jeśli mają panie ochotę wejść, proszę stąpać ostrożnie i rozglądać się za moimi nogami, muszą leżeć nie dalej jak piętnaście jardów stąd.

Pociągnął za materiał spodni i podwinął puste nogawki wyżej; Cora łatwo poddawała się uczuciu litości, nachyliła się więc, dotknęła jego ramienia i powiedziała:

– Przykro mi, że przywołałam złe wspomnienia: choć pewnie i tak nie da się ich wymazać, i z tego powodu też mi przykro.

Sięgnęła po portmonetkę, myśląc przy tym, jak wręczyć mężczyźnie pieniądze, żeby nie wyglądało to na jałmużnę, lecz wypłatę wynagrodzenia.

– Cóż począć – odparł kaleka i przyjął monetę, jak gdyby oddawał jej tym przysługę. – To jeszcze nie wszystko! – Porzucił teraz wcielenie wykładowcy i wszedł w rolę mistrza ceremonii. – Słyszały panie zapewne o Wężu z Essex, który niegdyś siał strach w Henham i Wormingford? Podobno wrócił.

Cora, zachwycona, odpowiedziała, że nie.

– Ach – powiedział Taylor grobowym głosem – może nie powinienem pań

tym kłopotać, kobiety mają słabe nerwy. – Zmierzył Corę wzrokiem i uznał, że osoba ubrana w taki płaszcz z pewnością nie boi się pospolitych potworów. – Więc tak – zaczął – był rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty dziewiąty, syn zdradzieckiego króla zasiadał na tronie, a człowiek nie uszedł nawet mili, nie napotykając ostrzeżeń przybitych do dębu lub bramy. DZIWNE WIEŚCI, pisano, o potwornym wężu o oczach jak u owcy, który wychynął z wód Essex i grasuje w brzezinach i na błoniach! – Wypolerował monetę rękawem i mówił dalej: – Tamte lata należały do Węża z Essex, czy to prawdziwego, z łuskami i ścięgnami, czy zastygłego w drewnie albo zakłętego na płótnie, czy też wijącego się w majaczeniach szaleńców; dzieci trzymano z dala od rzeki, a rybacy marzyli o innym zawodzie! A potem zniknął tak nagle, jak się pojawił, i ślad po nim zaginął na prawie dwieście lat. Aż przyszło trzęsienie ziemi i obudziło coś w głębinach, i to coś wylazło na wolność! Mówią, że to wielki pełzający stwór, bardziej smok niż wąż, równie zwinny w wodzie, co na lądzie; w słoneczne dni wygrzewa skrzydła na słońcu. Człowiek, który go pierwszy spostrzegł, przy Point Clear, stracił rozum i nigdy go nie odzyskał; umarł w szpitalu psychiatrycznym nie dalej niż pół roku temu, pozostawiwszy po sobie tuzin rysunków, które zrobił węglem z paleniska.

– Dziwne wieści – zauważyła Cora. – Są rzeczy na niebie i ziemi... proszę powiedzieć: czy ktoś zrobił temu stworzeniu zdjęcie? Czy ktoś pomyślał o napisaniu raportu?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Wzruszył ramionami. – Nie powiem, żebym sam w tę historię uwierzył. Ludzie w Essex uwielbiają gadać o takich rzeczach: czarownice z Chelmsford, Czarny Kudłacz, który wychodzi na łowy, gdy znudzi mu się smak mieszkańców Suffolk. – Przyjrzał się im badawczo i zdało się nagle, że bardzo się zmęczył ich towarzystwem. Schował monetę do kieszeni, poklepał ją dwukrotnie i powiedział: – No tak, zarobiłem dziś na siebie, nawet z nawiązką, i zaraz ktoś po mnie przyjdzie i zaprowadzi do domu, na ciepłą strawę. Poza tym – spojrzał krzywo na Marthę, której zniecierpliwienie zdradzały drgające druty parasola – powinny panie już iść, proszę jednak uważać na rysy w chodniku, jak mawia moja córka, bo nigdy nie wiadomo, co się w nich czai.

Pożegnał je pańskim gestem, który pasowałby do męża stanu odprawiającego sekretarza, a kiedy usłyszał śmiech pary młodych ludzi idących w deszczu,

odwrócił się od kobiet i na nowo przybrał błagalną minę.

– Gdzieś tam – powiedziała Cora i wzięła Marthę pod rękę – w gruzie i kurzu leży para jego butów, z kośćmi nóg, które stracił...

– Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Patrz, zapalają światła, jest już po piątej. Powinniśmy wracać, sprawdzić, co u Francisa.

W istocie, zostawiły chłopca w łóżku, ciasno owiniętego i sztywnego jak mumia, i powierzyły go opiece gospodarza, który wychował trzech synów i uważał Francisa za potulnego chłopca; był przekonany, że misa zupy pokona jego przeziębienie. Francis, zaskoczony tym, że mężczyzna nie tylko nie żywi wobec niego podejrzeń, ale jeszcze przygląda mu się prawie bez zainteresowania, bez zastrzeżeń przyjął tę szorstką troskliwość, której matka nie umiałaby mu okazać. Widziano, jak podarował gospodarzowi jeden ze swych skarbów (kawałek pirytu, z cichą nadzieją, że ten weźmie go za złoto), zaczął też czytać opowiadania o Sherlocku Holmesie. Cora zastanawiała się, jak to możliwe, żeby niepokoić się o jej syna (kiedy chorował, jego twarz stawała się rozświetlona i dziewczęca, co łamało jej serce), a zarazem czuła ulgę z powodu przymusowej rozłąki. Mieszkali teraz w dwóch niedużych pokojach, więc mimo woli oglądała jego małe rytuały, a obojętności syna na jej gniew bądź ciepło nie dało się zignorować; dzień wolności przy zamkowej wieży i pod nagimi wierzbami nad rzeką Colne był dla niej czystą rozkoszą i Cora pragnęła, żeby nigdy się nie kończył. Martha jak zwykle zdołała wypowiedzieć na głos myśli Cory, zanim ta nadała im formę:

– Zobacz, twój płaszcz tapla się w kałużach, włosy masz całkiem mokre. Znajdźmy jakąś kawiarnię i przeczekajmy deszcz. – Skinieniem głowy wskazała ociekającą wodą markizę, pod którą w dwóch oknach wystawowych piętrzyły się ciastka.

Cora odparła z wahaniem:

– Poza tym on pewnie o tej porze już śpi? A tak się denerwuje, gdy go zbudzić...

Zgodnie ruszyły mokrym chodnikiem rozjaśnionym promieniami zachodzącego słońca i właśnie dotarły do cienia markizy, gdy Cora usłyszała znajomy głos.

– Pani Seaborne, a niech mnie!

– Czy ktoś nas zauważył? – zapytała Cora, wpatrując się w ciemniejącą ulicę.

Martha, niechętna kolejnym intruzom i stracie czasu, który mogły spędzić we dwie, pociągnęła za pasek jej torebki.

– A któż może cię tutaj znać? – odparła. – Jesteśmy tu od niespełna tygodnia; czy nie mogłabyś choć raz nie rzucać się w oczy?

– Ależ to Cora Seaborne, we własnej osobie! – wołanie się powtórzyło, na co Cora z okrzykiem radości wbiegła na chodnik i uniosła rękę.

– Charles! Podejź do nas!

Charles i Katherine Ambrose'owie, pod parasolami tak dużymi, że zawłaszczyły całą ulicę, stanowili niecodzienny widok. Charles pracował kiedyś z Michaelem Seaborne'em w Whitehall – na jednym z tych stanowisk, których natury Cora nie była w stanie dociec, a które zdawało się zapewniać mu dwa razy więcej władzy, niż miał przeciętny polityk, ale bez związanej z polityką odpowiedzialności – i szybko stał się częstym gościem na Foulis Street. Kolorowe kamizelki i nienasycony głód wszystkiego maskowały przenikliwość umysłu, tak że zwykle umykała ona jego rozmówcom; Cora zauważyła ją przy pierwszym spotkaniu i odtąd Charles był gotów zrobić dla niej wszystko. Zaskakujące było jego pełne oddanie dla żony, będącej całkowitym przeciwieństwem męża, równie drobnej jak on potężny i zawsze świetnie bawiącej się w jego towarzystwie. Państwo Ambrose'owie byli hojni, dobroduszni i autentycznie zainteresowani życiem innych; kiedy uparli się, że tylko doktor Garrett może ulżyć Seaborne'owi w cierpieniu, nie dało się im sprzeciwić.

Cora ścisnęła przyjaciółkę w pasie, żeby ją udobruchać.

– Wiesz, że wolałabym, abyśmy były tu tylko we dwie, w towarzystwie książek. Ale to przecież Charles i Katherine Ambrose'owie, poznałaś ich kiedyś i polubiłaś, nie wypieraj się teraz! Charles!

Cora wykonała głęboki ironiczny ukłon, który mógłby uchodzić za elegancki, gdyby jej wysunięta stopa nie tkwiła w ciężkim, ubłoconym męskim bucie.

– Marthę, oczywiście, już poznałaś?

Martha stała obok; wyprostowała się teraz i zdawkowo skinęła głową.

– Ty tutaj, Katherine? Sądziłam, że dla ciebie Anglia kończy się na Palmer's Green. Czyżbyś się zgubiła? Może pożyczę ci mapę?

Charles Ambrose spojrział z niesmakiem na ubłocone buty, za szeroki w ramionach ciężki tweedowy płaszcz i mocne dłonie o poobgryzanych paznokciach.

– Powiedziałbym, że miło cię widzieć, gdybyś nie wyglądała jak królowa barbarzyńców na łupieżczej wyprawie. Czy naprawdę musisz upodabniać się do Icenów<sup>[3]</sup> tylko dlatego, że jesteś na ich ziemiach?

Cora – która odmawiała noszenia czegokolwiek, co krępowałoby ją w pasie, przeczesywała włosy ręką i wciskała je pod kapelusz oraz nie nosiła żadnej biżuterii, odkąd przed miesiącem zdjęła perłowe kolczyki – nie poczuła się urażona.

– Jestem pewna, że Boudika<sup>[4]</sup> wstydziłaby się tak ludziom pokazać. Wejdziemy na kawę i poczekamy, aż się przejaśni? Jesteś piękny za nas dwoje.

Wzięła Katherine Ambrose pod rękę, mrugnęły do siebie i patrzyły, jak odziany w aksamit Charles pewnym krokiem wchodzi do kawiarni.

– Coro, ale jak się naprawdę masz? – Katherine przystanęła w progu, ujęła twarz młodszej kobiety w dłonie i obróciła ją do światła. Przyjrzała się obliczu o wysokich kościach policzkowych i szaroniebieskim oczom. Cora nie odpowiedziała z obawy, że zdradzi się ze szczęściem, absolutnie nieakceptowalnym w jej sytuacji. Katherine, która domyśliła się na temat zachowania Michaela Seaborne'a wobec żony więcej, niż Cora mogła przypuszczać, sama znalazła teraz odpowiedź i wspięła się na palce, by pocałować skroń przyjaciółki. Stojąca za nimi Martha udała kasznięcie; Cora odwróciła się, nachyliła, żeby podnieść swą płócienną torbę, i wyszeptła:

– Jeszcze tylko pół godziny, przyrzekam. – Po czym wepchnęła swoją towarzyszkę do środka.

– A co wy tutaj robicie? Tak mi się kojarzycie z Whitehall i Kensington, iż sądziłam, że na granicy miasta po prostu wyparowujecie! – Cora przyjrzała się stołowi z satysfakcją.

Charles kazał oniemiałej dziewczynie w białym fartuchu przynieść przynajmniej tuzin jej ulubionych ciastek oraz galon herbaty. Kelnerka wyraźnie przepadała za kokosem: przyniosła makaroniki, kruche ciastka, romby z ciasta polane dżemem malinowym i posypane wiórkami kokosowymi. Cora, która przeszła tego ranka kilka mil, pałaszowała wszystko metodycznie, żeby



dobrac się do magdalenek na środku talerza.

– Tak – zawtórowała jej Martha, a w jej głosie zadźwięczała stal, czego nawet nie próbowała ukrywać: – A co wy tutaj robicie?

– Odwiedzamy przyjaciół – odparła Katherine Ambrose. Zgrabnie wyswobodziła się z płaszczyka i z wyrazem zachwytu w oczach rozejrzała po mrocznym, pachnącym pomieszczeniu. Coś ją najwidoczniej rozbawiło w zielonej tkaninie z frędzlami, która wylądowała na jej kolanach, bo pogładziła ją, opanowała uśmiech i powiedziała: – Po cóż by innego tu przyjeżdżać? Przecież nie na zakupy, nie ma tu ani jednego domu towarowego. Zastanawiam się, gdzie tutejsi mieszkańcy zaopatrują się w wino i ser?

– W winnicy i w oborze, jak sędzę. – Charles podał żonie talerzyk, na którym położył niewielkie ciastko z błyszczącym lukrem. Nikt nigdy nie widział, by Katherine jadła ciastka, lecz Charles lubił od czasu do czasu grać rolę kusiciela. – Próbujemy namówić pułkownika Howarda, by kandydował do Parlamentu w najbliższych wyborach. Niedługo przechodzi na emeryturę i...

– ...i naprawdę się przyda – dokończyła za niego Cora, używając jednego z jego wyświechtanych powiedzonek.

Martha, siedząca obok niej, zaczęła sprawiać wrażenie spiętej. Możliwe, że gotowała się do jednej ze swoich diatryb na temat służby zdrowia lub potrzeby reformy mieszkaniowej. (W płóciennej torbie, zawinięta w niebieski papier, spoczywała amerykańska powieść. Książka opisywała utopijną wizję szczęśliwego życia w mieście przyszłości. Martha wiele tygodni czekała na angielskie wydanie, a teraz chciała czym prędzej wrócić do domu i zabrać się do lektury). Cora, choć pochwalała wrażliwość przyjaciółki, czuła się zbyt zmęczona, by obserwować słowne potyczki przy herbacie. Położyła magdalenkę na talerzyku Katherine, ta jednak odsunęła go i rozłożyła na jego miejscu mapę, którą przed chwilą Martha umieściła na stole.

– Mogę? – Katherine rozkładała mapę, aż pojawiło się czarno-białe Colchester, z zaznaczonymi i zilustrowanymi zdjęciami najciekawszymi miejscami.

Cora kółkiem otoczyła Muzeum Zamkowe; wieżę kościoła Świętego Mikołaja przysłaśniała plama z herbaty.

– Tak – powiedziała Katherine. – Pomyśleliśmy, że dotrzemy do pułkownika,

zanim zrobią to inni; nie ukrywa swoich ambicji, lecz nikt nic nie wie o jego sympatiach politycznych. Sądzę, iż Charles przekonał go, że przy okazji najbliższych wyborów dojdzie do zmiany gabinetu; mówi, że wszyscy musimy na to postawić. Staruszek ma energię kogoś o połowę młodszego, a do tego jest uparty. Może zobaczymy najstarszego premiera w historii?

Nie było potrzeby dodawać, że ma na myśli Gladstone'a, którego rodzina Ambrose'ów miała za połączenie ekscentrycznego świętego z ukochanym krewnym. Gdy Cora spotkała go pewnego razu – stała sztywno obok męża, który ostro zakończonymi paznokciami kaleczył jej skórę na ramieniu, a Gladstone lekko się pochylił, żeby powitać procesję gości – zaskoczyła ją nieokiełznana wręcz inteligencja żarząca się pod jego brwiami, które wołały o nożyczki. Kiedy witał się z Michaeliem Seaborne'em, w jego głosie zadźwięczał lód; oczywiste było, że ów mąż stanu od dawna żywił do małżonka Cory nieprzejednaną nienawiść. I chociaż Corę przywitał równie chłodno, ta w kolejnych latach uważała go za sprzymierzeńca.

– Wciąż prowadzi się z dziwkami? – spytała Martha. Robiła co w jej mocy, by się skompromitować; Charles okazał się jednak ponad to i tylko uśmiechnął się znad filizanki.

– Tyle o nas – zakończyła pośpiesznie Katherine. – Ale co ty robisz w Colchester, Coro? Jeśli tęsknisz za morzem, nasz dom w Kent jest zawsze do twojej dyspozycji, a tutaj tylko błoto i bagna jak okiem sięgnąć, tak że nawet clown wpadłby w depresję. Chyba że chcesz poszukać męża w tutejszym garnizonie; poza tym nie ma tu nic godnego uwagi.

– Coś ci pokażę. – Cora przyciągnęła mapę do siebie i palcem wskazującym, który, co Katherine skrzętnie odnotowała, nie grzeszył czystością, nakreśliła linię od Colchester na południe, aż do ujścia Blackwater. – W zeszłym miesiącu dwaj mężczyźni przechodzili u podnóża klifów na wyspie Mersea i omal nie zginęli pod osuwiskiem. Okazali się na tyle bystrzy, by przyjrzeć się ziemi i skałom, i znaleźli skamieniałe szczątki: tu i ówdzie zęby i, rzecz jasna, koprolity. Ale również szczątki jakiegoś małego ssaka. Muzeum Brytyjskie bada je teraz i klasyfikuje: kto wie, czy nie odkryli jakiegoś nowego gatunku!

Charles obrzucił mapę znużonym wzrokiem. Mimo liberalizmu i wysiłków, by uchodzić za człowieka światowego, w głębi duszy był głęboko konserwatywny i nie chciał trzymać w gabinecie prac Darwina i Lyella – bał

się, że mogłyby się okazać źródłem zarazy, która przeszłaby na inne, zdrowe tomy. Nie był człowiekiem szczególnie pobożnym, czuł jednak, że wyznawana przez wszystkich religia, nad którą pieczę trzyma dobrotliwy Bóg, sprawia, że społeczeństwo nie rozdziera się jak stare prześcieradło. Myśl, że człowiek nie ma jakiejś przyrodzonej szlachetności i że gatunek ludzki mógłby nie okazać się tym wybranym, który nosi w sobie boski pierwiastek, zaprzętała jego uwagę w owych trudnych godzinach przed świtem i, jak w przypadku innych kłopotliwych spraw, postanowił ją zignorować i poczekać, aż da mu spokój. Co więcej, to siebie winił za to, że Cora tak wielkim uwielbieniem darzyła geolożkę Mary Anning: Cory nic a nic nie obchodziło dłubanie w skałach i grzebanie w błocie, dopóki na jednej z kolacji u Ambrose'ów nie posadzono jej obok starszego pana, który raz w życiu rozmawiał z Anning i od tamtej pory kochał się we wspomnieniu o niej. Zanim mężczyzna skończył opowiadać o córce stolarza, która przeżyła uderzenie pioruna i stała się po nim silniejsza, o pierwszej skamieniałości, jaką znalazła w wieku dwunastu lat, o biedzie, o przegranej walce z rakiem, Cora również się w niej zakochała i przez wiele kolejnych miesięcy rozprawiała wyłącznie o jurze dolnej i bezoarach. *I jeśli ktoś liczył na to, że zapął Cory ostygnie – pomyślał Charles ze znużeniem – to w ogóle jej nie znał.*

– Lepiej zostaw te dociekania specjalistom – powiedział ze wzrokiem utkwionym w ostatni makaronik. – Nie żyjemy przecież w średniowieczu i nie musimy polegać na ubranych w halki wariatkach uganiających się po skałach z młotkiem i pędzelkiem. Mamy uczelnie, towarzystwa, dotacje i tak dalej.

– A co, według ciebie, powinnam robić? – odparowała Cora. – Siedzieć w domu, planować kolację i dostawę nowych butów? – Jej złość rozpaliała się powoli; pierwsze zmieniały się oczy: ich spojrzenie twardniało od szarości do krzemienia.

– Oczywiście, że nie. – Charles wyczuł pierwsze oznaki irytacji Cory i dodał: – Nikt, kto cię zna, nie mógłby tego oczekiwać. Jednak swój intelekt i czas mogłabyś spożytkować na sprawy ważne dziś, a nie marnować je na szczątki zwierząt, które za życia znaczyły tyle co nic, a po śmierci jeszcze mniej! – W akcie desperacji wskazał gestem Marthę. – Nie mogłabyś, na przykład, zapisać się do towarzystwa Marthy, jakkolwiek się ono nazywa, i zająć się kanalizacją w Whitechapel albo sierotami w Peckham, czymkolwiek, co ją

ostatnio pochłania?

– Tak, Coro. Nie mogłabyś? – Martha uśmiechała się do Charlesa szeroko. Wiedziała, że jej przekonania polityczne odpychają go równie mocno, jak zabłocone buty Cory, nadała więc swoim błękitnym oczom wyraz iście błagalny.

– Tyle co nic! – Cora wzięła oddech i gotowała się do wygłoszenia wielokrotnie przećwiczonego wykładu o znaczeniu jej ukochanych szczątków zwierząt, jednak Katherine położyła chłodną białą dłoń na jej dłoni i zapytała, niejako ignorując ostatnie minuty rozmowy:

– I zamierzasz się tam wybrać i znaleźć swój okaz?

– Tak, zamierzam! I znajdę, zobaczcie! Michael nigdy... – Dźwięk tego imienia wybił ją z rytmu i nieświadomie dotknęła blizny na szyi. – Uważał, że to strata czasu i że powinnam raczej czytać „The Lady”, żeby wiedzieć, jaką spódnice włożyć do Savoya. – Odsunęła swój talerz z obrzydzeniem. – No ale teraz mogę robić, co chcę, prawda?

Przyjrzała się każdemu po kolei, a Katherine powiedziała:

– Kochanie, oczywiście, że możesz, i jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Prawda, Charles?

Charles potwierdził ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

– A co więcej, możemy ci pomóc: znamy rodzinę, jakiej ci trzeba!

– Naprawdę? – zapytał z powątpiewaniem Charles. Miał w Colchester tylko jednego przyjaciela, cholerycznego pułkownika Howarda, i był pewien, że nadwerężone w bojach serce weterana nie zniosłoby spotkania z Corą.

– Charles! Ależ oczywiście! Ransome’owie! Cudowne dzieci i ten okropny dom, i Stella ze swoimi daliami!

Ransome’owie! Charles rozpromienił się na samą myśl. William Ransome był bratem liberalnego parlamentarzysty, ulubieńca Ambrose’ów, a także wielkim rozczarowaniem. Rozczarowaniem, gdyż już w młodym wieku postanowił ofiarować swój pierwszorzędny intelekt nie prawu lub Parlamentowi, nawet nie medycynie, lecz Kościołowi. Na domiar złego całkowicie brakowało mu ambicji typowej dla zdolnych umysłów, skutkiem czego od piętnastu lat pasł swoją trzódkę w ponurej wiosce u ujścia Blackwater. Za żonę pojął żywą, jasnowłosą dziewczynę i wspólnie rozpieszczali dzieci.

Charles i Katherine zatrzymali się u nich pewnego razu, zmuszeni przerwać podróż do Harwich, i wyjechali zauroczeni dziećmi gospodarzy, a Katherine ścisnęła w dłoni paczuszkę nasion dalii, z których miały wyrosnąć czarne kwiaty. Katherine odwróciła się teraz w stronę Cory.

– Wierz mi, nie spotkałam w życiu wspanialszej rodziny. Dobroduszny pastor Ransome i drobniutka Stella, nie większa niż wróżka z bajki, a dwa razy piękniejsza. Mieszkają w Aldwinter, które jest nieznośne, lecz w pogodną noc można zobaczyć Point Clear na drugim brzegu rzeki, a rankiem obserwować kołyszące się na falach barki z ostrygami i pszenicą. Trudno o lepszych przewodników po tutejszym wybrzeżu... Nie patrz tak na mnie, moja droga, wiesz dobrze, że nie powinnaś maszerować po brzegu z mapą i niczym więcej. Pamiętaj, że to obcy ląd i możesz potrzebować słownika. Furtki dla bydła nazywają tutaj „bramami pocałunków”, na pola mówią „zagroda”, a całe akry ziemi, okresowo zabieranej przez morze, zwą słonymi mokradłami.

Charles zlizął cukier z palca wskazującego i rozważał zjedzenie kolejnego ciastka.

– Will oprowadził mnie kiedyś po cmentarzu w Aldwinter i pokazał groby, o których mawiają, że mają przetrącone kręgosłupy; wieśniacy wierzą, że gdy ktoś umiera na gruźlicę, ziemia zapada się na trumnę.

Cora próbowała ukryć grymas niezadowolenia. Jakiś wiejski pastor o byczej szyi, z głową pełną kalwińskich kazań i jego skąpa żona! Nie potrafiła tak na poczekaniu wymyślić nic gorszego, a ze sztywności Marthy wyczytała, że nie była w swoich odczuciach odosobniona. A jednak przydałoby się poznać szczegóły geografii hrabstwa Essex. Poza tym ktoś, kto nosi sutannę, nie musi być ignorantem w dziedzinie nowoczesnej nauki – do jej ulubionych lektur należał traktat anonimowego pastora z Essex na temat wieku Ziemi, w którym autor bezceremonialnie odrzuca pomysły datowania stworzenia świata na podstawie genealogii ze Starego Testamentu.

– To mogłoby dobrze zrobić Francisowi – powiedziała z wahaniem. – Rozmawiałam o nim z Lukiem Garrettem. Nie żebym sądziła, iż coś jest z Francisem nie tak!

Zaczerwieniła się, bo nic nie zawstydziało jej bardziej niż jej syn. Choć miała bolesną świadomość, że niepokój, w jaki wprawiał ją Francis, odczuwają też inni, nie potrafiła się wyzbyć poczucia winy; z pewnością to ona odpowiada za

jego chłód i obsesje, bo któż inny? Garrett powiedział jej w sposób nietypowo dla siebie cichy, delikatny:

– Nie możesz postrzegać tego jako patologii. Nie da się postawić diagnozy. Nie ma badań krwi na ekscentryczność, tak jak nie ma obiektywnego sposobu zmierzenia miłości, twojej lub jego!

Przyznał, że chłopcu mogłaby pomóc analiza, choć raczej nie zaleca się jej w przypadku dzieci, których psychika nie jest jeszcze w pełni uformowana. Cora mogła jedynie dalej się o niego troszczyć, najlepiej, jak potrafiła, i kochać go na tyle, na ile jej pozwoli.

Ambrose'owie spojrzeli po sobie, a Katherine powiedziała szybko:

– Myślę, że świeże powietrze dobrze mu zrobi. Pozwól, że Charles napisze do wielebnego i cię przedstawi. Aldwinter jest oddalone od Colchester o niecałe piętnaście mil. Wiem, że pieszo pokonywałaś większe odległości. Mogłabyś chociaż spędzić u nich popołudnie, Stella poczęstowałaby cię herbatą.

– Napiszę do Williama i podam mu twój adres – oznajmił Charles. – Zakładam, że zatrzymacie się w hotelu George? Zobaczysz, że szybko się z nimi zaprzyjaźnisz i znajdziesz górę swoich przeklętych skamieniałości.

– Zatrzymaliśmy się Pod Czerwonym Lwem – powiedziała Martha. – Corze wydał się autentyczny, była zatem rozczarowana brakiem siana na podłodze i kozła przywiązanego do baru.

*Wielebny Ransome* – pomyślała z pogardą, jak gdyby jakiś tępy klecha i jego pulchne dzieci mogły w ogóle zainteresować Corę! Jednak dobroć okazywana przyjaciółce zawsze zjednywała lojalność Marthy, położyła więc ostatnie ciastko na talerzu Charlesa i powiedziała, naprawdę szczerze:

– Tak się cieszę, że znów się spotkaliśmy; może moglibyście jeszcze raz odwiedzić Essex, zanim wyjedziemy?

– To bardzo prawdopodobne. – Twarz Charlesa przybrała wyraz szlachetnego cierpiętnictwa. – I oczekujemy, że do tego czasu jakiś nowy gatunek zostanie odkryty, opisany i gotowy do prezentacji w Muzeum Zamkowym w Colchester, w skrzydle Cory Seaborne. – Nieznacznym gestem dał znać żonie, że pora iść, sięgnął po płaszcz i z ramieniem w połowie rękawa powiedział: – Och! – Z szerokim uśmiechem odwrócił twarz ku Corze. – Jak mogliśmy zapomnieć! Słyszałaś o tym dziwnym stworzeniu, które sieje paniczny strach wśród

lokalnej ludności?

– Charles, nie żartuj sobie – upomniała go ze śmiechem Katherine. – To tylko zabawa w głuchy telefon, której nikt nie przerwał w stosownej chwili.

Charles Ambrose siłował się z okryciem i puścił słowa żony mimo uszu.

– Oto naukowa zagadka w sam raz dla ciebie. Odłóż ten ohydny kapelusz i posłuchaj! Trzysta lat temu, mniej więcej, w Henham, dwadzieścia mil na północny zachód stąd, zadomowił się smok. W bibliotece dadzą ci afisze, które rozwieszano wtedy w całym mieście: naoczne relacje chłopów i rysunek lewiatana o skórzastych skrzydłach i kłach wyszczerzonych w uśmiechu. Wylegiwał się w słońcu, kłapał dziobem (właśnie tak, dziobem!), a ludzie nic sobie z tego nie robili, dopóki pewien chłopiec nie złamał nogi. Stwór wkrótce potem zniknął, ale plotki nie. Zawsze gdy przyszedł nieurodzaj, zdarzyło się zaćmienie słońca albo wsie nękała plaga ropuch, ktoś gdzieś spostrzegł bestię na brzegu lub na wiejskich błoniach. A teraz słuchaj: potwór powrócił!

Charles triumfował, jak gdyby sam specjalnie dla niej powołał bestię do życia, Corze więc przykro było odbierać mu część radości.

– Och, Charles, wiem, o wszystkim słyszałam. Dopiero co zaserwowano nam wykład o trzęsieniu ziemi w Essex (prawda, Martho?) i jak obudziło ono coś w ujściu rzeki. Powstrzymuję się z całych sił przed pójściem tam z notesem i aparatem fotograficznym, żeby zobaczyć to na własne oczy!

Katherine pocałowała męża na pocieszenie i powiedziała łagodnie:

– Stella Ransome opisała nam to wszystko w liście. W Nowy Rok na mokradła w Aldwinter morze wyrzuciło mężczyznę ze skrzyconym karkiem. Myślę, że się upił i porwał go przypyływ, lecz cała wioska aż się gotuje z wściekłości. Bestię obserwowano tuż przy brzegu już parokrotnie, a ktoś nawet przysięgał, że widział ją, jak płynęła w górę Blackwater i dyszała żądzą mordy. Rzeczywiście, Charlesie, tutaj się nie pomyliłeś: widziałeś kiedykolwiek kogoś tak podekscytowanego?

Cora wierciła się na krześle jak mała dziewczynka i szarpała kosmyk włosów.

– Dokładnie jak smok morski Mary Anning, tyle lat temu! Co sześć miesięcy publikowano pracę z wiadomościami o tym, jak i gdzie mogą żyć zwierzęta uznane za wymarłe. Tylko sobie wyobraźcie, że można by odkryć takie stworzenia w nudnym Essex! Wyobraźcie też sobie znaczenie takiego

znaleziska: kolejny dowód na to, że żyjemy w starym świecie i że mamy dług wobec ewolucji, a nie jakiegoś bóstwa...

– No cóż, tego nie wiem – odpowiedział Charles. – Mam jednak pewność, że rzecz cię zainteresuje. A jeśli odwiedzisz Aldwinter, musisz poprosić Ransome'ów, żeby pokazali ci swojego własnego węża z Essex: na jednej z ław w kościele parafialnym widnieje skrzydlaty wąż, wijący się w górę aż do podłokietnika, choć po ostatnich relacjach o powrocie bestii pastor grozi, że zeskrobie go dłutem.

– No to postanowione – powiedziała Cora. – Pisz swoje listy, tyle, ile chcesz. Zniesiemy nawet stu pastorów dla jednego smoka morskiego, prawda, Martho?

Kobiety zostawiły Charlesa, żeby uregulował rachunek i rozdał niebotycznie wysokie napiwki, którymi uciszał sumienie, a same opuściły kawiarnię i czekały na High Street. Deszcz zelżał, a zachodzące słońce rzuciło pod ich nogi cień kościoła Świętego Mikołaja. Katherine pokazała dłonią okazałą białą fasadę hotelu po drugiej stronie ulicy, w którym zatrzymali się z mężem.

– Od razu pójdę na górę, poszukam papeterii i ostrzegę ich, że twoje londyńskie idee i skandaliczny płaszcz zwiastują kłopoty. – Chwyciła rękaw Cory w palce i zwróciła się do Marthy: – Martho, nie mogłabyś coś na to poradzić?

Jako że połowę przyjemności z przybrania tak byle jakiego wyglądu Cora czerpała właśnie z niesmaku przyjaciół, postawiła kołnierz dla ochrony przed wiatrem, przekrzywiła kapelusz jak chłopak i wetknęła kciuki za pasek.

– W byciu wdową wspaniałe jest to – powiedziała – że już nie trzeba zachowywać się jak kobieta; widzę jednak, że nadchodzi Charles, i z jego wyglądu zgaduję, że potrzebny mu wieczorny drink. Dziękuję wam obojgu, kochani.

Ucałowała ich oboje i uścisnęła dłoń Katherine, stanowczo za mocno. Żałowała, że nie powiedziała im więcej: pragnęłaby wyjaśnić, iż lata małżeństwa tak doszczętnie zniweczyły jej nadzieje na szczęście, że siedzenie z filiżanką herbaty w dłoniach bez zamartwiania się tym, co czeka ją za zaciągniętymi zasłonami na Foulis Street, wydawało jej się po prostu cudem. Uśmiechnęła się na pożegnanie i szybko przeszła przez ulicę, kierując się w stronę Czerwonego Lwa. Zastanawiała się, czy twarz, którą ujrzała w oknie, należała do Francisa i czy chłopiec ucieszy się na jej widok.



Charles Ambrose

KLUB GARRICK

Londyn

20 lutego

Drogi Williamie,

ufam, że zdrowie Ci dopisuje i że spotkamy się niedługo. Katherine pragnie powiedzieć Stelli, że dalej wyrosły pięknie, lecz okazały się raczej błękitne niż czarne – może to kwestia gleby?

Piszę, żeby przedstawić Ci naszą drogą przyjaciółkę, która pragnie Was poznać. To wdowa po Michaelu Seaborne, który zmarł w tym roku (może pamiętasz, jak modliłeś się o jego powrót do zdrowia, lecz najwidoczniej Wszechmogący chciał inaczej).

Znamy panią Seaborne od lat. To niezwykła kobieta. Myślę, że obdarzona jest wyjątkową – mógłbym nawet rzec, że męską – inteligencją. Jest jakby przyrodniczką – zdaniem Katherine to obecnie najmodniejszy trend wśród dam z towarzystwa. Zajęcie raczej nieszkodliwe, a daje jej przyjemność po zaznanym wielkim smutku. Niedawno przyjechała do Essex z synem i towarzyszką, by badać tutejsze wybrzeże (zdaje się, że chodzi o szczątki ptaków w Walton-on-the-Naze), i zatrzymała się w Colchester. Ma się rozumieć, opowiedziałem jej o legendzie o Wężu z Essex i pogłoskach o jego powrocie, a także o nietypowej płaskorzeźbie w kościele Wszystkich Świętych, a ona zamierza złożyć tam wizytę.

Jeśli zawita do Aldwinter (a znając Corę, sądzę, że już przygotowuje się do podróży!), może Ty i Stella moglibyście się nią zająć? Za jej pozwoleniem udostępniam jej obecny adres i przekazuję najlepsze życzenia od naszej dwójki.

Twój,

CHARLES HENRY AMBROSE

Wielebny William Ransome, proboszcz parafii Aldwintar, włożył list z powrotem do koperty i w zamyśleniu oparł ją o ramę okienną. Nie potrafił myśleć o Charlesie Ambrosie bez uśmiechu – człowiek ten odczuwał niespożyty głód nowych przyjaźni, często (choć z pewnością nie zawsze) powodowany czystą sympatią, nie było więc zaskoczeniem, że wdowa wzbudzała w nim tak wielką czułość; jednak mimo uśmiechu na twarzy list pastora zaniepokoił. Nie chodziło o to, że przyjezdni nie byli przezeń mile widziani, lecz o to, że jedna czy dwie frazy („damy z towarzystwa”, „męska inteligencja”) nie mogły nie obudzić czujności każdego pracowitego sługi Kościoła. Pastor wyobraził sobie tę kobietę tak dokładnie, jak gdyby w kopercie znajdowała się jej fotografia: z pewnością ma przed sobą ostatnie samotne lata życia i trzyma się jakoś tylko dzięki jardom tafty i chłodnemu entuzjazmowi dla nowych nauk. Jej syn zapewne właśnie wrócił z Oxfordu lub Cambridge, skąd przywiózł jakieś tajemnicze grzeszki, które albo wywołają ekscytację w Colchester, albo uczynią młodzieńca niezdatnym do przebywania w cywilizowanym towarzystwie. Zapewne żywiła się ziemniakami i octem, wierząc, że dieta lorda Byrona poprawi jej sylwetkę, i prawie na pewno miała anglikańsko-katolickie skłonności, nie spodoba się jej zatem brak bogato zdobionego krzyża na ołtarzu kościoła Wszystkich Świętych. W pięć minut obdarzył ją wrednym pieskiem kanapowym, przytakującą każdemu jej słowu kościstą towarzyszką i zezem na dokładkę.

Jedyną pociechę znajdował w tym, iż Aldwintar było tak bezsprzecznie nieciekawe, że nie potrafił sobie wyobrazić damy z towarzystwa – nawet wścibskiej wdowy – której chciałoby się tutaj przyjechać. Każdej wiosny zjawiało się tu kilku gorliwych przyrodników, by obserwować garstkę wędrownych ptaków wodnych zatrzymujących się na pobliskich słonych mokradłach, lecz nawet te stworzenia były najbardziej burymi z możliwych, tak że ich zabłocone pióra zlewały się z otoczeniem, i odlatywały niezauważone. Aldwintar miało jedną karczmę i dwa sklepy i choć czasem uznawano tutejsze

blonia za najdłuższe, choć nie największe, w całym Essex, to i tak wioska oferowała niewiele atrakcji, nawet jej mieszkańcom. Poza kuriozum na kościelnej ławie – które w istocie wprawiało kolejnych pastorów w lekkie zakłopotanie – jedynym wartym zobaczenia obiektem w promieniu pięciu mil był widoczny przy ujściu Blackwater w czasie odpływu poczerniały kadłub klipra, który dzieci z wioski przystrajały w każde żniwa w swoistym pogańskim rytuale, z urzędu potępianym przez pastora. Linia kolejowa kończyła się siedem mil na zachód od wioski, rolnicy musieli więc przewozić owies i jęczmień barkami do młynów w St Osyth, a potem na targ do Londynu. Najlepsze, co dało się powiedzieć o Aldwinter, było zapewne to, że wioska, choć ani zamożna, ani piękna, nie była też jakoś szczególnie uboga. Bierność w obliczu zmian i klęsk nie leżała w naturze mieszkańców Essex, więc kiedy tutejszy jęczmień zaczął przegrywać z tańszym zbożem z importu, dwaj rolnicy postanowili uprawiać kminek i kolendrę i złożyli się na wynajem mechanicznej młockarni, co nie tylko w nieprawdopodobnym stopniu zwiększyło wydajność, ale też wprawiło całą wieś w odświeżony nastrój i sprawiło, że dookoła maszyny zebrał się krąg dzieci podziwiających jej ogrom i wydobywające się z jej trzewi dudnienie oraz kłęby dymu.

Will poczuł przypływ złego humoru i powstrzymując chęć wrzucenia listu w ogień, schował go za kartką, którą podarował mu dziś rano jego najmłodszy syn John. Na papierze widniał rysunek ukazujący być może aligatora z doczepionymi skrzydłami lub powiększoną dżdżownicę pożerającą ćmę. Matka chłopca uznała dzieło za najnowszy dowód jego geniuszu, lecz Willa to nie przekonało: przypomniał sobie własne dzieciństwo spędzone na zapełnianiu zeszytów rysunkami silników i urządzeń tak skomplikowanych, że szybko zapominał ich przeznaczenia; i jaki dziś z tego pożytek?

Nie tylko wizja spotkania z zapewne nieszkodliwą wdową burzyła spokój Williama, lecz także kłopot, który od niedawna trapił parafię. Przyjrzał się rysunkowi Johna i tym razem ujrzał na kartce skrzydlatego morskiego smoka zbliżającego się do wioski. Odkąd w Nowy Rok na mokradłach Blackwater znaleziono topielca – nagiego, z głową przekreśloną o prawie sto osiemdziesiąt stopni i wyrazem trwogi w oczach – Wąż z Essex ze straszaka na dzieci zmienił się w obiekt powszechnego lęku. W piątkowe wieczory amatorzy piwa w karczmie Pod Białym Zającem opowiadali, że widzieli bestię, nikt już nie

musiał dwa razy prosić dzieci bawiących się na mokradłach o powrót do domu przed zmrokiem i żadne racjonalne argumenty Willa nie przekonywały mieszkańców, że śmierć mężczyzny to sprawka pijaństwa i wodnego żywiołu.

Pastor postanowił zrobić obchód parafii, co, jak mniemał, powinno wprowadzić go w lepszy nastrój. Odwiedzi niektórych mieszkańców i położy kres plotkom o smoku, gdziekolwiek się pojawiły. Chwycił płaszcz i kapelusz i w tej samej chwili usłyszał szepty pod drzwiami gabinetu (dzieci miały zakaz wchodzenia, co nie znaczyło bynajmniej, że nie próbowały naciskać klamki); zagrzmiał na nie, zagroził dwoma tygodniami o chlebie i wodzie, po czym jak zwykle wymknął się oknem.

Tego dnia Aldwinter udawało, że jest godne swego miana: mróz skuł ziemię, a czarne dęby ścisnęły konarami blade niebo. Will włożył ręce do kieszeni i ruszył w drogę. Dom z czerwonej cegły, który zostawiał za sobą, był nowy, kiedy po raz pierwszy przekroczyli jego próg. Pamiętał, jak Stella szła powoli brukowaną ścieżką i trzymała się za brzemienny brzuch, a Joanna podążała za nią, ciągnąc na smyczy niewidoczne zwierzę (nie ustalono, jakiego było gatunku). Za sprawą wykuszowych okien na obu piętrach odnosiło się wrażenie, że po jednej i drugiej stronie drzwi frontowych wyrastają dwie niezbyt duże wieżyczki; umieszczone nad drzwiami małe okienko z kolorowego szkła każdego popołudnia wpuszczało do domu słońce na mniej więcej godzinę. Ich dom – największy z budynków stojących przy jedynej ulicy, która ciągnęła się przez całą wioskę, wiodąc z Colchester na południe aż do małego doku, gdzie w tej chwili na kotwicy stała jedna jedyna barka – promieniował jakimś jasnym chłodem, zupełnie niepasującym do reszty wioski. Pastor nie uważał, by jego dom miał jakieś szczególne zalety, poza dobrym ociepleniem i ogrodem na tyle dużym, by dało się zgubić w nim dzieci nawet na kilka godzin, lecz i tak wiedział, że jest szczęściarzem: co najmniej jeden z jego kolegów musiał męczyć się w domu, który się zapadał, a ściany jadalni porastał grzyb wielkości dłoni.

Will dotarł do ulicy High Line<sup>[5]</sup>, nazwanej tak zapewne jako wyraz szacunku dla tego, że wznosiła się minimalnie ponad poziom morza, i podążył w lewo przez błonia. Kilka owiec machinalnie przeżuwało trawę pod jedynym dębem, który podobno niegdyś dał schronienie żołnierzom lojalnym wobec zdrajcy Karola I Stuarta. Drzewo było czarne, jakby zwęglone; dolne konary ugięły się

pod własnym ciężarem i schodziły łukiem ku ziemi, a potem znów się wznosiły, tak że wiosną zdawało się, iż sędziwe drzewo otaczają dąbczaki. Na opadających w dół gałęziach latem siadywali zakochani, a w chwili gdy Will mijał drzewo, jakaś kobieta rozpostarła swą czerwoną spódnicę i rzuciła ptakom garść okruszków. Dalej, odgradzony od drogi omszałym murem, wzywał go kościół Wszystkich Świętych ze swą skromną wieżą; pomyślał, że powinien posiedzieć trochę w jego surowych ławach i poczekać, aż jego gniew ostygnie, ktoś jednak mógł czekać w cieniu na błogosławieństwo lub naganę. Od zeszłego roku, kiedy to rzekomo pojawił się Wąż z Essex (którego Will nazywał „Kłopotem”, gdyż nie chciał nadawać imienia zwykłej plotce), miał coraz mniej czasu dla siebie. Panowało powszechne przekonanie – zwykle niewypowiadane głośno, szczególnie w jego obecności – że wszyscy zostali poddani osądowi i że tylko on, pastor, może ich ocalić; on sam nie wiedział jednak, jak miałby ich pocieszyć, a zarazem nie utwierdzić w lęku. Po prostu nie mógł tego zrobić, tak samo jak nie mógł powiedzieć Johnowi, gdy ten budził się w nocy: „Pójdziemy razem o północy i zabijemy potwora, który mieszka pod twoim łóżkiem”. Co zbudowane zostało na kłamstwie, nawet jeśli przyświecały mu najlepsze intencje, nie może się ostać. Na kazania i siedzenie w ławach będzie dość czasu jutro, gdy słońce wstanie w dzień Pański, teraz jednak poczuł tak nieodparte pragnienie, żeby rozejrzeć się po słonych mokradłach i wypełnić swoje jestestwo pustym powietrzem, że prawie biegł.

Minął karczmę Pod Białym Zającem („Mój drogi Mansfieldzie, dobrze wiesz, że duchownemu nie wypada!”) i zadbane małe domy z cyklamenami w oknach („Dziękuję, ma się już dobrze, grypa dała za wygraną, dzięki Bogu...”) aż do miejsca, gdzie High Line schodziła ku nabrzeżu – choć, po prawdzie, słowo to niezbyt pasowało do miniaturowej zatoczki powstałej za sprawą kamiennego wału, który zwykle rozpadał się po roku i każdej wiosny trzeba go było stawiać na nowo, używając jakiego bądź budulca. Henry Banks, który przemierzał ujście rzeki w tę i z powrotem i przewoził Bóg-raczy-wiedzieć-co i Bóg-raczy-wiedzieć-dokąd ukryte pod workami z kukurydzą i jęczmieniem, siedział ze skrzyżowanymi nogami i naprawiał żagle; jego dłonie były sine niczym płótno żaglowe. Zobaczywszy Willa, przywołał go do siebie i powiedział:

– Wciąż ani śladu, wielebny, ani śladu. – I z żalną miną pociągnął z piersiówki.

Minęło już kilka miesięcy, odkąd Banks stracił łódź wiosłową, za którą nie wypłacono mu odszkodowania – ubezpieczyciel uzasadnił odmowę tym, że właściciel nie przycumował łodzi do nabrzeża, zapewne dlatego, że się upił. Banks czuł się głęboko skrzywdzony i opowiadał każdemu, kto zechciał słuchać, że jego łódź skradli w nocy poławiacze ostryg z Mersea i że on sam zawsze był człowiekiem prawdomównym, o czym z pewnością zaświadczyłyby jego Gracie, gdyby wciąż żyła, świeć Panie nad jej duszą.

– Wciąż ani śladu? Przykro mi, Banks – powiedział Will szczerze. – Najtrudniej jest znosić niesprawiedliwość. Obiecuję, że będę miał oczy szeroko otwarte.

Odmówił kapki rumu, wskazując smutnym gestem koloratkę, i ruszył dalej wzdłuż nabrzeża, mając płyciznę po swojej prawicy; daleko przed nim, na łagodnym wzniesieniu, ukazał się szpaler jesionów, które z oddali wyglądały jak szare pióra wetknięte w ziemię. Za jesionami stał ostatni dom w Aldwinter, który – jak daleko sięgał pamięcią – nazywano Końcem Świata. Jego krzywe ściany trzymały się dzięki mchom i porostom, przez lata dostawiano do niego kolejne przybudówki, tak że rozrósł się dwukrotnie i sprawiał wrażenie żywego organizmu karmiącego się twardą ziemią. Teren wokół domu był ogrodzony z trzech stron, z czwartej zaś otwarty na słone mokradło i aż po bladą łąkę błota upstrzony strumykami lśniącoymi w słabym słońcu.

Kiedy Will zbliżał się do Końca Świata, jedyny jego mieszkaniak tak dobrze stapał się ze ścianą domu, że gdy się pojawił – jakby znikąd – wyglądało to na czary. Pan Cracknell zdawał się ulepiony z tej samej materii co jego dom: płaszcz zielony jak mech i równie wilgotny, broda rudawa jak odpadające dachówki. W prawej dłoni trzymał drobne szare ciało kreta, a w lewej złożony nóż.

– Niech się wielebny trochę odsunie, szkoda płaszcz – powiedział i Will go usłuchał, spostrzegłszy tuzin lub więcej kretów rozwieszonych na płocie; obdarto je ze skóry, a futerka zwisały z tylnych łapek zwierząt jak cienie. Blade łapki, jak dziecięce piąstki, wyciągały się ślepo w stronę ziemi. Will przyjrzał się najbliższemu ciału.

– Niezły łup. Po pensie od sztuki?

Choć oczywiście wierzył, że człowiek jest panem stworzenia, Will nigdy nie umiał wyzbyć się sympatii do tych małych gentlemanów w aksamitnych

marynarkach i wolałby, żeby rolnik prowadził swą wojnę za pomocą łagodniejszych środków.

– Po pensie od sztuki, właśnie tak, a do tego człowiek nie marznie. – Rozciągnął zwierzątko i wprawnym ruchem naciął jego nadgarstek i kostkę.

– Od dwudziestu lat mieszkam w Aldwinter, a wciąż dziwią mnie tutejsze zwyczaje – powiedział Will. – Czy nie ma lepszego sposobu, by zniechęcić krety do niszczenia zbiorów, niż straszyć je widokiem zarżniętych współbraci?

Cracknell zrobił grymas niezadowolenia.

– Mam w tym pewien cel, pastorze. Wielebny to wie i widzi, że mam pewien cel! – Mężczyzna, wyraźnie uradowany, wsunął palec wskazujący między ciało kreta a jego skórę, sprawdzając, jak łatwo da się je od siebie oddzielić. – Wiem, że niektórzy mówią, że moje pomysły nie są warte nawet funta kłaków, nie żebym ostatnio oglądał funta, zadowolam się raczej pensami, które od czasu do czasu wpadają mi do kieszeni – zawiesił na chwilę głos i spojrzał na kieszenie Willa, a potem znów na oprawiane zwierzę – a jednak, proszę, oto sługa Boży stoi przede mną i pyta, czy mam jakiś konkretny cel!

– Wyczułem to – powiedział Will ponuro – za sprawą instynktu.

Odrywanie skóry od ciała brzmiało jak darcie papieru. Cracknell uniósł swoje krwawe dzieło i przyjrzał mu się, zadowolony ze swoich umiejętności; wstążeczka pary wzbijała się w zimne powietrze z ciepłego nagiego ciała.

– Och tak, odstraszam je. – Jego jowialny nastrój prysł. W ręce Cracknella pojawił się kawałek drutu, który mężczyzna przewlekł przez nos zwierzęcia, od jednego do drugiego nozdrza, a następnie zrobił potrójną pętlę dokoła sztachety. – Odstraszam je, jako on rzecze! Jednak co ja właściwie odstraszam, może nam nie być dane się dowiedzieć, ani teraz, ani później, kiedy słyhać będzie tylko płacz i lament za naszymi dziećmi, których już nie stanie, a my na zawsze już pozostaniemy nieutuleni w żalu naszym...

Dłoń trzymająca drut drżała, a Will z oburzeniem spostrzegł, że trzęsła się też dolna warga Cracknella. Pierwszym odruchem Willa, wynikającym tyleż z jego wykształcenia, co z instynktu, było zaoferowanie słów wsparcia – natychmiast jednak pojawiła się irytacja. A więc starzec też dał się omamić złudzeniu, któremu uległa cała wioska! Przypomniał sobie, jak jego córka przybiegła do domu cała we łzach, przerażona, że coś skrada się do nich w górę rzeki,

pomyślał też o wrzucanych do puszek na datki karteczkach, na których wierni prosili go, by modlił się o odpuszczenie im grzechów, które sprowadziły na wioskę karę.

– Panie Cracknell – pastor wypowiedział nazwisko starego żwawo, nawet nieco żartobliwie; chciał pokazać, że nie ma się czego bać, z wyjątkiem długiej zimy i nieskorej wiosny – panie Cracknell, może nie jestem materiałem na biskupa, ale wiem, kiedy ktoś przekręca słowa Pisma. Nic szczególnego w tej chwili naszym dzieciom nie zagraża! Gdzie pan ma rozum? Gdzie go pan postradał? – Wychylił się do przodu i ostentacyjnie poklepał kieszenie mężczyzny. – Nie chce mi pan przecież powiedzieć, że porozwieszał te biedne stworzenia, żeby odstraszyć jakiegoś węża morskiego z Blackwater, który jest niczym więcej jak plotką!

Cracknell uśmiechnął się szeroko na słowa pastora.

– Niezwykle to uprzejme, że wspomniał wielebny o moim rozumie, bo ludzie gadają, że nigdy takiej rzeczy nie posiadałem. – Poklepał czule kreta po odsłoniętym grzbiecie. – A jednak mówię, i zawsze mówiłem, że ostrożności nigdy za wiele; i gdyby człowiek czy bestia zechcieli się podkraść od strony Końca Świata, moje małe strachy powinny dać im do myślenia. – Wygiął kciuk i wykonał gest w kierunku tyłu domu, gdzie pracowicie pasły się dwie uwiązane kozy. – Mam za towarzystwo Gog i Magog, które dostarczają też mleka i sera, które pani Ransome raczy lubić, i nie zaryzykuję ich utraty! Nie zostanę sam!

Znów drzenie, jednak tym razem Will poczuł się pewniej; trzy razy w ciągu trzech lat stał z Cracknellem przy grobie: najpierw chował jego żonę, później siostrę, a wreszcie syna.

Chwycił starca za ramiona.

– Nie zostanie pan – zapewnił go. – Ja mam swoją trzódkę, a pan swoją, i dba o nie ten sam Pasterz.

– Może i tak, i dziękuję za dobre słowo, jednak nie będę mimo to robił od jutra tłoku w kościele. Postawiłem sprawę jasno, pastorze: zabierzcie panią Cracknell, a Wszchemogący będzie musiał dawać sobie radę beze mnie, pamięta wielebny moje słowa. Ja będę się ich trzymał i przy przyptywie, i przy odpływie.

Jego oblicze przybrało wyraz, jaki mógłby się malować na twarzy upartego



dziecka; było to o wiele lepsze od groźby, że Cracknell wybuchnie płaczem, Will więc z trudem powstrzymał śmiech i zamiast tego odezwał się z powagą, świadomy wagi umowy starego z Bogiem:

– Postawił pan sprawę jasno, a ja nie mam prawa stawać pomiędzy człowiekiem a jego słowem.

Na słonych mokradłach woda podpełzała pod dom, a zachodzące słońce świeciło zimnym światłem. Za bagnem ciągnącym się za Aldwinter widziało się nie kolejną wioskę na dalekim brzegu Blackwater, lecz otwarty horyzont, tam gdzie rzeka wpadała do Morza Północnego. Will dostrzegł światła łodzi rybackiej zmierzającej do domu i pomyślał o Stelli – na pewno była już zmęczona zajmowaniem się dziećmi – jak rozchyła zasłony, żeby spojrzeć na Dąb Zdrajcy i poszukać wzrokiem powracającego Willa. Tęsknota za nią i za dziećmi, ich głosami pod drzwiami jego gabinetu, obudziła w nim nagłą niechęć do omszałego, zapadającego się w ziemię domu; potem przypomniał sobie, jak Cracknell, stojąc nad otwartym grobem, rzucał grudkę ziemi na małą sosnową trumnę, i postać jeszcze trochę przy bramie.

– Proszę poczekać, wielebny – poprosił Cracknell. – Mam tu coś dla pastora.

Przez chwilę krzątał się z boku domu, by po chwili wyłonić się z parą dorodnych, energicznych, świeżo złapanych królików, i wręczył je Willowi ze słowami:

– Z pozdrowieniami dla pani Ransome; z pewnością musi odzyskać siły po porodach, które to, jak mawiała pani Cracknell, rozrzedzają krew.

Przyjemność obdarowywania rozjaśniła mu twarz, Will więc przyjął prezent z wdzięcznością, niemniej poczuł ucisk w gardle.

– Będzie z nich świetny placek – stwierdził. – Tak się składa, że to ulubione danie Johnny’ego. – Po czym, jak gdyby chciał się jakoś odwdzięczyć, wzorem miejscowych zawiesił króliki przy pasie i dodał: – Panie Cracknell, proszę mi opowiedzieć, co pan widział, bo sam już nie wiem, komu i kiedy mam wierzyć. Ten biedak utonął, ale przecież utonięcia w zimie nie są rzadkością. Podobno znaleziono wybebeszoną owcę, ale lisy też muszą coś jeść, a dziecko, które nie wróciło do domu na noc, odnalazło się rano w komodzie z pościelą, gdzie zajadało się słodyczami matki. Banks przywozi na swej barce dziwne wieści ze St Osyth i z Maldon, ale obaj wiemy, że jest kłamcą, prawda? Szepcze się też w drzwiach i przed karczmą: mówią, że porwano dziecko z łódki na Point Clear,

ale kto by zabierał niemowlę na morze, kiedy dni są tak krótkie i zimne? Proszę mi powiedzieć, że osobiście widział pan coś przerażającego, to może wtedy uwierzę.

Wpatrywał się w oczy starca, który unikał jego spojrzenia i patrzył raczej nad jego ramieniem w stronę horyzontu.

Will znał wagę milczenia, więc nic nie mówił. Po chwili Cracknell westchnął, wzruszył ramionami i ze wzrokiem utkwionym w ostrzu noża powiedział:

– Rzecz nie w tym, co widzę, lecz w tym, co czuję; nie widzę eteru, a czuję, jak wpływa i wypływa, i jestem od niego zależny. Czuję, że coś się zbliża; prędzej czy później ludzie wspomną moje słowa. W przeszłości bestia uderzała, i to się znów wydarzy, nawet jeśli nie za naszego życia albo za życia naszych dzieci, lub dzieci ich dzieci. Ja zamierzam się na to przygotować i jeśli mogę sobie pozwolić na taką śmiałość, radzę wielebnemu to samo.

Will pomyślał o kościele i wyrzeźbionym śladzie po zabobonach i pożałował (nie po raz pierwszy), że nie rozprawił się z tym za pomocą młotka i dłuta już pierwszego ranka po przyjeździe do parafii.

– Zawsze mogłem na pana liczyć, panie Cracknell, i dalej tak będzie; może się pan uważać za strażnika Aldwinter, tutaj, w Końcu Świata, a w razie niebezpieczeństwa proszę zapalić pochodnię w ogrodzie. Nasz Pan będzie miał pana w swej pieczy, czy pan tego chce czy nie! – powiedział Will i po tym lekkim w tonie błogosławieństwie odwrócił się i ruszył do domu.

Wyobrażał sobie, że porusza się nieco szybciej niż zmrok, dzięki czemu dojdzie do frontowych drzwi chwilę przed zapadnięciem ciemności. Krety Cracknella oraz jego widoczny strach dały mu do myślenia; nie wierzył, oczywiście, że jakaś bestia czai się w głębinach Blackwater, niemniej czuł, iż to, że cała parafia uwierzyła w te bezbożne zabobony, było jego porażką. Nie zgadzano się co do wielkości, kształtu i pochodzenia potwora, lecz panował konsensus, że stwór lubi rzekę i atakuje o świcie. Nie było świadków żadnego ataku, lecz w tygodniach, które nastąpiły po końcu lata, niewidoczne stworzenie obarczano winą za każde zabłąkane dziecko i każdą złamaną kończynę. Will słyszał nawet, że mocz potwora zatruł ponoć studnię w Fettlewell, przez co w noc sylwestrową wiele osób zachorowało, a trzy zmarły. Odrzucił delikatną sugestię Stelli, żeby wspomnieć o wszystkim z ambony, zamiast tego wybrał energiczne odrzucenie istnienia Kłopotu, nawet kiedy już zauważył, że

w niedzielę rano nikt z wiernych – jakby się zmówili – nie siadał w ławie z wyrzeźbionym smokiem, jak gdyby samo przebywanie w pobliżu jego wizerunku mogło przyoblec strach w ciało.

Noc deptała mu po piętach, Will szedł więc dalej; odwrócił się tylko raz, by spojrzeć na biały księżyc o niewyraźnym obliczu. Wiatr wzmógł się w trzcinach, które pod wpływem jego podmuchów wydawały żalosne dźwięki. Poczuł pod żebrami ukłucie, jako żywo przypominające strach, i się roześmiał – jakże łatwo odwrócić twarz od czegoś, co jest zaledwie cieniem. Może mądrze byłoby wykorzystać Kłopot, skoro nie da się go zignorować – niewiele rzeczy skuteczniej niż strach zwracało serca ku wieczności. Gdzieś przed nim zamigotały światła Aldwinter; wśród nich czekała na niego rodzina – ich mocne, ciepłe, pachnące mydłem ciała, z jasnym meszkiem na policzkach, który on też miał w dzieciństwie – prawdziwi, bezdyskusyjnie realni ludzie, nawet przez chwilę nietrwający w ciszy lub bezruchu, tak że żaden cień nie mógłby nimi zawładnąć. Will poczuł taki przypyływ radości, że wydał z siebie cichy okrzyk (może było to również ostrzeżenie lub wyzwanie, na wypadek gdyby gdzieś czaił się zły pies spuszczonej z łańcucha?) i ostatnie pół mili dzielące go od domu pokonał biegiem. John czekał, stojąc na jednej nodze na słupku ogrodzenia, ubrany w białą koszulę nocną. Na widok Willa krzyknął:

– „Kłucie w palcach mi powiada, że tu złego coś się skrada!”<sup>[6]</sup> – Zatopił twarz w płaszczu ojca. A kiedy poczuł królicze futro na szyi, powiedział pełnym entuzjazmu głosem: – Naprawdę to zrobiłeś! Przyniosłeś mi zwierzątko!

Cora Seaborne

Gospoda Pod Czerwonym Lwem

Colchester

14 lutego

Mój drogi Skrzacie!

Jak się miewasz? Czy aby nie marzniesz? Odżywasz się dobrze? Jak Twoja rana – zagoiła się? Żałuję, że jej nie widziałam. Czy jest głęboka? Dbaj o swoje skalpele, ale jeszcze bardziej – o siebie. A niech to: ależ mi Ciebie brakuje!

Mamy się dobrze, a Martha przesyła... – och, i tak mi nie uwierzysz, prawda? Francis nie przesyła pozdrowień, ale myślę, że nie miałby nic przeciwko ujrzeniu Cię raz

jeszcze, gdybyś tylko przyjechał; wszyscy sobie tego życzymy. PRZYJEDZIESZ? Jest zimno, ale morskie powietrze rześkie, a Essex wcale nie takie straszne, jak mówią. Wybrałam się do Walton-on-the-Naze i St Osyth i nie znalazłam jeszcze smoka morskiego – ani nawet kawałka liliowca zwanego morską lilią – ale wiesz, że łatwo się nie poddaję. Właściciel tutejszego sklepu z narzędziami ma mnie za kompletną wariatkę i sprzedał mi dwa nowe młotki wraz z zamszowym paskiem, na którym się je wiesz. Martha mówi, że jeszcze nie wyglądałam dziwniej lub brzydziej, ale jak wiesz, zawsze uważałam urodę za przekleństwo i z prawdziwą radością całkowicie się jej pozbędę. Czasem zapominam, że jestem kobietą – a przynajmniej zapominam MYŚLEĆ O SOBIE JAK O KOBIECIE. Wszelkie obowiązki i przywileje kobiecości zdają się mnie teraz nie dotyczyć. Nie wiem, jak powinnam się zachowywać, a gdybym wiedziała, to tym bardziej nie wiem, czy tak bym się zachowywała.

A skoro mowa o tych, co znają się na etykietach: nigdy nie ZGADNIESZ, kto rozpoznał nas na High Street, gdy szukałyśmy cywilizowanego miejsca, w którym można przeczekać deszcz! Charles Ambrose, który w swym aksamitnym płaszczu wyglądał jak papuga pośród gołębi! Stanowczo twierdzi, że powinnam mieć w Essex przyjaciela, abym nie połamala nóg w tutejszym błocie lub żeby nie przytrafiło mi się coś gorszego (opowiadał, że w Blackwater grasuje potwór, ale o wszystkim opowiem Ci przy najbliższym spotkaniu). Grozi, że pozna mnie z jakimś wiejskim wikarym, i choć trochę mnie kusi, żeby się zgodzić, głównie dla przyjemności zaszokowania jakiegoś biedaka, to tak naprawdę wolałabym jednak święty spokój. NIE PRZYJEDZIESZ, MÓJ DROGI? Brakuje mi Ciebie. Nie lubię obywać się bez Ciebie. Nie widzę ku temu powodu.

Ściskam,  
CORA

Doktor Luke Garrett  
Pentonville Road  
N 1 Londyn

15 lutego

CORO,

dłoń lepiej, dziękuję. Infekcja przyniosła pożytek – przetestowałam nowe szalki Petriego i wyhodowałam kultury bakterii. Pomyślałem, że spodobałyby Ci się. Były błękitno-zielone.

Przyjeżdżam ze Spencerem prawdopodobnie w przyszłym tygodniu. Do zobaczenia wtedy. Jeśli możesz, wstrzymaj deszcz.

LUKE

PS Formalnie rzecz biorąc, to była walentynka. Nie zaprzeczaj.

Cora szła w drobnym deszczu; znajdowała się pięć mil na południe od Colchester. Wyruszyła bez określonego celu i nie zastanawiała się, jak wróci do domu. Chciała tylko wyrwać się z zimnego pokoju w Czerwonym Lwie, gdzie Francis rozciął poduszkę, żeby wyjąć i policzyć pierze. Ani ona, ani Martha nie potrafiła mu wyjaśnić, dlaczego nie powinien był tego robić („Możesz przecież za nią zapłacić i wtedy będzie moja...”), zamiast więc słuchać monotonnego odliczania syna – „sto siedemdziesiąt trzy”, gdy zamykała drzwi za sobą – zebrała płaszcz paskiem i zbiegła na dół. Martha usłyszała, jak woła: „Wróć przed zmrokiem – mam pieniądze – ktoś mnie odwiezie”, i z westchnieniem wróciła do chłopca.

Cora w pół godziny zostawiła Colchester za sobą; szła na wschód i niemal udało jej się przekonać samą siebie, że zdoła dotrzeć do ujścia Blackwater, zanim poczuje zmęczenie. Ominęła jakąś wieś – nie chciała, by ktoś ją widział lub z nią rozmawiał, z tego powodu najchętniej wybierała zarośnięte ścieżki biegnące wzdłuż granicy pól i dąbrów. Ruchu prawie nie było i nikt nie spoglądał w kierunku samotnej kobiety idącej skrajem lasu. Gdy zaczęło padać, weszła głębiej pomiędzy drzewa i zwróciła twarz w stronę nijakiego nieba: jednolicie szarego, bez przesuwających się po nim chmur czy nagłych prześwitów błękitu, bez żadnego śladu słońca – jak czysta kartka papieru, na tle której nagie gałęzie zdawały się czarne. Nie należało oczekiwać, że taka aura będzie źródłem radości, jednakże Cora wokół siebie widziała tylko piękno: brzozy rozwijały paski kory jak białe sukno, pod stopami ścieliły się liście, gładkie i śliskie, wszędzie zadomowił się jasny mech – gęste płaty zielonego futra otulały drzewa przy korzeniach, a delikatne mufki owinęły się wokół połamanych gałęzi leżących na ścieżce. Dwa razy potknęła się o krzaki jeżyn, ozdobione kłębkami białej wełny i drobnymi piórkami o szarych końcówkach, i przekląła, lecz bez prawdziwej złości.

Uderzyło ją, że wszystko pod tym szarym niebem utkane było z tej samej materii – nie w pełni zwierzęcej, ale też nie pochodzącej wprost z ziemi: tam

gdzie gałęzie oderwały się od pni, zostały jasne rany, i nie zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła, jak pniaki po ściętych dębach i wiązach pulsują życiem. Śmiejąc się, wyobraziła sobie, że jest częścią tego wszystkiego. Oparła się o pień drzewa i przysłuchiwała śpiewającemu w pobliżu drozdowi. Uniosła rękę i zastanowiła się, czy nie ujrzy intensywnie zielonych porostów między palcami.

Czy to wszystko było tu zawsze? Ta cudowna czarna ziemia, w której zapadała się po kostki, ten grzyb w kolorze koralu, zdobiący falbaną gałęzie u jej stóp? Czy ptaki zawsze śpiewały? Czy krople deszczu zawsze muskały ją tak delikatnie, że mogłaby w nim zamieszkać? Przypuszczała, że tak właśnie zawsze było, i to wszystko działo się blisko, tuż obok niej. Przypuszczała, że musiała już kiedyś śmiać się w samotności do mokrej kory drzewa albo wykrzykiwać echu swój zachwyt na widok rozwijającej się paproci; nie mogła sobie jednak takich chwil przypomnieć.

Minione tygodnie nie zawsze były przepełnione szczęściem. Czasem dopadał ją żal i wówczas, gdy musiała na nowo uczyć się oddychać, czuła, jak pod żebrami otwiera się otchłań. To uczucie odbierało jej energię, jak gdyby dzieliła jakiś ważny organ ze zmarłym, a teraz ta część jej ciała, nieużywana po jego śmierci, stopniowo ulegała atrofii. W tych chwilach, gdy ogarniało ją zimno, nie przypominała sobie owych lat niepokoju, kiedy to ani razu nie udało jej się odgadnąć nastroju męża ani zgłębić metod, którymi się posługiwał, by ją ranić, lecz tylko pierwsze miesiące małżeństwa, które okazały się zarazem końcem jej młodości. Ach, jak ona go kochała! – nikt nie potrafiłby kochać bardziej. Była zbyt młoda, by się bronić, jak dziecko, które upija się jednym łykiem trunku. Obraz Michaela był niczym nadrukowany na jej oczach, jak gdyby zbyt długo patrzyła w słońce i po opuszczeniu powiek wciąż widziała punkcik światła w ciemności. Michael był tak pośepny, że gdy jej beztroska sprawiała, że się uśmiechał, czuła się jak cesarzowa na czele armii; był tak poważny i zdystansowany, że dzień, w którym w końcu ją objął, stał się jej zwycięstwem. Nie wiedziała wtedy, że były to jedynie sztuczki najzwyczajniejszego oszusta, który oddaje potyczkę, by zmylić przeciwnika, a następnie – rozgromić go. W kolejnych latach strach przed nim tak bardzo przypominał miłość – towarzyszyło mu szybkie bicie serca, nieprzespane noce, wyczulenie na odgłos kroków na schodach – że i on ją odurzył. Nie dotykał jej żaden inny mężczyzna,

dlatego nie dostrzegała niczego dziwnego w relacji, w której otrzymywała zarazem ból i przyjemność. Żaden inny mężczyzna jej nie kochał, nie potrafiła więc ocenić, czy nagłe wycofanie jego afektu było naturalne jak rytm pływów morza – i równie nieprzejednane. Gdy przyszło jej do głowy, że powinna się z nim rozwieść, było już za późno: na tym etapie Francis ledwo znosił przesunięcie pory obiadu i wszelkie zmiany niosły ryzyko dla jego zdrowia. Poza tym obecność chłopca – mimo jego męczących rytuałów i nieprzeniknionych nastrojów – po raz pierwszy w życiu wywoływała u niej uczucie, któremu nie towarzyszył zamęt: Francis był jej synem, a ona wiedziała, co do niej należy; kochała go i czasem podejrzewała, że i on ją kochał.

Wiatr ustał, dąbrowa ucichła. Cora znów miała dwadzieścia lat, jej synek właśnie przyszedł na świat, z krzykiem i z zaciśniętymi piąstkami. Chcieli go jej zabrać i owinąć w białe płótno; krzyknęła na nich i nie pozwoliła. Noworodek po omacku przemieścił się z brzucha na piersi i zaczął ssać tak mocno, iż zaimponowało to położnej, która powiedziała, że to dobry i mądry chłopiec. To musiało ciągnąć się przez wiele godzin; jego oczy skupione na niej w ciemniejącym błękitcie wieczoru: *Mam sprzymierzeńca* – pomyślała. *Nigdy mnie nie zostawi.* Mijały dni, a ona czuła się pęknięta na pół, lecz nigdy nie pożałowała tej rany; za sprawą synka jej serce już zawsze pozostało otwarte na wiatr i zmiany pogody. Wielbiła chłopca na wiele sposobów: zachwycała się jego cudowną stópką o skórze delikatnej jak jedwabna poszewka poduszki, spędzała godziny, głaszcząc ją opuszką palca i patrząc, jak dziecko rozchyła paluszki z rozkoszy – i że umie odczuwać przyjemność! I że potrafi ją dawać! Jego lekko zaciśnięta dłoń była muszlą ogrzaną przez słońce – trzymała ją w ustach – nie przestawało jej zadziwiać, że te małe dłonie, te stopy, mieściły w sobie bezmiar. Jednak po zaledwie kilku tygodniach wszystko się skończyło, a oczy malca (tak czasem myślała) zaszły mgłą. Gdy go karmiła, zdawało się, że sprawia mu ból lub wywołuje gniew, którego nie umiał opanować; gdy brała go na rękę, bronił się, wymachiwał rączkami, kaleczył sobie powiekę ostrym paznokciem kciuka. Dni wzajemnego uwielbienia wydawały się odległe, nierealne – oszołomiona tym drugim już odrzuceniem miłości, przestała ją ze wstydu okazywać. Jej porażka bawiła Michaela, który uważał, że czerpanie radości z towarzystwa własnych dzieci jest wulgarne i że lepiej będzie powierzyć chłopca opiece nian i guwernantek. Mijały lata, ona poznała jego,



a on ją. Choć z ich relacji zniknęło to bez troskie ciepło, jakie łączyło inne matki z synami, to jednak ten układ działał – i był ich własny.

Szła dalej i choć zimny deszcz i czarna ziemia powinny zepsuć jej humor, nie potrafiła poczuć właściwego wdowom żalu. Z jej gardła wydobyło się coś brzmiącego jak bulgotanie i eksplodowało kaskadami bezwstydnego śmiechu, który sprowokował zaskoczone nim ptaki do odpowiedzi. Oczywiście wstydziła się tego wybuchu, lecz przyzwyczała się już do życia w stanie nieustannego zhańbienia i była pewna, że udawało się jej ukrywać swe coraz większe uczucie szczęścia przed wszystkimi – oprócz Marthy, rzecz jasna. Na myśl o przyjaciółce (która na pewno siedziała w tej chwili z nietęgą miną w kawiarni, by uciec przed najnowszymi obsesjami Frankiego, lub zabawiała się oczarowywaniem właściciela Czerwonego Lwa) jej śmiech ucichł, a Cora lekko uniosła ramiona i wyobraziła sobie Marthę zmierzającą ku niej pod mokrymi od deszczu drzewami. W nocy leżały, stykając się plecami pod cienką kołdrą, z nogami podciągniętymi wysoko, by chronić się przed chłodem, czasem odwracały się do siebie, by wymamrotać fragmenty dawnych plotek albo powiedzieć „dobranoc”, czasami jedna budziła się wtulona w ramię drugiej. Prostota tej relacji pozwoliła Corze przetrwać, gdy wszystko inne zawiodło, i jeśli Martha się bała, że teraz, gdy Cora ma się lepiej, nie będzie już jej potrzebna, myliła się.

Zmęczona ośmiomilowym marszem Cora dotarła na szczyt niewielkiego wzniesienia, na którym drzewa rosły wyraźnie rzadziej niż niżej. Mżawka ustała i oczyściła powietrze, słońce nie chowało się już za zasłoną niskich, szarych chmur i świat rozbłysnął kolorami. Zeszłoroczne liście paproci mieniły się czerwienią, a ponad nimi płonęły na żółto młode kwiaty janowca. Małe zabłąkane stadko owiec z zadami oznaczonymi czerwonym tuszem przerwało na chwilę przeżuwanie, rozejrzało się i nie znajdując nic godnego uwagi, wróciło do swoich zajęć. Cora stała na jasnej gliniastej ścieżce, a nieco dalej w dół stoku leżało zwalone drzewo porośnięte grubą warstwą bujnego mchu. Zmiana scenerii przypominała wspinaczkę górską: brakowało jej tchu i musiała się zatrzymać, żeby zaczerpnąć powietrza i uspokoić tętno. Ciszę przerwał dziwny odgłos – coś jak płacz dziecka, na tyle dużego, że powinno już wiedzieć, iż płacz jest niestosowny. Nie mogła wyłapać słów, tylko dziwne odgłosy, jakby krztuszenia się i zawodzenia, które cichły, by po chwili znowu

rozbrzmieć. Następnie dołączył drugi głos, należący do mężczyzny – melodyjny, cierpliwy, głęboki – również bez słów, choć (wysłuchała się uważniej) nie do końca: „już... już... już...”. Po przerwie – podczas której jej serce zabiło mocniej – głos mężczyzny powrócił, tym razem wyższy, bardziej przenikliwy; nie mogła odgadnąć słów, lecz zdawało się jej, że pośród chaotycznych napomnień słyszała powtarzaną frazę: „A niech cię! A niech cię!”. Potem dał się słyszeć odgłos uderzenia czegoś twardego w coś miękkiego i jeszcze jeden zduszony ryk zwierzęcia.

Cora uniosła płaszcz, za długi i ciężki od błota, i ruszyła za dźwiękiem. Gliniasta ścieżka prowadziła przez łagodne wzniesienie, a potem opadała i ciągnęła się między dwoma rzędami bladozielonego żywopłotu, którego czarne poskręcane torebki nasienne zagrzecgotały, gdy przechodziła obok. Trochę niżej rozpościerał się akr rdzawoczerwonych paproci, pośród których kilka owiec węszyło przy ziemi. Po lewej, pod nagim dębem, rozlewało się płytkie jezioro. Woda była gęsta od błota i podziurawiona przez kropelki deszczu; ani śladu trzciny czy ptaków buszujących na brzegu. Jezioro wyglądało całkiem nijako; monotonię przerywał tylko widok mężczyzny – na bliższym Cory brzegu – który się nachylał i mocował z jakimś bladym kształtem. Stworzenie poruszało się nerwowo i właśnie wydało kolejny słaby odgłos rozpacz. Coś w tym dźwięku uderzyło ją i wzbudziło odrazę, a w błagalnych ruchach nieszczęsnego zwierzęcia ujrzała coś znajomego, gdy więc przyśpieszyła kroku i wreszcie zaczęła biec, okrzyk, który miał być nieznoszącym sprzeciwu: „Niech pan przestanie! Natychmiast!”, okazał się jedynie nieartykułowanym krzykiem.

Mężczyzna może ją usłyszał, a może nie, w każdym razie ani nie uniosł głowy, ani nie przerwał tego, co robił. Jął przemawiać niskim melodyjnym szeptem, który słyszała wcześniej, jednak teraz oburzyło ją, że człowiek ten zachowuje się tak łagodnie, a wyrządza przy tym tyle krzywdy. Kiedy się zbliżyła, zobaczyła jego stopy, mocno tkwiące w błotnistej wodzie, i plecy w ubłoconym zimowym płaszczu. Nawet z daleka widziała, że mężczyzna jest obdarty i niechlujny: wszystko na nim było brudne, począwszy od mokrych ubrań z grubego materiału, aż po wilgotne loki opadające na kołnierz. Jeśli w dawnych opowieściach było ziarno prawdy i człowiek naprawdę powstał z garści prochu, to stał przed nią Adam we własnej osobie: cały z błota, nie

w pełni ukształtowany, bez rozwiniętego daru mowy.

– Co pan robi? Proszę przestać!

W odpowiedzi mężczyzna się odwrócił, a ona zobaczyła, że był nieco więcej niż średniego wzrostu i masywny. Plamy błota na twarzy dawały złudzenie, że nosi brodę, a pośród całego tego brudu świdrowała ją para oczu. Mógł mieć sześćdziesiąt lat, lecz równie dobrze – dwadzieścia. Rękawy podwinął do łokci, tak że widziała jego mocno umięśnione przedramiona. Najwyraźniej uznał, że kobieta ani mu nie pomoże, ani nie przeszkodzi, wzruszył więc ramionami i wrócił do przerwanej pracy. Nic nie mogło rozwścieczyć Cory bardziej niż to, że została zignorowana: krzyknęła z irytacji i przebiegła kilka jardów dzielących ją od celu. Już przy krawędzi wody zobaczyła, że owo blade stworzenie szarpiące się w uchwycie mężczyzny to tylko bezmyślna owca uwięziona na płyciźnie; poczuła ulgę – wyobrażała sobie różne dramatyczne sytuacje, ale na pewno nie to.

Na widok nowo przybyłej owca przewróciła głupimi oczami i zabeczała. Zad zwierzęcia był ubłocony po pas, a chaotyczne wierzganie tylnymi nogami sprawiło, że pograżyło się jeszcze bardziej. Mężczyzna prawym ramieniem przytrzymał przednią lewą nogę owcy i jej zad, jednocześnie lewą ręką usiłował chwycić ją z boku i wciągnąć na twarde brzeg, ale jego stopy nie znajdowały punktów zaczepienia na śliskim gruncie. Te manewry przeraziły zwierzę, które chwilę wcześniej na moment zamknęło oczy, jakby pogodzone ze swoim losem; naraz zabeczało i znów spróbowało się wyrwać. Wierzgnęło przednią lewą nogą i racicą ugodziło mężczyznę w policzek. Ten zawył z bólu, a Cora zauważyła, jak pod maską z błota otwiera się rana.

Widok krwi wyrwał ją z otępienia. zaproponowała, że pomoże; zduszone chrząknięcie oznaczało, że mężczyzna się zgodził.

*Ten człowiek to przygłup!* – pomyślała, planując już, w jaki sposób opowiedzieć tę historię, żeby spodobała się jej przyjaciółom. Owca znów znieruchomiała i wydała długie westchnienie, które unosiło się w powietrzu, i pozwoliła mężczyźnie złapać obiema rękoma swój zad. Spleceni w uścisku, oboje pograżyli się w błocie. Mężczyzna spojrzawszy za siebie z wściekłością i powiedział:

– No, to teraz pora pomóc!

Jednak nie był przygłupem, choć przeciągał samogłoski jak wszyscy

w Essex. Cora sięgnęła po swój pasek, szeroki, typowo męski. Długo mocowała się z klamrą zeszywniałymi palcami, tymczasem owca, ciężko dysząc, zapadała się coraz głębiej. Wreszcie udało się jej ją odpiąć; skoczyła naprzód, przełożyła pętlę pod brzuchem owcy i zaczepiła pasek we wgłębieniu za jej przednimi nogami, formując coś w rodzaju uzdy. Mężczyzna puścił zwierzę i chwycił pasek, który trzymała Cora, owca zaś, poczuwszy, że mężczyzna już jej nie trzyma, wpadła w panikę i szarpnęła się tak mocno, że Cora upadła w błoto. Mężczyzna nie przejął się tym, wymamrotał tylko: – Do góry! Wstajemy! – i pokazał jej, że powinna teraz przejąć pasek, a sam chwycił tylną część zwierzęcia. Przez długą chwilę ich połączone siły walczyły z wsysającym owcę błotem i Cora czuła, jak kości ramion niemal wyskakują jej ze stawów, aż nagle tylne nogi owcy wychynęły na powierzchnię i zwierzę wygramoliło się na brzeg. Cora i mężczyzna odsunęli się do tyłu; ona odwróciła głowę, żeby nie pokazać, jak bardzo jest zadyszana. Nie przeszkadzałyby jej błoto i ból w nadgarstkach, gdyby tylko mężczyzna nie był takim durniem, a owca tak bezrozumnym stworzeniem. Stojące niedaleko inne owce przypatrywały się im znudzone, nie okazując choćby cienia radości z powrotu swej zagubionej towarzyszki. Cora pomyślała, że powinna ją rozpierać duma, a jednak przyjemność z przeżywania tego dnia gdzieś się ulotniła i nawet liście paproci straciły intensywne barwy.

Kiedy odwróciła głowę, okazało się, że mężczyzna przygląda się jej, przyciskając rękaw do rany na policzku. Miał teraz na głowie włóczkową czapkę – tak źle wykonaną, że niewykluczone, iż sam ją pozszywał z czerwonych ścinków – naciągniętą nisko, aż do brwi oblepionych błotem tak bardzo, że niemal zasłaniały mu oczy.

– Dziękuję – powiedział nieco opryskliwie; wymawiał samogłoski płasko, jak typowy wieśniak.

*A więc rolnik* – pomyślała Cora i zignorowała jego mrukliwe podziękowanie. Następnie, wyciągając rękę w stronę wyczerpanej owcy, zapytała:

– Nic jej nie będzie?

Zwierzę łapczywie łapało powietrze i przewracało oczami.

Wzruszył ramionami i odparł:

– Tak mi się zdaje.

– Jedna z pańskich?

– O nie! Nie moja trzódka. – Najwyraźniej ta myśl obudziła w nim pokłady niezbyt błyskotliwego humoru, bo zaczął chichotać.

A więc to włóczęga, biedaczysko! Cora z natury myślała o ludziach dobrze, dopóki nie dali jej istotnego powodu, by zmienić zdanie. Poza tym już niedługo będzie w domu, gdzie czekają na nią Martha i czyste, białe prześcieradła, a on być może będzie musiał umościć sobie posłanie w paprociach, za jedyne towarzystwo mając niemal utopione zwierzę. Uśmiechnęła się i postanowiła wprowadzić do rozmowy dobre londyńskie maniere.

– Cóż. Na mnie już czas. Miło było pana poznać. – Wskazała dłonią ociekające wodą dęby i staw, w którym woda po ich walce wciąż się burzyła, i powiedziała uprzejmie: – Essex. Piękny zakątek.

– Czyżby? – Głos mężczyzny był stłumiony, gdyż ten wciąż przyciskał rękaw do policzka, na którym Cora zauważyła krew zmieszana z brudną wodą. Chciała go zapytać, czy da sobie radę, czy bezpiecznie wróci do domu, czy mogłaby coś dla niego zrobić, gdy naraz uświadomiła sobie, że to on jest u siebie, a nie ona. Zrozumiała, gdy zobaczyła wydłużające się cienie, że z nich dwojga to ona jest zagubiona, kilka mil od swojego łóżka, i na dodatek nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Spróbowała uratować wrażenie, że ma przewagę, i zapytała:

– Proszę mi powiedzieć, czy daleko stąd do Colchester? Gdzie mogę znaleźć dorożkę?

Mężczyźnie zabrakło błyskotliwości, żeby udąć zaskoczenie. Wskazał skinieniem głowy drugi brzeg stawu; podążyła tam wzrokiem i ujrzała przerwę w szpalerze dębów oraz rozciągającą się za nią otwartą przestrzeń.

– Do drogi, cały czas w lewo, pięćset jardów. Tam jest karczma, sprowadzą pani dorożkę.

Następnie, jak gdyby odprowadził kogoś niższego stanu, odwrócił się i począł przez błoto. Ramiona skulił dla ochrony przed zimnem tak mocno, że w ciemnym, brudnym płaszczu wyglądał jak garbus. Cora, która zawsze wyżej ceniła dobry humor niż złość, nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. Mężczyzna być może ją usłyszał, gdyż zatrzymał się i zaczął do niej odwracać, ale zmienił zdanie i poszedł w swoją stronę.

Cora ciaśniej otuliła się płaszczem i usłyszała, jak ptaki zbierają się na

wieczorne śpiewy. Uratowana owca przeczołgała się jard lub dwa bliżej suchego brzegu, uniosła się trochę, tak że teraz klęczała z głową przy gruncie i trącała go pyskiem, szukając źdźbła trawy. Zmierzchało, ze zmarzniętej ziemi wstała gęsta biała mgła i rozlała się wokół butów Cory. Za ostatnimi dębami trawa wchodziła częściowo na drogę; w pobliżu stała karczma, której rozświetlone okna zapraszały podróżnych. Widok światła i myśl, że wciąż tyle mil dzieli ją od domu, a ona nie zna drogi, sprowadziły na nią zmęczenie tak nagłe, że prawie ścięło ją z nóg. Kiedy doszła do drzwi i zobaczyła opartą o kontuar kobietę, która uśmiechała się spod jasnych loków, zatrzymała się, żeby poprawić strój. Wyglądając płaszcz, znalazła w kłamrze paska drzazgę z białego drewna, a na niej – błyszczącą w świetle lampy, jak gdyby była świeża – plamkę krwi.

Joanna Ransome, prawie trzynastoletnia, dorównująca wzrostem ojcu i owinięta w jego najnowszy płaszcz, wyciągnęła dłoń nad płomieniami. Zbliżyła jej wnętrze do ognia tak blisko, jak tylko mogła, po czym odsunęła ją na tyle wolno, by nie stracić twarzy. Jej brat John patrzył z powagą i chętnie schowałby dłonie w kieszeniach, lecz kazano mu trzymać je na wierzchu dopóty, dopóki będzie w stanie znieść chłód.

– Składamy ofiarę – powiedziała dziewczyna i poprowadziła go w kierunku skrawka ziemi za Końcem Świata, gdzie bagna przechodziły w ujście Blackwater; dalej było już morze. – A żeby złożyć ofiarę, musimy cierpieć.

Wcześniej tego dnia wyjaśniła mu – wyszeptwała w zimnych zakamarkach – że coś gnije we wsi Aldwinter. Po pierwsze, znaleziono topielca (podobno nagiego, z pięcioma głębokimi zadrapaniami na udzie!), do tego ta choroba w Fettlewell, a wreszcie to, że ludzie śnili o mokrych czarnych skrzydłach. I jeszcze coś: noce powinny już być jaśniejsze, w ogrodzie powinny już kwitnąć przebiśniegi, a ich matka nie powinna już budzić się w nocy z powodu kaszlu. Nad ranem powinny śpiewać ptaki. Nie powinni już drzeć z zimna w łózkach. A wszystko przez to, co zrobili i zapomnieli odpokutować, albo przez to, że trzęsienie ziemi zbudziło coś w Blackwater, albo przez to, że ojciec ich okłamał („Powiedział, że się nie boi i że w rzece nic nie ma – dlaczego jednak już nie chodzi nad morze po zmroku? Dlaczego nie pozwala nam bawić się na łodziach? Dlaczego jest taki zmęczony?”). Jakakolwiek była przyczyna i ktokolwiek zawinił, zamierzali coś z tym zrobić. Dawno temu w innych krainach wyrywano serca ludziom i zwierzętom, żeby wstało słońce, a ona chce tylko, żeby razem spróbowali małego zaklęcia dla dobra wioski – to chyba nie kłopot?

– Wszystko dokładnie zaplanowałam – powiedziała. – Ufasz mi, prawda?

Stali między ozebrowaniem klipra, który morze wyrzuciło na brzeg przed dekadą i fala już nie zabrała go z powrotem. Surowa aura sprawiła, że ze statku zostało zaledwie kilkanaście łukowatych, poczerniałych żeber, które tak bardzo

przypominały otwartą klatkę piersiową utopionej morskiej bestii, że ludzie nazwali wrak Lewiatanem. Spoczywał na tyle blisko wsi, żeby dzieci mogły do niego chodzić bez pytania o zgodę, a zarazem na tyle daleko, żeby dorośli nie widzieli, co ich pociechy tam robią. One zaś latem wieszały na jego szkielecie ubrania, a zimą rozpalały pod jego osłoną ogniska, i zawsze się bały, że zajmie się ogniem – a gdy tak się nie działo, nie kryły rozczarowania. W drewnie Lewiatana wycinano scyzorykami wyznania miłości i wulgaryzmy, na szczytach jego żeber lądowały drobne monety, których nikt już nie wyda. Swe małe ognisko Joanna rozpałała w pewnej odległości od wraku, pośrodku kręgu z kamieni; ogień pięknie rozgorzał. Oplotła ognisko morszczykiem, który dawał czysty zapach, i wgniotła w piach siedem swoich najlepszych muszelek.

– Jestem głodny. – John spojrział na siostrę i natychmiast pożałował braku silnej woli. Jeszcze przed nadejściem lata skończył siedem lat i czuł, że już czas, by jego odwaga dorównywała wiekowi. – Ale wcale mi to nie przeszkadza – dodał i obszedł ognisko dwa razy.

– Musimy znieść głód, bo dzisiejsza noc to noc głodnego księżyca, prawda, Jo? – Naomi Banks kuciała odwrócona plecami do ogniska i wyczekująco patrzyła na przyjaciółkę. W jej oczach córka wielebnego Ransome'a posiadała władzę królowej i mądrość Boga, a Naomi z radością weszłaby boso w ogień, gdyby Joanna kazała jej to zrobić.

– Właśnie. Głodny księżyc, i ostatnia pełnia przed wiosną.

Świadoma, że powinno to zabrzmieć zarazem surowo i dobrodusznie, Joanna wyobraziła sobie ojca na ambonie i spróbowała naśladować jego pozę. Z braku ambony uniosła ramiona i zaintonowała głosem, który doskonaliła od kilku tygodni:

– Zebraliśmy się tutaj w noc Głodnego Księżyca, aby błagać Persefonę, by wyrwała się z niewoli Hadesa i sprowadziła wiosnę na naszą umiłowaną ziemię. – Niepewna, czy wybrała właściwy ton i czy przypadkiem nie sprzeniewierza się naukom ojca, zerknęła na Naomi. Policzki przyjaciółki spłonęły rumieńcem, a oczy pojaśniały; przycisnęła dłoń do szyi, a Joanna, zachęcona, mówiła dalej: – Zbyt długo znosiliśmy zimowy wiatr! Zbyt długo ciemna noc skrywała niebezpieczeństwa drzemiące w rzece!

John, którego odwaga ustępowała w obliczu lęku przed bestią, prawdopodobnie kryjącą się w wodzie nie dalej niż sto jardów od nich,



zapiszczał. Jego siostra zrobiła niezadowoloną minę i trochę podniosła głos.

– Bogini Persefono, wysłuchaj nas! – Skinęła głową na pozostałych, którzy zgodnie powtórzyli:

– Bogini Persefono, wysłuchaj nas!

Zanieśli prośby wielu bóstwom, klękając nisko, gdy wymawiali imię każdego z nich; Naomi, której matka była Żydówką, przeżegnała się gorliwie.

– A teraz – powiedziała Joanna – musimy złożyć ofiarę.

Na te słowa John, przypomniawszy sobie historię Abrahama, który przywiązał syna do ołtarza i wyjął nóż, znów zapiszczał i dwa razy biegiem okrążył ognisko.

– Wracaj, głupku – upomniała go Joanna. – Nikt ci tu nie zrobi krzywdy.

– Wąż z Essex może – zauważyła Naomi i udała, że atakuje chłopca pazurami, co spotkało się z tak krytycznym spojrzeniem Joanny, że dziewczyna zarumieniła się i wzięła Johna za rękę.

– Składamy w ofierze nasz głód – powiedziała Joanna, którą skompromitowało burczenie w brzuchu (śniadaniem, które schowała w serwetkę, nakarmiła później psa, a od obiadu wymówiła się bólem głowy). – Składamy w ofierze zimno.

Ciałem Naomi wstrząsnął teatralny dreszcz.

– Składamy w ofierze oparzenia – ciągnęła Joanna. – Składamy w ofierze nasze imiona.

Joanna przerwała, bo na chwilę zapomniała swojego scenariusza. Potem włożyła dłoń do kieszeni i wyjęła trzy karteczki. Wcześniej zanurzyła rogi każdej z nich w kropielnicy w kościele, a na wypadek gdyby nakrył ją ojciec, przygotowała kilka wymówek. Wilgotne rogi pomarszczyły się po wyschnięciu i kiedy podawała kartki swoim współcelebransom, wyraźnie trzeszczały.

– Musimy powierzyć siebie zaklęciom – kontynuowała poważnym tonem – oddać im część siebie. Musimy napisać swoje imiona, a zapisując je, przysiąc, że bóstwu, które nas wysłucha, oddamy część siebie, z nadzieją, że zima opuści wioskę.

Rozważyła słowa, które właśnie wypowiedziała, i zadowolona, wpadła na kolejny pomysł. Schyliła się po złamaną gałązkę, włożyła ją do ognia i pozwoliła jej się przez chwilę palić, potem zdmuchnęła płomień i posłużyła się

jej zwęglonym końcem, żeby napisać swoje imię na kartce. Gałązka jeszcze się tliła, papier zajął się więc od ognia i zwinął, a boginie potrzebowałyby nadprzyrodzonego wzroku, żeby z tak dużej odległości odcyfrować coś więcej niż inicjały, efekt jednak okazał się satysfakcjonujący. Podała gałązkę Naomi, która nakreśliła na papierze wielkie N, po czym postanowiła pomóc Johnowi przy jego podpisie. Chłopiec szczyił się swoim charakterem pisma, walczył więc i odpychał się łokciami, bo chciał poradzić sobie sam.

– A teraz – powiedziała Joanna, zbierając kartki i drąc je na kawałki – podejdź ze mną do ogniska. Masz zimne dłonie? Czy są pełne zimy?

*Pełne zimy* – pomyślała. *Co za słowa!* Może kiedy dorośnie, zostanie wikarym, tak jak jej ojciec. John spojrział na koniuszki swoich palców i zaczął się zastanawiać, czy zaraz ujrzy na nich pierwsze czarne zwiastuny odmrożenia.

– Nic nie czuję.

– Zaraz poczujesz – zapewniła Naomi z uśmiechem. Miała rude włosy i takiż płaszcz; John nigdy jej nie lubił. – Na pewno coś poczujesz.

Pomogła mu wstać i dołączyli do Joanny. Któryś z nich stanęło na wstędze morskiny – wystrzeliła z głośnym „pop”. Nieco dalej zaczynał się odpływ.

– A teraz – Joanna zwróciła się do Johna – musisz być dzielny, bo to zaboli.

Wrzuciła skrawki papieru do ogniska i dosypała soli ze srebrnej solniczki matki. Buchnęły błękitne płomienie. Joanna wyciągnęła ręce do ognia i władczo skinęła głową, dając pozostałym do zrozumienia, że mają pójść w jej ślady, po czym zamknęła oczy i wyciągnęła ręce nad płomienie, z dłońmi obróconymi wnętrzem do dołu. Wilgotne polano strzeliło iskrami, które osmałiły rękaw ojcowskiego płaszcza; dziewczyna wzdrygnęła się i podniosła białe dłonie brata w górę o cal lub wyżej, żeby je ochronić.

– Nie musimy ranić się mocno – rzuciła pośpiesznie. – Trzeba tylko ogrzać dłonie, żeby piekły jak po wejściu do domu w zimie.

Naomi, przygryzając kosmyk włosów, powiedziała:

– Patrzcie, widać moje żyły.

Rzeczywiście, jej palce u nasady były połączone ze sobą czymś w rodzaju błony. Defekt ten napawał ją dumą, gdyż słyszała, że Anna Boleyn<sup>[Z]</sup> też miała podobnie zrosnięte palce, a mimo to przecież została żoną króla. Ogień rozświetlał skórę Naomi czerwonym blaskiem, który wydobył jedną lub dwie

niebieskie żyły. Joanna była pod wrażeniem tego widoku, starała się jednak zachować przewagę:

– Nomi, zebraliśmy się tutaj – powiedziała – żeby umartwiać nasze ciała, a nie przechwalać się nimi.

Użyła zdrobnienia z dzieciństwa, by pokazać przyjaciółce, że bynajmniej nie popadła w niełaszkę, na co Naomi wygięła palce i z bardzo poważną miną oznajmiła:

– Och, to naprawdę boli, mówię ci. Parzy jak pokrzywy.

Dziewczynki popatrzyły na Johna, którego dłonie drgały w rytm przyplływów i odpływów odwagi. Coś się z nimi działo, gdyż palce chłopca intensywnie się zaczerwieniły, a nawet – jak wydało się Joannie – jakby spuchły na czubkach. I albo snujący się nisko dym podrażnił mu oczy, albo też John próbował powstrzymać łzy. Rozdarta między przekonaniem, że bogowie spojrzą łaskawym okiem na ofiarę tak małego chłopca, a równie mocną pewnością, że matka będzie miała uzasadnione powody do złości, Joanna szturchnęła brata i powiedziała:

– Wyżej, głuptasie, wyżej. Chcesz, żeby zamiast palców zostały ci kikuty?

Na te słowa długo powstrzymywane łzy przerwały tamę i dokładnie w tej chwili (a przynajmniej Joanna tak to później opowiadała, skulona pod szkolną ławką, z potakującą Naomi obok i zafascynowanymi słuchaczami u stóp) księżyc w pełni wychynął zza wiszącej nisko błękitnej chmury. Upstrzony kamykami piasek wokół nich nabrał niezdrowych barw, a morze – podkradające się w ich stronę przez słone mokradła, kiedy stali odwróceny – lśniło.

– Widzicie, to znak! – oznajmiła Joanna i cofnęła dłonie znad ognia, po czym, na widok uniesionych brwi Naomi, szybko opuściła je nad płomienie. – Omen! To bogini... – gwałtownie szukała w pamięci imienia – ...bogini Fojbe przybywa wysłuchać naszych prośb!

John i Naomi odwrócili się w stronę księżyca i długo przyglądali się jego smutnemu obliczu. Każde z nich ujrzało w wysoko zawieszonym cętkowanym dysku melancholijne oczy i wykrzywione usta kobiety pogrążonej w smutku.

– Myślicie, że zadziało? – Naomi nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej przyjaciółka mogłaby pomylić się w kwestii tak ważnej jak zaklinanie wiosny, poza tym poczuła przecież ból w dłoniach i pościła, odkąd wczoraj wieczorem

zjadła chleb i ser, i czyż nie widziała także, jak jej imię na ochrzczonej karteczce leci w górę w deszczu iskier? Szczelniej zapięła płaszcz i rozejrzała się po słonym bagnie i morzu. Prawie spodziewała się zobaczyć przedwczesny wschód słońca, a wraz z nim stado jerzyków.

– Och Nomi, nie wiem. – Joanna machinalnie wkręcała stopę w piasek, bo poczuła się nieco zawstydzona swoim przedstawieniem. To wymachiwanie rękami i śpiew! Naprawdę była już na to za duża. – Mnie nie pytaj – dodała i zamknęła drogę dalszym pytaniom. – Przecież nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Gryzło ją sumienie, ukucnęła więc obok brata i powiedziała szorstko:

– Byłeś bardzo dzielny. Nawet jeśli ofiara nic nie da, to i tak nie twoja wina.

– Chcę do domu. Spóźnimy się i będą kłopoty, i nie będzie już kolacji, a dziś moja ulubiona.

– Nie spóźnimy się – odparła Joanna. – Powiedzieliśmy, że będziemy w domu przed zmrokiem, a przecież jeszcze nie jest ciemno.

A jednak prawie się ściemniło i wydało się jej, że ciemność nadciąga właśnie znad morza za ujściem rzeki, które przybrało wygląd ciemnego, stałego ciała, po którym można by stąpać. Całe życie spędziła tutaj, na rubieży świata, i nigdy nie pomyślała, że mogłaby nie ufać jego bezustannie zmieniającej się formie: podchodzenie słonej wody na mokradła i zmiany kształtu błotnistych brzegów i strumieni, prądy w ujściu, które sprawdzała prawie codziennie w almanachu ojca – to wszystko zdawało się tak oczywiste i niekłopotliwe jak rytm życia jej rodziny. Zanim jeszcze potrafiła rozpoznać je na papierze, siadała na ramionach ojca i z dumą pokazywała i nazywała miejsca: Foulness i Point Clear, St Osyth i Mersea, oraz wskazywała kierunek, w którym leży St Peter's-on-the-Wall. Ulubioną rodzinną sztuczką było okręcić ją kilkanaście razy i powtarzać: „Zawsze zatrzyma się z twarzą zwróconą na wschód, ku ujściu rzeki”.

A jednak coś się zmieniło w trakcie odprawiania rytuału: Joanna poczuła nieodpartą chęć spojrzenia za siebie, jak gdyby chciała przyłapać fale na zmianie kierunku lub zobaczyć, jak morze się rozstępuje, tak jak kiedyś przed Mojżeszem. Oczywiście słyszała plotki, że w głębinach wód w ujściu rzeki coś żyje, coś, co odpowiada za zniknięcie owcy i połamane kończyny, lecz specjalnie się tym nie przejęła; dzieciństwo wypełniało tyle przerażających historii, że nie uważała za słuszne, by w jedno wierzyć bardziej niż w inne.

Chciała jeszcze raz spojrzeć w smutną bladą twarz księżycowej damy, popatrzyła więc w górę, lecz dostrzegła tylko kłębowisko gęstych chmur zbierających się nad mokradłami. Wiatr ucichł, jak to często bywało o zmroku, a na drodze przed nimi, nieco wyżej, ziemia twardniała już od mrozu. John poczuł ukłucie niepokoju i nie pamiętając, że jest już duży, wziął Joannę za rękę; nawet Naomi, której nigdy nie widziano przestraszonej, nerwowo ssła kosmyk włosów i przybliżyła się do przyjaciółki. Kiedy tak wracali w ciszy, mijając dogasające ognisko i Lewiatana, który przed nocą mocniej trzymał się brzegu, co chwila spoglądali za siebie na czarne wody, coraz mocniej podmywające błota.

– W noc wesoło wyszły dzieci – zaśpiewała Naomi, nie zdoławszy jednak ukryć drżenia głosu – księżyc jasno jak w dzień świeci...

Dużo później – i to tylko wzięte na spytki, gdyż wszystko tej nocy zdawało im się częścią rytuału, którego się wstydzili – każde z nich przyznało, że widziało, jak w jednym miejscu woda dziwnie gęstnieje i się unosi, dokładnie tam, gdzie kończyły się słone mokradła i brzeg rzeki stromo schodził w dół. Ciszy nie przerywały żadne dźwięki i nie pojawiło się nic, co wystraszyłoby ich w sposób dodający otuchy, jak długa kończyzna czy groźnie łypiące oko; tylko ruch, zbyt szybki i nieokreślony jak na zwyczajne poruszenie fali. John twierdził, że zobaczył coś białawego, lecz Joanna uważała, że to tylko księżyc wychynął na chwilę i rozjaśnił powierzchnię wody swoim spojrzeniem. Naomi, która przemówiła pierwsza, okrasiała swą opowieść tyloma skrzydłami i straszliwymi pyskami, iż uznano, że nie widziała nic, i jej wersja została odrzucona.

– Kiedy dojdziemy, Jojo? – John pociągnął siostrę za rękę. Był spięty, bo nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy mamę i zasiądzie do kolacji, która na pewno już stygła na stole.

– Już prawie jesteśmy. Patrz, widzisz dym z kominów i żagle?

Dotarli do ścieżki – dzwoniąc zębami z powodu nagłego zimna i niepokoju – i lampy oliwne ustawione w oknach w Końcu Świata wydały im się urokliwe jak choinka. Widzieli Cracknella, który robił wieczorny obchód i zamykał Gog i Magog w zagrodach; przystanął, by życzyć im dobrej nocy.

– W noc wesoło wyszły dzieci... – zaśpiewał Cracknell, usłyszawszy, że nadchodzą, i dla wzmocnienia efektu uderzał do rytmu w sztachety w bramie. –

I choć widzę, że księżyc pokazuje całą twarz, nie będzie jasno jak w dzień, bo jego blask jest pożyczony, i to na procent, więc z każdym miesiącem traci na wartości, co tłumaczy jego bladość. No nie?

Zadowolony ze swojego rozumowania uśmiechnął się szeroko, a potem przywołał dzieci bliżej, i jeszcze bliżej, tak że poczuły zapach wilgotnej ziemi na jego płaszczu i zobaczyły obdarte ze skóry krety powieszzone za tylne łapki.

– Ten tu marzy o powrocie do domu, co? – Cracknell wskazał Johna, który od dawna się z nim przyjaźnił i nigdy nie przepuścił okazji, by dosiąść Gog lub Magog i przejechać się po obejściu, a potem jeść miód prosto z plastra.

John widział już w myślach, jak rodzina oddaje jego kolację psom, wykrzywił więc twarz i może dlatego starzec zrobił w odpowiedzi to samo i złapał chłopca za ucho.

– Słuchajcie wszyscy: nie tylko dzieci wyszły wesoło w noc w te dni, które, myślę sobie, mogą być ostatnimi, i ja na pewno nie będę narzekał, jeśli tak będzie; „zaiste, przyjdź niebawem, Panie Jezu”, jak mógłbym rzec, tyle że nie po drodze mi z taką gadką... „wyjdź i baw się razem z nami”, jak mówi piosenka. Choć dziwnego sobie znaleźliście kompana do zabawy w czarnych wodach Blackwater. Nie myślcie sobie, że nie wiem i że sam nie widziałem go raz czy dwa, kiedy księżyc jasno świecił...

Ścisnął ucho Johna trochę za mocno i chłopiec zapiszczał. Cracknell spojrzął na swoją dłoń z zaskoczeniem, jak gdyby działała bez jego wiedzy, i puścił Johna, który otarł twarz i się rozpłakał.

– No już, dobrze. I o co tyle hałasu? – Cracknell obmacał kieszenie, lecz nie znalazł niczego, co mogłoby pocieszyć chłopca, który potrzebował mamy i ciepłego posiłku. – Ja mówię spokojnie, zawsze spokojnie, zawsze mam taki zamiar i nie chciałbym, żebyście musieli się mierzyć z tym kłapaniem i podkradaniem się, i obserwowaniem; ani wy, ani nikt z naszych.

John nadal płakał, a Joanna bała się, że za chwilę i starzec się rozpłacze ze wstydu i, jak podejrzewała, ze strachu. Wyciągnęła dłoń nad obwieszonym kretami płotem i dwa razy poklepała Cracknella po rękawie lepkiego płaszcza; zaczęła rozpaczliwie szukać jakichś podnoszących na duchu słów, gdy nagle starzec zastygł, wyrzucił ramię w powietrze i ryknął:

– Stać! Kto idzie?!

Dzieci podskoczyły ze strachu, John wtulił twarz w brzuch siostry, Naomi odwróciła się szybko i zabrakło jej tchu. Ciemne, pokracczne stworzenie zmierzało ścieżką w ich kierunku. Kroczyło powoli i wydawało niskie, gardłowe dźwięki. Nie pełzało, lecz stało na tylnych łapach; wyglądało prawie jak mężczyzna, wyciągnęło ramiona – może w geście ostrzeżenia, lecz dźwięk, który z siebie wydobyło, przypominał śmiech. Z pewnością był to mężczyzna – istotnie, było w jego nieśpiesznym kroku coś znajomego – zbliżył się do kręgu światła rzucanego przez lampy Cracknella, przystanął i wtedy Joanna zobaczyła jego długi płaszcz z odpadającymi zeń kawałkami błota oraz ciężkie buty. Twarz przybysza zasłaniały nisko naciągnięta czapka oraz ciężki szal – wszystko ubłocone, z tym że mokre błoto wydawało się czarne, a wyschnięte było bledsze; tylko niektóre miejsca na czapce były wolne od błota i tam przebijały się plamki czerwonej wełny.

– Nie poznajecie mnie? Czy jestem aż takim widowiskiem? – Mężczyzna znów wyciągnął ramiona, zdjął wełnianą czapkę i w świetle lampy zaśniły skłębione, nieuczestane loki, w tym samym rdzawoczerwonym kolorze co warkocz Joanny.

– Tato! Gdzie się podziewałeś? Co robiłeś, co ci się stało w policzek?

– John, chłopcze, nie poznajesz własnego ojca?

Z jednym dzieckiem uwieszonym na każdym ramieniu wielebny William Ransome wyciągnął dłoń, żeby poklepać Naomi przyjaźnie po barku, i lekko skłonił głowę przed Cracknellem, który powiedział:

– Zawsze miło pastora widzieć, radzę dzieciaki zabrać do domu i już je tam zatrzymać. Życzę wszystkim dobrej nocy.

Kłaniając się obecnym – a najgłębiej Johnowi – starzec wycofał się do Końca Świata i zatrzasnął drzwi.

– A cóż wy robicie tak późno na dworze, jeśli mogę zapytać? – odezwał się Will. – Będziemy musieli wytłumaczyć się matce, a co ja powiem pani ojcu, panno Banks?

Wytarosił jej policzek i popchnął ją w stronę szarego kamiennego domu nad przystanią. Dziewczynka obejrzała się na przyjaciół, po czym szybko weszła do domu, a oni usłyszeli szcęk zasuw.

– Tak... ale tatusiu, gdzie byłeś? Co sobie zrobiłeś w twarz? Czy trzeba to

będzie zszyć? – Joanna zasypała ojca gradem pytań. (Ostatnie zostało wypowiedziane z dużym entuzjazmem, gdyż dziewczyna skrycie marzyła o karierze chirurga).

– Nieważne. Dlaczego John płacze, przecież to duży chłopak! – Will mocniej przytulił chłopca, który przełknął ostatnie łzy. – Jeśli o mnie chodzi, to ratowałem owce i straszyłem damy, i muszę powiedzieć – właśnie dotarli do ścieżki w ogrodzie, przy której krawędzi lśniły w ciemności przebiśniegi – że dawno już tak dobrze się nie bawiłem. Stello! Wróciliśmy i jesteś nam potrzebna!

Stella Ransome

Plebania kościoła Wszystkich Świętych

Aldwinter

11 marca

Droga Pani Seaborne,

piszę z nadzieją, że notki ode mnie nie odbierze Pani jak listu od osoby obcej, gdyż Charles Ambrose zapewnia mnie, że oczekuje Pani wiadomości od rodziny Ransome'ów z Aldwinter w Essex – i proszę, oto jesteśmy!

Najpierw jednak mój mąż i ja chcielibyśmy złożyć najszczerze kondolencje z powodu pani straty. Rzadko miewamy wieści z Londynu, a jednak nazwisko pana Seaborne'a dotarło do nas za pośrednictwem Charlesa, a czasem nawet natrafialiśmy na nie w „Timesie”! Wiemy, że cieszył się wielką estymą, a zapewne też wielką miłością. Polecaliśmy panią w modlitwach, a szczególnie ja, jako że chyba najlepiej potrafię sobie wyobrazić ból żony po stracie męża.

A teraz przejdę do sprawy, w której piszę. Charles i Katherine Ambrose'owie będą u nas w przyszłą sobotę na kolacji i bylibyśmy nad wyraz szczęśliwi, gdyby zaszczyciła nas Pani swoim towarzystwem. Jak rozumiem, towarzyszą Pani syn oraz przyjaciółka, o której Charles ciepło się wypowiada, więc ich także poznalibyśmy z ogromną przyjemnością. Nie ma specjalnej okazji do spotkania, z wyjątkiem pragnienia zobaczenia starych przyjaciół i poznania nowych.

Nasz adres znajdzie Pani w nagłówku listu, a dojazd z Colchester jest łatwy. Obawiam się, że kolej tu nie dochodzi, ale podróż dorożką jest niekłopotliwa i całkiem przyjemna. Oczywiście musi się Pani u nas zatrzymać – miejsca jest dość, a nieprzyjemnie by było wracać do domu tak późno. Czekam na odpowiedź i już się zastanawiam, jakie wyrafinowane dania mogłabym zaproponować damie z Londynu!



Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

STELLA RANSOME

PS Jak Pani widzi, nie mogłam się oprzeć załączeniu pierwiosnka, choć tak niecierpliwie wsuwałam go do koperty, że poplamił strony. Nigdy nie nauczyłam się nie śpieszyć! – S.

MARZEC

Doktor Luke Garrett dokonał inspekcji pokoju w hotelu George w Colchester z przyjemnością zmieszaną z urazą – jasne było dlań, że Spencer nie oszczędzał. Palec doktora prześlizgnął się po wszystkich powierzchniach i pozostał nieskazitelnie czysty.

– Mógłbym tu wykonać appendektomię – powiedział Luke tonem, który sugerował, że życzy przechodniom choroby, co jego przyjaciel bezbłędnie wychwytał. Po dokonaniu inspekcji czystości w pokoju Garrett rozpiął mosiężne klamry walizki i wyjął z niej dwie pogniecione koszule, kilka książek z pozaginanymi stronami i stertę papierów. Papiery położył na toalecie, gdzie leżała też biała koperta z jego nazwiskiem nakreślonym pewną ręką.

– Oczekuje nas? – Spencer wskazał kopertę wzrokiem. Bez trudu rozpoznał pismo Cory, gdyż jego przyjaciel pokazywał mu ostatnio wszystkie jej listy, żeby razem odczytali zawarte w nich podteksty.

– Oczekuje? Oczekuje! Sam z siebie bym tu nie przyjechał, mam o wiele za dużo pracy. Nie chcę być wulgarny, Spencer, ale ona błagała: „Brakuje mi Ciebie, mój drogi”; tak napisała. – Uśmiechnął się drapieźnie i błysnął czarnymi oczami. – „Brakuje mi Ciebie, mój drogi”! – powtórzył.

– Zobaczmy się z nią dziś wieczorem? – zapytał Spencer od niechcienia. Miał własne powody, by się niecierpliwić, ale skoro dotąd z powodzeniem ukrywał je nawet przed badawczym wzrokiem Garretta, nie chciał i teraz z niczym się zdradzać. Zbyt zaabsorbowany kolejną lekturą listu (i powtarzaniem pod nosem słowa „drogi!”, dwa razy) przyjaciel niczego nie zauważył i odpowiedział jedynie:

– Tak. Są Pod Czerwonym Lwem, mamy się z nimi spotkać o ósmej, punktualnie o ósmej, jeśli dobrze znam Corę, a myślę, że znam.

– Pójdę więc na spacer. Dzień jest zbyt piękny, żeby siedzieć w pokoju, a poza tym chcę obejrzeć zamek. Podobno wciąż można zobaczyć ruiny po trzęsieniu ziemi. Idziesz ze mną?

– Nie ma mowy. Nienawidzę spacerów. Poza tym mam tutaj artykuł szkockiego chirurga, który przekonuje, że można leczyć paraliż poprzez nacisk na kręgosłup. Wiesz, często sobie myślę, że lepiej bym się urządził w Edynburgu niż w Londynie: tamtejsi lekarze mają tyle odwagi, a fatalny klimat bardzo mi odpowiada...

Garrett nie myślał już w ogóle o Spencerze i o zamku, usiadł po turecku na łóżku i rozłożył przed sobą kilkanaście stron pokrytych drobnym drukiem przerywanym czasem rysunkami kręgosłupa. Spencer, któremu wizja samotnie spędzonego popołudnia przyniosła ulgę, zapiął płaszcz i wyszedł.

Hotel George był elegancką białą gospodą z widokiem na szeroką High Street. Właściciele twierdzili otwarcie, że prowadzą najlepszy hotel w mieście, i demonstrowali to za pomocą ciasno porozwieszanych koszy z żonkilami i pierwiosnkami, które rozpychały się w niezbyt elegancki sposób. Dzień był pogodny, jak gdyby niebo pożałowało, że tak wolno żegna się z zimą; wysoko wiszące chmury pośpieszyły w ważnych sprawach do innego miasta. Na wprost lśniła wieża kościoła Świętego Mikołaja, a wokół rozbrzmiewał śpiew ptaków. Spencer, który ledwie potrafił odróżnić wróbla od sroki, poczuł się oszołomiony i zachwycony, nie tylko ptasimi trelami, ale też atmosferą wesołości, jaką emanowało miasto ze swymi wiszącymi nad chodnikiem markizami w jasne pasy i płatkami kwiatów śliwy zdobiącymi rękaw jego płaszcza. Natrafił na zrujnowany dom, na którego progu siedział inwalida, i to też wydało mu się czarującym widokiem: wewnątrz domu oddało pole bluszczowi i młodym dębom, a kaleka zdjął płaszcz i pławił się w promieniach słońca jak kot.

Spencer tak bardzo wstydził się swojej zamożności, że bywał niedorzecznie wręcz hojny. Pragnąc podzielić się radością, której zaznał tego dnia, opróżnił kieszenie do odwróconego kapelusza mężczyzny. Ciężkie monety odkształciły byle jaki filc; mężczyzna podniósł kapelusz na wysokość oczu, jakby podejrzewał, że to tylko żart, lecz po chwili, widocznie zadowolony, odsłonił rząd mocnych zębów w uśmiechu.

– Zdaje się, że mogę sobie zrobić fajrant – powiedział.

Sięgnął za kamienną ławę, wyciągnął niski drewniany wózek na metalowych kółkach, podciągnął się na niego wprawnym ruchem, włożył parę skórzanych rękawic dla ochrony dłoni i odepchnął się w stronę chodnika. Spencer zauważył, że wózek był świetnie wykonany i ozdobiony celtyckimi wzorami

żłobionymi w drewnie; z pewnością powalony w bitwie celtycki wojownik byłby z takiego pojazdu zadowolony. Tak więc litość, jaką odczuwał na widok inwalidztwa mężczyzny, teraz wydała mu się afrontem.

– Chciałby pan obejrzeć? – Ruchem podbródka mężczyzna wskazał ruiny za sobą, sprawiając zarazem wrażenie, że to on zarządza tymi pokruszonymi ścianami. – Straszne trzęsienie ziemi i zagrożenie dla życia i zdrowia, gdyby ktoś mnie pytał, tylko nikt nigdy tego nie robi; procesują się, kto ma pokryć kosztą wyburzenia, a tymczasem w jadalni zagnieździły się sowy płomykówki.

Lawirując między kawałkami połamanego marmuru z fragmentami łacińskich inskrypcji porośniętych mchem, mężczyzna poprowadził Spencera na próg domu. Duża część frontowej ściany odpadła i odsłoniła widok na pokoje oraz klatkę schodową. Zostało tylko to, czego nie dało się osiągnąć lub wynieść: dolne piętra ogołocoło ze wszystkiego z wyjątkiem ogromnych dywanów, na których rozsiadły się fiołki i rosły tak gęsto, że utworzyły coś na kształt materaca skrywającego drobne błękitne kwiaty. Na wyższych piętrach ocalały obrazy i bibeloty, coś srebrnego lśniło na parapecie, a kryształowy żyrandol u szczytu schodów wyglądał, jakby właśnie wyczyszczono go przed wieczornym bankietem.

– Jest na co popatrzeć, prawda? Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy, i tak dalej w ten deseń.

– Powinien pan sprzedawać bilety – powiedział Spencer z nadzieją, że wypatrzy sowę płomykówkę. – Na pewno każdy przechodzień ma ochotę się tu rozejrzeć.

– Tak, panie Spencer, ale nie każdy ma ku temu sposobność.

Ten głos nie należał do mężczyzny, brakowało w nim miękkich samogłosek dialektu z Essex, poza tym nie dobiegał z dołu. Należał do kobiety, i to pochodzącej z Londynu. Spencer rozpoznałby go wszędzie, a kiedy odwracał się od ruiny w stronę, skąd się rozległ, poczuł, że się rumieni, lecz nic nie mógł na to poradzić.

– Martho, ty tutaj.

– Widzę, że ty też. I poznałeś już mojego starego przyjaciela.

Martha nachyliła się z uśmiechem i ujęła dłoń inwalidy. Ten potrząsnął jej ręką oraz pełnym kapeluszem.

– Zdaje się, że jest w nim dość, by starczyło na nogę lub dwie – powiedział, po czym pożegnał się z nimi gestem i odjechał do domu.

– Nie ma tu żadnej płomykówki. On mówi to tylko ku uciesze turystów.

– No cóż, mnie to z pewnością ucieszyło.

– Ciebie wszystko cieszy, Spencerze!

Martha miała na sobie niebieski żakiet, a na ramieniu skórzaną torbę, z której wystawało kilka pawich piór. W lewej dłoni trzymała biały magazyn, na którego okładce Spencer przeczytał tytuł, wydrukowany wyrafinowaną czarną czcionką: *Przegląd zagadnień społecznych i przemysłowych dla angielskich dam sporządzony*.

– Na pewno cieszy mnie spotkanie z tobą – odparł, siląc się na galanterię. Martha była jednak ostatnią kobietą, która nabrałaby się na taki wybieg. Uniosła brwi, zrolowała pismo i uderzyła go nim w ramię.

– Dość tych wygłupów, przyjdź zobaczyć się z Corą. Bardzo się ucieszy. Zakładam, że Skrzat jest z tobą?

– Właśnie czyta o paraliżu i jak mu zaradzić, ale później do nas dołączy.

– To dobrze, bo chcę o czymś z tobą pomówić – potrząsnęła magazynem – a trudno o powagę, gdy ten człowiek jest w tym samym pokoju. Jak podróż?

– Jakiś chłopiec płakał całą drogę od Liverpool Street do Chelmsford. Przestał dopiero, kiedy Garrett powiedział mu, że straci całą wodę z organizmu, wyschnie i umrze, nim dojedziemy do Manningtree.

Martha prychnęła.

– Nie pojmuję, jak ty i Cora możecie znosić jego towarzystwo. Czy to twój hotel? – Przyjrzała się uważnie bladej fasadzie hotelu George i wiszącym koszom z kwiatami. – My zatrzymaliśmy się Pod Czerwonym Lwem, kawałek dalej. Nie sądziłam, że zostaniemy tak długo, ale Francis polubił gospodarza, ostatnio więc życie toczy się spokojnie. Jego najnowszą fascynacją są pióra; można by pomyśleć, że próbuje zмайstrować sobie skrzydła, choć ten chłopiec doprawdy ma niewiele z anioła.

– A jak się miewa Cora?

– Nigdy nie widziałam jej szczęśliwszej, choć czasami przypomina sobie, że powinna być smutna; wkłada wtedy czarną suknię, siada w oknie i wygląda jak ucieleśnienie wyobrażenia artysty o kobiecie w żałobie.

Minęli kwiaciarkę, która właśnie zamykała stragan na noc i sprzedawała naręcza żonkili po pensie. Spencer wyłuskał z kieszeni ostatnie dwie monety i uwolnił kobietę od ciężaru. Ściskając tuzin bukietów żółtych kwiatów, powiedział:

– Zanieśmy Corze wiosnę. Zapełnimy jej pokoje kwiatami i zapomni, że kiedykolwiek była smutna.

Zerknął na swoją towarzyszkę, żeby się upewnić, czy nie popełnił nietaktu. Może lepiej zachować konwenanse: Cora jest przyzwoitą wdową w przyzwoitej żałobie.

Martha jednak uśmiechnęła się tylko i odrzekła:

– Będzie ci za to bardzo wdzięczna. Od miesiąca chodziła na poszukiwania wiosny i wracała do domu ubłocona i w złym humorze; aż tu pewnego dnia wiosna przyszła nagle, w samo południe, jak gdyby ktoś ją wezwał.

– A czy Essex podzieliło się z nią skamieniałościami? Czytałem w gazetach, że po zimowej burzy na wybrzeżu Norfolk odkryto szczątki jakiegoś nieznanego gatunku; czasem zdaje mi się, że nieświadomie stąpamy po trupach, a cała Ziemia jest wielkim cmentarzem.

Spencer, który rzadko dawał głośno wyraz swoim fantazjom, zaczerwienił się lekko i przygotował na jeden z ataków Marthy, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Mówi, że jakiś kamień ropuszy lub dwa, nic więcej. Liczy jednak na Węża z Essex. Patrz, jesteśmy na miejscu.

Stali przed wykończoną drewnem gospodą, na której wisiał stalowy szyld z namalowanym czerwonym lwem stojącym na tylnych łapach.

– Wąż z Essex? – zapytał Spencer, patrząc pod nogi, jak gdyby spodziewał się zobaczyć żmiję na chodniku.

– Tylko o tym ostatnio mówi. Nie napisała o nim do Skrzata? Jest taka legenda, powtarzana przez wiejskich głupków, że w ujściu rzeki mieszka skrzydlaty smok i zagraża okolicznym wioskom. Wmówiła sobie, że to jakiś dinozaur, który przeżył zagładę; słyszałeś kiedyś coś podobnego?

Doszli do drzwi gospody i przez grube szkło ujrzeni buzujący w kominku ogień. W powietrzu unosił się intensywny zapach rozlanego piwa i pieczeni przygotowywanej gdzieś w kuchni.

– Czego można oczekiwać po biednych, niepiśmiennych wieśniakach? –

Pogarda mieszkanki Londynu nie znała granic: obejmowała wieżę kościoła Świętego Mikołaja, błahość trzęsienia ziemi, Czerwonego Lwa i wszystko, co się w nim znajdowało. – Cora ma jednak na tym punkcie obsesję, mówi, że wąż może być żywą skamieniałością, na pewno wymieni ich nazwy, ja ich nigdy nie pamiętam, i uparła się, żeby go odnaleźć.

– Garrett mówi, że nie zazna spokoju, dopóki jej imię nie zagości na ścianie Muzeum Brytyjskiego – powiedział Spencer. – Ja też wierzę, że to może się pewnego dnia zdarzyć.

Na dźwięk nazwiska doktora Martha prychnęła i pchnęła drzwi.

– Wejdz do nas na górę, zobaczysz się z Francisem; na pewno cię pamięta i nie będzie miał nic przeciwko odwiedzinom.

Luke, który zjawił się spóźniony, gdyż próbował ulepić model ludzkiego kręgosłupa z papier mâché, zastał przyjaciół usadowionych na wytartym dywanie, w ubraniach upstrzonych piórami. Martha siedziała przy oknie, kartkowała magazyn i patrzyła, jak Francis w ciszy wplata pióra mew i kruków w materiał płaszcza Spencera, przez co ten nabrał wyglądu anioła zdruzgotanego swoim upadkiem. Cora wyszła z tej zabawy względnie bez szwanku, z pawim piórem sterczącym z pleców sukni i z zawartością poduszki na ramionach. Nikt nie zauważył wejścia Skrzata, ten więc zawrócił i wszedł jeszcze raz, tym razem robiąc dużo hałasu.

– Co tu się dzieje? Trafiłem do domu wariatów? A gdzie wobec tego moje skrzydła? Czy mam może pozostać przykuty do ziemi? Coro, mam dla ciebie książki. Spencer, muszę się napić; masz coś na płaszczu.

Cora zerwała się na nogi z okrzykiem radości i ucałowała przybysza w oba policzki, trzymając go na odległość wyciągniętych ramion.

– Przyszedeś! Czyżbyś urósł? Pół cala co naj... nie, to było okrutne, ale wiedz, że się spóźniłeś. Frankie, przywitaj się (Francis, jak widzisz, ma nowe hobby, a my wykazujemy się dużą cierpliwością). Pamiętasz Luke'a?

Chłopiec nie podniósł głowy, ale wyczuł zmianę atmosfery, na którą nie wyraził zgody, zaczął więc w milczeniu zbierać pióra (pojedynczo) z dywanu i liczyć je wstecz.

– Trzysta siedemdziesiąt sześć... trzysta siedemdziesiąt pięć... trzysta



siedemdziesiąt cztery...

– No to koniec zabawy – powiedziała Cora z żalem. – Ale przynajmniej Francis będzie cicho, dopóki nie doliczy do jednego...

– Wyglądasz okropnie – zauważył Luke, choć chciałby dotknąć po kolei każdego z nowych piegów na jej czole. – Czy na tym odludziu przestałaś się czesać? Masz brudne ręce. I co ty na siebie włożyłaś?

– Wyzwoliłam się spod przymusu bycia piękną – odpowiedziała Cora. – I nigdy nie byłam szczęśliwsza. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spojrzalam w lustro...

– Wczoraj – przysła jej z pomocą Martha. – Podziwiałaś swój nos. Dobry wieczór, doktorze Garrett.

Powitanie to zostało wypowiedziane z tak przejmującym chłodem, że Luke aż zadrżał i może spróbowałby się odgryźć, gdyby właśnie w tej chwili nie wszedł gospodarz. W podziwu godny sposób udał, że nie widzi pokoju zasypanego piórami oraz niestrudzenie liczącego je chłopca, i postawił na kredensie tacę z naczyniami wypełnionymi piwem. Następnie dodał do tego talerz serów i zimnej wołowiny poprzerastanej żółtymi pasemkami tłuszczu, bochenek białego plecionego chleba, osełkę masła posypanego solą, a na koniec – ciasto z wiśniami pachnące brandy. Niemożliwością było pozostać w złym humorze w obliczu tej uczyty, Luke uśmiechnął się więc do Marthy najśłodziej, jak potrafił i rzucił jej zielone jabłko.

Spencer usiadł obok Marthy przy oknie, tak by widzieć przechodniów na mokrym czarnym chodniku w dole, wziął jej magazyn i odezwał się:

– Chciałaś mi coś o tym powiedzieć... Mogę zobaczyć... co czytasz?

Przejrzał ulotkę pełną zdumiewających danych na temat przeludnienia Londynu i katastrofalnych skutków, jakie niosło ze sobą wyburzanie slumsów.

Martha spojrzała na niego ciepło, co należało przypisać działaniu wina. W istocie Spencer budził w niej instynktowną odrazę, którą musiała powstrzymać siłą woli. Oczywiście widziała, że jest uprzejmy i łagodny, żaden inny ich gość nie czynił tylu wysiłków, by zaprzyjaźnić się z Francisem (te szybkie pojedynki szachowe kończące się przegraną Spencera!), podziwiała też jego wysiłki zapanowania nad Skrzatem. Ponadto – co najważniejsze – okazywał Corze przyjaźń i nigdy nie próbował przekroczyć dozwolonych

granic. Nawet jej szczątkowa wiedza o nim (posiadał majątek znacznie wykraczający poza czyjekolwiek potrzeby; mógł sobie pozwolić na luksus studiowania medycyny jako hobby, podczas gdy kobiety musiały się zadowolić przynoszeniem basenów i pichceniem bulionów) sprawiała, że stawiała go w szeregu tych, których przez całe życie zaliczała do swych wrogów.

Socjalizm Marthy był tak głęboko zakorzeniony, jak każda odziedziczona wiara, która przetrwała dzieciństwo. Jej świątyniami były świetlice pracownicze i pikiety, a na ołtarzu stały Annie Besant i Eleonora Marks; nie miała śpiewnika z hymnami, lecz wściekłość angielskich pieśni ludowych, które angielskie cierpienie wyśpiewywały na angielską nutę. W kuchni ich mieszkania w Whitechapel jej ojciec – o dłoniach czerwonych od ceglanego pyłu i startych opuszkach palców – przeliczał tygodniówkę i odkładał część na składki związkowe. Swoim ostrożnym charakterem pisma kreślił petycje do Parlamentu z żądaniem wprowadzenia dziesięciogodzinnego dnia pracy. Matka – która kiedyś wyszywała na stułach i kapach złote krzyże i pelikany wydziobujące sobie serca – cięła płótno na transparenty wznoszone wysoko podczas pikiet. Wygospodarowywała też z domowego budżetu pieniądze na rosół wołowy dla strajkujących dziewcząt z fabryki zapalek Bryanta i Maya. – „Wszystko, co znieruchomiało, ulatnia się – mawiał jej ojciec, z nabożeństwem recytując swoje wyznanie wiary – a wszelkie świętości zostają sprofanowane!”. Martho, nie wierz, kiedy mówią, że porządek świata jest i był niezmienny. Bluszcz i czas wystarczą, by padły imperia.

Prał koszule w małej cynowej balii – woda zabarwiała się na czerwono – a przy wyżymaniu śpiewał: „Gdy Ewa przędła, a Adam kopał, kto wtedy był Anglikiem?”. Kiedy Martha szła od Limehouse do Covent Garden, nie widziała wysokich okien i doryckich kolumn, lecz skrytych za nimi, ciężko pracujących robotników. Zdawało jej się, że cegły w mieście są czerwone od ich krwi, zaprawa murarska biała od ich startych kości, że głęboko pod fundamentami leżą kobiety i dzieci, pochowane w ciasnych rzędach, i dźwigają miasto na barkach.

Przyjęcie posady w domu Cory stanowiło akt czystego pragmatyzmu – zapewniało jej społeczną akceptację i przyzwoitą pensję, sytuowało ją poza klasą, którą gardziła, a zarazem wewnątrz niej. Relacji z Corą Seaborne jednak sobie nie wykalkulowała – zresztą w przypadku tej kobiety jakiegokolwiek

wyrachowanie było nie do pomyślenia.

Pociągła, melancholijna twarz Spencera spłonęła rumieńcem. Martha wiedziała, jak bardzo pragnie jej się przypodobać, co tylko prowokowało ją do złości.

– „Wszystko, co znieruchomiało, ulatnia się” – powiedziała, żeby zbadać jego odwagę.

– Shakespeare? – zapytał.

Odpuściła mu z uśmiechem i odpowiedziała:

– Obawiam się, że Karol Marks, choć on też był w pewnym sensie bardem. Tak, chciałam ci coś powiedzieć.

Smutna prawda była taka, że Spencer i jemu podobni, choć znienawidzeni, byli użyteczni, gdyż mieli wpływy i pieniądze. Otworzyła magazyn i pokazała mu plan przebudowy najbiedniejszych dzielnic Londynu. Będą czyste i przestronne, dzieci dostaną zielone place zabaw, a lokatorzy nie będą zdani na łaskę właścicieli kamienic. Tyle tylko (pogardliwie machnęła ręką w stronę kartki), że aby dostać mieszkanie, trzeba będzie wykazać się nieskazitelnym charakterem.

– Muszą prowadzić się lepiej niż ty i ja, żeby zasłużyć na dach nad głową dla swoich dzieci: nie mogą pić, uprzykrzać życia sąsiadom, uprawiać hazardu i Boże broń, by kobieta miała za dużo dzieci ze zbyt wieloma mężczyznami, i by rodziła zbyt często. Ty, Spencer, z twoim majątkiem i pochodzeniem, możesz upijać się do woli portem i claretem i nikt nie odmawia ci prawa do twoich domów, ale wystarczy, że wydasz swój ostatni grosz na tanie piwo albo wyścigi psów, i to już znaczy, że masz za niskie standardy moralne, by spać w suchym łóżku.

Spencer nie śmiał twierdzić, że jego zainteresowanie stołecznym kryzysem mieszkaniowym wykraczało poza lekturę gazet, i boleśnie odczuł ukrytą między słowami Marthy pogardę dla swojego bogactwa i statusu. Jednak w jego oczach oburzenie czyniło Marthę nieodparcie pociągającą, a jej wściekłość wydawała się zaraźliwa, gdyż nagle poczuł w trzewiach coś w rodzaju gniewu.

– A co, jeśli ktoś dostanie już jedno z tych mieszkań – zapytał – a później rozbije kufel piwa na głowie sąsiada?

– To znów wyląduje na ulicy, razem z dziećmi, bo to mu się należy. Ludzi

karze się za ubóstwo – zauważyła i odsunęła talerz. – Jeśli jesteś biedny i nieszczęśliwy i zachowujesz się tak, jak można by się spodziewać po osobie biednej i nieszczęśliwej, bo nie masz prawie żadnych innych możliwości spędzania czasu, twoją karą jest jeszcze więcej nieszczęścia i biedy.

Chciałby zapytać, co mógłby zrobić, lecz uprzywilejowana pozycja ciążyła mu jak zimne złoto w kieszeniach, więc zamiast tego wydukał parę słów zgody i krytyki: że koniecznie trzeba coś w tej sprawie zrobić, zadać pytania i tak dalej...

– Ja coś w tej sprawie zrobię – powiedziała władczo, a po chwili, jak gdyby chciała zapobiec pytaniom o szczegóły, podniosła głos i zapytała: – Cora, opowiedziałaś już Skrzatowi o biednym proboszczu z Essex i o wężu?

Cora, która siedziała u stóp Luke'a i opowiadała o uratowaniu zagubionej owieczki z łap ogra z Essex, wyjaśniła, jak spotkali Charlesa Ambrose'a i jak dowiedzieli się o bestii w Blackwater, którą obudziło trzęsienie ziemi. Pokazała im zdjęcia plezjozaura z Lyme Regis i wskazała na jego ogon i płetwy podobne do skrzydeł.

– Mary Anning nazwała go smokiem morskim; łatwo się domyślić dlaczego, prawda? Nie widzicie?

Zatrzasnęła książkę z wyrazem triumfu i opowiedziała mu, jak to zamierza udać się na wybrzeże, gdzie rzeki Colne i Blackwater zbiegały się i wpadały do morza, i jak to Charles Ambrose uszczęśliwił ich towarzystwem nic niepodważającego wiejskiego pastora i jego rodziny.

Pełen oburzenia śmiech Luke'a zagrażał czarnym belkom powały; Garrett zgiął się wół, gestem wskazał męskie buty Cory, ziemię za jej paznokciami i zbiór bezbożnych książek na parapecie. Przemiały list od żony pastora rozłożono i podawano sobie z rąk do rąk, przy czym zgnieciono pierwsosnek; uznano, że Stella Ransome to prawdziwy skarb (co do tego panowała zgoda) i należy ją za wszelką cenę strzec przed Corą, która przestraszy ją bardziej niż jakikolwiek wąż morski.

– Mam nadzieję, że dobry pastor wierzy szczerze – powiedział Luke. – Wiara mu się przyda.

Tylko Spencer, obserwując wszystko w milczeniu ze swojego miejsca w wykuszu, dostrzegł w wesołości Garretta niepokój człowieka, który

pragnęłyby mieć Corę na wyłączność i nie dzielić się nią z żadnym przyjacielem bądź powiernikiem, choćby ten nosił koloratkę i nie był błyskotliwy.

Nieco później, patrząc przez okno, jak Spencer prowadzi przyjaciela do nieodległego hotelu George, Martha wyznała:

– Lubię go. Zawsze myślałem, że jest głupi, ale teraz uważam, że jest po prostu miły.

– Czasem ciężko te dwie cechy odróżnić – odparła Cora – a czasem sprowadzają się do tego samego. Zaprowadzisz Francisa do pokoju? Uprzątnę pióra, bo jeszcze pokojówki pomyślą, że odprawialiśmy tu czarną mszę, i stracimy dobrą reputację.

Stella Ransome wyglądała przez okno i zapinała błękitną suknię. Najbardziej lubiła napawać się tym widokiem: szachownice ścieżek z hiacyntami po bokach, a dalej High Line ze skupiskiem domów i sklepów, masywną wieżą kościoła Wszystkich Świętych i nową szkołą z murem z czerwonej cegły. Nic nie cieszyło jej bardziej niż świadomość, że wszędzie dokoła tętni życie; uwielbiała początek wiosny, gdy na Dębie Zdrajcy pojawiały się pączki, a dzieci ze wsi uwalniały się od ciężkich ubrań i zabaw w domu. Jej niespożyta radość życia nieco przygasła za sprawą długiej zimy, pozbawionej powabu śniegu, ponurej i chłodnej, której nawet Boże Narodzenie nie uczyniło znośniejszą. Kaszel, męczący ją nocami i odbierający sen, ustąpił wraz z nadejściem ocieplenia, a szare podkowy pod zmęczonymi oczami prawie zniknęły. To też ją ucieszyło; nie była próżna, a tylko radowała się swoim wyglądem w taki sam sposób, w jaki cieszyła się widokiem szkarłatnej kamelii rozkwitającej na czarnej grządce na trawniku. Jej piękne jasne włosy, owal twarzy i oczy w kolorze bratków wspaniale wyglądały w lustrze, jednak widok ten był dla niej czymś oczywistym. I chociaż Will nie mógł już objąć jej w pasie dłońmi, patrzył na jej pełniejsze kształty z radością, przypominały bowiem o urodzeniu pięciorga dzieci, z których przeżyło troje.

Słyszała je teraz na dole, jak kończą wczesną kolację; zamknęła oczy i ujrzała każde z nich tak wyraźnie, jakby siedziała z nimi w kuchni. Zgarbiony James rysował swoje fantastyczne maszyny i całkiem zapomniał o jedzeniu, pochłonięty szkicowaniem kolejnego trybiku czy koła zamachowego. Joanna, najstarsza, surowo doglądała najmłodszego Johna, który z pewnością napoczął właśnie swój trzeci kawałek ciasta.

Dzieci, podekscytowane perspektywą wieczornego przyjęcia (uwielbiały Charlesa Ambrose'a – jak wszystkie dzieci – za jego hojność i kolorowe płaszcze), pomogły nakryć do stołu: wyłożyły wszystkie srebra i całe szkło, jakie mieli w domu, i wydawały przy tym okrzyki zachwytu na widok serwetek, na których ich matka wyhaftowała niezapominajki i których na co dzień nie

mogły dotykać. Tylko Joanna nie będzie jeszcze spała, kiedy przyjdą goście; obiecała młodszemu rodzeństwu pozbierać plotki i opowiedzieć im wszystko przy śniadaniu. („Myślę, że wdowa będzie tłusta jak krowa i rozplacze się w zupę – powiedziała – a jej syn okaże się przystojny, bogaty i głupi; poprosi mnie o rękę, ja odmówię, a on strzeli sobie w łeb”).

Stella, co przytrafiało się jej często, czuła się oszołomiona własnym szczęściem, będącym w jej oczach darem, na który nie zasłużyła. Jej miłość do Willa – która pojawiła się nagle jak gorączka i tak jak ona przyprawiła ją o zawrót głowy – nie ustała ani nie osłabła, nawet przelotnie, w ciągu piętnastu lat małżeństwa. Przed ślubem jej matka, rozczarowana niemal każdym aspektem życia, przekonywała ją, żeby nie oczekiwała szczęścia: mężczyzna z pewnością zażąda od niej nieprzyzwoitości, które powinna dzielnie znieść dla dobra dzieci; pewnie szybko się nią znudzi, lecz wtedy ona będzie mu za to tylko wdzięczna; roztyje się; obejmie wiejską parafię i nigdy nie dorobi się majątku. Stella jednak, dla której William Ransome, ze swym poważnym spojrzeniem, szczerością i głęboko ukrytym poczuciem humoru, był cudem porównywalnym z tym w Kanie Galilejskiej, tylko się śmiała i całowała matkę w policzki. Współczuła, zarówno wtedy, jak i teraz, każdej kobiecie, która nie miała dość rozumu, by wyjść za jej Willa. Matka pożyła dość długo, by przeżyć rozczarowanie brakiem rozczarowania córki. Dziewczyna była nieprzyzwoicie wręcz zachwycona każdym aspektem małżeństwa i odnosiło się wrażenie, że tuż po urodzeniu jednego dziecka od razu oczekuje następnego; młodzi spacerowali High Line w Aldwinter, trzymając się za ręce; nawet strata dwójki dzieci nie zagroziła ich miłości, a tylko wzmocniła jej fundamenty. Od czasu do czasu Stella przyznawała, że być może byłaby szczęśliwsza w Londynie albo w Surrey, gdzie trudno przejść przez ulicę, nie nawiązując nowej znajomości; jednak jej głód plotek nigdy nie słabł i nawet Aldwinter dostarczało jej dość intryg, by jej zainteresowanie bliźnimi nie zgasło, a że była osobą łagodną, nigdy nie słyszano, by o kimkolwiek mówiła źle.

Tymczasem Will od śniadania nie opuścił gabinetu. W soboty miał zwyczaj nie widywać nikogo aż do wieczora, kiedy to raczył się kieliszkiem dobrego wina. Mimo konsternacji przyjaciół i rodziny, wywołanej dobrowolnym zesłaniem Willa do prowincjonalnej parafii (większość przewidywała, że pobyt w tym miejscu sprzykrzy mu się przed upływem roku), on traktował swe

niedzielne obowiązki z taką powagą, jak gdyby otrzymał instrukcje od samego płonącego krzewu. Dla niego religia nie stanowiła kwestii prawa i litery, nie postrzegał siebie jako urzędnika, a Boga jako wiecznego sekretarza niebiańskiego porządku. Will głęboko przeżywał wiarę, zwłaszcza wśród natury, gdzie sklepienie nieba było dla niego nawą katedry, a dęby kolumnami transeptu; gdy zdarzało się, że wiara zawodziła, widział, jak niebo głosi chwałę Boga i słyszał wołanie kamieni.

Will właśnie zaznaczał czytania w książeczce do nabożeństwa i układał modlitwę za bezpieczeństwo Aldwinter i jego mieszkańców, kiedy usłyszał krzątanie dzieci po drugiej stronie korytarza. Było to niemiłe przypomnienie, iż chwile spokoju i samotności dobiegały końca; zegar na kominku wybił szóstą i za ledwie dwie godziny dzwonek do drzwi zburzy jego spokój.

Nie należał do ludzi niegościnnych, choć nie podzielał pragnienia żony, by znajdować się zawsze w towarzystwie innych. Charlesa i Katherine Ambrose'ów kochał mocniej niż własnych braci, a częste wizyty zaniepokojonych parafian, nie zawsze w porę, przyjmował niezmiennie z radością. Uwielbiał też widzieć Stellę, podziwianą przez wszystkich, kiedy doglądała gości przy stole, zwracała swoją piękną główkę w ich kierunku i ujmowała ich ciepłem i inteligencją. Ale wdowa z Londynu, w towarzystwie jakiejś starej wiedźmy... i jeszcze jej rozpuszczony syn! Pokręcił głową i zatrzasnął notatnik: wypełni obowiązek, jak zawsze, nie będzie jednak pobłażał bogatej damie ze stolicy, która bawi się naukami przyrodniczymi, zapewne ze szkodą dla swego zdrowia duchowego. Jeśli poprosi go o pomoc przy jakiejś niedorzecznej próbie odkrycia czegoś, co jakoby spoczywa w gliniastej glebie Essex albo mieszka w tutejszych wodach, spotka się z uprzejmą, acz stanowczą odmową. Pomyślał, że to znów łączy się z Kłopotem, i jak zwykle nie zaszczyił wiejskich plotek określeniem „bestia” czy „wąż”. Czeka ich próba ognia, z której wyjdą czyści jak złoto.

– Chwała Panu – wypowiedział z nutką goryczy i wyszedł z gabinetu w poszukiwaniu herbaty.

– Jest pani zupełnie inna, niż się spodziewałam.

– Pani również. Za młoda na wdowę, i taka piękna!

Dziesięć minut po ósmej Stella Ransome i Cora Seaborne siedziały na



kanapie stojącej najbliżej kominka. Z miejsca tak się polubiły, że zaczęły żałować, iż nie poznały się w dzieciństwie. Martha, która wiele razy widziała, jak Cora pała nagłym afektem, by potem równie nagle go wycofać, prawie nie zwracała na tę scenkę uwagi. Przypatrywała się za to Joannie, która nieśmiało tasowała talię kart. Podobały jej się poważna, mądra twarz dziewczyny i jej cienki warkocz, podeszła więc bliżej i dała znak, że chciałyby zagrać z nią w karty.

– Bynajmniej nie jestem piękna, ani trochę – odpowiedziała Cora, zachwycona tak uprzejmym kłamstwem. – Matka zawsze powtarzała, że moja uroda może uchościć najwyżej za uderzającą. Doskonale mi to odpowiada. Choć w istocie ubrałam się dziś bardziej przyzwoicie niż zazwyczaj. Gdyby widziała mnie pani dzisiejszego popołudnia, zapewne nie wpuściłaby mnie do domu.

Była to prawda – pod naciskiem Marthy włożyła zieloną suknię, której fałdy mogłyby dać schronienie najrozmaitszym odmianom mchu. Bliznę na obojczyku zasłoniła pastelową apaszką i wreszcie włożyła buty odpowiednie dla damy. Włosy, gruntownie wyszczotkowane przez Marthę, ułożono w misterną konstrukcję trzymającą się dzięki szpilkom, z których kilka już leżało na dywanie.

– Will tak się cieszy na pań wizytę i przeprasza, że się spóźni. Musiał pilnie wyjść do parafianina z końca wsi, ale niedługo wróci.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam!

I to również była prawda – Cora uznała, że ta wspaniała kobieta o twarzy jak z bajki i platynowoblond włosach nie mogłaby być tak szczęśliwa, gdyby za męża miała tępego pastora o płaskich stopach. Czuła się w pełni gotowa, by szalenie go polubić, zatopiła się więc rozradowana w poduszkach fotela z kieliszkiem wina w dłoni.

– Miło, że zaprosiła pani mojego syna, ale nie czuł się najlepiej, nie chciałam więc, żeby udał się w podróż.

– Och! – Oczy Stelli wypełniły się łzami, co tylko podkreśliło ich intensywny błękit; szybko otarła łzy. – Strata ojca to tak ciężkie przeżycie. Tak współczuję pani synowi, powinnam była pomyśleć, że nie będzie chciał spędzić wieczoru w towarzystwie nieznajomych.

Szczera natura nie pozwoliła Corze patrzeć na łzy wylewane z powodu rozpaczy, której chłopiec zapewne nigdy nie czuł, odparła więc:

– Znosi to bardzo dobrze. Jest... nietypowym dzieckiem i sądzę, że nie przeżywa tego wszystkiego tak głęboko, jak pani przypuszcza.

Jej odpowiedź zbiła rozmówczynię z tropu, ale od strony korytarza dobiegły dźwięki, które wybawiły Corę od dalszych pytań: szuranie ciężkich butów na wycieraczce i zgrzyt klucza wkładanego do zamka. Stella Ransome zerwała się na równe nogi.

– Williamie, czy chodziło o Cracknella? Zachorował?

Cora podniosła wzrok i zobaczyła, że stojący w korytarzu mężczyzna nachyla się, by pocałować kobietę w przedziałek między jej jasnymi włosami. Stella była tak drobna, że mąż zdawał się nad nią unosić, choć nie był szczególnie wysoki. Nosił elegancki, dopasowany czarny płaszcz, który podkreślał szerokość jego ramion i drzemiącą w nich siłę, co mocno kontrastowało z małą koloratką. Włosy należały do tych, które dawały się okiełznać, tylko kiedy ostrzyżono je krótko: układały się w jasnobrązowe fale, a w świetle lamp nabierały rudawego odcienia. Objąwszy żonę dłońmi o dość krótkich, szerokich palcach, które lekko spoczywały na jej talii, odwrócił się w stronę drzwi i powiedział:

– Cracknellowi nic nie dolega. Spójrz, kogo znalazłem na ścieżce.

Stanął z boku, wyłuskał spod szyi koloratkę i odrzucił ją na stolik; chwilę później do domu wszedł Charles Ambrose w szkarłatnym surducie, a za nim Katherine, schowana za bukietem szklarniowych kwiatów. Cora pomyślała, że ich woń jest nieprzyzwoita; zemdliło ją i nie wiedziała, jak to wyjaśnić, dopóki nie przypomniała sobie, że po raz ostatni czuła zapach lilii przy trumnie męża.

Ku wielkiej ucieście Cory w gwarze powitań na chwilę o niej zapomniano, mogła więc się przyglądać, jak Martha układa z dziewczynką pasjansa.

– Królowa siadła do rachunków – wyrecytowała Joanna i położyła kolejną kartę.

Chwila spokoju dobiegła końca, goście weszli do salonu. Charles i Katherine objęli Corę, pokleпали ją po policzkach i pochwalili suknię oraz nieubłoczone buty. Czy dobrze się miewa? Popatrz na jej włosy, tak czyste i lśniące! A oto i Martha, ciekawe, co ostatnio knuje? A Frankie – jak znajduje wiejskie

powietrze? A co ze smokiem morskim – czy Cora zobaczy w końcu swoje nazwisko na łamach „Timesa”? I czy można nie kochać Stelli, i co Cora sądzi o walebnym Willu?

Na to odezwał się głęboki, cichy głos, dobronczny, lecz – jak się Corze wydało – zdecydowanie pozbawiony entuzjazmu:

– Jeszcze nie poznałem naszych gości. Charlesie, przesłoniłeś mi cały świat.

Charles Ambrose odsunął się, uniósł rękę i poprowadził gospodarza do kanapy, gdzie siedziała Cora. Nad rozpiętym kołnierzykiem czarnej koszuli zobaczyła usta ułożone w uśmiech, oczy jak ciemnobrązowe słoje dębiny i ranę na policzku, która musiała powstać przy goleniu. Przez wiele lat obracania się w londyńskich sferach szczyciła się tym, że potrafiła bezbłędnie odgadnąć status i charakter spotykanych osób: tutaj bogaty przedsiębiorca zawstydzony sukcesem, tam nieporządna dama z van Dykiem na schodach. Oto jednak stał przed nią mężczyzna, który nie dawał się zaszufłakować, choćby nie wiedzieć jak długo wpatrywała się w jego wypolerowane buty i nieco za krótkie mankiety: zbyt dobrze zbudowany jak na pastora ślęczącego za biurkiem, miał wzrok zbyt zamyślony jak na rolnika; uśmiech zbyt uprzejmy jak na kogoś szczerego, lecz oczy skrzyły się humorem; w głosie (czyżby słyszała go wcześniej, na ulicach Colchester lub w pociągu z Londynu?) brzmiało echo dialektu z Essex, pastor jednak mówił jak uczonec. Wstała i starając się zachować z jak największą gracją, choć wciąż czuła mdłości, wyciągnęła dłoń.

Will z kolei ujrzał wysoką, urodziwą kobietę, której drobny nos zdobiły piegi, a suknia z tkaniny podobnej do mchu (trafnie odgadł, że kosztowała dwa razy tyle co cała garderoba Stelli) nadawała zielonkawy odcień jej szarym oczom. Owinęła szyję strzępkiem cienkiej niczym gaza tkaniny (absurd: naprawdę myślała, że to ją ogrzeje?), a na palcu serdecznym nosiła pierścienek ślubny z diamentem, który rozszczepiał światło i rzucał je na ścianę. Mimo zwykownego stroju miała w sobie coś męskiego: nie nosiła żadnej biżuterii poza pierścieniem, nie pudrowała twarzy, która błyszczała tam, gdzie owiało ją słone powietrze Essex. Kiedy wstała, zobaczył, że nie jest tłusta – jak to przepowiedziała jego córka – choć nie dało się też nazwać jej smukłą: była dobrze zbudowana i odznaczała się pewną obfitością, tak że nie sposób było, choćby się chciało, zignorować jej obecności.

Czy to za sprawą ruchu, który wykonała, unosząc rękę, czy może dlatego, iż

spozstrzegł, że są równego wzrostu, w każdym razie rozpoznał ją natychmiast. To ta megiera, która tamtego dnia wychynęła z mgły na drodze do Colchester i wspólnie z którą mocował się z uwięzioną w błocie owcą, co dla niego skończyło się rozciętym policzkiem. Spozstrzegł, że go nie rozpoznała, gdyż nadal uśmiechała się ciepło, choć może z pewną dozą wyższości.

Chwila ociągania, nim ujął jej dłoń, była za krótka, by inni coś zauważyli, lecz na tyle długa, by Cora dokładniej przyjrzała się gospodarzowi. Will, który nie mógł przestać się śmiać na każde wspomnienie absurdalnego spotkania nad jeziorem, odkąd wrócił do domu oblepiony błotem, nie zdołał już dłużej się powstrzymać i roześmiał się, lekko dotykając czerwonawej szramy na policzku. Cora zazwyczaj potrafiła szybko ocenić zmiany nastroju w towarzystwie, lecz teraz poczuła się dezorientowana. Will włożył dłoń pomiędzy jej dłonie i chyba coś w jego dotyku kazało jej spojrzeć jeszcze raz na bliznę na policzku i na włosy opadające na kołnierzyk.

– Och! To pan! – wykrztusiła i też zaczęła się śmiać.

Martha, przyglądająca się tej scenie niemal z przestachem, ujrzała, że jej przyjaciółka i gospodarz ściskają się za ręce, bezradni wobec niewyjaśnionej wesołości. Cora przypomniała sobie o dobrych manierach i próbowała się pohamować i wyjaśnić nic nierozumiejącej Stelli przyczynę tego napadu śmiechu, lecz nie była w stanie. W końcu to Will uwolnił jej dłoń z uścisku i z ironicznym ukłonem – jedna stopa z przodu, jak na królewskim dworze – powiedział:

– Miło mi panią poznać, pani Seaborne. Czego się pani napije?

Opanowała się i odpowiedziała:

– Chętnie wypiję jeszcze jeden kieliszek wina. Czy poznał pan już Marthę? Nigdzie się bez niej nie ruszam. – Okazanie manier było jednak dla niej zbyt dużym wysiłkiem; zacisnęła usta, by się nie roześmiać, po czym powiedziała cicho: – Czuję się bezbronna jak owieczka. – I patrzyła z przyjemnością, jak pastor zaśmiewa się do rozpuku.

Stella, rozbawiona, lecz przede wszystkim zaciekawiona, bo lubiła trzymać rękę na pulsie, zapytała:

– Widzę, że już się spotkaliście?

Jej głos otrzeźwił Willa, który przyciągnął żonę do Cory i odparł:

– Pamiętasz, jak dwa tygodnie temu przyszedłem do domu spóźniony i cały w błocie, bo próbowałem wyciągnąć owcę z jeziora, w czym pomogła mi nieznajoma? Oto ona. – Odwrócił się do Cory i powiedział, nagle spoważniałym tonem: – Czuję, że winien jestem przeprosiny. Na pewno zachowałem się nieuprzejmie. Nie wiem, co bym wtedy bez pani zrobił.

– Był pan potworem – odparła Cora – lecz zapewnił pan moim przyjaciołom tyle rozrywki, że wszystko wybaczam. Martha nie uwierzy mi przecież, że miałam pana za stworzenie, które właśnie wypełzło z błota i zapewne do niego powróci. Martho, poznaj wielebnego Ransome’a. Panie Ransome, oto moja przyjaciółka.

Poczuła potrzebę kontaktu z czymś znanym, objęła więc Marthę w pasie i zauważyła, że ta ocenia pastora krótkim spojrzeniem i bez wątpienia znajduje jego braki.

Tymczasem Charles bił brawo, jak gdyby scena została zaaranżowana specjalnie dla jego przyjemności, lecz zaraz przypomniał sobie o pilniejszych sprawach. Położył dłoń na swym wydatnym brzuchu i zapytał błagalnie:

– Czy dobrze słyszałem, że zjemy bażanta i szarlotkę?

Wstał i podał lewe ramię żonie, a prawe gospodyni. Joanna oderwała się od kart i przypomniawszy sobie zadanie na wieczór, otworzyła drzwi jadalni. Światło przebiegło przez żłobienia w kryształowych kieliszkach i rozświetliło wypolerowane drewno stołu, a niezapominajki Stelli rozkwitły na serwetkach. W tym niewielkim pomieszczeniu trzeba było przechodzić pojedynczo za krzesłami o wysokich oparciach. Zielona tapeta i akwarele nad kominkiem były niemodne, lecz Cora nigdy nie widziała przytulniejszego wnętrza. Pomyślała o pokojach na Foulis Street, ze stiukami na sufitach i wysokimi oknami, w których Michael zabronił jej wieszać zasłony, i gorąco zapragnęła nigdy tam nie wracać. Na Joannie ta zdumiewająca, roześmiana kobieta w zielonej sukni wywarła tak wielkie wrażenie, że tylko nieśmiało wskazała bilecik, na którym imię Cory zostało wykaligrafowane ręką Johna.

– Dziękuję – wyszeptała Cora i delikatnie pociągnęła warkocz dziewczyny. – Widziałam, jak ogrywasz Marthę w karty. Jesteś o wiele bystrzejsza ode mnie!

(Później, gdy Joanna wzięła tacę czekoladek i poszła opowiedzieć rodzeństwu o przyjęciu, mówiła: „Nie jest stara, choć jest bogata, ma torebkę z krokodylej skóry i nie wiem czemu, ale przypomina mi Joannę d’Arc. A poza

tym – John, nie zjedz wszystkiego – ma dziwny głos, z jakimś akcentem. Nie wiem, skąd pochodzi, ale na pewno z bardzo daleka”).

Stella, ponad pojęcie zaintrygowana gościem, przyglądała się Corze spod długich jasnych rzęs. Spodziewała się damy o wystudiowanej, melancholijnej pozie, która będzie jedynie dziobać jedzenie i co jakiś czas ucichnie, żeby dotknąć obrączki ślubnej albo otworzyć medalion i spojrzeć na twarz zmarłego. Zamiast tego miała przed sobą kobietę, która jadła elegancko, lecz bardzo dużo, i przeproszała z uśmiechem za swój apetyt, wyjaśniając, że rano przeszła dziesięć mil i zamierza to jutro powtórzyć.

W jej obecności tematy rozmów zmieniały się raptownie: od treści kazania Willa („Świetnie to znam – «Przeto się nie boimy, choćby waliła się ziemia», i tak dalej – jak doskonale pasuje do tej parafii, jak trafnie pomyślane!”) do politycznych knowań Charlesa Ambrose’a („Czy pułkownik Howard dał się namówić? Pastorze, czy chętnie widziałby pastor nowego posła?”), z krótką przerwą na omówienie poszukiwań skamieniałości na wybrzeżu.

– Wspomnieliśmy Corze o waszym Wężu z Essex – powiedział Charles, odpakowując czekoladkę. – W zasadzie o obu wężach.

– Ja wiem tylko o jednym – odparł William z niewzruszonym spokojem. – I jeśli naszych gości to interesuje, chętnie im go rano pokażę.

– Jest piękny – poinformowała Stella, nachylając się ku Corze. – Wąż owinięty wokół oparcia ławki, ze skrzydłami złożonymi z tyłu. Will uważa to za bluźnierstwo i co tydzień się odgraża, że się go pozbędzie, ale nie śmie tego zrobić.

– Bardzo bym chciała go zobaczyć! – Ogień w kominku był już niewielki i Cora trzymała filiżankę przy piersi. – A proszę powiedzieć, czy są jakieś wieści o stworzeniu, które podobno mieszka w rzece?

Stella знаła niechęć męża do Kłopotu. Spojrzała w jego stronę i przygotowała się, by złagodzić napięcie kawą.

– Żadnych wieści, bo i nie ma żadnego stworzenia. Obawiam się jednak, że jeden z moich parafian gotów się z tym stwierdzeniem nie zgodzić! Właśnie rozmawiałem z Cracknellem – powiedział Will, zwracając się do Stelli – na domiar złego Gog albo Magog wyzionęła ducha.

– Och – westchnęła Stella. Zrobiła smutną minę i postanowiła, że nad ranem

zaniecie starcowi jedzenie. – Biedny Cracknell, jakby dotąd mało stracił. – Wręczyła Corze filiżankę kawy i wyjaśniła: – Mieszka przy mokradłach i niedawno pochował ostatnich krewnych. Gog i Magog to jego kozy, jego duma i radość, i źródło masła i mleka dla nas. Co się stało, Will?

– Z jego słów wynika, jakoby jakiś potwór pojawił się na progu i wyrwał mu kozę z rąk. Cóż, nikt nie wierzy w węża gorliwiej niż Cracknell. W rzeczywistości koza wymknęła się w nocy z zagrody, utknęła w grzędawisku, po czym porwał ją przypływ. – Westchnął i dodał: – Mówi, że znalazł ją sparaliżowaną z przerażenia, przestraszoną, dosłownie! na śmierć. Obawiam się, że to nie pomoże wybić moim parafianom z głów tych bredni. Jak mam im uświadomić, że umysły potrafią nas oszukiwać i że bez wiary możemy zobaczyć nawet... – Załamał dłonie, jak gdyby szukał odpowiednich słów, i spróbował raz jeszcze. – Myślę, że możemy nadać naszym lękom widzialny kształt, zwłaszcza wtedy, gdy odwrócimy się od Boga.

Świadomy spojrzenia Cory – rozbawionego, bez cienia pogardy – ukrył twarz za parą unoszącą się z filiżanki kawy.

– A pan uważa go za szaleńca. Nie wierzy pan, że w tym, co mówi, jest ziarno prawdy?

Litość dla starca nie zmniejszyła ciekawości Cory – oto miała przed sobą pewnego rodzaju dowody!

Pastor fuknął.

– Koza przestraszona na śmierć? Absurd. Żadne bezmyślne zwierzę nie może pojąć strachu tak dalece, nawet gdyby umiało odróżnić smoka morskiego, czy cokolwiek to jest, od drewna wyrzuconego przez morze na mokradła. Przestraszona na śmierć! Nie; była chora i wyszła z zagrody na ziab. Nie ma żadnego potwornego węża, poza tym wyrzeźbionym w kościelnej ławie, którego też byśmy się pozbyli, gdyby moja żona choć raz pozwoliła mi postąpić tak, jak chcę.

Cora, jak zawsze adwokat diabła, powiedziała:

– Jest pan sługą Boga, który przecież zsyłał ludziom znaki; czy tak trudno uwierzyć, że znów to robi, żeby wezwać nas do pokuty?

Nie potrafiła ukryć drwiny w głosie, a Will, który usłyszał to wyraźnie, uniósł brew.

– Przecież nie wierzy w to pani, tak samo jak i ja. Nasz Bóg jest Bogiem rozumu i porządku, a nie nocnych nawiedzeń! To tylko plotki wieśniaków, którzy stracili z oczu Stwórcę. Moim zadaniem jest pokazać im drogę ku pocieszeniu i pewności, a nie ulegać plotkom.

– A co, jeśli to nie jest ani plotka, ani wezwanie do pokuty, lecz coś żywego, co trzeba zbadać, skatalogować i objaśnić? Darwin i Lyell...

Will z niecierpliwością odepchnął filiżankę.

– No tak, nie trzeba długo czekać, by ktoś wymienił te nazwiska. Nie wątpię, że to mądrzy ludzie: czytałem obu i sądzę, że wiele z ich teorii udowodnią przyszłe pokolenia. Jednak jutro pojawi się kolejna teoria, i jeszcze jedna; jedna zostanie zdyskredytowana, drugą będą podziwiali; wyjdą z mody i powrócą dziesięć lat później z dodanymi przypisami i w nowej edycji. Wszystko się zmienia, pani Seaborne, wiele na lepsze, po co jednak stać na ruchomych piaskach? Człowiek potknie się i upadnie, a upadając, wyda się na żer głupoty i ciemności. Pogłoski o potworach dowodzą tylko tego, że puściliśmy cumę, która łączyła nas z wszystkim, co dobre i pewne.

– Ale czy w pańskiej wierze nie chodzi o dziwność i tajemnicę, krew i siarkę, o widzenie w ciemności, błędzenie i odgadywanie kształtów dotykiem?

– Mówi pani, jakbyśmy wciąż żyli w średniowieczu, jak gdyby w Essex wciąż palono czarownice! Nie. Nasza wiara jest wiarą oświecenia i jasności. Nie błądzę zatem, lecz cierpliwie przemierzam swoją drogę, a moja ścieżka jest oświetlona!

Cora się uśmiechnęła.

– Nie wiem, czy używa pan swoich słów czy pożyczonych; tak czy owak ma pan przewagę! – Wypiła ostatni łyk kawy, który pozostawił gorzki osad na języku, i dodała: – Oboje mówimy o iluminacji świata, jednak źródła naszego światła są całkiem różne.

Will, z niewyjaśnionych powodów rozpromieniony, choć czuł, iż powinien być poirytowany tym, że ta kobieta o szarych oczach rzuca mu wyzwanie w jego własnym domu, nie mógł przestać się uśmiechać.

– Zobaczmy więc, kto pierwszy zdmuchnie czyją świecę – powiedział i podniósł filiżankę, wznosząc toast. Stella, która bawiła się przy tej wymianie zdań lepiej, niż gdyby siedziała na najlepszym miejscu w teatrze, złożyła dłonie,



jakby zamierzała oklaskiwać adwersarzy, nagle jednak coś utkwіło jej w gardle i targnął nią atak kaszlu. Trudno było uwierzyć, że tak głęboki dźwięk może wydobywać się z tak drobnej i delikatnej istoty; całe jej ciało zaczęło się trząść, chwyciła obrus i wywróciła kieliszek z winem. Will natychmiast stracił dobry humor. Ukucnął obok żony, wprawnymi ruchami opukiwał jej drobne plecy i szeptał do ucha słowa pocieszenia.

– Trzeba przynieść gorącej wody, powinna powdychać parę – powiedziała Katherine Ambrose.

Atak jednak skończył się równie nagle, jak się zaczął. Stella wyprostowała się i spojrzała po wszystkich załzawionymi niebieskimi oczami.

– Przepraszam. Co to za maniery, teraz wszyscy dostaniecie grypy, a tak długo się z niej wychodzi! Wybaczycie mi, jeśli się teraz położę? Wspaniale się bawiłam. – Sięgnęła przez stół i ujęła dłonie Cory. – Ale będzie tu pani rano i wiem, że możemy pani pokazać przynajmniej jednego węża.

Następnego ranka stało się jasne, że wąż na oparciu starej, siedemnastowiecznej ławy w kościele Wszystkich Świętych to stworzenie o wyglądzie niewiniątka. Wyrzeźbiono go w czasie, kiedy pogłoski o Wężu z Essex przeistaczały się w legendę i nie przybijano już ostrzeżeń do dębów i przydrożnych słupów. Z pewnością złośliwy rzemieślnik nie czuł lęku przed bestią, gdyż kazał jej owinąć łuskowaty ogon trzy razy wokół poręczy, lecz nie dał pazurów ani kłów. Cora z rozbawieniem przyznała, że skrzydła wyglądały nieco złowrogo, jak gdyby ktoś siłą skrzyżował nietoperza z wróblem, a cienie padające na uśmiechnięty pysk sprawiały, że miało się wrażenie, iż stworzenie mruga oczami; trudno jednak było w tym dziele dopatrywać się jakichkolwiek znamion okultyzmu. Od dwustu lat parafianie czule głaskali rzeźbę, więc kręgosłup stwora był wytarty i wypolerowany do gładkości.

Joanna, która towarzyszyła Corze i ojcu w porannym spacerze, przesunęła palcem po świeżym żłobieniu w drewnie.

– To tutaj – powiedziała. – Od tego miejsca chciał zacząć odcinanie rzeźby dłutem, ale mu nie pozwoliłyśmy.

– Schowały moją skrzynkę z narzędziami – wyjaśnił Will. – I nie chcą powiedzieć gdzie.

William Ransome wydawał się Corze dużo poważniejszy niż poprzedniego dnia w ciasnej, dusznej jadalni, jak gdyby wraz z koloratką włożył służbowy wyraz twarzy. Ta surowość do niego nie pasowała, podobnie jak czerni garnituru i świeżo ogolona twarz, nadająca skaleczonemu policzkowi surowy, nieprzyjemny wygląd. A jednak gdzieś w głębi jego zmęczonych oczu czaiła się lekkość; próbowała ją obudzić, kiedy pokazywał jej małą wioskę, kościół z niską wieżą, której kamienne ściany były mokre od nocnego deszczu i lśniły w porannym słońcu.

Cora włożyła czubek małego palca w paszczę węża. *Ukąś mnie, zniosę to* – pomyślała.

– Gdyby był pan sprytniejszy, zrobiłby pan z węża atrakcję, sam rozpuszczał plotki, grzmiał z ambony i pobierał opłaty przy wejściu za oglądanie potwora.

– Może zebrałbym na nowe okno, ale po Essex krąży wiele strasznych opowieści, no i nie mielibyśmy szans z Hadstock i ich drzwiami ze skóry Duńczyka. – Zauważył, jak zmarszczyła brew, i wyjaśnił: – Drzwi tamtejszego kościoła są nabijane metalowymi ćwiekami, a pod bolcami znajdują się kawałki skóry. Podobno niegdyś schwytano tam Duńczyka, apostatę, i obdarto go ze skóry, która chroni teraz wrota przed deszczem.

Cora zadrżała z rozkoszy, a Will, by zaoferować jej więcej, odrzucił resztki powagi i dodał:

– Może poddali go praktykowanej przez wikingów torturze krwawego orła: wyłamali żebra i rozpostarli jak skrzydła, wyjęli też płuca. O, widzę, że pani zbladła, a małej Jojo jest niedobrze!

Dziewczynka rzuciła ojcu pogardliwe spojrzenie – „naprawdę mnie zawiodłeś”, mówiły jej oczy – zapięła kurtkę i wyszła przywitać dzwonników, przybyłych, by spełnić swój poranny obowiązek.

– Ma pan tyle szczęścia, a może błogosławieństwa, jak zapewne by pan powiedział – rzuciła spontanicznie Cora. Patrzyła, jak dziewczynka biegnie między nagrobkami, staje przy bramie i macha. – Zdaje się, że wszyscy potraficie być szczęśliwi...

– A pani nie? – Usiadł obok niej w ławie i dotknął węża. – Ciągłe się pani śmieje; to jest zaraźliwe, jak ziewanie!

*Baliśmy się pani* – pomyślał – *a tu taka niespodzianka!* Na głos zaś powiedział:

– Spodziewaliśmy się kogoś zupełnie innego.

– Ostatnio, tak. Ostatnio... śmieję się, kiedy nie powinnam. Wiem, że nie spełniam oczekiwań... przez kilka ostatnich tygodni ciągle łapałam się na myśli, że jeszcze nigdy nie było większej przepaści między tym, kim powinnam być, a tym, kim jestem.

To absurd rozmawiać tak swobodnie z kimś prawie nieznanym. A jednak widzieli się już w najgorszej dla nich obojga sytuacji i żadna rozmowa nie mogła pograżyć ich bardziej niż spotkanie nad wodą przy drodze do Colchester.

– Wiem, że jestem zhańbiona – dodała. – Zawsze byłam, ale nigdy nie było to

aż tak widoczne.

Nagle posmutniała, a Will zobaczył, jak jej oczy zaszklily się i rozjaśniły. Dotknął koloratki i powiedział (grobowym głosem, doskonale przećwiczonym na takie okazje):

– Nauczono nas, i ja w to wierzę, że właśnie wtedy, kiedy czujemy się najbardziej zagubieni i w potrzebie, źródło pocieszenia jest najbliżej... proszę wybaczyć, jeśli się narzucam, ale sądzę, że nie wypowiedzieć tych słów to tak, jak nie podać szklanki wody spragnionemu.

Ostatnie zdanie tak bardzo nie pasowało do jego zwykłego repertuaru, że spojrzał w dół na dłonie, zaskoczony, że te słowa wyszły z jego ust.

Cora uśmiechnęła się i odparła:

– Jestem spragniona, zawsze jestem spragniona, wszystkiego, wszystkiego! A jednak już dawno ze wszystkiego zrezygnowałam. – Gestem wskazała wysokie sklepienie z białego kamienia, biegnące przez nie łuki i ołtarz nakryty białym obrusem. – Czasem myślę, że sprzedałam duszę, żeby żyć tak, jak wydaje mi się, że powinnam. Bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że bez moralności czy sumienia. Chodzi mi tylko o wolność, o prawo do posiadania myśli, które do mnie przychodzą, prawo do posyłania ich tam, gdzie ja chcę, a nie po trasie wytyczonej przez kogoś innego, niedającej wielu wyborów... – Z grymasem niezadowolenia przesunęła palcem po grzbiecie węża i dodała: – Nigdy nikomu tego nie powiedziałam, mimo że zawsze chciałam to zrobić: tak, sprzedałam duszę, choć obawiam się, że nie dostałam dobrej ceny. Miałam wiarę, taką, z którą człowiek się rodzi, lecz widziałam, do czego ona prowadzi, i ją sprzedałam. Jest rodzajem ślepoty albo świadomym wyborem szaleństwa odwrócić się plecami do wszystkiego, co nowe i wspaniałe, nie widzieć, że pod mikroskopem można znaleźć nie mniej cudów niż w Piśmie!

– Naprawdę pani myśli, że musi wybierać między jednym a drugim? Wiara albo rozum?

– Nie tylko rozum. Za mało go mam, bym mogła oddać go za duszę, ale mogę poświęcić moją wolność. Czasem boję się, że zostanę za to ukarana, ale poznałam już różne rodzaje kar, wiem, jak je znosić...

Will nie zrozumiał jej słów, a bał się zapytać – lecz wtedy wróciła Joanna i stanęła w nawie, a za nią dzwonnicy pociągający za sznury, tak że wewnątrz

świętyni rozległo się przytłumione bicie dzwonów.

– Spodziewaliśmy się kogoś zupełnie innego – powtórzył.

– Ja też spodziewałam się kogoś innego – powiedziała Cora, patrząc mu w oczy tak bezpośrednio, jak tylko mogła w nagłym przypływie nieśmiałości. Pomyślała, że koloratka nie dawała mu więcej władzy niż fartuch kowala, lecz nawet kowal jest panem w swej kuźni. – Naprawdę nie tego oczekiwałam. Myślałam, że będzie pan tłusty i pompatyczny, Stella bardzo szczupła i wątła, a dzieci nieznośnie pobożne.

Uśmiechnął się szeroko.

– Pobożne! – prychnął. – Czyli że każdego ranka miałyby pędzić rozmodlone do kościoła, bo nie mogłyby się doczekać, aż dorwą się do Biblii?

W tej chwili Joanna uklękła teatralnie przed ołtarzem (jej koleżanka ze szkoły była katoliczką i Joanna zazdrościła jej rytuałów i różańca) i przeżegnała się trzy razy. Włosy związała nad uszami tak, że układały się w aureolę. Była ubrana na biało i przybrała tak poważny wyraz twarzy, że jej usta prawie zniknęły. Tak bardzo pasowała do obrazu strasznej córki pastora, że Cora i Will popatrzyli na siebie z rozczuleniem i wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę znaleźć książeczki do nabożeństwa – powiedziała Joanna z godnością; nie rozumiała, co się dzieje, i postanowiła się obrazić.

Wciąż się śmiali, kiedy pojawili się parafianie i zastali niczego niespodziewającego się pastora. Will podszedł do wejścia, by się z nimi przywitać, a Cora raz czy dwa próbowała złapać jego spojrzenie, jak niegrzeczny uczeń w poszukiwaniu bratniej duszy, ale nie zdołała – on już otoczył się murem. Ławka z węzem stała w ciemnym rogu, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć. Nie miała ochoty wychodzić, postanowiła więc trochę w niej posiedzieć.

Ta mała wioska szczyciła się prężną wspólnotą wiernych; Cora pomyślała, że niemal czuć tutaj atmosferę święta i dobry nastrój na myśl o wspólnym wrogu. Niezauważona w swojej ławie słyszała, jak ludzie szeptali o Kłopocie, wężu i czymś, co ktoś zobaczył poprzedniej nocy, kiedy księżyc wisiał na niebie w czerwonej pełni; że niektóre zboża nie obrodziły i że kolejna osoba skrzyła kostkę. Młody człowiek, który chyba rywalizował z Ransome'em w kwestii poważnego ubioru i surowego wyrazu twarzy, zatrzymywał ręką każdego, kto

mijał jego ławkę, i robił uwagi o Sądzie i Końcu Czasu.

Dzwony ucichły, ludzie umilkli, a William przemierzył nawę. Kiedy z Biblią pod pachą i – jak się Corze wydawało – nieśmiałym wyrazem twarzy dotarł do stopni ambony, nagle otworzyły się drzwi kościoła i stanął w nich Cracknell. Wyprzedzały go długi, czarny cień oraz zapach wilgoci i błota, tak że jakaś kobieta, która zapomniała okularów, wykrzyknęła: – On tu jest! – i przycisnęła torebkę do piersi. Ewidentnie zadowolony z wrażenia, jakie zrobił, starzec przystanął na progu, by się upewnić, że wszyscy go zauważyli, po czym przeszedł do przodu świątyni i usiadł ze skrzyżowanymi ramionami. Na omszały płaszcz, który zwykle nosił, narzucił jeszcze jeden, z futrzanym kołnierzem, w którym szalały wystraszone szczypawki, oraz mnóstwem mosiężnych guzików.

– Dzień dobry, panie Cracknell – powiedział William, który nie wydawał się zaskoczony widokiem starca. – Dzień dobry wszystkim. „Uradowałem się, gdy mi powiedziano: «Pójdziemy do domu Pańskiego!»”. Panie Cracknell, jak już się pan usadowi, zaczniemy od hymnu sto drugiego, który, jak wiem, jest pańskim ulubionym. Brakowało nam pana i pańskiego głosu. – Dotarł do ambony i zamknął drzwiczki. – Powstańmy – rzekł.

Cracknell, niezadowolony i obrażony, zastanawiał się, czyby nie pozostać w ławie i nie odmówić przyłączenia się do śpiewu; zawsze jednak podziwiano go za słodki tenor, a poza tym nie mógł się oprzeć melodii. I chyba wszystko jedno, czy łamie postanowienie – żeby w proteście przeciw Bożej niesprawiedliwości nie przekraczać progu kościoła – z powodu kozy czy z powodu dziecka. Strata Gog sprzed kilku dni (kiedy ją znaleziono, leżała na boku, jej żółte oczy o poziomych, prostokątnych źrenicach wywróciły się z przerażenia, a na ciele nie znaleziono ran) dała mu niewzruszone przekonanie, że Kłopot to nie plotka wyczarowana z powietrza i wody, lecz byt z krwi i kości, który co noc podchodzi bliżej. Tego ranka Banks mówił, że widział coś czarnego i śliskiego tuż pod powierzchnią wody, a w St Osyth w pogodny dzień utonął chłopiec. Cracknell za nic w świecie nie potrafił połączyć ostrzeżeń zsyłanych na małą wioskę z karą Bożą, lecz nie było żadnych wątpliwości, że to kara Boża, i jeśli pastor nie wezwie parafian do pokuty, zrobi to on sam.

Na szczęście dla wielebnego Ransome'a Cracknell wybrał miejsce, na które mocno świeciło słońce; wiosenne ciepło oraz dwa płaszcze zrobiły więc swoje –

kolektę przerywały jego pochrapywania i pomruki.

Cora, bezpiecznie zaszyta w ciemnym rogu, patrzyła, jak wierni schylają głowy do modlitwy i wstają do pieśni, uśmiechała się do niemowląt, które z ramion matek wyciągały rączki do dzieci siedzących w ławkach z tyłu, słyszała, jak głos pastora się zmieniał, gdy ten przechodził od modlitw do czytania Pisma. Na ścianie obok niej wisiała klepsydra z napisem: „David Bailey Thompson, chórzysta, 1868–1871, pokój jego duszy”; zastanawiała się, czy ów David był chórzystą przez trzy lata, czy może żył tak krótko. Pod stopami widziała lśniąca drewnianą posadzkę ułożoną w jodełkę, a anioły na witrażach miały niebieskie skrzydła sójek. Coś w drugim z hymnów – może melodia albo wers czy dwa szczątkowo zapamiętane z dzieciństwa – dotknęło w niej jakiejś starej rany i zaczęła płakać. Nie miała chusteczki, nigdy jej nie nosiła; jakieś dziecko spostrzegło jej łzy i trąciło łokciem matkę, która się odwróciła i niczego nie zauważywszy, obróciła głowę z powrotem. Łzy nie przestawały płynąć, a Cora nie miała nic poza włosami, by je otrzeć. Tylko pastor ze swojego podwyższenia zauważył, że płacze; zobaczył, jak bierze głęboki oddech, żeby zdusić szloch, i jak próbuje ukryć twarz. Napotkał jej wzrok i patrzył długo, a ona zrozumiała, że żaden mężczyzna tak na nią dotąd nie spojrzał. Nie było to spojrzenie rozbawione, zaborcze czy oburzone, nie miało w sobie wyższości ani okrucieństwa. Pomyślała, że tak mógłby patrzeć na Jamesa lub Joannę, gdyby ich coś trapiło, z tą jednak różnicą, że w ich przypadku była to wymiana spojrzeń między równymi sobie osobami. Trwała krótko i spojrzenie Willa przesunęło się dalej, być może z powodu jego delikatności, a być może dlatego, że muzyka ucichła. Było już za późno, by ukryć upokorzenie, Cora pozwoliła więc łzom płynąć.

Pod koniec mszy odzyskała humor na tyle, by śmiać się z siebie i z wilgotnych plam na sukni. Pozostała jednak na miejscu do chwili, gdy Will został otoczony przy drzwiach przez parafian i gromadkę dzieci, tak że była bezpieczna. Nie przeszkadzało jej, że ktoś zobaczy ją smutną, lecz nie chciała litości. Woląa raczej poczekać, aż będzie mogła wrócić do Marthy i do ciszy swych notesów i amonitów, które nigdy nie doprowadziły jej do łez. Uznawszy, że już nic jej nie grozi, ukradkiem przesunęła się po ławie, tak by wstać z jej ciemniejszej strony, i napotkała – wyraźnie jej oczekującego – Cracknella w płaszczu z futrzanym kołnierzem.

– Uszanowanie – przywitał się, zadowolony, że ją zaskoczył. – Widzę nieznajomą w naszym gronie. Co pani tu robi w tych zielonych butach?

– Może i jestem nieznajoma – odpowiedziała Cora – ale przynajmniej się nie spóźniłam! A poza tym moje buty są brązowe.

– Słusznie – odparł Cracknell. – Bardzo słusznie. – Strząsnął szczypawkę z rękawa. – Na pewno pani o mnie słyszała, bo pastor jest moim drogim przyjacielem i bardzo go cenię, a zresztą nie został mi już nikt, kogo warto by cenić.

Podał jej dłoń i przedstawił się.

– Ach tak, pan Cracknell! – powiedziała. – Oczywiście, że o panu słyszałam, i o pańskiej stracie ostatniej nocy również. To była owca, prawda?

– Ona mówi, że owca! Owca!

Zarechotał i rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby wraz z nim dziwować się jej głupocie, a ponieważ wypatrzył wyłącznie anioły o skrzydłach sójek, wykrzyknął w ich stronę: – Owca! – i pośmiał się jeszcze trochę.

Naraz umilkł, jak gdyby coś sobie przypomniał, i pochylił się do przodu, żeby chwycić Corę za łokieć. Ściszył głos tak, że nieświadomie nachyliła się, żeby lepiej słyszeć.

– A więc powiedzieli pani? Powiedzieli, a pani słuchała uważnie? O tym, co czai się w Blackwater w świetle księżyca, a jak rozumiem, ostatnio również w świetle dnia, bo chłopiec w St Osyth zaginął w samo południe, bez jednej chmurki na niebie? Powiedzieli pani, a może sama pani widziała, słyszała, poczuła zapach, jak ten na mojej kurtce, a założę się, że i na pani skórze. – Zbliżył się do niej. Jego oddech pachniał rybą i rozkładem; wepchnął ją głębiej w cień. – Widzę, że pani wie, tak, widzę to: boi się pani, prawda? Marzy pani o tym, nasłuchuje, liczy na to... – Trafił w sedno w chwili, gdy się tego nie spodziewał, zbliżył do niej usta i wyszeptał: – Co za zdrożność: wiedzieć, że dzień Sądu jest bliski i że nikt nie zdoła się ukryć, a jednak liczyć na niego, prawda, liczyć na niego i wiedzieć, że się go zniesie pod warunkiem, że się wszystko zobaczy. Może jest tutaj już teraz, wślizgnął się za próg, kiedy opuściliśmy głowy do modlitwy?

Cienie zgęstniały – powiało chłodem – Cora usłyszała gdzieś głos Williama



Ransome'a; rozejrzała się za nim, lecz go nie znalazła. Cracknell kołysał się przed nią, zasłaniał widok i cedził:

– O tak, on nie widzi, nie czuje, nic nie poradzi; nie ma po co patrzeć w tamtą stronę, nic dobrego z tego nie przyjdzie.

– Proszę mnie puścić – powiedziała Cora.

Dotknęła blizny na szyi i przypomniała sobie, co powiedziała pastorowi, gdy stali razem tu, gdzie ona teraz: „Poznałam już różne rodzaje kar, wiem, jak je znosić”. Czy szukała kary? Czy Michael tak bardzo ją skrzywdził, że oczekiwała tego samego od innych? Czy była teraz zdeformowana, skrzywiona, gdyż naciskano ją i formowano tak długo? A może w istocie sprzedała duszę i musi się trzymać warunków umowy?

– Proszę mnie puścić – powtórzyła i dla równowagi oparła się o ławę, która okazała się mokra. Jej dłoń się zsunęła, Cora zachwiała się, wpadła na Cracknella i dotknęła tłustego futrzanego kołnierza jego płaszcza, poczuła smród soli i ostryg – on też się potknął i próbując złapać równowagę, wyrzucił w górę ramiona; długi płaszcz się rozchylił i ukazała się skórzana podszewka, czarna, tłusta, z połami trzepoczącymi jak skrzydła.

– Proszę mnie puścić – powiedziała po raz trzeci.

W tym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanęła Joanna, wpuszczając do wnętrza światło. Obok niej zjawiała się Martha.

– Kto zatrzasnął drzwi? Kto pozwolił im się zamknąć? – pytały obie.

Cracknell opadł na ławkę i powtarzał, że jest mu bardzo przykro, ale ostatnie miesiące były dla niego niełatwe, jedno nieszczęście po drugim.

– Już idę! – zawołała Cora, po czym powtórzyła, żeby mieć pewność, że głos się jej nie łamie: – Już idę, musimy się pośpieszyć, jeśli mamy zdążyć na pociąg.

Stella stała przy oknie plebanii i patrzyła, jak dzieci idą przez błonia i chowają się pomiędzy gałęziami Dębu Zdrajcy. Przez większą część nocy kasłała, spała bardzo mało, a kiedy zasnęła, śniło jej się, że ktoś wszedł do pokoju i pomalował wszystko na niebiesko. Ściany były niebieskie, podobnie sufit; zamiast dywanu na podłodze leżały kafelki, których błękit ożył w świetle wpadającym przez okno. Niebo również było niebieskie, tak samo jak liście drzew, które rodziły niebieskie owoce. Obudziła się zaniepokojona, rozejrzała

i zobaczyła te same co zawsze róże na tapecie i te same stare kremowe płócienne zasłony. Wysłała Jamesa do ogrodu po hiacynty. Następnie ułożyła je na parapecie wraz z fiołkami, które zasuszyła wczesną wiosną, i z gałązką lawendy, którą Will położył kiedyś na jej poduszce. Było jej gorąco, ale nie nieprzyjemnie; podczas gdy biły kościelne dzwony, ona odprawiła własny rytuał. Dotykała każdego kwiatu kciukiem i mówiła, śpiewnie i w kółko:

– Lazurowy, kobaltowy, indygo, błękit.

Nie potrafiła jednak później powiedzieć, co to miało oznaczać.

George Spencer

Hotel George

Colchester

1 kwietnia

Szanowny Panie Ambrose,

jak Pan widzi, piszę z adekwatnie nazwanego hotelu w Colchester, gdzie zatrzymałem się z Lukiem Garrettem, który, jak Pan zapewne pamięta, przedstawił nas sobie jesienią zeszłego roku podczas kolacji na Foulis Street, wydanej przez świętej pamięci Michaela Seaborne'a.

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan, iż ośmielam się pisać i prosić o radę. Podczas naszego spotkania rozmawialiśmy o ustawach Parlamentu mających poprawić warunki mieszkaniowe robotników. Jeśli mnie pamięć nie myli, był Pan rozczarowany wolnym tempem, w jakim te przepisy są wprowadzane w życie.

W ostatnich miesiącach miałem okazję bliżej poznać problemy mieszkaniowe Londynu, a w szczególności zaporowe komorne narzucane przez nieobecnych właścicieli kamienic. Rozumiem, że działalność towarzystw dobroczynnych (takich jak na przykład Peabody Trust) nabiera coraz większego znaczenia w walce z przeludnieniem, złymi warunkami mieszkaniowymi i bezdomnością.

Pragnę zrobić dobry użytek z funduszy Spencer Trust – wiem, że mój ojciec oczekiwał, iż pieniądze posłużą mi nie tylko do sfinansowania ekstrawaganckiego stylu życia – dlatego potrzebuję porady tych, którzy lepiej ode mnie wiedzą, jak mógłbym to uczynić. Wiem, że doskonale zna Pan ten problem, załączam jednak broszurę Londyńskiej Komisji Mieszkaniowej, w której znajdzie Pan stosowne informacje.

Zapoznałem się niedawno z propozycjami mającymi na celu poprawę obecnej sytuacji mieszkaniowej londyńskiej biedoty bez stawiania dodatkowych wymagań moralnych

przyszłym mieszkańcom. Chodzi o to, by skończyć z nagradzaniem „dobrych” bezpiecznymi i higienicznymi mieszkaniami, podczas gdy reszta dalej żyje w brudzie – lecz o to, by wyciągnąć bliźnich z nędzy, bez stawiania im dodatkowych warunków. Odwiedzę znowu Londyn za tydzień lub dwa – czy zechciałby Pan poświęcić chwilę na rozmowę? Doskonale zdaję sobie sprawę, że w tej kwestii, jak i w wielu innych, moja wiedza jest bardzo niepełna.  
Czekam na wieści od Pana.

Z poważaniem,  
GEORGE SPENCER

Cora Seaborne  
Gospoda Pod Czerwonym Lwem  
Colchester  
3 kwietnia

Droga Stello,  
czy to możliwe, że upłynął zaledwie tydzień od naszego spotkania? Mam wrażenie, że minął co najmniej miesiąc. Jeszcze raz dziękuję za gościnność i ciepło – chyba nigdy nie jadłam tak dobrze i z taką przyjemnością.  
Piszę z nadzieją, że da się Pani zaprosić do Colchester któregoś popołudnia. Chciałabym odwiedzić zamkowe muzeum i pomyślałam, że może dzieci też chciałyby pójść. Martha tak bardzo polubiła Joannę, że czuję się zazdrosna. Jest tu też ładny ogród z niebieskimi kwiatami, które Panią uradują.  
Załączam notatkę dla pastora, razem z broszurą, która powinna go zaciekawić...  
Z niecierpliwością czekam na list!

Najserdeczniej pozdrawiam,  
CORA

*DOSTARCZONE OSOBIŚCIE*

Drogi pastorze Ransome

Mam nadzieję, że miewa się Pan dobrze. Piszę, żeby podziękować za gościnność i ciepło. Tak się cieszę, że spotkaliśmy się w pomyślniejszych niż ostatnio okolicznościach.

Coś nad wyraz dziwnego przydarzyło mi się po naszym spotkaniu i chciałam natychmiast o tym opowiedzieć. Wybrałyśmy się do Saffron Walden, żeby spojrzeć na ratusz i odwiedzić muzeum. Miasteczko jest tak piękne, że może poprawić reputację Essex w oczach każdego: byłam prawie pewna, że wiatr niesie ulicami zapach szafranu. I jakież było moje zdziwienie, gdy w księgarni na rogu słonecznej ulicy znalazłam właśnie to (załączam) – faksymile oryginalnej broszury ostrzegającej przed latającym wężem. Rzecz nosi tytuł DZIWNE WIEŚCI Z ESSEX: prawdziwa relacja, ni mniej, ni więcej! Niejaki Miller Christy zadał sobie trud skopiowania całości, i za to winniśmy mu wdzięczność. Jest nawet ilustracja, ale przyznaję, że nikt nie wydaje się szczególnie wystraszony.

Proszę się go wystrzegać, dobrze? Ktoś, kto w pojedynkę nie poradził sobie z owcą, nie ma szans zatriumfować nad takim wrogiem.

Z poważaniem,  
CORA SEABORNE

William Ransome

Plebania kościoła Wszystkich Świętych

6 kwietnia

Droga Pani Seaborne,

dziękuję za broszurę, którą przeczytałem z pełnym rozbawieniem i zaciekawieniem i którą zwracam (obawiam się, że John wziął ją za kolorowaną, a James bawi się projektowaniem kuszy dla obrony domowników). Obiecuję na tyle solennie, na ile pozwala mi koloratka, że jeśli kiedykolwiek ujrzę potwornego węża o skrzydłach jak parasolki, kłapiącego dziobem na błoniach, złapię go w sieć rybacką i niezwłocznie Pani wyślę.

Miło było Panią spotkać. Często jestem w niedzielne poranki zdenerwowany, a dzięki Pani mogłem zapomnieć o kłopotach.

Czy długo zostanie Pani w Colchester? Zawsze jest Pani mile widziana w Aldwinter. Cracknell Panią polubił, podobnie jak my wszyscy.

Z chrześcijańską miłością,



II

BY POCZYNIĆ  
NAJLEPSZE  
STARANIA

KWIECIEŃ

W ostatnim tygodniu kwietnia, kiedy żywopłoty w Essex pokryły się białymi kwiatami trybuli i tarniny, Cora wprowadziła się z Marthą i Francisem do szarego domu stojącego nieopodal błoń Aldwinter. Zmęczyły ich Colchester i Czerwony Lew: Francis przeczytał wszystkie książki o przygodach Sherlocka Holmesa, jakie znalazł w bibliotece gospodarza (i pozaznaczał nieścisłości na czerwono, a zdarzenia nieprawdopodobne na zielono), a Corze znudziła się płynąca przez miasto uregulowana rzeczka, która mogła skrywać co najwyżej szczupaka.

Wspomnienie spotkania z Cracknellem – słony zapach kołnierza jego płaszcza i to, jak w ciemnym zakamarku kościoła przywołał obraz bestii z Blackwater – zburzyło jej spokój. Przeczuwała, że coś na nią czeka w Aldwinter, choć nie potrafiła powiedzieć, czy szuka żywych czy umarłych. Czula często, że poszukiwanie żywej skamieniałości (i do tego właśnie w ujściu rzeki w Essex!) jest dziecinne i naiwne, lecz skoro sam Charles Lyell dopuszczał możliwość istnienia gatunku, który przeżył zagładę, to i ona mogła. Czyż kraken nie był jedynie legendą, dopóki w Nowej Fundlandii morze nie wyrzuciło na brzeg gigantycznej ośmiornicy, którą sfotografował w cynowej balii wielebny Moses Harvey? Poza tym, przecież pod stopami miała glinę Essex, która mogła skrywać nieznanne sekrety czekające na odkrycie. Będzie spacerować w deszczu, brudzić płaszcz błotem i mówić: „Niby dlaczego nie ja i dlaczego nie tu: Mary Anning niczego się nie spodziewała, dopóki osuwająca się ziemia nie zabiła jej psa”.

Wiadomość o pustym szarym domu na błoniach przyszła od Stelli Ransome. Pojechała do Colchester po bele niebieskiego materiału i spotkawszy się z Corą, powiedziała:

– Może przyjedzie pani do Aldwinter, kiedy znudzi się pani miasto? Gainsforthowie od wielu miesięcy szukają lokatorów, lecz tylko osoba naprawdę ekstrawagancka chciałaby tu pośród nas zamieszkać! To dobry dom, z ogrodem, a lato już za pasem. Może pani zapłacić Banksowi, żeby zabrał



panią w rejs po ujściu. Nie znajdzie pani swojego węża na High Street! – Ujęła dłoń Cory i dodała: – A poza tym chcemy mieć was blisko siebie. Joanna Marthę, James Francisa, a wszyscy panią.

– Zawsze chciałam żeglować – stwierdziła Cora. Uśmiechnęła się i ujęła drobne dłonie Stelli. – Czy przedstawi mnie pani Gainsforthom i zareczy o moim dobrym charakterze? Dobry Boże, Stello, ma pani gorące dłonie. Proszę zdjąć płaszcz i powiedzieć, jak się pani czuje.

Francis słuchał rozmowy kobiet, siedząc pod stołem, co sobie ostatnio upodobał, i w pełni akceptował pomysł matki. Przeprowadzka do Colchester pozwoliła mu podbić nowe terytoria, lecz był już gotowy na więcej. Wyczerpał niewielki zasób skarbów, który oferowało miasto (jajo mewy, z którego zrobił wydmuszkę i zatrzymał, srebrny widelec, który Taylor pozwolił mu zabrać z ruin na High Street), i podzielał przekonanie matki, że na mokradłach Blackwater coś czeka. W ciągu tych kilku miesięcy, które upłynęły od śmierci ojca, stał się (tak to odczuwał) mniej więcej dorosły – ani Cora, ani Martha nie próbowały już go niańczyć i rozpieszczać, a on z pewnością nigdy o to nie prosił. Dawno już przestał pojawiać się nieproszony, w nocy lub nad ranem, i przyglądać się czujnie, stojąc w drzwiach lub w oknie – nie pamiętał, dlaczego to robił, wiedział tylko, że już tego nie potrzebuje. Dziś był za to samowystarczalny, milczał, zadowolony, i grzecznie znosił wizyty w Aldwinter. Synowie pastora traktowali go z przyjazną pogardą, która doskonale mu odpowiadała: przy okazji dwóch spotkań chłopcy włóczyli się po błoniach i zamienili ze sobą ledwie parę słów.

– Aldwinter – powiedział Francis, ważąc to słowo w ustach. – Aldwinter.

Podobały mu się te trzy sylaby, podobała mu się opadająca intonacja. Matka spojrzała na niego i odezwała się z ulgą:

– Podobałoby ci się tam, Frankie? Dobrze więc, postanowione.

Doktor Luke Garrett właśnie odsypiał nadmiar wina z zeszłej nocy, gdy zbudził go rwetes za oknem. Goniec przyniósł wiadomość i uparł się czekać w drzwiach na odpowiedź. Garrett rozłożył kartkę i przeczytał:

Sugeruję bezzwłoczną wizytę w szpitalu. Pacjent z raną kłutą z lewej strony nad czwartym zębem (policja powiadomiona). Rana o długości cala i jednej ósmej. Przechodzi przez mięsień międzyżebrowy do serca. Wstępne oględziny wykazały brak uszkodzenia mięśnia sercowego; rana osierdzia (?). Pacjent: mężczyzna, dwudziestoparolatek; przytomny, oddycha. Możliwa interwencja chirurgiczna, jeśli zaczniemy w ciągu godziny. Czekam na pańskie przybycie i będę stosownie przygotowana – Maureen Fry.

Garrett wydał z siebie taki ryk szczęścia, że chłopak, przestraszony, pożegnał się z nadzieją na napiwek i z powrotem wmieszał się w tłum. Siostra Maureen Fry jako jedyna spośród personelu szpitala (z wyjątkiem, oczywiście, Spencera) zawsze popierała Garretta, a on mógł jej ufać. Zmuszona porzucić marzenia o skalpeli i nici chirurgicznej, widziała w jego nieposkromionej, destrukcyjnej ambicji odbicie własnych pragnień. Jej wieloletni staż i wybitny intelekt w połączeniu z niewzruszonym spokojem stanowiącym broń przeciw arogancji mężczyzn sprawiły, że uważano, iż jest równie ważna dla szpitala, co jego ściany nośne. Garrett przywykł do jej pomocy na sali operacyjnej i do tego, że rozumieli się niemal bez słów. Podejrzewał też (choć nigdy nie miał dość pewności, by jej podziękować), że dzięki jej poparciu mógł podjąć się kilku operacji, które w innym wypadku uznano by za zbyt ryzykowne. A nie było operacji, która by niosła większe ryzyko niż ta właśnie – żadnemu chirurgowi nie udało się dotąd zamknąć rany serca. Karkołomność takiego zabiegu stała się wręcz legendarna, jak gdyby rzezona operacja była zadaniem wyznaczonym przez boginię, której nikt nie potrafił obłaskawić. Przed niespełna rokiem jeden z najbardziej obiecujących chirurgów w Edynburgu próbował usunąć kulę, która utkwiała w sercu żołnierza – pacjent zmarł na stole operacyjnym, a lekarz wrócił do siebie i zastrzelił się ze wstydu i żalu. (Celował, oczywiście, w serce,

był jednak tak roztrzęsiony, że spudłował i zmarł wskutek infekcji).

Luke Garrett o niczym takim nie myślał, kiedy stał na zalanym słońcem progu i przyciskał list do piersi.

– Niech was Bóg błogosławi! – ryknął w kierunku oszołomionych przechodniów, mając na myśli zarówno pacjenta, jak i pielęgniarkę, a także nożownika, który dał Garrettowi długo wyczekiwaną szansę. Włożył płaszcz – obmacał kieszenie – pieniądze przepił i nie miał nic na dorożkę. Rozradowany, pokonał biegiem milę dzielącą go od bram szpitala; po drodze strząsnął z siebie resztki ciężkiej nocy. Na miejscu okazało się, że go oczekują. Wejście do szpitala blokował starszy chirurg z twarzą okoloną brodą o kolorze i kształcie szpadla ogrodowego, który niemalże zaparł się rękami o framugę. Obok niego stał Spencer. Wyglądał na zaniepokojonego, co było dla niego dość typowe. Uniósł ręce w próbie załagodzenia sytuacji, jednocześnie pokazując Luke'owi notkę, którą ścisnął w rękę, również napisaną, jak Garrett z łatwością zauważył, przez siostrę Fry. Za Spencerem i starszym chirurgiem otworzyły się drzwi – tylko na chwilę, która jednakże wystarczyła, by Luke dostrzegł parę długich, chudych stóp wystających spod prześcieradła.

– Doktor Garrett – przywitał go chirurg, ciągnąc się za brodę. – Wiem, co panu chodzi po głowie, lecz nie może pan tego zrobić, po prostu nie.

– Nie mogę? – odpowiedział Luke tak łagodnie, że Spencer aż się cofnął, ewidentnie wystraszony. Wiedział, że jego przyjaciel nie ma w sobie ni krzty łagodności. – Jak on się nazywa?

– Obaj nie możecie, nie wolno wam. Jest z nim rodzina, pozwólcie mu odejść w spokoju. Wiedziałem! Wiedziałem, że ktoś po pana pośle! – Załamał ręce. – Nie pozwolę panu okryć hańbą szpitala. Przy pacjencie jest matka; nie przestaje mówić, odkąd się zjawiała.

Garrett zrobił krok do przodu, poczuł bijącą od chirurga woń starej cebuli i potu oraz znajomy odór jodyny.

– Jak on się nazywa, Rollings?

– Na nic panu jego nazwisko. Niech no ja się dowiem, kto po pana posłał... Nie wejdzie pan. Nie pozwolę panu. Nikomu jeszcze nie udało się zoperować rany serca tak, żeby pacjent przeżył, choć próbowali tego lepsi od pana. A to jest żywy człowiek, nie jeden z pańskich martwych preparatów. Proszę

pomyśleć o reputacji szpitala!

– Drogi panie Rollings – Garrett wypowiedział te słowa z tak wyszukaną uprzejmością, że Spencer wycofał się na bezpieczną odległość – nie powstrzyma mnie pan, choćby pan próbował. Zrzeknę się honorarium, jeśli mi pozwolą; a pozwolą, bo są zdesperowani. A poza tym, jeśli szpital Royal Borough ma jakąś reputację, to w całości zawdzięcza ją mnie!

Rollings wiercił się w progę, jak gdyby chciał szczelnie zasłonić ciałem wejście i zmienić się w stal. Poczzerwieniał zaś tak, że Spencer podszedł bliżej w obawie, że chirurg zemdleje.

– Nie mówię o przepisach – wycedził. – Tu chodzi o życie człowieka; to jest niewykonalne. Zrujnuje pan sobie reputację. To jest rana serca! Serca!

Garrett nie ruszył się z miejsca; w tym ciemnym korytarzu miało się wrażenie, że nie tyle urósł, co nabrał masy, zgęstniał; nie stracił panowania nad sobą, lecz czuło się buzującą w nim, z trudem kontrolowaną energię. Zrezygnowany Rollings oparł się o ścianę; wiedział, że został pokonany. Garrett rzucił mu niemal uprzejme spojrzenie, po czym szybko przeszedł do małego, lśniącego czystością pomieszczenia. Aseptyczne powietrze pachniało karbolem i olejkiem lawendowym z chusteczki, którą trzymała w dłoni kobieta usadowiona przy łóżku pacjenta. Co jakiś czas pochylała się i, jak gdyby powierzała mężczyźnie pod białym prześcieradłem jakąś tajemnicę, szeptała:

– Myślę, że nie zostaniesz tu długo, nie musimy jeszcze powiadamiać nikogo w pracy.

Maureen Fry, w sztywno wykrochmalonej sukni i cienkich gumowych rękawiczkach, stała przy oknie i ustawiała bawełniane żaluzje tak, aby wpuścić do pokoju ostatnie promienie słońca. Odwróciła się, by przywitać mężczyzn nieznacznym skinieniem głowy; nawet jeśli słyszała przepychankę przy drzwiach, nie dała tego po sobie poznać.

– Doktorze Garrett, doktorze Spencer, dzień dobry. Proszę się spokojnie przygotować do badania. Pacjent czuje się dobrze.

Podawała Spencerowi kartę z zapisem słabnącego pulsu i rosnącej temperatury ciała chorego. Ani Garrett, ani Spencer nie dali się nabrać na słowa, które miały na celu ukrycie prawdy przed matką pacjenta – mężczyzna bynajmniej nie czuł się dobrze i zapewne nigdy już się tak nie poczuje.

– Nazywa się Edward Burton – powiedziała. – Dwadzieścia dziewięć lat, zdrowy, urzędnik w towarzystwie ubezpieczeń Prudential. W drodze do domu w Bethnal Green został zaatakowany przez nieznanego, znaleziono go na stopniach katedry Świętego Pawła.

– Edward Burton – powtórzył Luke i spojrzał na mężczyznę.

Był tak wątłej budowy, że niemal nie dało się dostrzec konturu jego ciała pod prześcieradłem, za to tak wysoki, że wystawały spod niego stopy i ramiona. Miał ostro zarysowane obojczyki, między którymi w widoczny sposób drgało gardło. *Połknął śmę* – pomyślał Spencer i poczuł mdłości. Policzki pacjenta, wydatne i usiane czarnymi pieprzykami, były mocno zaczerwienione. Dość wcześnie zaczął łysieć, a na jego wysokim bladym czole lśniły krople potu. Mógł mieć dwadzieścia lat, lecz równie dobrze – pięćdziesiąt; zapewne nigdy nie wyglądał piękniej niż w tym momencie. Był przytomny i sprawiał wrażenie bardzo skupionego, jak gdyby wydychanie powietrza było umiejętnością, którą doskonalił przez lata. Uważnie przysłuchiwał się matce, by coś wtrącić; gdy umilkła, niespodziewanie powiedział coś o krukach i gawronach.

– Jeszcze kilka godzin temu czuł się dobrze – wyjaśniła matka przepraszającym tonem, jakby było jej przykro, że nie widzą jej syna w najlepszej kondycji i odejdą zawiedzeni. – Założyli mu opatrunek. Może pani pokazać?

Siostra uniosła chude ramię mężczyzny, a potem prześcieradło. Spencer zobaczył duży kwadratowy plaster – został przyklejony nad lewą brodawką i zasłaniał kilka cali ciała poniżej. Nie dało się dostrzec krwi ani ropy: wyglądało to tak, jak gdyby założono opatrunek, kiedy ranny spał.

– Czuł się dobrze, kiedy go przywieźli – powtórzyła matka. – Rozmawiał. Trochę go pozszywali. Nie było dużo krwi, w ogóle niczego nie było. Położyli go tutaj, z dala od wszystkich, i chyba o nas zapomnieli. A on jest po prostu zmęczony. Dlaczego nikt nie przyszedł? Dlaczego nie mogę go zabrać do domu?

Luke powiedział łagodnie:

– On umiera. – Pozwolił ostatniemu słowu zawisnąć w powietrzu, żeby sprawdzić, czy dotrze do kobiety, lecz ona tylko uśmiechnęła się niepewnie, jak gdyby usłyszała żart w złym guście. Ukucnął przy jej krześle, lekko dotknął jej dłoni i dodał: – Pani Burton, on umrze. Rano już go nie będzie.

Spencer, który wiedział, jak długo Luke czekał na taką ranę – widział też psy i zwłoki, które ten rozcinał i badał, a raz nawet pozwolił mu zakładać i zdejmować szwy na własnej ranie, dla wprawy – przyglądał się cierpliwości, jaką okazywał jego przyjaciel, z zaskoczeniem i miłością.

– Nonsens! – zaprotestowała kobieta i usłyszeli, jak między jej palcami drze się chusteczka. – Nonsens! Spójrzcie na niego! Musi to tylko odespać!

– Ma ranę serca. Krwawienie jest w środku, tutaj. – Garrett uderzył się w pierś. – Jego serce słabnie. – Poszukał słów, które mogłaby zrozumieć, i powiedział: – Będzie słabnąć coraz bardziej, jak zwierzę wykrwawiające się w lesie, aż w końcu się zatrzyma i nie będzie już w nim krwi, a wszystkie narządy, mózg i płuca, zostaną zagłodzone.

– Edward... – powiedziała kobieta.

Luke spostrzegł, że ciosy wreszcie ją dosięgły i być może osłabiły. Położył dłoń na jej ramieniu i dodał:

– Chcę powiedzieć, że on umrze, chyba że pozwoli pani, bym mu pomógł.

Przez chwilę opierała się prawdzie, potem zaczęła płakać. Cichym głosem, a jednak z pewnością i opanowaniem w obliczu płaczu, których Spencer dotąd u niego nie widział, Luke mówił:

– Jest pani jego matką, sprowadziła go pani na ten świat i może go pani na nim zatrzymać. Czy pozwoli mi pani operować? Jestem... – wiara w możliwość powodzenia walczyły w nim z uczciwością i osiągnęły trudną równowagę – ...jestem bardzo dobry, najlepszy, i zrobię to za darmo. Nigdy nie przeprowadzono takiej operacji i powiedzą pani, że tego się zrobić nie da, lecz zawsze jest ten pierwszy raz, na wszystko przychodzi czas, a teraz czas liczy się najbardziej. Wiem, że chce pani, żebym złożył obietnicę; nie mogę tego uczynić, ale proszę mi chociaż zaufać.

Za drzwiami dało się słyszeć zamieszanie. Spencer podejrzewał, że to Rollings powiadomił administrację szpitala, oparł się więc o drzwi i złączył ramiona. Wymienił z siostrą spojrzenia, które mówiły: „Zapuszczamy się na niebezpieczne wody”. Odgłosy ucichły. Kobieta, ciężko oddychając, spytała:

– Co mu pan zrobi?

– To naprawdę nic takiego – odparł Luke. – Jego serce spoczywa w takiej torbie, jak dziecko w łonie. Tam właśnie jest rana. Widziałem ją; czy mógłbym

pani pokazać? Racja, może jednak lepiej nie. Rana jest właśnie tam, nie większa niż mały palec. Zaszyję ją, krwawienie ustanie, a on wyzdrowieje... prawdopodobnie. Ale jeśli nic nie zrobimy... – Rozłożył ręce w geście rozpacz.

– Czy będzie go bolało?

– Nawet się o tym nie dowie.

Kobieta zaczęła składać się w całość, kawałek po kawałku, poczynając od stóp, które rozstawiła nieco szerzej na podłodze, a kończąc na włosach, które odgarnęła z twarzy, jak gdyby chciała pokazać na nowo odnalezioną determinację.

– Dobrze – powiedziała. – Proszę robić, co pan uważa. Ja idę do domu.

Nie spojrzała na syna, złapała go tylko za stopę, kiedy przechodziła koło łóżka. Spencer wyszedł razem z nią, żeby zrobić to, co zwykle: pocieszać, uspokajać oraz – z pomocą władzy, którą dawał mu majątek – chronić przyjaciela przed konsekwencjami jego czynów.

Garrett tymczasem pochylił się nad łóżkiem i powiedział energicznie:

– Za chwilę zapadnie pan w głęboki sen. Jest pan zmęczony? Myślę, że tak. – Następnie ujął dłoń pacjenta i nieco niezręcznie się przedstawił: – Nazywam się Luke Garrett; mam nadzieję, że będzie pan pamiętał moje nazwisko, kiedy się pan obudzi.

– Jeden gawron to kruk – powiedział Edward Burton – lecz dwa kruki to gawrony.

– Konfuzja jest w tej sytuacji całkiem normalna – zauważył Garrett i opuścił dłoń mężczyzny z powrotem na białe prześcieradło. Zwrócił się w stronę siostry Fry. – Czy może pani asystować? – zapytał jedynie dla formalności, bo było nie do pomyślenia, by pielęgniarka odmówiła. Skinęła głową, a w jej bezgłośniejszej odpowiedzi kryła się taka pewność co do kompetencji Garretta, że jego puls, który jeszcze się nie ustabilizował po biegu do szpitala, zaczął zwalniać.

Gdy razem ze Spencerem weszli do sali operacyjnej, z dłońmi obolałymi od szorowania, jej obrońcy zdążyli odejść. Edward Burton leżał wysoko na łóżku, wpatrzony w siostrę Fry, która przebrała się już w świeży kitel i wprawnymi, monotonnymi ruchami wyjmowała instrumenty i butelki z szafki i układała je na metalowych tacach.

Spencer chciałby móc wyjaśnić pacjentowi, co go czeka – że chloroform

działa powoli i wywołuje mdłości, ale że nie powinien próbować zdejmować maski, bo obudzi się (czy się obudzi?) w swoim czasie, z krtanią obolałą od tuby, przez którą płynął eter. Jednak Garrett potrzebował ciszy i zarówno Spencer, jak i pielęgniarka nauczyli się odgadywać, czego mu trzeba, na podstawie skinień i dotyku oraz kierunku, w którym jego czarne oczy patrzyły znad białej maski.

Kiedy pacjent znieruchomiał, z gumową tubą w ustach, która wygięła jego dolną wargę w grymas, Garrett zdjął opatrunek i zbadał ranę. Napięcie skóry sprawiło, że rana ułożyła się w kształt ślepego oka. Burton miał tak mało tkanki tłuszczowej, że spod rozciętej skóry i mięśni wyzierała biało-szara kość żebra. Nacięcie było za małe, Garrett przemył więc skórę jodyną i powiększył je skalpelem, o cal z każdej strony. Dzięki pomocy Spencera i Fry, którzy osuszali i przemywali ranę, odsłaniając widok, Garrett zauważył, że trzeba będzie najpierw usunąć fragment żebra, które blokowało dostęp do serca. Piłką Giglego (której użył kiedyś, by amputować dziewczynie zmiażdżony palec u nogi, mimo jej protestów, że nie będzie mogła tańczyć w sandałach, gdy zostaną jej tylko cztery palce) skrócił żebro o cztery cale i włożył odcięty fragment do pojemnika.

Następnie za pomocą stalowych haków chirurgicznych, które nie wyglądałyby nie na miejscu w rękach inżyniera kolejowego, rozwarł jamę ciała i zajrzał do środka. *Ależ tam ciasno* – pomyślał Spencer, którego jak zawsze ujęły jasność i piękno ludzkich narządów. Czerwień i purpurowy błękit przypominające fakturą marmur, niewielkie skupiska żółtego tłuszczu – to nie były kolory natury. Raz czy dwa mięśnie wokół otwartej jamy ciała napięły się jak usta rozciągnięte podczas ziewania.

I wreszcie serce – bijące w gładkim worku osierdziowym, którego rana wydawała się tak niepozorna. Garrett utrzymywał, że uszkodzone jest tylko osierdzie, że nóż nie wszedł głębiej, i wierzył, że nie kłamał, a teraz przekonał się namacalnie, iż się nie mylił. Komory i zastawki były nienaruszone; odetchnął z ulgą.

Spencer patrzył, jak Luke wsunął dłoń – nadgarstek lekko zgięty, palce podkurczone – i wziął serce w dłoń na tyle, na ile się dało, żeby je zbadać, gdyż – jak zawsze mówił, nawet w przypadku nieboszczyków – był to bardzo intymny i zmysłowy akt, a dotykiem widział równie dużo co oczami. Lewą



dłonią unieruchomił serce, a prawą wziął od Fry zakrzywioną igłę z nawleczoną nicią chirurgiczną tak cienką, że nadałaby się do zszywania jedwabiu sukni ślubnej.

Dużo później Spencera często zatrzymywano w szpitalnych salach i na korytarzach i pytano: „Ile trwała operacja? Ile założono szwów?”, on zaś odpowiadał: „Tysiąc godzin i tysiąc szwów”, choć w rzeczywistości wydawało mu się, że ledwie zdążył wziąć wdech i wydech, a już słyszał odgłos wyciągania haków i towarzyszące mu pląsnięcie – to zamknęły się mięśnie dokoła otwartej jamy; pozostało teraz tylko zszyć skórę nad pustym miejscem, gdzie wcześniej było usunięte żebro.

Potem spędzili przy pacjencie długą godzinę; opioidy zastąpiły chloroform, założono opatrunki i nerwowo sprawdzano, czy nie ma krwawienia. Siostra Maureen Fry, wyprostowana i o żywych oczach, jakby gotowa była powtórzyć operację (i to nie raz), podała im wodę, której Spencer nie mógł tknąć, za to Luke wypił tak dużo, że aż go zemdliło. Za drzwiami kręcili się jacyś ludzie, liczący na triumf lub porażkę, bądź jedno i drugie, ponieważ jednak nie zobaczyli i nie usłyszeli nic, odeszli zawiedzeni.

Pod koniec drugiej godziny Edward Burton otworzył oczy i głośno powiedział:

– Byłem koło katedry Świętego Pawła i zastanawiałem się, jak to możliwe, że taki kolos się nie zawali. – Po czym dodał ciszej: – Boli mnie gardło.

Obeznanym z tętnem życia kolory na policzkach pacjenta i próba uniesienia przezeń głowy mówiły nie mniej niż zapis pulsu i temperatury ciała. Słońce już zaszło; Edward Burton doczeka wschodu.

Garrett odwrócił się i wyszedł, a znalazłszy jedną z szafek, gdzie trzymano pościel, ukucnął na dłuższy czas w ciemności. Ogarnęły go tak silne i gwałtowne dreszcze, że udało mu się powstrzymać ciało przed rzuceniem się na zamknięte drzwi tylko dzięki temu, iż ze swych ramion uformował kaftan bezpieczeństwa. Drżenie ustało, a z oczu Luke'a popłynęły łzy.

William Ransome, spacerujący bez płaszcza po błoniach, zauważył idącą w jego stronę Corę. Rozpoznał swojego gościa z daleka: stawiała kroki jak chłopak i ciągle przystawała, żeby przyjrzeć się czemuś w trawie albo włożyć coś do kieszeni. Zachodzące słońce rozświetlało jej rozpuszczone włosy, które opadały swobodnie na ramiona; zauważyła go, uśmiechnęła się i podniosła rękę.

– Dobry wieczór, pani Seaborne – powiedział.

– Dobry wieczór, pastorze – odpowiedziała Cora. Przystanęli, uśmiechnęli się i w ogóle nie wzięli tego powitania na poważnie, jak gdyby byli starymi znajomymi, którzy mają takie formalności za absurd.

– Gdzie pani była? – zapytał, spostrzegłszy, że musiała przejść wiele mil: płaszcz miała rozpięty, bluzkę wilgotną przy kołnierzyku i pobrudzoną mchem, a w dłoni trzymała łądygę trybuli.

– Nie mam pewności; mieszkam w Aldwinter dopiero dwa tygodnie i wszystko tu nadal jest dla mnie zagadką! Wiem na pewno, że szłam na zachód. Kupiłam trochę mleka, w życiu nie piłam lepszego, wtargnęłam na teren eleganckiej posesji i przestraszyłam bażanty. Słońce spaliło mi nos: proszę spojrzeć! A później potknęłam się, przechodząc przez ogrodzenie, i obtarłam kolano.

– Myślę, że była pani w Conyngford Hall. – Will nie zareagował na jej skargi. – Widziała pani wieżyczki i smutnego pawia w klatce? Ma pani szczęście, że nie wzięli pani za kłusownika i nie zastrzelili.

– Zły pan? Szkoda, że nie uwolniłam tego pawia.

Przyjrzała mu się uważnie. Zupełnie nie wyglądał na pastora: nosił luźną koszulę z brudnymi mankietami, pod paznokciami miał ziemię. Twarz, gładko ogoloną w niedzielę, pokrywał kilkudniowy zarost, a na bliźnie po kopnięciu owcy nie rosły włosy.

– Najgorszy! – odparł. – Wystarczy złapać zająca na jego ziemi, a rano już się stoi przed sędzią.

Z łatwością zrównali krok. Will pomyślał, że ich nogi muszą być tej samej długości, są tego samego wzrostu, może mają podobny zasięg ramion. Płatki kwiatów wiśni dryfowały w nieruchomym powietrzu. Cora czuła w sobie nadmiar rzeczy, które mogła zaoferować, i nie była w stanie się powstrzymać.

– Dosłownie przed chwilą widziałam na ścieżce zająca – powiedziała. – Przystanął i spojrzał na mnie. Zapomniałam już, jakiego koloru futro mają te zwierzęta, jak świeżo łuskane migdały, jak silne są ich tylne nogi i jakie są wysokie, gdy skaczą przez pola, jak gdyby nagle coś im się przypomniało! – Zerknęła na Willa, zastanawiając się, czy ktoś, kto mieszka na wsi, nie uzna jej zachwyty za dziecinny (nie, nie uznał: uśmiechnął się i pochylił głowę). – Widziałam też ziębę – dodała – i coś żółtego, chyba czyżyka. Zna się pan na ptakach? Ja nie. Wszędzie otwierają się żółędzie i wypuszczają korzenie i pędy, tam gdzie gniją zeszłoroczne liście, z ziemi wzbija się coś białego, wypuszcza listki! Jak to możliwe, że wcześniej tego nie widziałam? Szkoda, że nie zabrałam jednego żółędzia ze sobą, żeby panu pokazać.

Skonfundowany spojrzał na jej wyciągniętą, pustą dłoń. Jakąż niezwykłą musiała być osobą, żeby zauważyć to wszystko i chcieć mu o tym opowiedzieć; nie pasowało to do kobiety, której męski płaszcz nie mógł ukryć koszuli z najlepszego jedwabiu, perłowych sprzączek ani diamentu na palcu.

– Nie znam się na ptakach tak dobrze, jak bym chciał – odparł – choć wiem, że sikora modra nosi maskę rozbójnika, a sikora bogatka czarny biret sędziego, który go powiesi.

Roześmiała się, a on powiedział niepewnie:

– Chciałbym, żeby mówiła mi pani po imieniu. Dobrze? Pan Ransome to mój ojciec.

– Jeśli chcesz – zgodziła się. – Williamie. Willu.

– A słyszała pani dzięcioły? Ja zawsze ich nasłuchuję. Odnalazła pani Węza z Essex? Czy przychodzi pani oswobodzić nas z oków strachu?

– Ani śladu! – westchnęła z rezygnacją Cora. – Nawet Cracknell się cieszy, gdy o tym wspominam. Pewnie poinformowałaś bestię, że przyjeżdżam, dałaś jej reprimendę i wysłałaś do Suffolk.

– Ach nie – odparł Will. – Zapewniam, że plotki nie ucichły! Cracknell może sobie zgrywać bohatera przed damą, ale nie odchodzi od okna bez świecy.

A biedną Magog trzyma w zamknięciu, aż przestała dawać mleko.

Uśmiechnęła się, a on dodał:

– Co więcej: albo ludzie w St Osyth nie pilnują swoich trzód, albo coś porwało dwa cielęta i ślad po nich zagał. – *To raczej kradzież* – pomyślał – *ale niech sobie pofantazjuje.*

– Brzmi obiecująco. Żadnej nadziei na kolejnego topielca? – zapytała ponuro.

– Żadnej, pani Seaborne. Coro? Przykro mi, że cię rozczarowałem. Chciałbym cię jednak zapytać: dokąd to szłaś?

Doszli właśnie, choć się nie umawiali, do bramy plebanii. Za nimi, na błoniach, kładł się cień Dębu Zdrajcy, przed nimi zaś, pomiędzy niebieskimi hiacyntami, wiła się ścieżka. Kwiaty pachniały tak intensywnie, że Corze zakręciło się w głowie; aromat był wręcz nieprzyzwoity, wywołał w niej coś na kształt niechcianego pożądania i przyspieszył puls.

– Dokąd szłam? – Spojrzała na swoje stopy, jak gdyby niosły ją same. – Chyba zmierzałam do domu.

– A czy musisz? Nie wstąpisz na chwilę? Dzieci nie ma, a Stella bardzo się ucieszy na twój widok.

Miał rację – drzwi się otworzyły, zanim zdążyli zapukać, jak gdyby już ich oczekiwano, i w progu stanęła Stella; w ciemnym korytarzu jej kolory zdawały się jeszcze intensywniejsze: rozpuszczone srebrne włosy, błyszczące oczy.

– Pani Seaborne, cóż za zbieg okoliczności – powiedziała. – Rozmawialiśmy o pani przy śniadaniu, prawda? Mieliśmy nadzieję, że niedługo nas pani odwiedzi! Williamie Ransomie, nie każ naszemu gościowi stać w progu, wprowadź panią do środka, posadź. Czy pani już jadła? Może herbaty?

– Zawsze mogę zjeść więcej – odparła Cora – zawsze!

Zobaczyła, jak Will nachyla się, by pocałować żonę, jak lekko jego palce prześlizgnęły się po delikatnych jasnych lokach nad jej uszami, i ujęła ją ich czułość („Wypełnię twoje rany złotem”, powiedział Michael i jeden po drugim wyrwał jej włosy nad karkiem, pozostawiając łyse miejsce wielkości jednopensówki).

Chwilę później, w jasnym pokoju, raczyli się ciastem i podziwiali żonkile na stole.

– Jak się miewa Katherine? A Charles?

Apetyt na życie innych czynił ze Stelli wdzięczną towarzyszkę, gdyż chciała tylko słuchać historii i nie trzeba ich było upiększać.

– Oboje są oburzeni, że pani tutaj przebywa. Charles odgraża się, że przyśle skrzynkę francuskiego wina, i jest przekonany, że wytrzyma tu pani najwyżej miesiąc.

– Charles jest zbyt zajęty, żeby myśleć o winie, nawet francuskim, bo został filantropem!

Will uniósł brwi i dopił herbatę. Brzmiało to niedorzecznie; owszem, Charles miał dobre serce, lecz oddawał się głównie pogoni za własnym szczęściem oraz – ponieważ uważał, że nie wymaga to wiele wysiłku – uszczęśliwianiu przyjaciół. Myśl, że miałyby próbować ulżyć tym, których nazywał, ku powszechnemu oburzeniu, „niemytymi masami”, była w istocie zaskakująca.

– Charles Ambrose? – zapytał. – Przepadam za nim, ale jego bardziej obchodzi krój koszul niż sprawy społeczne!

– To prawda! – odparła, śmiejąc się, Cora. (Chętnie stanęłaby w obronie Charlesa, wiedziała jednak, że gdyby usłyszała ich rozmowę, drzemiąc w swoim fotelu w klubie Garrick, roześmiałyby się i zgodził z każdym słowem). – To wszystko sprawka Marthy. – Odwróciła się do Stelli. – Martha jest socjalistką. Czasem myślę, że wszyscy powinniśmy być socjalistami, jeśli mamy choć odrobinę rozsądku, lecz dla Marthy to po prostu codzienność, jak jutrznia i wieczorne nabożeństwo dla pastora. Sytuacja mieszkaniowa w Londynie to jej konik (prawdę mówiąc, ma ich tyle, że mogłaby założyć stadninę), robotnicy są skazani na slumsy, jeśli nie udowodnią, że zasługują na dach nad głową, tymczasem właściciele pławią się w luksusie i grzechu, a parlamentarzyści siedzą na miękkich poduszkach wypchanych ich pieniędzmi. Wychowała się w Whitechapel, jej ojciec był robotnikiem i dobrym człowiekiem i żyło im się dość wygodnie; nie zapomniała jednak, co widziała tuż za progiem. Jak pisały gazety rok lub dwa lata temu: „Londyn poza nawiasem!”. Pamiętacie? Czytaliście?

Jasne było, że nie czytali, a Cora – która całkiem zapomniała, że nie jest w Bayswater ani w Knightsbridge i że coś, o czym Londyn rozprawia miesiącami, rzadko kiedy dociera daleko od Tamizy – rzuciła im krytyczne spojrzenie.

– Może znam to tak dobrze za sprawą Marthy, która mogłaby ten artykuł

wyrecytować z pamięci. Tak często go drukowano i przedrukowywano kilka lat temu, że tylko czekaliśmy, aż ktoś w niego owinie rybę z frytkami.

– I co tam takiego pisano? – zapytała Stella. „Londyn poza nawiasem!”. Sformułowanie to obudziło w niej pokłady litości.

– Artykuł napisany przez kilku duchownych: *Gorzkie łyzy Londynu poza nawiasem*. Trudno było o nim zapomnieć. Sądziłam, że znam miasto od najlepszej i najgorszej strony, ale czegoś takiego się nie spodziewałam. Rodzice mieszkają w jednej piwnicy z dziećmi i ze świniami. Sekcję zwłok niemowlęcia przeprowadza się na stole, bo w kostnicy nie ma miejsca! Kobiety po siedemnaście godzin dziennie przyszywają guziki i robią dziurki, bez przerwy na jedzenie, a zarabiają tak mało, że ciągle marzną, równie dobrze więc mogłyby szyć sobie całun. Pamiętam, że Martha przez kilka lat nie chciała kupować nowych ubrań; mówiła, że nie będzie pasożytować na cierpieniu swoich sióstr!

Oczy Stelli wypełniły się łzami.

– Jak mogliśmy o tym nie słyszeć? Will, czy twoim obowiązkiem nie jest wiedzieć o wszystkim i nieść pomoc?

Cora zauważyła zakłopotanie Willa i gdyby nikt nie patrzył, może nawet chciałaby go pognębić, z wrodzonej złośliwości lub w imię zasad. Lecz upokorzenie mężczyzny w obecności żony niczemu nie służyło, powiedziała więc tylko:

– Nie chciałam państwa martwić! Publikacja odniosła skutek: usłyszano wołanie o pomoc i zaczęło się wyburzanie slumsów, choć ponoć to, co je zastąpiło, wcale nie jest lepsze. Martha trzyma rękę na pulsie. Pomaga jej nasz przyjaciel Spencer, nieprzyzwoicie bogaty, który z kolei zwerbował Charlesa. Powstała nawet specjalna komisja. Cóż, mam nadzieję, że zdziałają wiele dobrego.

– Też mam taką nadzieję, tak! – przytaknęła Stella. Ku zmartwieniu Cory przetarła oczy i powiedziała: – Nagle poczułam się zmęczona. Coro, wybaczysz mi, jeśli pójdę się położyć? Grypa nie daje mi spokoju; pomyślisz pewnie, że jestem bardzo wątpa, lecz do ostatniej zimy praktycznie nie spędziłam dnia w łóżku, nawet po porodzie.

Wstała, jej gość również. Cora pocałowała ją i poczuła, że jej wilgotny

policzek jest rozpalony.

– Nie dopiłaś jeszcze herbaty. Wiem, że Will chce ci coś pokazać, może więc zostaniesz jeszcze trochę? Will, bądź gospodarzem! Może – uśmiechnęła się, pokazując im dołki w policzkach – moglibyście porozmawiać o kazaniu, które Will przygotowuje, a Cora wydałaby werdykt?

Cora się roześmiała i powiedziała, że nie czuje się wystarczająco kompetentna, by to uczynić. Will odpowiedział śmiechem i zapewnił ją, że w żadnym razie nie zamierza jej męczyć.

Za Stellą zamknęły się drzwi – słyszeli jej kroki na schodach – i wydało się im, że z jej wyjściem coś się zmieniło. W pewnym sensie, choć nie do końca, można było powiedzieć, że pokój wydał się mniejszy, a światło cieplejsze – choć tak oczywiście było, bo słońce schodziło coraz niżej i żółte kwiaty na stole wyglądały, jak gdyby płonęły. Doświadczyli jednak swoistego poczucia wolności, powróciła swoboda, którą czuli, gdy szli razem przez błonia. Will był też nieco zasmucony; wiedział, że Cora nawet przez chwilę nie chciała, by miał się za głupca, lecz tak się właśnie stało. Jedno jej spojrzenie wystarczyło, by poczuł się upomniany, i to słusznie – jak mogło dojść do tego, że jego sumienie nie wykraczało poza granice parafii?

– Łaska – powiedział nagle. – W niedzielę będę mówił o łasce, która jest pewnego rodzaju darem. O dobru i miłosierdziu, niezasłużonych i niespodziewanych.

– Nada się na kazanie – zgodziła się. – Więcej nie trzeba. Niech wrócą do domu wcześniej, pójdą na spacer do lasu i tam znajdą Boga.

Will sam właśnie w ten sposób najbardziej lubił wielbić Stwórcę, więc jego irytacja natychmiast zniknęła. Usiadł na fotelu i gestem pokazał Corze, żeby zrobiła to samo.

– Co chciałeś mi pokazać? – W obecności Stelli Cora siedziała jak dama: elegancko, ze skrzyżowanymi w kostkach stopami pod spódnicą; teraz zwinęła się w rogu kanapy, oparła ramię na podłokietniku, a brodę podparła dłonią.

– Stella niepotrzebnie o tym wspomniała. To nic takiego, znalazłem to w zeszłym tygodniu na słonych mokradłach i włożyłem do kieszeni; pomyślałem, że cię zainteresuje. Chodź ze mną!

Nie pomyślał, że nikt z wyjątkiem Stelli nie miał wstępu do gabinetu, że

pokój nie był ani czysty, ani porządnym, i że wystarczyło rzucić okiem na piętrzące się w nim stosy książek i papierów, by zajrzeć w głąb umysłu gospodarza. Nawet dzieciom nie wolno było tu wchodzić, chyba że je zaprosił, a robił to tylko po to, by je uczyć lub dać reprimendę; czułby się mniej odsłonięty, gdyby sobie ulżył pod Dębem Zdrajcy w samo południe, niż gdyby pozwolił komuś przekroczyć próg swego gabinetu. Jednak nic takiego nie przyszło mu do głowy, gdy otwierał drzwi i odsuwał się, by puścić Corę przodem. Nie przeszkadzało mu, że od razu zainteresowała się biurkiem, i że na wierzchu, pomiędzy innymi papierami, wciąż leżał list od niej, poprzecierany na zgięciach od częstego otwierania.

– Siadaj, proszę. – Wskazał jej skórzany fotel, który należał niegdyś do jego ojca; usiadła, rozkładając spódnicę. Sięgnął na półkę z książkami i zdjął z niej białe papierowe zawiniątko, które położył na biurku i bardzo ostrożnie rozwinął. Ukazała się jasna grudka, nie większa niż piąstka dziecka.

W jej wnętrzu zatopionych było kilka czarnych, podziurawionych odłamków, jak gdyby ktoś stłukł talerz, a fragmenty zatopił w glinie. Will uniósł znalezisko i pokazał Corze, kucając przy jej fotelu; spojrzała w dół i zobaczyła czubek jego głowy z płataniną kręconych włosów i kilkoma siwymi nitkami, grubymi i lśnącymi jak drut.

– To pewnie nic takiego – powiedział. – Odłamało się od przybrzeżnych skał przy strumieniach; często tam chodzę i nigdy czegoś takiego nie widziałem, choć prawdę mówiąc, zanim przyjechałaś, nie zwracałem uwagi na takie rzeczy! Jak sądzisz, może powinniśmy skontaktować się z muzeum w Colchester i ofiarować eksponat do ich zbiorów?

Cora nie była pewna: znała amonity i kamienie ropusze, znała szokującą biel zęba rekina przebijającego grudkę gliny, znała krągłe i kolczaste jeżowce i ułożone w wachlarz żebra trylobitów, była też przekonana, że kiedyś w Lyme Regis natrafiła na warstwę skały, która skrywała kości małego kręgowca. Przyswoiła sobie jednak pokorę uczonych: im więcej wiedziała, tym wiedziała mniej. Will zgiął dłoń – grudka potoczyła się w jej wnętrzu – kawałek gliny oderwał się, przeslizgnął między palcami i spadł na podłogę.

– Zatem – zagadnął – jak brzmi opinia eksperta?

Wyglądał na zarazem rozentuzjasmowanego i onieśmiałego, jak gdyby miał pewność, że nie może jej pokazać nic, czego by już nie znała, lecz zarazem



liczył na to, że jest inaczej. Paznokciem kciuka przeciągnęła po czarnej powierzchni: kamień był gładki i nagrzał się w jego dłoni.

– Zastanawiam się – odparła, wdzięczna, że taka myśl przysła jej do głowy – czy to nie rodzaj homara... nigdy nie pamiętam jego nazwy!... *Hoplopria*, właśnie. Nie umiem określić jego wieku, ale myślę, że ma kilka milionów lat. (Czy on odeprze jej teorię pogadanką o tym, że Ziemia nie zdążyła jeszcze ostygnąć od chwili stworzenia?)

– Nie może być! – odparł, wyraźnie zachwycony, choć próbował to ukryć. – Nie może być! Cóż, skoro pani tak uważa, pani Seaborne... chylę czoła przed pani wiedzą.

W istocie uklonił się, trzymając w dłoni rozpadający się kawałek gliny, który następnie położył na kominku z czią, która tylko po części była kpiną.

– Powiedz mi, Will... – zagaiła, zmieniając temat. – Jak tutaj trafiłeś?

Mówiła z uprzejmą wyższością, jak mało znaczący członek rodziny królewskiej witający lokalnych dygnitarzy na ceremonii otwarcia biblioteki; oboje wychwycili ten ton i się uśmiechnęli.

– Tutaj, to znaczy...? – zapytał i ogarnął spojrzeniem odsłonięte okno z widokiem na trawnik, pojemnik z ciekącymi piórami oraz kilka rysunków urządzeń mechanicznych, których jedynym zadaniem zdawało się obracanie się bez końca.

– Tutaj! Czyli do Aldwinter! Powinieneś być gdzie indziej: w Manchesterze, Londynie, Birmingham, a nie pięćdziesiąt kroków od wiejskiego kościoła, w okolicy pozbawionej jakiegokolwiek godnego partnera do rozmowy! Gdybym spotkała cię gdzie indziej, wzięłabym cię za prawnika, inżyniera lub ministra. Jak to było: przyrzekłeś zostać duchownym w dzieciństwie, jako piętnastolatek, i bałeś się zmienić zdanie z obawy, że razi cię grom z jasnego nieba?

Will, oparty o parapet, przyjrzał się swemu gościowi i zmarszczył brwi.

– Czy naprawdę jestem aż tak interesujący? Nigdy wcześniej nie spotkałaś duchownego?

– Wybacz. Nie chciałam cię urazić – odparła Cora. – Spotkałam w życiu więcej duchownych, niż jestem w stanie spamiętać, ale ty mnie zadziwiasz. To wszystko.

W staranny sposób wzruszył ramionami.

– Jest pani solipsystką, pani Seaborne. Czy naprawdę nie potrafi sobie pani wyobrazić, że ktoś może obrać inną ścieżkę niż pani i kroczyć nią z zadowoleniem?

*Nie* – pomyślała. *Nie, nie potrafię.*

– Nie jestem człowiekiem nietypowym ani ciekawym. Jeśli tak myślisz, jesteś w błędzie. Przez jakiś czas chciałem zostać inżynierem i wielbiłem Pritcharda i Brunela, raz uciekłem ze szkoły i pojechałem pociągiem, żeby zobaczyć most Iron Bridge, i zrobiłem rysunki nitów i zastrzałów; siedziałem znudzony na lekcjach i rysowałem plany mostów z dźwigarami skrzynkowymi. Koniec końców zrozumiałem, że potrzebuję w życiu celu, a nie osiągnięć. Widzisz różnicę? Mam niezły umysł; gdybym tylko chciał, mógłbym siedzieć w tylnych ławach Parlamentu i rozprawiać o drobnych niuansach prawa oraz zastanawiać się, czy na kolację zjeść turбота i czy Ambrose znalazł kolejnego kandydata do Parlamentu, i czy powinienem iść na kolację na Drury Lane czy the Mall. Ale takie życie mnie mierzi. Wolę jedno popołudnie w towarzystwie Cracknella, którego próbuję zaprowadzić z powrotem ku Bogu, który nigdy go nie opuścił, niż tysiąc kolacji na Drury Lane. Wolę wieczór z psalmami na słonych mokradłach z jasnym niebem nad głową niż tysiąc spacerów w Regency Park. – Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak długo mówił o sobie, i zastanawiał się, jak Corze udało się go do tego skłonić. – A poza tym – dodał, lekko poirytowany – godną partnerkę do rozmowy mam w Stelli.

– Myślę tylko, że to szkoda, i to wszystko.

– Szkoda!

– Tak, szkoda. Szkoda, że w nowoczesnych czasach człowiek może chcieć tak zubożyć swój intelekt, żeby zadowalał się mitem i legendą. Że gotów jest odwrócić się od świata i pogрузić w ideach, które nawet twojemu ojcu wydają się przestarzałe! Najważniejsze, by czynić maksymalny użytek z rozumu!

– Od niczego się nie odwróciłem. Wręcz przeciwnie. Myślisz, że wszystko można wyjaśnić za pomocą równań i badania skał osadowych? Ja patrzę w górę, nie w dół.

W powietrzu nastąpiła kolejna drobna zmiana, jak gdyby spadło ciśnienie i miała nadejść burza: oboje byli świadomi swej złości na rozmówcę, lecz żadne

z nich nie wiedziało, jakie jest jej źródło.

– Na pewno nie patrzysz na zewnątrz, przynajmniej tyle wiem! – wypaliła Cora. Zauważyła, że mimowolnie mocniej ścisła oparcie fotela i stara się być niemą. – A co ty wiesz o dzisiejszej Anglii, o tym, jak się układa drogi i dokąd one prowadzą, o miejscach w Londynie, gdzie dzieci nigdy nie oglądają Tamizy ani nawet skrawka zieleni. Jakże musisz być zadowolony, kiedy recytujesz psalmy powietrzu i wracasz do domu, do ładnej żony i książek, które opuściły drukarnię trzysta lat temu!

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Zawahała się lekko; nie chciała ani się wycofać, ani przeć dalej. A jeśli zamierzała rozsierdzić gospodarza, powiodło się jej – odpowiedział tonem tak ostrym, że można by się skaleczyć:

– Ależ jesteś przenikliwa, przejrziałaś mój charakter i motywy już przy trzecim spotkaniu. – Spojrzał prosto w jej oczy. – To nie ja grzebię w błocie w poszukiwaniu szczątków martwych zwierząt i to nie ja uciekłem z Londynu, żeby szukać zapomnienia w nauce, którą ledwo rozumiem.

– To prawda – odparła Cora. – Cóż, oto cała prawda! – dodała i uśmiechnęła się, czym zupełnie go rozbroiła.

– No dobrze. Co w takim razie naprawdę tu robisz?

– Nie jestem pewna. Chyba chodzi o wolność. Tak długo żyłam w niewoli przymusu. Dziwisz się, że grzebię w błocie. To mi przypomina dzieciństwo. Ciągle chodziłam boso, zrywałam kwiat janowca na nalewkę, patrzyłam na stawy pełne żab. A potem zjawił się Michael. Był taki cywilizowany. Wybrukowałby każdy skrawek lasu, każdego wróbla wypchał i zmienił w eksponat. Mnie też zmienił w eksponat. Ścisnął w pasie, przypalił włosy, by skrzyły się w loki, twarz pozbawił koloru, a potem znów pomalował. Teraz jednak mogę znów zatopić się w ziemi, którą lubię, mogę dać się pokryć mchom i porostom. Może oburza cię myśl, że nie stoimy wyżej od zwierząt, a jeśli nawet, to najwyżej jeden stopień wyżej na drabinie. Mnie to nie przeszkadza, a nawet dało mi wolność. Inne gatunki nie trzymają się reguł, dlaczego my musimy?

Will potrafił zapomnieć o powadze swego urzędu, jednak nigdy nie tracił z oczu powołania; kiedy Cora mówiła, dotykał gardła, jak gdyby szukał pocieszenia w koloratce. Jakże miał uwierzyć, że bycie kobietą nie znaczy dla niej więcej niż bycie zwierzęciem – nieuważnym, bez duszy, bez perspektywy

jej utraty lub zbawienia? Co więcej, bezustannie przeczyła sama sobie: nie da się pogodzić Cory-zwierzęcia z kobietą co rusz sięgającą po świeże idee, które ją przerastają. Cisza, która zapadła, była jak kropka po długim zagmatwanym zdaniu i przez dłuższy czas żadne z nich jej nie przerwało. Później Cora spojrzała na zegar z wyrazem ulgi na twarzy, ale i z uśmiechem, gdyż nie poczuła się obrażona i miała nadzieję, że sama również nie obraziła Willa, i powiedziała:

– Powinam już iść. Nie mogę powiedzieć, że Francis mnie potrzebuje, ale lubi wiedzieć, że o szóstej kolacja będzie na stole i że ja będę ją jadła. Już zresztą jestem głodna! Zawsze jestem głodna.

– Zauważyłem.

Wstała; otworzył przed nią drzwi.

– Pójdę z tobą. Powinienem zrobić obchód, zupełnie jak chirurg w szpitalu; muszę odwiedzić Cracknella i Matthew Evansforda, który w wieczór sylwestrowy, po tym jak znaleziono zwłoki, ślubował abstynencję, a do tego zaczął ubierać się na czarno, rozpowiadać pogłoski o smoku i straszyć końcem świata. Może pamiętasz go z kościoła Wszystkich Świętych: cały w czerni, brakowało mu tylko trumny na ramieniu.

Gdy znów znaleźli się na błoniach, w ciszy bezwietrznego wieczoru skąpanego w świetle nisko wiszącego na niebie słońca, czuli się lekko na duchu, świadomi, że choć wkroczyli na grząski grunt, udało im się wyjść bez szwanku. Cora chwaliła Stellę, zapewne w ramach przeprosin, Will z kolei poprosił, by mu wyjaśniła, jak datuje się skamieniałości na podstawie warstw skał osadowych, w których zostały znalezione. Wieża kościoła Wszystkich Świętych skrzyła się w promieniach słońca, żonkile przy ścieżce kłaniały im się uprzejmie.

– Czy naprawdę myślisz, pytam teraz poważnie, Coro, że możesz znaleźć żywą skamieniałość, wspomniałaś, zdaje się, o ichtiozaurze, w tak nijakim i płytkim miejscu jak ujście Blackwater?

– Myślę, że mogę; wierzę, że mogę. I nigdy nie jestem pewna różnicy pomiędzy myśleniem a wiarą; możesz kiedyś nauczyć mnie je rozróżniać. Poza tym pomysł nie jest mój: Charles Lyell był głęboko przekonany, że uda się znaleźć ichtiozaura, choć przyznaję, że nikt nie brał jego słów poważnie. Słuchaj, zostało mi dziesięć minut wolności; przejdę się z tobą do Końca Świata

i nad wodę. Na pewno niczym to nie grozi, kwiecień jest zbyt łagodnym miesiącem dla smoków morskich.

Doszli nad wodę – trwał akurat odpływ – błoto i kamienie lśniły w promieniach zachodzącego słońca; zauważyli, że ktoś oplótł kości Lewiatana żółtymi gałązkami żarnowca. Turzyca rosła w bladych kępkach, które lśniły poruszone wiatrem; w oddali usłyszeli nieprawdopodobne, jakby z innego świata, buczenie bąka. Powietrze, słodkie i czyste, smakowało jak dobre wino.

Żadne później nie pamiętało, kto pierwszy zasłonił oczy przed migoczącymi słonecznymi odblaskami na wodzie i ujrzał to, co leżało dalej. Żadne nie przypominało sobie, by krzyknęło: „Patrz, patrz!” – pamiętali tylko, że nagle oboje stali nieruchomo, zahipnotyzowani, na ścieżce nad słonym mokradłem i patrzyli na wschód. Tam, na horyzoncie, między srebrną kreską wody a niebem, unosił się jasny, nierealny pas powietrza. A wewnątrz, wysoko nad wodą, barka sunęła powoli przez dolną część nieba. Dało się rozróżnić poszczególne części burgundowego żagla, który zdawał się poruszać na silnym wietrze, widzieli pokład i takielunek, i ciemny dziób łodzi. Popłynęła dalej, unosząc się pod pełnymi żaglami, wysoko nad ujściem rzeki; zadrgała i zmniejszyła się, następnie odzyskała normalny rozmiar; później przez chwilę ujrzeli jej odwrócony obraz poniżej, jak gdyby ktoś położył na wodzie gigantyczne lustro. Zrobiło się zimno, zabuczał bąk i usłyszeli nawzajem swoje przyśpieszone oddechy; nie czuli przerażenia, lecz coś, co je przypominało. Lustro zniknęło, a barka popłynęła dalej; mewa przeleciała pod jej czarnym kadłubem, nad połyskującą wodą. Później ktoś z załogi pociągnął linę lub zarzucił kotwicę i łódź znieruchomiała, zawisała w ciszy – cudowna, spokojna na tle nieba. William Ransome i Cora Seaborne, ogołoceni z kodów i konwencji, nawet mowy, stali bez ruchu; jej mocna dłoń wciśnięta w jego dłoń, ziemskie dzieci zagubione w zachwycie.

Czytelnia Muzeum Brytyjskiego

29 kwietnia

Droga Pani Seaborne,

jak Pani widzi, piszę z czytelni Muzeum Brytyjskiego. Koloratka zapewniła mi wstęp,

choć bibliotekarze przyglądali się podejrzliwie, gdyż miałem ziemię pod paznokciami, bo sadziłem bób. Przyjechałem, żeby poczytać o obecności Chrystusa w Psalmie 22, bo mam coś o tym napisać. A jednak zamiast tego uparłem się, żeby zrozumieć to, co widzieliśmy wczoraj wieczorem.

Pamiętasz zapewne, że zgodziliśmy się (kiedy już odzyskaliśmy mowę) co do tego, że to nie mógł być Latający Holender ani inna nadprzyrodzona zjawia? Zastanawiałaś się, czy to miraż, jak jeziora, które pojawiają się na pustyni i zwodzą umierających obietnicą wody. I tak – byłaś blisko. Jesteś gotowa na lekcję?

Myślę, że byliśmy świadkami iluzji zwanej Fata Morgana, od wróżki Morgany le Fay<sup>[8]</sup>, która czarami sprowadzała na marynarzy śmierć, wznosząc zamki z lodu nad powierzchnią morza. Coro, nie uwierzysz, ile na ten temat znalazłem! Przepisuję fragment z pamiętników niejakiej Dorothy Woolfenden (przepraszam za mój charakter pisma!):

*1 kwietnia 1864 roku, Calabria. Przebudziwszy się wcześniej, stanęłam w oknie i byłam świadkiem niecodziennego zjawiska – w którego prawdziwość wątpiłabym, gdyby ktoś mi o nim opowiedział. Pogoda była bez zarzutu. Zobaczyłam na horyzoncie nad Cieśniną Mesyńską lekką mgiełkę, zza której stopniowo wyłoniło się lśniące miasto. Moim oczom ukazała się katedra, z pinaklami i łukami; sad z cyprysami, które pochyliły się równocześnie, niczym pod uderzeniem nawałnicy; i jedynie przez chwilę potężna, błyszcząca wieża z wieloma wysokimi oknami. A potem jakby opadła zasłona, wizja się rozplynęła – miasta nie było. Wstrząśnięta, pobiegłam opowiedzieć wszystko moim współtowarzyszom, którzy spali i niczego nie widzieli. Wydaje mi się, że to była owa niesławna Fata Morgana, która sprowadza na ludzi śmierć.*

Czarodziejce nie wystarczają statki i miasta: na niebie ukazywały się fantomowe armie toczące bitwy, jak ta nad dachami Verviers<sup>[9]</sup>, a wikingowie, którzy widywali nierealne klify na równinach, nadali temu zjawisku nazwę Hillingar.

Naturalnie istnieje też bardziej prozaiczne wytłumaczenie, choć gdy teraz o tym myślę, nie wydaje mi się ono mniej fantastyczne, niż gdyby sama Morgana le Fay towarzyszyła nam na słonych mokradłach. Jeśli dobrze rozumiem, iluzja powstaje, gdy szczególna konfiguracja zimnego i ciepłego powietrza stworzy soczewkę refrakcyjną. Światło docierające do obserwatora załamuje się w taki sposób, że obiekty znajdujące się pod lub za horyzontem ukazują się o wiele dalej, niż są położone w rzeczywistości (wyobrażam sobie, że zapisujesz wszystko w jednym ze swoich notesów – czy tak? – mam nadzieję!). Wraz z przesuwaniem się mas ciepłego i zimnego powietrza przesuwa się też soczewka – czy widziałaś, tak jak ja, że statek zdawał się płynąć po własnym odbiciu? Obiekty zostają nie tylko przemieszczone, lecz również odbite i zniekształcone – coś o minimalnym znaczeniu może zostać powielone i utworzyć cegły, z których powstaną całe miasta!

Myślę więc, że kiedy tak staliśmy, zaskoczeni i skonfundowani, gdzieś poza zasięgiem naszego wzroku Banks wiózł ładunek na nabrzeże w Clacton.

Wiem, że mam skłonność do prawienia kazań – nie mogę jednak tak zostawić tej sprawy. Zmysły nas oszukały – przez chwilę staliśmy tam kompletnie bezradni, jak gdyby ciała sprzysięgły się przeciw rozumowi. A ja nie mogłem spać – nie dlatego, że prześladuje mnie myśl o widmowym statku, lecz dlatego, że przyszło mi do głowy, iż nie mogę ufać własnym oczom; a przynajmniej, iż nie mogę zaufać mojemu umysłowi, że potrafi właściwie zinterpretować to, co widzą oczy. Dziś rano, kiedy szedłem na pociąg, zobaczyłem na drodze umierającego ptaka – sposób, w jaki trzepotał skrzydłami, sprawił, że mnie zemdliło. Po chwili zorientowałem się, że była to tylko kupka mokrych liści poruszanych przez wiatr, jednak upłynęło trochę czasu, zanim mdłości ustały – zastanowiłem się wtedy, czy skoro moje ciało zareagowało, jak gdyby to był ptak, to czy moje spostrzeżenie było fałszywe, nawet jeśli w istocie na ścieżce leżały tylko liście?

Moje myśli krążyły bezustannie, zwracając się, jak to często bywa, ku Wężowi z Essex, aż w końcu zacząłem rozumieć, że mógł on się ukazywać naszym oczom pod różnymi postaciami, i że może w tej materii nie ma jednej prawdy, lecz jest ich kilka, i żadnej z nich nie da się dowieść ani obalić. Bardzo bym chciał, żeby pewnego dnia znaleziono jego ścierwo na plaży, żeby zrobiono zdjęcie, opisano i pokazano wszystkim. Wtedy mielibyśmy jakąś pewność, nie sądzisz?

Cieszy mnie jednak myśl, że ty i ja staliśmy tam razem. To z pewnością bezbożna myśl, ale lepiej, że oboje daliśmy się oszukać, niż gdyby spotkało to tylko mnie.

Z pozdrowieniami,  
WILLIAM RANSOME

*DOSTARCZONE OSOBIŚCIE*

Byłam tam! Widziałam to, co Ty widziałeś, czułam to, co czuleś.

Twoja  
CORA

MAJ



Nadchodzi maj i sielska pogoda budzi róże wcześniej niż zazwyczaj. Naomi Banks przygląda się księżycowi i wie, że ciepły deszcz i piękne poranki to jej zasługa, lecz i tak czuje się nieszczęśliwa. Wspomina popołudnie na słonych mokradłach, kiedy to nakazali wiośnie przyjść, ale przed oczami ma nie dłoń Joanny w swojej dłoni i nad płomieniami, lecz coś, co czai się w wodzie. Jest nieodrodną córką ojca i nikt lepiej niż ona nie zna kaprysów prądów. Wie, że woda może spiętrzyć się nad mielizną albo nieść połamane gałęzie dębu. A jednak ostatnio zaczęła obawiać się Blackwater – odmawia wejścia na pokład barki i lustruje nabrzeże, jak gdyby czuła, że coś może ją lada chwila chwycić za kostkę.

Nauczyciel gani ją za lenistwo i za karę każe jej przepisywać rzędy słów, lecz słowa lądują i wiercą się na papierze jak muchy; zamiast pisać, Naomi zaczyna szkicować węglem – wąż morski o czarnych skrzydłach i masywnym dziobie wyskakuje z kartki i kłapie na nią zębami. Potem patrzy na błonę między swoimi palcami i wzdraga się na wspomnienie dnia, kiedy zauważyli ją inni uczniowie, jak się jej bali i dokuczali jej, aż w końcu interweniowała wysoka Joanna i z pomocą autorytetu swego ojca położyła temu kres. A jednak – podnosi dłonie i w świetle lampy widzi żyłki pod fałdami skóry – jest zniekształcona, nienaturalna; to oczywiste, że Wąż z Essex wybierze właśnie ją – być może istnieje pomiędzy nimi powinowactwo. Przez jakiś czas odmawia picia wody, pewna, że są w niej fragmenty wylinki węża.

Pewnego wieczoru, gdy wraca z bezowocnych poszukiwań ojca, mija otwarte drzwi karczmy Pod Białym Zającem. Woń alkoholu jest znajoma, przypomina jej oddech ojca i dziewczyna waha się na progu. Mężczyźni zapraszają ją gestami do środka, zachwycają się jej rudymi włosami i podziwiają cynowy medalion (zawiera fragment czepka, w którym się urodziła, i chroni przed utonięciem). Zaczyna rozumieć, że posiada władzę, o której istnieniu nie wiedziała; kręci piruety, gdy ją proszą, i śmieje się, gdy podziwiają jej kostki i białe kolana. Tak słodko i dziwnie jest być podziwianą, że pozwala im ciągnąć

się za włosy i dotykać medalionu, który leży na jej skórze; tak – odpowiada, śmiejąc się – cała jest w piegach. Ucieka im; przywołują ją z powrotem, a gdy wraca, mówią: „piękna, piękna”, a ona myśli, że może tak jest. Później ktoś ciągnie ją i sadza na kolanach, a ona natychmiast pojmuje, że coś jest bardzo nie tak – zarazem boi się i jest wściekła, lecz nie może się poruszyć; gdzieś za nią mężczyzna, którego nie widzi, wydaje odgłos jak zwierzę, które właśnie znalazło pożywienie.

Tej nocy we śnie Wąż z Essex wsuwa mokry czubek ogona pod jej poduszkę i zionie zimnym oddechem w jej zamknięte powieki; dziewczynka budzi się z oczekiwaniem, że pościel będzie słonawa i wilgotna. Sen wiąże się jakoś ze stratą matki wiele lat temu (choć to odbyło się jak należy, w sypialni przy zasłoniętych oknach, a nie w pobliżu Blackwater) i odbiera jej apetyt na wiele dni.

Wąż z Essex nie zadowala się nawiedzaniem dziecka. Przychodzi też do Matthew Evansforda, kiedy ten przegląda Apokalipsę. Bestia ma siedem głów i dziesięć rogów, a na głowach miano bluźnierstwa. Atakuje drzwi Cracknella pod postacią wschodniego wiatru, czeka na Banksa, gdy ten naprawia żagle, i myśli o utraczonej żonie, skradzionej łodzi, córce, która unika jego wzroku. Puszcza oko do Williama Ransome’a ze swej przeżartej przez korniki ławy i przypomina mu o jego zaniedbaniach – pastor czyta kolektę z żarliwością, która zachwyca wiernych: „Rozświeł przed nami ciemność, błagamy Cię, Panie, a łaska Twoja niechaj strzeże nas ode złego”. Bestia przychodzi do lekko gorączkującej Stelli, lecz nie ma z nią szans; kobieta śpiewa jej i okazuje litość należną tchórzliwej, podstępnej istocie. W jadalni klubu Garrick Charles Ambrose – po zbyt ciężkim posiłku – kładzie dłoń na brzuchu i mówi żartem do towarzysza, że Wąż z Essex zatopił w nim pazury. Tu i tam znajdowano ogólniejszej natury zapowiedzi sądnego dnia: a to plaga pluskwiaków w ogrodach, to znów kotka mordująca swe młode przy kominku. Evansford słyszy o przypadku śmierci w St Osyth, którego koroner nie potrafi wyjaśnić; zostawia krew z niedzielnego kurczaka, a nocą maluje nią nadproże każdych drzwi w Aldwinter, aby Boży gniew oszczędził mieszkańców wioski. Przed świtem nadchodzi oberwanie chmury i nikt nie odczytuje znaku.

Martha wypatruje u swej przyjaciółki sygnałów świadczących, że ta chciałaby wrócić do domu na Foulis Street; niczego takiego nie dostrzega, gdyż

Cora czuje, że jej szczęście splotło się z gliną Aldwinter. Któregoś popołudnia wybiera się do East Mersea i wraca pijana szczęściem, za które, jak sądzi, pewnego dnia spotka ją kara. Rdzawoczerwone klify są obmywane przez strumień, a blisko wody rośnie żółty podbiał. Na brzegu, u stóp klifu, Cora schyla się, by obejrzeć kamienie i żwir, które przesiał przybrzeżny dryf, i nie znajduje ani amonitu, ani kamienia ropuszego, tylko gładki kawałek bursztynu, który idealnie leży w jej dłoni. Czasem robi przegląd swoich wspomnień z Essex – zapasy z głupią owcą, Cracknell szepczący do niej w kościele, Stella biorąca ją pod rękę w geście pełnym zaufania, barka płynąca w ciszy po niebie – i zdaje się jej, że mieszka tu od lat i nie pamięta innego życia. Ponadto jej myśli zaprzęta Wąż – Cora opływa łodzią wyspę Mersea, odwiedza wioskę Henham-on-the-Mount, czyta odę umierającego Ragnara Lodbroka, który uśmiercił gigantycznego węża i dzięki temu zdobył rękę królowy Thory. Za duchową przewodniczkę obiera sobie Mary Anning, która z pewnością podążyłaby za pogłoskami o skrzydlatym wężu morskim na koniec świata – i ku własnej zgubie.

Często odwiedza plebanię i przynosi prezenty dla dzieci Ransome'ów: książkę dla Joanny, zabawkową drabinę Jakubową dla Jamesa (od razu ją rozmontowuje), coś słodkiego dla Johna. Całuje Stellę w oba policzki, i nie jest to kurtuazja. A później idzie do gabinetu, w którym czeka już na nią Will (bursztyn od niej leży na biurku), i na początku zawsze następuje chwila radości i zaskoczenia: *Naprawdę tu jesteś* – myśli każde z nich.

Siedzą obok siebie przy jego biurku, otwierają i odkładają książki; czy czytał to czy tamto, pyta ona, i co o tym sądzi; oczywiście, że czytał, i uważa, że to nic niewarte. On próbuje naszkicować załamanie się światła, w wyniku którego powstała „ich” Fata Morgana; ona rysuje fragmenty trylobitu. Ostrzą o siebie swe intelekty, każde jest – kolejno – ostrzem i osełką; gdy rozmowa schodzi na wiarę i rozum, natychmiast zaczynają się kłócić, zaskoczeni, że tak szybko stają się niegrzeczni („Ty nie rozumiesz!”. „Jak mam rozumieć, kiedy nawet nie próbujesz mówić do rzeczy?”). Pewnego popołudnia niemal dochodzi do bójki podczas omawiania kwestii istnienia doskonałego dobra, które Cora kwestionuje, przytaczając *casus* sroki złodziejki. Will staje się protekcyjny i przybiera ton pastora. Wtedy ona z radością przywołuje Węża z Essex – to tylko plotka i mit, mówi on, ona się nie zgadza i odparowuje: czy on nie wie, że

w 1717 roku na brzeg w Maldon wyrzuciło bestię długą na czternaście stóp? Jak można mieszkać w Essex i tego nie wiedzieć! Każde myśli, że w rozumowaniu drugiego tkwi niewybaczalny błąd, który z definicji powinien wykluczać przyjaźń między nimi, lecz oboje są nieco zdziwieni, że nic takiego się nie dzieje. Piszą do siebie częściej, niż się widują.

– Wolę cię na papierze – mówi Cora i czuje się, jak gdyby nosiła ze sobą, w kieszeni lub zawieszona na szyi, źródło niegasnącego światła.

Stella, przechodząc koło otwartych drzwi gabinetu, uśmiecha się pobłaźliwie, zadowolona: dba o nią tyle osób, iż cieszy ją, że i jej mąż znalazł tak odpowiednią przyjaciółkę. Zagadnięta raz przez mieszkankę Aldwinter, głodną wieści o skandalu, odpowiada figlarnie, zgodnie z prawdą, choć kusi ją, by nieco podsycić plotki:

– W życiu nie widziałam lojalniejszych przyjaciół; nawet zrobili się do siebie podobni. W zeszłym tygodniu Cora była już w połowie drogi do domu, kiedy się zorientowała, że włożyła jego buty.

Rankiem staje przed lustrem, czesze włosy i czuje coś w rodzaju współczucia dla Cory, która, jeśli najdzie ją ochota, może wyglądać jak osoba elegancka i bogata, lecz nie da się o niej powiedzieć, że jest piękną. Odkłada szczotkę – boli ją ręka – grypa ją osłabiła, odebrała jej ochotę na wychodzenie z domu; woli siedzieć przy oknie w błękitnej godzinie przed zapadnięciem zmroku i patrzeć na kaczęńce rozkwitające na trawniku.

Luke Garrett z przerażeniem odkrywa, że stał się sławny. Przez chwilę wśród studentów chirurgii panuje moda na naśladowanie jego rozmaitych dziwactw, które kiedyś ciągle wyśmiewano: montują lustra w salach operacyjnych i zaczynają nosić białe bawełniane maseczki. Wciąż pogardzają nim starsi koledzy, obawiający się, że korytarze zapełnią się ofiarami bójek, które z rozchełstanymi koszulami będą czekać, aż ich pozszywa. Spencer – który okazując hojność, próbuje zarazem zniechęcić Garretta do ciągłego pożyczania jego rzeczy – zamawia dla niego skórzany pas ze srebrną klamrą, na której każe wygrawerować węża Asklepiosa owiniętego wokół laski, na pamiątkę medycznego triumfu przyjaciela. Choć Luke nie wie, czego oczekiwał po udowodnieniu, że da się zamknąć ranę serca, stwierdza, że w jego życiu nie zmieniło się nic. Wciąż ledwo stać go na opłacenie czynszu i musi liczyć na banknoty, które, jak podejrzewa, Spencer celowo gubi w jego pokoju;

niezmiennie jest niedorostkiem o czarnych brwiach, a nagromadzone przez całe życie upokorzenia nie ulotniły się nagle wraz z oparami chloroformu w sali numer 12. A poza tym wcale nie operował serca: obydwie ostrza – napastnika i jego – nie dosięgły komór; w istocie nie można nawet powiedzieć, że dokonał czegoś wyjątkowego.

Wyznaje Spencerowi, i nikomu więcej, iż liczył, że sukces poprawi chociaż jego wizerunek w oczach Cory, która oczywiście go kocha (a przynajmniej tak twierdzi) i podziwia; Garrett czuje jednak, że ktoś zajął jego miejsce. Ona ma nowych przyjaciół i pisze mu w listach, iż żona pastora ma twarz tak piękną, że kwiaty powinny więdnąć na jej widok, zawstydzone; że córka Ransome'ów zaprzyjaźniła się z Marthą; i że nawet Francis znosi ich towarzystwo przez godzinę lub dwie. Luke jest zdumiony jej przeprowadzką do Aldwinter, potem wyobraża sobie, że po prostu podupadła na duchu, jak przystało wdowie, i raduje się na myśl, że poprawi jej humor. Kiedy jednak spotykają się w Colchester, ona opowiada mu o Williamie Ransomie i tak się przy tym ożywia, że jej szare oczy błękitnieją; naprawdę (to jej słowa) czuje się tak, jak gdyby Bóg ulitował się nad nią i zesłał jej, po tylu latach, wytęsknionego brata. Nie wyczuwa w jej słowach żadnej tajemnicy: Cora nie czerwieni się, nie rzuca podejrzanych spojrzeń dokoła, mimo to, kiedy wzrok Garretta napotyka oczy Marthy, po raz pierwszy w pełni się ze sobą zgadzają. „Co to ma znaczyć?” – pytają bez słów. „Co tu się dzieje?”.

Spencer pochłonięty jest bez reszty skandaliczną sytuacją mieszkaniową londyńczyków. To, co na początku miało być jedynie próbą przypodobania się Marcie, stało się obsesją: ślęczy nad sprawozdaniami z obrad Parlamentu i protokołami prac komisji, wkłada swój najgorszy płaszcz i spaceruje Drury Lane. Odkrywa, że Parlament uchwała przepisy pełen dobrej woli, a potem odwraca wzrok i tańczy, jak mu przemysł zagra. Czasami chciwość i zło, których jest świadkiem, są tak oburzające, że chce wierzyć, iż coś mu się przywidziało, że coś opacznie zrozumiał; sprawdza, by się upewnić, i przekonuje się, że sprawy mają się jeszcze gorzej, niż sądził. Lokalne władze wyburzają slumsy i wypłacają właścicielom rekompensaty za utracone czynsze. A jako że nic nie przynosi większych zysków z kamienicy niż występki i przeludnienie, właściciele dbają o jedno i drugie, troskliwie jak sutenerzy, a rząd hojnie ich za to wynagradza. Biedota wyrzucana ze slumsów okazuje się

zbyt niemoralna, by zamieszkać w eleganckich nowych domach spółdzielni mieszkaniowej Peabody, ludzie ci muszą więc szukać pokoi w tanich hotelach; czasami ulice rozświetla blask ognia z palonych mebli, które są zbyt stare i zniszczone, by ktoś chciał je kupić. Spencer myśli o swym domu rodzinnym w Suffolk – jego matka odkryła niedawno pokój, o którego istnieniu nikt nie wiedział – i czuje mdłości.

W Końcu Świata Cracknell zwraca czujny wzrok ku ujściu rzeki. Płot gęsto obwiesił obdartymi ze skóry kretami, a w oknie pali się świeca.

Kiedy pewnego dnia, późnym popołudniem, William Ransome spacerował po słonych mokradłach, śpiewając psalmy, spotkał syna Cory. Przyjrzał się jego nieprzeniknionej twarzy w poszukiwaniu podobieństwa do przyjaciółki, lecz żadnego nie znalazł. Patrzył w oczy mężczyzny, którego, jak przypuszczał, Cora kochała, na jego policzki i podbródek. Jednak oczy chłopca były ciekawskie, a nie okrutne, jak wyobrażał sobie oczy Seaborne'a, choć na pewno nie były to oczy dziecka. Francis nigdy nie był typowym dzieckiem.

– Co robisz tutaj sam? – zapytał Will.

– Nie jestem sam – odparł chłopiec. Will się rozejrzał, lecz nikogo poza nimi dwoma nie dostrzegł.

Francis stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się mężczyźnie, tak jakby ten był zadaniem do rozwiązania. Po czym zapytał, jak gdyby kontynuował jakiś wątek z ich rozmowy:

– Co to jest grzech?

– Grzech? – powtórzył Will, zaskoczony tak, że aż się potknął i wyciągnął dłoń, jakby oczekiwał, że wyrosną przed nim drzewczki ambony.

– Liczyłem – powiedział kroczący obok niego Francis. – W niedzielę wypowiedział pan to słowo siedem razy. A w zeszłą pięć.

– Nie wiedziałem, że przychodzisz do kościoła, Francis. Nigdy cię tam nie widziałem.

Czy Cora też ukrywała się w cieniu i słuchała?

– Siedem i pięć to dwanaście. Ale nigdy pan nie mówi, co to jest.

Doszli do Lewiatana i Will – wdzięczny za chwilę przerwy – ukucnął, żeby pozbierać kamyki, które fale zostawiły między żebrami drewnianej bestii. W ciągu tylu lat posługi nikt nigdy nie zadał mu tego pytania i teraz był przerażony tym, że kompletnie odebrało mu mowę. Rzecz nie w tym, że nie znał odpowiedzi – przeciwnie, miał ich wiele (przestudiował stosowne książki). Lecz tu, na dworze – bez ambony i ław w zasięgu wzroku, za to z rzeką

obmywającą brzeg – tak pytanie, jak i odpowiedź wydały mu się niedorzeczne.

– Co to jest grzech? – zapytał Francis, nie dając poznać po intonacji, że powtarza pytanie.

*Boże! Daj mi siłę* – pomyślał Will, zarazem pobożnie i bluźnierczo, i podał chłopcu kamyk.

– Cofnij się kawałek – powiedział. – Stań tutaj, koło mnie, krok dalej; o, tutaj. A teraz rzuć kamieniem w Lewiatana, w żebro, obok którego staliśmy.

Francis przyglądał mu się przez chwilę, jak gdyby sprawdzał, czy z niego nie kpi; stwierdził, że nie, wziął więc zamach. Kamień wylądował za blisko.

– Weź następny. – Will położył na jego dłoni błękitny kamyk. – I spróbuj jeszcze raz.

Francis rzucił i znów chybił.

– I tak to właśnie jest – powiedział Will. – Grzeszyć to próbować, ale nie podać. Oczywiście nie może nam się udać za każdym razem, próbujemy więc znowu.

Chłopiec zrobił niezadowoloną minę.

– A co, gdyby Lewiatana tu nie było? – zapytał. – Co, gdyby nie kazał mi pan stanąć tutaj? Gdybym stał tam, a Lewiatan byłby tutaj, mógłbym trafić za pierwszym razem.

– Tak – przytaknął Will i poczuł, że zapuścił się na głębsze wody, niż oczekiwał. – Zdaje nam się, że wiemy, gdzie celować, i może tak jest, ale z nastaniem świtu zmienia się światło i okazuje się, że należało mierzyć w innym kierunku.

– Jeśli wszystko się zmienia, to, co powinienem, i to, czego nie powinienem, to skąd mam wiedzieć, gdzie mierzyć? I dlaczego, jeśli chybię, ma to być moja wina? Dlaczego mam za to ponieść karę?

Między czarnymi brwiami chłopca pojawiła się zmarszczka i w niej Will w końcu rozpoznał ślad Cory.

– Są rzeczy – Will stąpał po grząskim gruncie – które wszyscy powinniśmy starać się robić, i takie, których powinniśmy unikać. Jednak są też sprawy, w których nikt nam nie pomoże i musimy zdecydować sami.

Ostatni kamyk w jego dłoni był płaski i gładki; odwrócił się plecami do



Lewiatana i rzucił podkreślony kamyk w wycofującą się wodę. Odbił się raz i zniknął za niską falą.

– Nie to chciał pan zrobić – stwierdził Francis.

– Nie – przytaknął Will. – Nie to. Lecz w moim wieku człowiek się przyzwyczaja, że porażki zdarzają się częściej niż sukcesy.

– To znaczy, że pan zgrzeszył – stwierdził Francis. Will roześmiał się i dodał, iż ma nadzieję, że zostanie mu to wybaczone.

Chłopiec jeszcze przez chwilę przypatrywał się z kwaśną miną Lewiatanowi. Poruszał ustami i Will pomyślał, że może oblicza odpowiednią trajektorię kamienia. Po chwili Francis odwrócił się i powiedział:

– Dziękuję za odpowiedź na moje pytanie.

– Jak się spisałem? – zapytał pastor z nadzieją, że wylądował gdzieś pomiędzy wiarą a rozumem i że się przy tym lądowaniu nie potłukł.

– Jeszcze nie wiem. Pomyślę o tym.

– W porządku – powiedział Will i pożałował, że nie może poprosić chłopca, by zataił ich rozmowę przed matką; co pomyślałaby sobie Cora, usłyszawszy, że uczy jej syna o doktrynie grzechu? Znał wyraz jej szarych oczu, gdy była wzburzona.

Przyjrzeni się sobie uważnie i obaj poczuli, że pastor spisał się świetnie, jak na tak dalekie od ideału warunki. Francis wyciągnął rękę, William ją uścisnął i razem, jak starzy znajomi, poszli High Line. Kiedy dotarli na błonia, chłopiec przystanął i zaczął szukać czegoś w kieszeniach, tak że Will pomyślał, że może zgubił coś na mokradłach. Po chwili Francis wyjął niebieski guzik, a następnie czarne pióro zwinięte w pętlę i związane nitką. Zrobił niezadowoloną minę, przeciągnął palcem po osi pióra i z westchnieniem schował je z powrotem do kieszeni.

– Nie – powiedział. – Obawiam się, że niczego dziś nie mogę panu dać. – Uśmiechnął się przeproszająco i pomachał Willowi na pożegnanie.

Odkąd zaczęła się jej przyjaźń z Marthą – budowana z cierpliwością i ostrożnością, jakiej wymaga stawianie domku z kart – Joanna Ransome przesiadła się do pierwszej ławki, tak że siedziała teraz tuż przed nosem pana Caffyna. Zawsze była zdolnym dzieckiem i miała w zwyczaju płądrować bibliotekę ojca. Szczególnym zainteresowaniem darzyła książki, które nie powinny były trafić do jej rąk: jednego dnia karmiła ducha pismami Juliany z Norwich, by za parę dni zaczytywać się *Złotą gałęzią*; potrafiła jednym tchem opowiedzieć o męczeństwie Cranmera i o wojnie krymskiej. A jednak zanim poznała Marthę, jej zainteresowania nie były ukierunkowane: zależało jej głównie na tym, by wywołać zaniepokojenie rodziców, nigdy też nie pomyślała, że mogłaby się wstydzić przyjaźni z córką niemal niepiśmiennego rybaka. Teraz jednak знаła już nazwiska kobiet chirurgów oraz inżynierów, socjalistek, archeologek, satyryczek i aktorek – które najwyraźniej można było znaleźć wszędzie, tylko nie w Essex – i postanowiła dołączyć do ich szeregów. *Nauczę się łaciny i greki* – obiecała sobie, wzdragając się na myśl, że jeszcze przed kilkoma tygodniami rzucała zaklęcia przy kościach Lewiatana – *opanuję trygonometrię, mechanikę i chemię*. Pan Caffyn nie nadążał z zadawaniem jej dodatkowej pracy na weekendy, a Stella ostrzegła ją, żeby uważała, bo będzie potrzebowała okularów – jak gdyby nie było nic gorszego niż osłabienie efektu, jaki wywierały jej fiołkowe oczy.

Naomi Banks czuła, że Joanna oddala się od niej, i bardzo nad tym ubolewała. Słyszała dużo o Marcie, na własne oczy widziała niewiele, mimo to nienawidziła jej, przekonana, że dorosła, co najmniej dwudziestopięcioletnia osoba nie potrzebuje odbierać jej Jo. Chciałaby pokazać przyjaciółce rysunki węża i wyjaśnić, że źle sypia, wyznaczyć, co się stało w karczmie Pod Białym Zającem, i zapytać, czy powinna się złościć czy wstydzić. Jednak wydawało się to niemożliwe, gdyż przyjaciółka zaczęła patrzeć na nią z litością, co było gorsze niż niechęć.

W pierwszy piątek maja Naomi przyszła do szkoły przed lekcjami. Obiecano

im poranne spotkanie z panią Corą Seaborne, która mieszkała w Londynie, była bardzo ważna, zbierała skamieniałości i, jak to ujął pan Caffyn, „inne godne uwagi okazy”. Joannę spowijał odbity blask, gdyż poznała już panią Seaborne („Znamy ją bardzo dobrze. Dostałam od niej ten szalik. Nie, nie jest piękna, ale to bez znaczenia, bo jest mądra i ma suknię całą w pawie, którą pozwoliła mi przymierzyć...”) i nie mogła się doczekać, aż jej notowania wśród koleżanek wzrosną jeszcze bardziej. Nikt nie był w stanie oprzeć się Corze, choć Naomi widziała, że niektórzy jednak próbowali.

Naomi zobaczyła, że miejsce koło Joanny jest wolne, i podrzuciła jej kartkę z zapisanym zaklęciem, które ułożyły kilka tygodni temu. Jednak Joannę zajmowała dziś algebra i dziewczyna nie pamiętała już znaczenia tych rozmazanych symboli, kartkę więc zmięła. A potem pojawiła się sama pani Seaborne, ubrana rozczarowująco ponuro (miała na sobie coś, co wyglądało jak męski płaszcz z tweedu) i z włosami odgarniętymi z czoła, co nadawało jej surowy wygląd. Na ramieniu niosła dużą skórzaną torbę, a pod pachą teczkę, z której wypadł mały rysunek czegoś przypominającego stonogę. Obiecany splendor Naomi dostrzegała wyłącznie w diamencie, który Cora nosiła na lewej dłoni, tak dużym, że nie mógł być prawdziwy, oraz delikatnym czarnym szalu wyszywanym w ptaki. Pan Caffyn, widocznie zachwycony, powitał ją:

– Dzień dobry, pani Seaborne. Dzieci, przywitajcie się z panią Seaborne.

– Dzień dobry, pani Seaborne – powiedziały chórem. Spoglądały na nią nieco podejrzliwie, a Cora z kolei przyjrzała im się lekko stremowana. Nigdy nie potrafiła postępować z dziećmi: Francis tak ją skonfundował, że zaczęła postrzegać je jako cudowne, lecz zmienne stworzenia, którym należało ufać nie bardziej niż kotom. Jednak przed sobą miała Joannę, którą dobrze знаła, z oczami matki nad ustami ojca, i siedzącą obok niej rudowłosą dziewczynkę, której twarz pokrywały piegi; obydwie złożyły dłonie na kolanach i patrzyły na nią wyczekująco. Odezwała się więc:

– Cieszę się niezmiernie, że tu jestem. Zacznę od opowiedzenia historii, bo wszystko, co warto wiedzieć, rozpoczyna się od słów: „pewnego razu”.

– Jakbyśmy były małymi dziećmi – wymamrotała Naomi, po czym dostała kopniaka od przyjaciółki. Szybko jednak uznała, że słuchanie pani Seaborne jest o wiele przyjemniejsze niż większość lekcji w szkole: opowiadała o kobiecie, która znalazła kiedyś smoka morskiego pod warstwami błota, i o tym, że cała

ziemia pod ich stopami jest cmentarzyskiem bogów i potworów, czekających na odpowiednią pogodę albo młotek i pędzel, które dadzą im nowe życie.

– Patrzcie uważnie, a znajdziecie paprocie odbite w kamieniach – mówiła – i ślady pozostawione przez jaszczurki chodzące na tylnych łapach. Można znaleźć zęby tak małe, że łatwo je przeoczyć, i tak ogromne, że kiedyś noszono je jako amulety chroniące przed epidemią.

Sięgnęła do torby i po chwili po klasie zaczęły krążyć amonity i kamienie ropusze.

– Setki tysięcy lat – powiedziała. – Być może miliony!

Na to ostatnie stwierdzenie pan Caffyn, który spędził pierwsze dwadzieścia lat życia w kaplicy metodystów w Walii, zakasłał i odezwał się:

– Wspominaj Stwórcę w dniach twojej młodości... – Wyglądał na lekko zasmuconego. – Jakież pytania do pani Seaborne?

Dzieci pytały o wiele rzeczy: skąd się biorą ptaki w skałach i gdzie były ich jajka? Czy kiedykolwiek pośród ryb i jaszczurek znaleziono ludzi? Jak ciało i kości stają się kamieniem? Czy z nimi też się to pewnego dnia stanie? Czy pod szkolnym dziedzińcem też coś jest i czy mogą to wykopać szpadlami? Jaka jest jej ulubiona skamieniałość i gdzie ją znalazła, i czego szuka teraz, i czy kiedykolwiek zrobiła sobie przy tym krzywdę, i czy była kiedyś za granicą?

Później – nieco ciszej – co myśli o Blackwater; czy słyszała? A co z mężczyzną, który utonął w Nowy Rok, i z martwymi zwierzętami, i tym, co dzieci widziały w nocy? Co z Cracknellem, który ostatnio całkiem zwariował i całe noce przesiaduje przy Lewiatanie, wypatrując bestii? Czy tam coś było i czy się zbliżało?

Pan Caffyn zorientował się, co się dzieje, i spróbował zapanować nad sytuacją.

– Dziewczynki, nie kłopotcie pani Seaborne tymi niedorzecznościami – powiedział i starł szkic amonitu z tablicy.

Poprzedniego wieczoru Cora spacerowała z Williamem Ransome'em, który powiedział jej tonem pastora – jaki czasem przybierał, kiedy chciał zademonstrować swoją przewagę – żeby nazajutrz nie zachęcała dzieci do mówienia o Kłopocie. Dość było zmartwień z Cracknellem i z Banksem, który upierał się, że w wodach nie ma śledzi i że czeka go śmierć głodowa; lepiej nie

poddawać im nowych pomysłów. Wtedy posłusznie przytaknęła („Masz rację, Will, oczywiście, że masz rację”), teraz jednak, kiedy miała przed sobą kilkanaście wpatrzonych w nią, czekających na jej odpowiedzi twarzy, w tym niejedną wystraszoną, poczuła, że do głosu dochodzi jej temperament. *Zawsze jakiś mężczyzna mówi mi, co mam robić!* – pomyślała.

– Być może wciąż gdzieś żyją zwierzęta podobne do tych, które znajdujemy w skałach – powiedziała najostrożniej, jak potrafiła. – W końcu są na Ziemi miejsca, których nie tknęła ludzka stopa, i wody tak głębokie, że nikt nie dosięgnął dna. Kto wie, co mogło umknąć naszej uwadze? Od ponad tysiąca lat słyszymy o przypadkach zaobserwowania nieznanego stworzenia w jeziorze Loch Ness w Szkocji. Mówi się, że po tym, jak podczas kąpieli zginął mężczyzna, święty Kolumba przegnał bestię, lecz ona co jakiś czas powraca...

Pan Caffyn zakasłał i przewracając oczami w kierunku najmłodszych uczennic (dziewczynka w żółtej sukience opuściła kąciki ust w grymasie pełnego ekscytacji strachu), zasugerował, że może pani Seaborne wolałaby trzymać się kwestii kamieni i kości, które przyniosła w torbie.

– Nie ma się czego bać – odparła Cora. – Z wyjątkiem niewiedzy. Jeśli się czegoś boimy, powinniśmy skierować na to światło i dobrze się temu przyjrzeć. Pomyślcie: sarta ubrań na podłodze może wyglądać jak coś, co się do was skrada, ale wystarczy rozsunąć zasłony i okaże się, że to tylko ubrania, które zdjęłyście wieczorem! Nie wiem, czy coś żyje w Blackwater, ale wiem jedno: gdyby podpłynęło do brzegu i pozwoliło się zobaczyć, nie ujrzelibyśmy potwora, lecz zwierzę, równie prawdziwe jak wy czy ja.

Dziewczynka w żółtej sukience, która widocznie wolała się bać, niż słuchać wyjaśnień, lekko ziewnęła w dłoń. Cora spojrzała na zegarek.

– Cóż, mówiłam za długo, a wy byłyście bardzo cierpliwe i uważnie słuchałyście. Mamy godzinę do końca, zgadza się, panie Caffyn? Bardzo chciałabym zobaczyć, jak rysujecie i malujecie. Widziałam wasze prace – wskazała ścianę pełną motyli – i bardzo mi się podobają. Podejdźcie tutaj i wybierzcie, co chcecie narysować. Kiedy skończycie, wybiorę najlepszą pracę, a jej autorka otrzyma nagrodę.

Poruszone słowami o nagrodzie, dzieci zaczęły się tłoczyć wokół Cory.

– Ustawcie się w kolejce – upomniał je pan Caffyn, patrząc, jak Cora rozdaje amonity i kamienie ropusze oraz miękkie kawałki gliny z zatopionymi w nich

ostrymi zębami. Następnie przyniósł wodę, pędzle i twarde kostki farby.

Joanna Ransome spokojnie pozostała na swoim miejscu.

– Może podejździemy? – zaproponowała Naomi; nie mogła się doczekać, kiedy dostanie się jej jakiś wyjątkowo piękny kamień i będzie mogła pokazać pani Seaborne, że też jest godna jej uwagi.

– Nie, bo ona jest moją przyjaciółką i nie mogę z nią rozmawiać z wami wszystkimi, dziećmiakami, dookoła – odparła Joanna. Nie chciała, by jej słowa zabrzmiały niegrzecznie, lecz w obecności Cory miała wrażenie, że jej przyjaciółka jakby skurczyła się w krześle, stała się brudna i głupia, jej ubranie było podarte, z głęboko wżartym smrodem zepsutej ryby, a włosy związane nieporadnie, bo jej ojciec nigdy nie nauczył się zaplatać warkoczy. *Jakże mam być jak Cora – pomyślała – jeśli będę mówić jak Naomi i siedzieć jak ona, jeśli będę równie głupia i nie będę nawet wiedziała, że Księżyc krąży wokół Ziemi?*

Twarz Naomi pod piegami zrobiła się całkiem blada. Dziewczynka głęboko przeżywała każdą zniewagę, a ta, którą przed chwilą usłyszała, była dla niej najtrudniejsza do przyjęcia. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Joanna stanęła obok Cory, pocałowała ją w policzek i powiedziała:

– Uważam, że świetnie pani poszło.

*Jakby była już całkiem dorosła i nie wycierała nosa w rękaw, kiedy nikt nie patrzy!* – pomyślała Naomi. Dziś jeszcze niczego nie jadła i naraz sala zaczęła wirować jej przed oczami; próbowała wstać, ale pan Caffyn podszedł do jej ławki, postawił na niej kałamarz, położył kartkę i coś, co wyglądało jak ślimak z szarego kamienia.

– Siedź prosto, Naomi Banks – powiedział nauczyciel. Nie chciał być niemiły; czuł po prostu, że pani Seaborne i jej potwory przynieśli mniej korzyści, niż oczekiwał. – Rysujesz lepiej niż większość z nas tutaj; zobaczmy, co z tym zrobisz.

*Co z tym zrobię* – pomyślała Naomi, ważąc skamieniałość w prawej, a potem w lewej ręce; miałaby ochotę rzucić nią w Corę Seaborne i trafić ją prosto w czoło. Kim ona w ogóle jest? Wszystko było w porządku, zanim się zjawiała: Jo i ona, ich zaklęcia i ogniska. *Pewnie jest wiedźmą* – pomyślała. *Inaczej nie chodziłaby w takim płaszczu. Pewnie jest w komitywie z Wężem z Essex i przywlokła go ze sobą.* Przewrotność tej myśli poprawiła jej humor i gdy

Joanna wróciła do ławki, Naomi, śmiejąc się, maczała pędzel w kałamarzu. Jej myśli były coraz śmielsze: *Pewnie śpi z wężem przykutym do łóżka, pewnie na nim jeździ*. Mieszała tak i mieszała w kałamarzu, aż na białej kartce pojawiły się kleksy. *Pewnie w nocy karmi go piersią!* Zaśmiała się głośniej; nie wiedziała już, czy jej śmiech miał coś wspólnego z myślami, taki był głośny i dziwny, i nie potrafiła go powstrzymać, mimo że Joanna patrzyła na nią zmieszana i lekko poirytowana. *Może jest tutaj – na schodach – za drzwiami. Na pewno gwizdże na niego jak gospodarz na psy*. Spojrzała na swoje dłonie, na delikatną białą skórę pomiędzy palcami, i wydało jej się, że połyskują od słonej wody i cuchną rybą. Wstrząsał ją śmiech, dźwięki stały się wysokie i rozbrzmiewał w nich strach; spojrzała przez lewe ramię, później przez prawe, ale drzwi sali były zamknięte. Pędzel i kałamarz obracały się jak szalone, jak gdyby ktoś kierował jej ręką, ławka się zachybotła, słoik potoczył się po blacie i po kartce poplamionej atramentem popłynęła woda. *Patrzcie na to, patrzcie* – pomyślała Naomi. Wciąż się śmiała i spoglądała przez ramię (kiedy zjawi się wąż, zobaczy go pierwsza!).

– PATRZ – powiedziała do Joanny albo do pana Caffyna, który znów się przed nią zjawił, wykręcił jej ręce i powiedział coś, czego nie usłyszała, bo wszystko zagłuszały kaskady jej przeszywającego uszy śmiechu. – NIE WIDZICIE TEGO? – zapytała, patrząc na mokre kleksy rozkwitające niczym kwiaty i zmieniające wzór na kartce (musieli to przecież widzieć!) w wijące się ciało węża, z sercem, które tętniło pod cienką skórą na brzuchu i z parą rozwijających się czarnych skrzydeł. – Już niedługo – dodała – już niedługo...

Obejrzała się przez ramię jeszcze kilka razy, przekonana, że wąż czai się w progu; czuła jego woń, rozpoznałaby ten zapach wszędzie... a poza tym inni też go widzieli: Harriet w żółtej sukience też się śmiała i wyciągała głowę tak mocno, iż można by pomyśleć, że oderwie się od szyi; bliźniaczki z domu po drugiej stronie ulicy, które rzadko coś mówiły, nawet do siebie, a teraz kręciły szyjami, w lewo i w prawo, w przód i w tył, zanosząc się przy tym głośnym śmiechem.

Cora patrzyła, przerażona, jak śmiech rozprzestrzenia się po klasie, począwszy od ławki rudowłosej dziewczynki, i omija Joannę, jak wzburzona woda, która napotkała skałę. Dzieci zachowywały się tak, jakby usłyszały dowcip bez słów, który umknął dorosłym – niektóre dziewczynki śmiały się,

zasłaniając usta dłońmi, inne odchyliły głowę i śmiały się w głos, waląc pięściami w ławki, jak starsze kobiety, które usłyszały sprośny żart. Naomi, od której się zaczęło, zmęczyła się już i tylko cicho chichotała. Wtykała dłonie w wodę i atrament rozlane na kartce; od czasu do czasu przerywała to zajęcie, żeby obejrzeć się za siebie i zachichotać trochę głośniej. Dziewczynka w żółtej sukience, siedząca najbliżej drzwi, doprowadziła się do łez wręcz histerycznych i zamiast spoglądać za siebie, po prostu odwróciła krzesło w stronę drzwi, usiadła z dłońmi przyciśniętymi do policzków i łapiąc oddech otwartymi ustami, podśpiewywała:

– Pałka, zapałka, dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje.

Pan Caffyn, zarazem oburzony i przestraszony, szarpał krawat i krzyczał:

– Przestańcie! Przestańcie! Rzucał przy tym wściekłe spojrzenia kłopotliwemu gościowi.

Cora stała, mocno pobladła, i ścisnęła dłoń Joanny. Wtem jedna z dziewczynek zgięła się wpół ze śmiechu, tak że jej krzesło się przewróciło, a ona upadła na podłogę z krzykiem, który przebił bańkę głupkowatej wesołości i klasa zaczęła się uspakajać. Naomi przyłożyła dłoń do szyi.

– Boli – powiedziała. – Dlaczego boli? Co mi zrobiliście? – zapytała i rozejrzała się po klasie, mrugając oczami i potrząsając głową, zaskoczona widokiem zapłakanych twarzy. Mała Harriet mięła rąbek żółtej sukienki i dostała ataku czkawki, a jedna czy dwie starsze dziewczynki podeszły do płaczącej koleżanki, która siedziała na podłodze i masowała puchnący nadgarstek.

– Joanno? – odezwała się Naomi, patrząc na przyjaciółkę. – Co się dzieje? Czy to moja wina? Co zrobiłam tym razem?

Cora Seaborne

Błonia 3

Aldwinter

15 maja

Luke,

pewnie kąpiesz się w blasku sławy i tkwisz zanurzony po łokcie w jakiejś klatce



piersiowej, ale jesteś nam tutaj potrzebny.

Luke, dzieje się coś złego. Dziś coś się stało dzieciom i rozprzestrzeniło się jak pożar lasu – to nie choroba w zwykłym tego słowa znaczeniu, lecz coś w umysłach, i dzieci poddały się jedno po drugim, padły jak kostki domina. Do wieczora wszystko wróciło do normy, ale cóż mogło być tego przyczyną – czy to moja wina?

Ty się na tym znasz; zahipnotyzowałeś mnie, kiedy nie wierzyłam, że to możliwe – i szłam przez wrzosa do domu ojca, leżąc zarazem na kanapie – może mógłbyś tu przyjechać?

Nie boję się. Nie boję się już niczego; cały zapas strachu zużyłam dawno temu. A jednak coś tu się czai – coś się dzieje – coś jest nie tak...

Poza tym musisz poznać Ransome'ów, a zwłaszcza Willa. Opowiedziałam mu o moim Skrzacie.

Czy możesz *przywieźć* więcej książek dla Francisa? O morderstwach – im krwawsze, tym lepiej.

Twoja,  
CORA

Doktor Luke Garrett  
Pentonville Road  
N 1 Londyn  
15 maja

Coro,

nie przejmuj się. Nie ma już żadnych tajemnic.

Jedno słowo: sporysz. Pamiętasz? Czarny grzyb w zbiorach żyta – grupa dziewczyn ma halucynacje – Salem wiesz o czarownice. Sprawdź, czy nie dostają do szkoły kanapek z ciemnego pieczywa, a ja przyjadę do Ciebie najpóźniej w przyszły piątek.

Załączniki: 1x notka dla Marthy, z pozdrowieniami od Spencera. Coś o mieszkaniach; nudzi mnie i w ogóle go nie słucham.

LUKE

Doktor George Spencer  
Queen's Gate Terrace 10

15 maja

Droga Martho,

mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Jakie jest Essex wiosną? Czy tęsknisz za cywilizacją? Pomyślałem o Tobie, gdy zobaczyłem grupę ogrodników przy pracy w Victoria Park i wypielegnowane klomby. Przypuszczam, że w Aldwinter nie sadi się tulipanów, tak by utworzyły kształt tarczy zegara.

Myślałem o naszej rozmowie. Cieszę się, że wyrwałaś mnie z samozadowolenia i kazałaś spojrzeć, gdzie wcześniej nie patrzyłem; wstydzę się zarazem, że to Ty musiałaś mi wskazać kierunek. Przeczytałem wszystko, co mi poleciłaś, a nawet więcej. W zeszłym tygodniu wybrałem się do Poplar i na własne oczy zobaczyłem, w jakich warunkach się tam mieszka i jak się żyje, i jaki jedno ma wpływ na drugie. Napisałem do Charlesa Ambrose'a i mam nadzieję, że odpisze. Ma większe wpływy niż ja, lepiej rozumie funkcjonowanie rządu i sądzę, że może nam się przydać. Liczę na to, że da się go namówić, by wybrał się ze mną do Poplar albo Limehouse i zobaczył to, co oboje widzieliśmy. Jeśli się uda, może do nas dołączysz?

Załączam wycinek z „Timesa”, który może Cię ucieszyć: wygląda na to, że o ustawie mieszkaniowej dla robotników robi się głośno poza granicami Londynu. Przyszłość wychodzi nam na spotkanie!

Serdecznie Cię pozdrawiam,

GEORGE SPENCER

Luke przybył do Aldwinter okryty chwałą i nowym szarym płaszczem. Choć sukces nie okazał się lekiem na wszystkie bolączki, nie dało się zaprzeczyć, że taki dowód umiejętności i odwagi miał korzystny wpływ na jego renomę. W Bethnal Green serce Edwarda Burtona z każdą godziną biło mocniej; rekonwalescent upodobał sobie szkicowanie kopuły katedry Świętego Pawła, zanosilo się też na to, że wróci do pracy w połowie lata. Luke czuł, że serce Burtona bije obok jego serca, chodził więc ze zdwojoną witalnością i choć wiedział, że duma poprzedza upadek, to uczucie dumy oraz samo istnienie przestrzeni, w której miał się ów upadek wydarzyć, były czymś tak nowym, że gotów był zaryzykować.

Zarówno w pociągu jadącym z Londynu, jak i w powozie wiozącym go z Colchester myślał o Corze i wygładzał na kolanie list od niej. „Jesteś nam potrzebny”, napisała, a on teraz zastanawiał się ze zmarszczonymi brwiami, kogo miała na myśli, kiedy użyła liczby mnogiej – czy chodziło również o tego jej klechę, którego pełno było w jej listach i który wywabił ją z Londynu i wciągnął w błoto Essex? Zazdrość, która go dręczyła, kiedy patrzył, jak schylała się nad poduszką męża i całowała jego spocone czoło w jego ostatnich dniach, była niczym w porównaniu z tym, co czuł, gdy widział nazwisko pastora zapisane jej charakterem pisma. Najpierw pisała o nim „pan Ransome”, co trzymało go w bezpiecznej odległości, później zaczęła nazywać go „dobrym pastorem”, i ta czuła kpina już go zaniepokoiła; jeszcze później – ostatnio, i to nagle, bez ostrzeżenia – pojawił się „Will” (nawet nie „William”, choć i to byłoby nie do zniesienia!). Luke raz po raz wertował listy Cory w poszukiwaniu sygnałów, że tych dwoje łączy coś więcej niż beztraska przyjaźń (niechętnie przyznawał, że miała prawo do innych przyjaciół), lecz żadnych nie znalazł. Mimo to patrzył na pola, które przesuwały się za oknem, i na nakładające się na nie swoje ciemne odbicie i myślał: *Niech on będzie stary i tłusty, niech cuchnie kurzem i świętymi księgami.*

W szarym domu na błoniach Cora stała przy drzwiach i czekała. Od owego

poranka, kiedy gościła na lekcji pana Caffyna, sypiała źle, gdyż obwiniła się o to, co się stało. Will przestrzegał ją przed nadawaniem lękom wokół tajemnic Blackwater bardziej namacalnego kształtu, i miał rację – nie ma bujniejszej wyobraźni niż dziecięca, a ona nakarmiła ją tak, że Wąż z Essex stał się równie realny jak krowy pasące się pod Dębem Zdrajcy. Te śmiejące się dziewczynki i ich obracające się głowy! To było straszne, wierzyła jednak, że Luke pomoże jej znaleźć wyjaśnienie, które ją uspokoi.

Po tym, co zaszło, Joanna stała się skryta i choć wciąż chodziła do szkoły wcześniej, z książkami pod pachą, nie chciała mieć nic wspólnego z Naomi Banks, a każdego wieczoru uczyła się w kuchni, żeby się nie martwić, że choć na chwilę zostanie sama. Co gorsza, od tamtej pory ani razu się nie zaśmiała – z obawy, że nie będzie potrafiła przestać, jeśli zacznie, i nic, co wyprawiali bracia, nie zdołało przywołać na jej twarz choćby cienia uśmiechu. Cora bała się, że nowi przyjaciele będą ją winić za wydarzenia w szkole i za ponury nastrój Joanny, lecz ani Will, ani Stella nie byli świadkami zajścia, a kiedy im je opowiedziano, uznali, że dziewczynki są głupiutkimi stworzeniami gotowymi chichotać z byle powodu.

Wreszcie, co było najgorsze, Cora straciła entuzjazm dla poszukiwań w wodach Blackwater. Nie sądziła (to oczywiste!), że to kara Boża – może jednak w każdym człowieku istnieją grzaskie, ciemne miejsca, które najlepiej zostawić w spokoju. A potem zjawił się Luke, przemierzający błonia długimi krokami, z teczką przyciśniętą do piersi, i gdy zobaczył Corę na progu, przyśpieszył i niemal zaczął biec.

Kilka dni później Joanna, z dłońmi na kolanach, przyglądała się podejrzliwie czarnowłosemu doktorowi.

– Nie bój się – powiedział. Chciał sprawiać wrażenie żwawego i wesołego, lecz Joanna nie wyglądała, jakby dała się nabrać. – Rób to, o co cię poproszę, a wszystko będzie dobrze. Powiedz jej, Coro.

Cora, w szalu wyszywanym w ptaki, odezwała się uspokajającym tonem:

– Nie martw się, on już raz zrobił to mnie, i spałam później jak zabita.

Siedzieli w największym pokoju w szarym domu Cory, przy zgaszonych światłach. Na zewnątrz monotonnie padał deszcz, lecz nie obiecywał burzy, która zapewniłaby przyjemne popołudnie, a Joannie było chłodno. Pod oknem,

na obszernej sofie, jej matka siedziała między Corą a Marthą. Kobiety trzymały się za ręce; można by pomyśleć, że biorą udział w seansie spirytystycznym, a nie procedurze nie bardziej tajemniczej (zdaniem Luke'a) niż wyrywanie zęba.

Tylko Marcie nie podobał się pomysł zahipnotyzowania dziewczynki, żeby rzucić więcej światła na, jak to nazywała, „incydent komiczny”.

– Skrzat uważa nas wszystkich jedynie za kawały mięsa, a ty chcesz powierzyć mu umysł i pamięć dziecka? – Jadła jabłko tak nerwowo, że niewiele brakowało, a nie zostawiłaby ogryzka. – Hipnoza! Przecież on zmyśla. Nawet nie ma takiego słowa.

Kwestia hipnozy pojawiła się dopiero, kiedy ustalono inne fakty. Pan Caffyn, ze strachu przed utratą posady, sporządził raport, w którym zamieścił nazwiska biorących udział w zajściu dziewczynek, ich wiek i adresy, zajęcia ojców i średnią ocen; załączył też schemat klasy, na którym naniósł ławki i zaznaczył miejsca zajmowane przez każdą z uczennic. Potępił obecność Cory w wiosce, lecz nie śmiał tego powiedzieć wprost. Mała Harriet zgodziła się zeznawać, siedząc na kolanach matki; przedstawiła tak szczegółowy opis węża rozkładającego skrzydła jak parasolki, że uznano ją za miłe dziecko, lecz straszną kłamczuchę (Francis, który podsłuchiwał pod drzwiami, pomyślał sobie: *Czy straszna kłamczucha nie potrafi kłamać czy robi to świetnie?*). Naomi Banks, od której wszystko się zaczęło, odmówiła powiedzenia czegokolwiek, z wyjątkiem tego, że nie miała pojęcia, o czym wtedy myślała, i zapytała, czy mogliby dać jej spokój. Rodzice cieszyli się, że ich córki zbadał lekarz z Londynu i orzekł, że były zdrowe (z wyjątkiem sześciu przypadków grzybicy skóry, którym zaradzono od razu; nie wyjaśniały one jednak zbiorowej hysterii).

Luke, którego przedstawiono Stelli Ransome przy lunchu (jego uwadze nie uszły różowawe wypieki na jej policzkach), powiedział wtedy:

– Trzeba dotrzeć do sedna danej historii, do wspólnego wspomnienia lub lęku. Problem w tym, jak uśmierzyć te lęki, jeśli dziewczynki nie mogą lub nie chcą się nimi podzielić.

Stella pociągnęła za niebieskie koraliki oplatające jej nadgarstek. Polubiła tego zrzędlivego doktora z Londynu; pomyślała sobie przy tym, patrząc na niego, że bycie tak brzydkim musi być bardzo nieprzyjemne.

– Cora powiedziała mi, że praktykuje pan hipnozę, o ile dobrze wymawiam to słowo, i że mogłaby ona jakoś pomóc Joannie. Na pewno jej się to spodoba, ona lubi nowości. Zapisuje wszystko w zeszycie.

Luke'a kusilo, by ująć drobną dłoń Stelli i powiedzieć, że tak, oczywiście, hipnoza na pewno pomoże, jej córka spokojnie opowie wszystko, co widziała i słyszała tamtego dnia, jeśli będzie co opowiadać, a po wyjściu z transu odzyska też dobry humor. Jednak jego ambicja skapitulowała pod spojrzeniem tych ufnych niebieskich oczu, odparł więc:

– Może pomoże, a może nie, sądzę jednak, że nie zaszkodzi. – Natarczywe sumienie dalej go męczyło, dodał zatem: – Nie próbowałem tego nigdy na kimś tak młodym. Może stawiać opór i mnie wyśmiać.

– Wyśmiać! – powiedziała Stella. – Ucieszyłabym się, gdyby chciało jej się śmiać!

– Kiedy ja byłem zahipnotyzowana – opowiadała Cora, nalewając herbaty – czułam, jak gdyby ktoś mnie w środku wyczyścił, tak jak się czyści komin. Byłam rozluźniona i mówiłam niewiele. Nie ma się czego bać. Nie ma w tym nic dziwnego, to wszystko naturalne działanie umysłu.

Herbata wylała się na spodek; światło na ścianach zbladło.

– Wyobrażam sobie, że kiedy Joanna będzie w naszym wieku, hipnoza stanie się tak popularna, że hipnotyzerzy będą otwierać gabinety na High Line, obok apteki i sklepu obuwniczego. – (Za jej plecami nieobecny Will patrzył i został zignorowany). – Z kwiatami doniczkowymi w oknach – dodała Stella, coraz bardziej pobudzona tą wizją. – I recepcjonistkami w białych bluzkach. Już nikt nie będzie miał tajemnic. Nie jest państwu za gorąco? Moglibyśmy otworzyć okno? Chciałabym znów widzieć Joannę szczęśliwą.

Zastanowiła się przez chwilę, co mógłby sobie pomyśleć Will, który nie poznał jeszcze Garretta i nie wydawał się tym zainteresowany; sądziła, iż wzdragałby się na myśl, że Joanna ma zostać poddana procedurze, której nazwy jej matka nie potrafi nawet wymówić. Ale przecież Cora nie zrobiłaby niczego, czego Will by nie pochwalał. Stella nigdy, w całym swym życiu, nie czuła zazdrości, nie potrafiła sobie tego uczucia wyobrazić, a to, że jej mąż miał tak oddaną i lojalną przyjaciółkę, dodawało jej otuchy.

– Otwórzmy okno szerzej – powiedziała. – Ostatnio ciągle jest mi gorąco.

Cora odwróciła się w stronę Luke'a, który ujął dłoń Stelli w szarmanckim geście, z nadzieją, iż kobieta nie zauważy, że mierzy jej puls (tak jak przypuszczał – bardzo przyśpieszony).

– Może zatem zawołajmy Jo i spytajmy, czy zechce się poddać hipnozie.

Oczywiście zechciała („Będę eksperymentem?”); leżała teraz na najwygodniejszej kanapie i patrzyła w sufit, w miejsce, gdzie zaczynał się łuszczyć tynk. Trudno jej było wziąć całą rzecz na poważnie po tym, gdy usłyszała, jak Martha nazywa lekarza Skrzatem; tym bardziej teraz, kiedy przekonała się na własne oczy, jak bardzo adekwatny był to przydomek (powinien nosić ze sobą widły, a nie torbę lekarską!).

Doktor Garrett przysunął krzesło bliżej, nachylił się ku niej tak, że mogła poczuć zapach jego koszuli (przypominał woń cytryny), i powiedział:

– Oto czego możesz oczekiwać: nie zaśniesz, a ja nie będę miał nad tobą kontroli, ale będzie ci wygodniej i będziesz spokojniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. A ja zadam ci pytania: o samopoczucie i ten dzień, i zobaczymy, czy uda nam się czegoś dowiedzieć o tym, jak się to wszystko zaczęło i co czułaś.

– Dobrze – odpowiedziała. *Jednak nie ma nic więcej do powiedzenia na temat tego dnia i śmiechu* – pomyślała – *a gdyby było inaczej, dawno bym im wszystko powiedziała*. Spojrzała w stronę matki; Stella przesłała jej pocałunek.

– Widzisz to miejsce na ścianie? Nad kominkiem, tam gdzie odpada farba? Chciałbym, żebyś cały czas tam patrzyła, nawet jeśli powieki będę ci się zamykać, a oczy boleć...

Były też inne polecenia, wypowiedane po cichu i jakby z oddali: miała pozwolić rękom opaść, szyi się rozluźnić, oddechowi – zwolnić; jej myśli miały swobodnie błądzić po innych pokojach... nie udało się jej skupić wzroku na tym punkcie na ścianie, a kiedy dostała pozwolenie na zamknięcie oczu, zrobiła to z westchnieniem ulgi i prawie spadła z kanapy, tak była rozluźniona. Dopiero później dowiedziała się, co mówiła, gdy błądziła między jawą a snem (powiedzieli jej, że było to coś na temat Naomi Banks i Lewiatana i że zdawała się w ogóle nie bać). Pamiętała jedynie uprzejme pukanie do drzwi oraz ich dźwięk, gdy się otwierały, szurając o dywan, a później głos ojca, podniesiony w przypływie gniewu, jakiego u niego wcześniej nie widziała.

Will zobaczył swoją córkę rozciągniętą na kanapie, z ramionami zwisającymi

luźno po obu stronach ciała i półotwartymi ustami; nachylał się nad nią jakiś stwór i coś szeptał. Pastor wrócił z obchodu parafii i nie zastał w domu nikogo; kiedy chodził od pokoju do pokoju, wołając Stellę, znalazł w gabinecie karteczkę z informacją, że wszyscy są u Cory, gdyby miał ochotę dołączyć. Kiedy szedł przez błonia, wyobraził sobie jasne włosy Stelli i niestarannie ułożoną fryzurę Cory obok siebie, oprawione w ramę okna, w świetle lampy; wyobraził sobie, że kobiety na niego czekają, i przyśpieszył kroku.

Wiedział oczywiście o wizycie doktora Garretta i był poirytowany przyjazdem tego intruza. Czuł, że w tym roku na wioskę spadło wystarczająco dużo nieszczęść. Londyńczycy i węże – czy nie można liczyć na chwilę spokoju? Potem jednak pomyślał, jak czule Cora o nim mówiła i jak dumna była z operacji, dzięki której ocalił życie człowieka, i uznał, że chirurg musi być człowiekiem, którego będzie w stanie polubić. *Na pewno jest niski, drobny i nerwowy*, orzekł Will, wkraczając w cień Dębu Zdrajcy, ma długie wąsy smutasa i będzie wybrzydzał przy stole. Biorąc pod uwagę stan jego zdrowia, biedaczynie zapewne przydadzą się wakacje na wsi.

Martha przywitała go dziwnym spojrzeniem i unikała jego wzroku; było to tak odmienne od jej typowej bezpośredniości, że Will poczuł się nieswojo, jeszcze zanim otworzył drzwi i ujrzał przykucniętą postać o krzaczastych brwiach, która szeptała coś jego córce. Ta leżała bez ruchu, jak gdyby nagły cios pozbawił ją przytomności; głowę odchyliła do tyłu, a jej półotwarte oczy miały nieobecny wyraz. Na chwilę znieruchomiał, z szoku lub niepokoju, kiedy jednak zobaczył Stellę i Corę spokojnie obserwujące rozwój wydarzeń z sofy, zrozumiał, że maczały we wszystkim palce, i wpadł w szal, jakiego nie wywołał u niego ani Wąż z Essex, ani Cracknell, ani żadne z wydarzeń kilkunastu ostatnich burzliwych miesięcy. Nie umiał później powiedzieć, co pomyślał o scenie rozgrywającej się przed jego oczami, poza tym, że poczuł wstręt. Jego córka coś szeptała – zdaje się, że po łacinie – i leżała bez ruchu jak oprawiana ryba! Przemierzył pokój, włożył palce za kołnierz kucającego mężczyzny i spróbował zrzucić go z krzesła. Lecz choć pastor był silny, chirurg okazał się dlań za ciężki; nastąpiła szamotanina, która przez chwilę wydała się Corze nieodparcie śmieszna, dopóki nie zaczęła się martwić, że Will w swoim słusznym oburzeniu zrobi jej przyjacielowi krzywdę. Przypomniała sobie, jak Will wyciągał owcę z błota i jak napięły się wówczas mięśnie jego



przedramion. Wstała i powiedziała:

– Panie Ransome, Will! To doktor Garrett, on tylko próbuje pomóc!

Joanna, przestraszona i śpiąca, stoczyła się z kanapy i uderzyła głową w twarde siedzisko jednego z krzeseł. Spojrzała w sufit i bąknęła:

– Skryjcie się. – Następnie przetarła oczy i usiadła. Stella, która niemal drzemała mimo chłodnego powietrza wpadającego przez okno, spojrzała zaskoczona na męża („Kochanie, nie nanieś Corze błota!”) i podeszła do córki.

– Jak się czujesz? Jest ci niedobrze? Uderzyłaś się w głowę?

– To było takie proste – powiedziała Joanna, pocierając czoło, na którym wyrósł już spory guz. Przenosiła wzrok z doktora na ojca; zauważyła, że obaj stoją sztywno i tak daleko od siebie, jak to możliwe, i zapytała: – Co się stało? Czy zrobiłam coś złego?

– Ty nie – odparł Will i choć nie spuszczał wzroku z drugiego mężczyzny, Cora wiedziała, że to na nią jest wściekły, i poczuła ucisk w gardle. Przypomniała sobie o manierach, stanęła pomiędzy mężczyznami i powiedziała:

– Luke, to jest William Ransome, mój przyjaciel.

*Mój przyjaciel* – pomyślał Luke. *Nie słyszałem, by kiedykolwiek mówiła „mój mąż” albo „mój syn” z taką dumą.*

– Will, to jest doktor Luke Garrett; uściśnijcie sobie dłonie. Pomyśleliśmy, że spróbujemy pomóc Joannie; nie jest sobą od tych zdarzeń w szkole.

– Pomóc? Jak? Co wy tutaj wyrabialiście? – Will zignorował wyciągniętą rękę, której towarzyszył (jego zdaniem) sardoniczny uśmiech. – Zrobiła sobie krzywdę. Patrzcie! Macie szczęście, że nie straciła przytomności!

– Hipnoza! – powiedziała Joanna z dumą. Była eksperymentem! Później o tym napisze.

– Możemy mu wyjaśnić później – zasugerowała Stella, szukając dłońmi kurtki. Te podniesione głosy! Rozbolała ją głowa.

– Miło pana poznać, pastorze, bez wątplenia – powiedział Luke i włożył ręce do kieszeni.

Will odwrócił się od przyjaciółki.

– Włóż płaszcz, Stello, cała drżysz. Dlaczego pozwolili ci tak zmarznąć? Tak, Jo, możesz mi o tym opowiedzieć później. Miłego wieczoru, doktorze Garrett,

może się jeszcze spotkamy.

Jak gdyby niosła go fala uprzejmości, Will opuścił pokój z podążającymi za nim żoną i córką, nie zaszczyciwszy spojrzeniem Cory, którą w tej chwili ucieszyłby nie tylko uśmiech, ale nawet grymas wściekłości.

– Byłam eksperymentem – usłyszeli, jak Joanna powtarza w drzwiach – a teraz jestem głodna.

– Ze wszech miar czarujący człowiek – zauważył Luke. *Cóż, nie jest to człowieczek w getrach, jakiego sobie wyobrażałem – pomyślał. Wygląda raczej jak wieśniak z głową napchaną ideami, które go przerastają, ma gęste włosy, a w jego obecności Cora Seaborne (że też właśnie ona!) zachowuje się jak dziecko, zrozpaczone, że wypadło z jego łask.*

Martha wstała z sofy, z której obserwowała wszystko w ciszy, i rzuciwszy doktorowi pogardliwe spojrzenie, stanęła obok przyjaciółki.

– I po co było wyjeżdżać z Londynu? – zapytała. – Trzeba było mnie słuchać.

Cora musnęła policzkiem ramię Marthy i powiedziała:

– Ja też jestem głodna. I potrzebuję wina.

Edward Burton siedział na wąskim łóżku z rozwiniętym papierem na kolanach. Na krześle z wysokim oparciem stojącym pod grafiką przedstawiającą katedrę Świętego Pawła przysiadła kobieta, która przyszła w odwiedziny. Polała frytki octem i zapach gorącego jedzenia po raz pierwszy od wielu tygodni obudził jego apetyt. Kobieta miała jasne włosy, zaplecione w wysoko upięty warkocz. Edward odłamał panierkę z kawałka ryby i pomyślał, że jego gość wygląda jak anioł, o ile anioły bywają głodne i nie przeszkadza im tłuszcz na podbródku i sos z zielonego groszku na rękawie.

Martha patrzyła na jedzącego z apetytem mężczyznę i czuła się niemal tak dumna, jak Luke w dniu, w którym zaszył ranę Edwardowi. Odwiedzała go po raz trzeci i zauważyła, że jego twarz nabrała kolorów. Przedstawiła ich sobie Maureen Fry, która poza tym, że odwiedzała Burtona i zdejmowała szwy z jego gojącej się rany, okazała się krewną Elizabeth Fry i odziedziczyła jej wrażliwość społeczną – uważała, że obowiązki pielęgniarki nie kończą się na zakładaniu bandaży i wycieraniu krwi. Poznała Marthę na spotkaniu kobiet zaangażowanych w działalność związków zawodowych; przy mocnej herbacie kobiety odkryły, że łączy je znajomość z doktorem Lukiem Garrettem („Że też właśnie z nim!”, powiedziała Martha, kręcąc głową). Gdy Martha po raz pierwszy towarzyszyła siostrze Fry do Bethnal Green, gdzie Edward mieszkał z matką, zastała mieszkanie co prawda niewielkie, z problemami sanitarnymi, które tłumaczyły odór amoniaku, jednak całkiem przyjemne. Wewnątrz było dość ciemno, gdyż światło musiało przebić się przez sznury bielizny rozwieszane między budynkami niczym proporce nadciągającej armii, lecz na stole, w słoiku po dżemie Robertsona, stały kwiaty. Pani Burton zarabiała na życie praniem i szyciem chodników ze ścinków; właśnie takie chodniki przyozdabiały ich trzy małe pokoje i dodawały im światła. Przez myśl jej nie przeszło, że Edward mógłby w pełni nie wyzdrowieć i nie wrócić do pracy w firmie ubezpieczeniowej; dlatego podchodziła do jego rekonwalescencji ze stoickim spokojem.

Pierwsza wizyta nie była udana. Blady Edward Burton siedział w kącie, a w pani Burton walczyły ze sobą dwie odmienne emocje: radość, że jej syn przeżył, i nieprzyjemne wrażenie, że mężczyzna, który wstał ze stołu operacyjnego, był kimś innym niż ten, którego na nim położono.

– Jest za spokojny – powiedziała, załamując ręce. Pożyczyła chusteczkę od siostry Fry. – Jakby zabrano mi dawnego Neda i na jego miejsce podstawiono kogoś innego, kogo muszę poznać, zanim będę go mogła nazwać synem.

Mimo porażki Martha nie przestawała się martwić, czy Burton je, ile trzeba, i czy ćwiczy nogi, chodząc na odległość konieczną do przejścia przez ulicę. Wróciła więc tydzień później z rybą z frytkami, siatką pomarańczy i kilkoma starymi numerami „The Strand”, których Francis już nie potrzebował.

Edward jadł z apetytem. Dla Marthy – nawykłej do nigdy niemilknącej Cory i jej nagłych napadów radości lub smutku – towarzystwo Burtona było kojące. Reagował na wszystko, co mówiła: przechylał głowę i zastanawiał się dokładnie, często też nie odpowiadał. Czasami chwycił go ostry ból w miejscu, z którego usunięto mu żebro – jak gdyby skurcz mięśni, których włókna próbowały zacisnąć się na nieistniejącej kości – i aż go zatykało; przykładła wówczas dłoń do wgłębienia po żebrze i czekał, aż ból minie. Martha nic wtedy nie mówiła, siedziała tylko z nim w milczeniu, a gdy unosił głowę, prosiła:

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak zbudowano most Blackfriars.

Tamtego popołudnia, kiedy deszcz zbierał się w rynsztokach dzielnicy Tower Hamlets i kapał z dachów, Edward powiedział:

– Ten Szkot znów mnie odwiedził. Modlił się ze mną i zostawił mi trochę pieniędzy.

Owym Szkotem był John Galt, który prowadził misję w namiotach ustawionych w Bethnal Green, gdzie głosił Słowo Boże, propagował abstynencję i higienę osobistą. Martha słyszała już o nim – widziała w gazetach zdjęcia, na których pokazywał najciemniejsze strony miasta – i nie znosiła jego wrażliwego chrześcijańskiego sumienia.

– Modlił się, tak? – Potrząsnęła głową i powiedziała: – Nie ufaj nigdy świętoszkowi. – Jak zwykle wyraziła swą niechęć do instytucji, które chcą łączyć słuszne postępowanie i odgradzanie się od świata murem.

– On nie tylko czyni dobro – powiedział Edward w zamyśleniu. Przyjrzał się

frytce, zanim włożył ją do ust. – Myślę, że on jest dobry.

– Nie widzisz, że właśnie w tym tkwi problem. To nie jest kwestia dobra, lecz powinności! Uważasz za dobroć to, że ktoś przynosi ci pieniądze i pyta, czy w domu jest wilgoć, a potem zostawia cię w rękach Boga, jakkolwiek byśmy je zdefiniowali. Godne życie jest naszym prawem, a nie prezentem od lepszych od nas. Och! – Roześmiała się. – Widzisz, jak łatwo przeszło mi to przez usta. Lepszy od nas! Dlatego że nie obstawiają na wyścigach psów albo że nigdy nie upili się do nieprzytomności!

– Jak zatem zamierzasz temu zaradzić? – zapytał z humorem, ukrytym tak głęboko, że jedynie Martha mogła go dostrzec.

Skończyła jeść, wierzchem dłoni wytarła tłuszcz z ust i oświadczyła:

– Kroją się wielkie sprawy, Edwardzie Burtonie, zapamiętaj moje słowa. Napisałam do kogoś, kto może pomóc. W końcu i tak zawsze wszystko rozbija się o pieniądze. Pieniądze i wpływy. Ja pieniędzy mam jak na lekarstwo, a wpływów niewiele, lecz wykorzystam wszystko, co mam.

Przez chwilę pomyślała o Spencerze, o tym, jak zawsze po kryjomu na nią zerka, i zrobiło jej się odrobinę wstyd.

– Chciałbym też mieć w tym udział – powiedział Edward i wskazał swoje chude nogi, chudsze niż kiedykolwiek wcześniej, gdyż był tak słaby, że nie mógł zrobić dziesięciu kroków bez utraty tchu. Przez moment wyglądał rozpaczliwie. Żył dotąd w mieście i niezbyt wiele myślał o swej sytuacji, dopóki nie zjawiała się ta kobieta o gęstych włosach, pełna werwy, nie stanęła na chodnikach jego matki i nie zaczęła grzmieć przeciw niesprawiedliwości, którą widziała na ulicach. Teraz nie potrafiłby przejść z jednego końca Bethnal Green na drugi, nie myśląc o tym, że ten ciemny labirynt nędznych domów miał własną świadomość i jak ona oddziaływała na każdego mieszkańca. Nocą, kiedy matka spała, rysował wysokie białe domy, pełne światła, z czystą, bieżącą wodą.

Martha wyjęła parasol spod krzesła i rozłożyła go, wzdychając na widok deszczu spływającego po szybie.

– Jeszcze nie wiem – powiedziała. – Nie wiem, co mogę zrobić. Ale coś się zmieni. Nie czujesz tego?

Sam nie wiedział, czy i co czuje, lecz wtedy ona pocałowała go w policzek

i uściśnęła jego dłoń, jak gdyby nie mogła się zdecydować, które pożegnanie będzie najodpowiedniejsze. Zatrzymała się przy drzwiach, bo usłyszała jego głos.

– Wiesz, to była moja wina.

– Twoja wina? Ale co? Co zrobiłeś? – To, że odezwał się niepytany, było tak nietypowe, iż bała się poruszyć z obawy, że zamilknie.

– To. – Lekko dotknął swojej piersi. – Wiem, kto to zrobił i dlaczego. I zasłużyłem na to. A jeśli nie na to, to na pewno na coś.

Zawróciła i znów usiadła na krześle. Siedziała bez słowa i odwrócona od niego odrywała nitkę wystającą z rękawa. Wiedział, że robi to, by go oszczędzić, i coś drgnęło w jego rannym sercu.

– Byłem całkiem zwyczajnym człowiekiem – powiedział. – Prowadziłem zwyczajne życie. Miałem trochę oszczędności. Marzyłem o własnym mieszkaniu, choć mieszkanie z matką wcale mi nie przeszkadzało, zawsze się dogadywaliśmy. Praca też mi nie wadziła, czasem tylko bywała nudna; wtedy rysowałem plany budynków, które nigdy nie powstaną. A teraz mówią mi, że jestem cudem bądź czymkolwiek, co dziś jest odpowiednikiem cudu.

– Nie ma czegoś takiego jak zwyczajne życie – zauważyła Martha.

– Tak czy inaczej to moja wina – powtórzył i opowiedział jej, jaki był zadowolony z siebie, kiedy siedział przy swoim biurku w budynku towarzystwa ubezpieczeniowego i czekał, aż zegar obwieści godzinę wolności. Cieszył się popularnością, której nigdy nie szukał i która nie sprawiała mu przyjemności; podejrzewał, że koledzy dali się nabrać na jego wysoki wzrost i zjadliwy humor, o którego posiadaniu prawie zapomnieli. Edward, zanim go pchnięto nożem w cieniu katedry, w niczym nie przypominał tego małomównego człowieka, którego znała Martha. Tamten mężczyzna zawsze się z czegoś śmiał, miał temperament, który rozpalał się równie szybko, jak stygł. Ponieważ zły nastrój Edwarda mijał szybko, nie zauważał, że jego lekkomyślne ciosy mogą kogoś trwale zranić. A jednak zraniły. – To były tylko takie niewinne, nieszkodliwe docinki – powiedział. – Myśleliśmy, że nic nie znaczą. Wydawało się nam, że mu nie przeszkadzają. Trudno było powiedzieć, co Hall myśli. Zawsze wyglądała żałośnie, więc pewnie było mu wszystko jedno.

– Hall? – spytała Martha.

– Samuel Hall. Nigdy nie zwracaliśmy się do niego Sam. Już to coś mówi, prawda?

*Nie, zdawało się, że mu to nie przeszkadza* – pomyślał Burton, lecz teraz, kiedy opowiadał to Marcie, zaczerwienił się ze wstydu. Samuel Hall, nieszczęśnik pozbawiony urody i poczucia humoru, przychodził ubrany w bury płaszcz minutę przed początkiem dnia pracy, a wychodził minutę po jego końcu; był obsesyjnie pracowity i kompletnie niewidoczny. A jednak zauważyli go i zaczęły się docinki – niewinne żarty, za pomocą których chcieli wydobyć z Halla jakąś głęboko ukrytą błyskotliwość. I to zawsze Edward inicjował te zabawy – roześmiany prowodyr.

– Był tak nieszczęśliwy, że wydawało mi się to nieodparcie śmieszne. Rozumiesz? Nie dało się traktować go poważnie. Mógłby paść trupem przy biurku, a my śmialibyśmy się w głos.

Ale później ponurak Samuel Hall – którego brązowe oczy mrugały mściwie na świat spod okularów – się zakochał. Wypatrzyli go w ciemnym barze przy Embankment, jak się śmiał, ubrany w jasny płaszcz zamiast burego, i jak całował dłoń kobiety, a ona się nie wzbraniała. Zdawało się, że nie ma nic śmieszniejszego i – w świetle lamp i w ciepłe piwa – bardziej absurdalnego. Burton nie pamiętał, jakie słowa padły ani kto je wypowiedział; zapamiętał tylko, że w następnej chwili to on, zdziwiony, trzymał tę kobietę w ramionach i całował ją z galanterią, która była czystą kpina.

– Nie miałem nic złego na myśli. Chciałem tylko rozśmieszyć kolegów. Wróciłem do domu i następnego dnia już nie pamiętałem, gdzie byłem poprzedniego wieczoru.

Jednak przez cały kolejny tydzień biurko Halla stało puste i nikt nie zapytał, gdzie on się podziewa ani dlaczego nie przychodzi do pracy; nikomu nie przyszło do głowy, że kiedy tak siedział sam w swoim jedynym pokoju, na swoim jedynym krześle, wszystkie zniewagi – te prawdziwe i te wyobrażone – zlały się w jedno: nieprzejednaną nienawiść do Edwarda Burtona.

– Zatrzymałem się, żeby popatrzeć na katedrę Świętego Pawła; zawsze się zastanawiam, jakim cudem jej kopuła się nie zapada, i zobaczyłem siedzące na schodach czarne ptaki. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie słyszałem, że „jeden gawron to kruk, lecz wiele kruków to gawrony”. A później ktoś na mnie wpadł; wyglądało to tak, jakby stracił równowagę. Krzyknąłem: „Uważaj!”

i zobaczyłem przed sobą Samuela Halla; nie patrzył na mnie, śpieszył się, jak gdyby z mojej winy był gdzieś spóźniony.

Edward poszedł dalej w cieniu katedry, lecz nagle poczuł się bardzo zmęczony; przyłożył dłoń do wilgotnego miejsca na koszuli i zobaczył, że ręka jest skąpana we krwi. Potem noc zapadła wcześniej, a on ułożył się na schodach do snu.

W pokoju panował półmrok. Edward sięgnął po lampę i ją zapalił; w powoli narastającym blasku Martha zobaczyła, jak chuda twarz mężczyzny odwraca się od niej. Policzki Edwarda zaczerwieniły się ze wstydu i nieśmiałości.

– To nie jest kwestia winy i kary – stwierdziła. – Tak już jest ten świat urządzony. Gdyby każdy dostał to, na co zasługuje... – Martha poczuła się tak, jakby obdarowano ją czymś bardzo kruchym. Coś się pomiędzy nimi zmieniło. Była mu winna zaufanie. – Nie zmienimy tego, jeśli chcemy żyć – ciągnęła. – Chodzi mi o wyrządzenie krzywdy; nie da się go uniknąć, chyba że odetniemy się od świata, przestaniemy mówić, działać.

Pragnęła zrewanżować się Edwardowi za okazane zaufanie i kiedy usilnie szukała źródeł swojego poczucia winy, przed jej oczami pojawiła się twarz Spencera. I nie chciała zniknąć.

– Gdyby każdy dostał to, na co zasługuje, sama oczekiwałabym kary – powiedziała. – Myślę, że moja byłaby jeszcze gorsza od twojej; nóż w serce jeszcze dałoby się znieść. Ty nie wiedziałeś, jaką krzywdę wyrządzasz, ale ja wiem i, co więcej, dalej to robię!

I wtedy opowiedziała swojemu milczącemu towarzyszowi o mężczyźnie, który ją kochał („Myśli, że to ukrywa, ale to się nikomu nie udaje...”), o jego nieśmiałości i pogoni za dobrem, które chciał czynić zarówno ze względu na siebie samego, jak i dla jej przyjemności.

– Spencer jest nieprzyzwoicie bogaty. Ma tak wiele, że sam nawet nie wie, ile tego jest! Czy jeśli pozwalam mu się kochać i udaję, że mogę jego uczucie odwzajemnić, a jego nadzieja każe mu robić coś dobrego, czy jest to złe? Czy złamane serce to zbyt wysoka cena za lepsze miasto?

Burton uśmiechnął się i uniósł dłoń.

– Rozgrzeszam cię – powiedział.

– Dziękuję, ojciec – odparła ze śmiechem. – Wiesz, zawsze uważałam to za



wielką zaletę bycia religijnym: można rozprawić się z winą i grzeszyć dalej. No cóż – wskazała ręką okno i ciemniejące niebo za nim – muszę już iść, jeśli chcę zdążyć na pociąg.

Kiedy ujęła jego dłoń, żeby się pożegnać, przytrzymał ją, przyciągnął do siebie i pocałował. Po raz pierwszy zauważyła, że te długie palce, te nogi wyciągnięte pod kocem, były kiedyś pełne życia.

– Przyjdź znowu – poprosił – przyjdź niedługo.

Po jej wyjściu długo siedział na krześle, z którego wstała, i snuł plany stworzenia ogródka, z którego mogliby korzystać wszyscy sąsiedzi.

W Colchester padał drobny deszcz; w zasadzie nie tyle padał, co otulał całe miasto bladym obłokiem. Thomas Taylor wytrzasnął skądś brezent, a teraz siedział pod nim zadowolony i dzielił się ciastem z Corą Seaborne, która przyjechała do miasteczka po papeterię i książki, i na jedzenie lepsze niż w Aldwinter („Mają tam dobry chleb i świeże ryby, ale nie ma co liczyć na marcepan”). Podejrzewał, że przechodnie będą mile zaskoczeni widokiem tej ewidentnie zamożnej (choć zaniedbanej) kobiety u jego boku; z tego powodu liczył na większe przychody tego popołudnia. Tymczasem mieli dużo spraw do omówienia.

– Co u Marthy? – zapytał, nazywając po imieniu dziewczynę, która podczas każdej wizyty w miasteczku wyrażała swoją dezaprobatę wobec niego, lecz zawsze poprawiała mu humor. – Wciąż snuje te swoje szalone plany?

Zlizał okruch z palca; popatrywał przy tym na słońce, które nieśmiało wyglądało zza chmur.

– Gdyby istniała sprawiedliwość – odpowiedziała Cora – a dobrze wiemy, że nie istnieje, Martha zasiadałaby w Parlamencie, a pan miałby własny dom.

W istocie Taylor posiadał przyzwoite mieszkanie na parterze dawnej siedziby władz Colchester, otrzymywał przyzwoitą rentę i jeszcze przyzwoiciej sobie dorabiał, nie chciał jednak rozczarować swojej znajomej.

– Gdyby życzenia były końmi – powiedział, westchnął i przewrócił oczami w stronę wózka, który miał go później zawieźć do domu – dorobiłbym się fortuny na nawozie. A co słyhać na wsi, w Aldwinter? Czy Wąż z Essex wychynął z głębin i zjadł ich żywcem?

Zazgrzytał zębami z nadzieją, że ją rozśmieszy, lecz Cora skrzywiła się tak, że jej czoło przecięły zmarszczki.

– Czy kiedykolwiek czuje pan, że tu coś straszy? – zapytała i wskazała ruiny, w których powiewały strzępy mokrych zasłon, a lustro nad kominkiem pokazywało fragmenty sekretnych zakątków z wnętrza.

– Nic z tych rzeczy – rzekł pogodnie. – Jestem dosyć religijny, nie bardzo wierzę w zjawiska nadprzyrodzone.

– Nawet w nocy?

W nocy Taylor zwykł sypiać w łóżku pod ciepłą kołdrą, z żołądkiem pełnym grillowanego sera, przy akompaniamencie chrapania córki za ścianą.

– Nawet wtedy – odparł. – Nie ma tu niczego poza jaskółkami.

Cora dokończyła ciasto i powiedziała:

– Wydaje mi się, że straszy w całej wiosce. Tyle tylko, że moim zdaniem oni straszą się sami.

Pomyślała o Willu, który nie napisał do niej ani słowa od owego dnia, kiedy nasłali Luke'a na Joannę, i który witał się z nią z tak wyszukaną uprzejmością, że robiło się jej zimno.

Taylor nie miał cierpliwości do tego rodzaju rozmów, trącił więc palcem gazetę, którą przyniosła Cora, i zaproponował:

– Niech mi pani lepiej powie, co się dzieje na świecie. Lubię być na bieżąco.

Rozprostowała gazetę i powiedziała:

– To, co zwykle: trzech brytyjscy żołnierze zginęli pod Kabulem, przegrany mecz krykieta. Ale – pstryknęła palcem w złożoną gazetę – jest też coś takiego: kuriozum meteorologiczne, i wcale nie chodzi o ciągłe opady deszczu! Przeczytać?

Taylor przytaknął, następnie złożył dłonie na kolanach i zamknął oczy, jak dziecko, które chce, by je zabawić.

– „Miłośnicy meteorologii – zaczęła czytać Cora – powinni w najbliższym czasie uważnie patrzeć w niebo i wypatrywać wyjątkowego zjawiska. Zaobserwowane po raz pierwszy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku i widoczne tylko w letnich miesiącach pomiędzy pięćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej a siedemdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej «obłoki srebrzyste» układają się w warstwy widoczne jedynie o zmierzchu. Obserwatorzy mówią, że zjawisko ma błyszczącą błękitną barwę, której jasność znacząco się zmienia, a układ przypomina łuskę makreli. Pochodzenie tego «nocnego blasku» pozostaje przedmiotem sporów, choć niektórzy twierdzą, że to, iż zjawisko zaobserwowano dwa lata po wybuchu wulkanu Krakatoa w tysiąc osiemset

osiemdziesiątym trzecim roku, nie jest zbiegiem okoliczności”. Coś takiego – dodała. – Co pan o tym powie?

– Nocny blask – odpowiedział i potrząsnął głową, lekko urażony. – Ciekawe, co jeszcze wymyślą!

– Podobno popiół z wulkanu Krakatoa zmienił świat. Te srogie zimy w ostatnich latach, zmiany na nocnym niebie; wszystko to tylko dlatego, że lata temu i tysiące mil stąd wybuchł wulkan. – Potrząsnęła głową. – Zawsze uważałam, że nie ma tajemnic, jedynie rzeczy, których jeszcze nie wiemy; ostatnio zaczynam jednak myśleć, że wiedza to za mało, by pozbawić świat dziwności.

Opowiedziała mu o tym, co widziała z Williamem Ransome’em – o barce widmo na niebie Essex i mewie przelatującej pod jej kadłubem.

– To tylko światło – stwierdziła – robiło swoje stare sztuczki. Ale skąd moje serce miało to wiedzieć?

– Latający Esseksczyk, co? – zażartował niewierny Thomas. Gdyby statki widma rzeczywiście miały pojawić się na morzach, znalazłyby lepsze miejsce niż ujście Blackwater. Od kolejnych komentarzy wybawiło go przybycie Charlesa i Katherine Ambrose’ów, których obecność rozświetliła ulicę.

Cora wstała, żeby się przywitać.

– Charles! Katherine! Nie chowajcie się. Poznaliście już mojego przyjaciela, Thomasa Taylora. Rozmawiamy o astronomii. Widzieliście obłoki srebrzyste? Czy może światła latarni są w Londynie za silne?

– Jak zwykle, droga Coro, nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Charles uścisnął dłoń inwalidy, wsypał kilka monet do jego kapelusza, nie sprawdzwszy ich nominałów, i przyciągnął Corę w cień swojego parasola. – Otrzymałem wieści od Williama Ransome’a – powiedział. – Jesteś w niełasce.

– Och! – Wyglądała, jakby ją skarcono, lecz on nie ustępował.

– Wiem, że uważasz, iż wszyscy powinniśmy wkroczyć w wiek nowoczesności, lecz dobrze byłoby wcześniej spytać zainteresowanych o pozwolenie.

Trudno było kontynuować rozmowę, gdyż Cora wyglądała na załamana, a Katherine rzucała Charlesowi ostrzegawcze spojrzenia. Ten jednak uwielbiał Williama, który w ostatnim liście zdawał się o wiele bardziej wstrząśnięty, niż

incydent był tego wart („Szkoda, że ją tu przysłałeś – pisał – same z nią kłopoty”. Niewiele później dopisał szybko na pocztówce, w radośniejszym tonie: „Wybacz mój zły humor. Byłem zmęczony. Co słyhać w Whitehall?”).

– Przeprosiłaś go? – zapytał, gorąco dziękując Bogu, nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni, że oszczędził mu ojcostwa.

– Oczywiście, że nie – odparła Cora i wzięła Katherine za rękę, bo poczuła, że przyda jej się sojuszniczka. – I nie zamierzam. Joanna się zgodziła. Stella też. A może wszyscy powinniśmy siedzieć beczynnie, aż jakiś mężczyzna wyrazi zgodę na piśmie?

– Jaki ładny płaszcz – powiedziała Katherine, rozpaczliwie próbując ratować sytuację; Cora miała na sobie niebieską kurtkę, która zastąpiła stary męski płaszcz z tweedu, noszony przez nią całą zimę i w którym jej szare oczy wyglądały, jakby połyskiwały gniewem.

– Prawda? – głos Cory był nieobecny; potrafiła myśleć wyłącznie o przyjacielu, który zapewne siedział teraz w gabinecie w swym domu w Aldwinter i myślał o niej źle. Miała mu tyle do powiedzenia, ale nie wiedziała, jak mogłaby to zrobić. Odwróciła się do Taylora zbierającego ostatnie okruszki ciasta, które spadły mu na kolana; przyglądał się im z przyjemnością, jak gdyby podziwiał przedstawienie, na które kupił bilet. – Czas na mnie – powiedziała i podała mu rękę. – Francis poprosił o najnowszego Sherlocka Holmesa. Sądzi, że to będzie ostatnia sprawa wielkiego detektywa, i jeśli ma rację, nie wiem, co zrobimy; może sama napiszę kolejne części.

– Może da mu pani to – odrzekł Taylor, który znał chłopca lepiej, niż jego matka przypuszczała, gdyż Francis miał w zwyczaju wymykać się z Czerwonego Lwa i myszkować po ruinach. Podał Corze fragment potłuczonego talerza, na którym widniał wąż owinięty dookoła jabłoni.

– Znowu wąż – skomentował Charles. – Zdaje się, że dużo ich w okolicy. Coro, jeszcze z tobą nie skończyłem; zatrzymaliśmy się w hotelu George i mam wrażenie, że dobrze ci robi kapka czegoś mocniejszego.

Kiedy rozsiedli się wygodnie w hallu hotelu George, nie rozmawiali o Williamie, lecz o Stelli. Jej listy do Katherine stały się bardzo uduchowione („Ale – uściślił Charles z miną pełną oburzenia – nie w sensie, jakiego można by się spodziewać po żonie duchownego!”). Jej Bóg nie ma wiele wspólnego z Panem, który objawił się na górze Synaj; zamiast tego oddaje cześć

wrażeniom powiązanim z kolorem błękitnym.

– Twierdzi, że medytuje na ten temat cały czas, że nosi niebieski kamień do kościoła i go całuje, że może nosić tylko niebieskie ubrania, bo inne kolory parzą jej skórę.

Katherine potrząsnęła głową.

– Czy ona jest chora? Zawsze była trochę niemądra, ale w zmyślny sposób, tak jakby postanowiła być niemądra, bo to cecha, której wymaga się od kobiety, a wręcz się ją podziwia.

– I zawsze jest rozpalona – dodała Cora, przypomniawszy sobie, że podczas ich ostatniego spotkania dłonie Stelli były rozgrzane jak u dziecka w gorączce. – Ale jak miałyby być chora, skoro ciągle pięknieje?

Charles nalał kolejny kieliszek wina („Całkiem niezłe jak na pub w Essex”), uniósł do światła i powiedział:

– William mówi, że wezwał lekarza, który stwierdził, że Stella po prostu nie może wyleczyć się z grypy. Chciałby wysłać ją do ciepłych krajów, ale lato już puka do drzwi i Stella lada dzień zażyje słońca do woli.

Cora miała wątpliwości – Luke nic jej nie powiedział (wyjechał z Aldwinter tak szybko, jak tylko mógł, gdyż ciągle czuł dłoń Williama na szyi), lecz widziała, jak uważnie przyglądał się Stelli, gdy ta beztrąsko rozprawiała o chabrach, których doglądała od nasionka, i o turkusowych łezkach, które nosiła w uszach; widziała, jak ukradkiem zbadał jej puls i jaką miał przy tym minę.

– Ostatnio powiedziała mi, że nie widziała Węża z Essex, lecz go słyszała, tylko nie rozumiała, co powiedział. – Dopłało wino i dodała: – Czy sobie żartowała, czy tylko igrała ze mną, bo wie, że po trosze wierzę, że coś tam jednak jest?

– Jest za szczupła – zauważył Charles, który nie ufał nikomu, kto nie jadł. – Choć faktycznie, jest piękna. Czasem przypomina świętą, która ujrzała Chrystusa.

– Nie mogłabyś zaaranżować dla niej wizyty u Luke’a? – zapytała Katherine.

– Nie wiem; on jest chirurgiem, a nie lekarzem domowym. Ale chciałabym. Myślałam, żeby do niego napisać i o to poprosić.

Corę uderzyło, właśnie w tej chwili, jak bardzo zbliżyła się do kobiety,

z którą w istocie tak niewiele ją łączyło, która miała bzika na punkcie własnego odbicia i na punkcie rodziny, która bardziej interesowała się sprawami innych niż własnymi i zawsze miała dobre intencje. *Czy powinnam jej zazdrościć?* – pomyślała. *Czy powinnam sobie życzyć, żeby zniknęła?* Jednak wcale sobie tego nie życzyła; żona Willa miała pełne prawo do swego męża, pod warunkiem, że ona, Cora, zachowa do niego dostęp.

– Słuchajcie – powiedziała – muszę już iść, wiecie, jak Frankie odlicza godziny, ale napiszę do Luke’a. I tak, Charles, tak; napiszę do dobrego pastora i obiecuję, że będę grzeczna.

Cora Seaborne

Błonia 2

Aldwinter

29 maja

Drogi Willu,

Charles każe mi przeprosić. Cóż... nie mam zamiaru. Nie mogę przeprosić, jeśli uważam, że nie zrobiłam nic złego.

Studiowałam Pismo, do czego mnie kiedyś zachęcałeś, zauważ więc (por. Mt 18, 21-22), że powinieneś wybaczyć mi jeszcze siedemdziesiąt sześć razy, zanim mnie odepchniesz.

Poza tym wiem, że rozmawiałeś z moim synem o grzechu – i nie mam Ci tego za złe! Czy musimy drzeć koty z powodu naszych dzieci?

Dlaczego mój umysł ma skapitulować przed Twoim – bądź na odwrót?

Twoja,

CORA

Pastor William Ransome

Plebania

Aldwinter

31 maja

Droga Pani Seaborne,

dziękuję za list. Oczywiście, że wybaczam. W rzeczy samej zapomniałem już o wydarzeniu, do którego zdaje się Pani nawiązywać, i jestem zaskoczony, że Pani o nim wspomina.

Mam nadzieję, że miewa się Pani dobrze.

Z pozdrowieniami,

WILLIAM RANSOME



III

CZUWAĆ  
BEZ USTANKU

CZERWIEC

Nad Blackwater lato jest już w pełni i na mokradłach pojawiły się czaple. Rzeka jeszcze nigdy nie była tak błękitna, woda w jej ujściu tchnie spokojem. Nad ranem Banks łowi sporo makreli i z przyjemnością przygląda się ich lśniąco błękitnym bokom. Lewiatan przykryty jest gronami kwiatów wierzbowki i wieńcami z rozmarynu, a na jego dziobie rośnie kępa kowniatka morskiego. Jest południe i Naomi leży sama przy jego czarnych żebrach, ze spódnicą podciągniętą aż po uda, i recytuje zaklęcia na noc świętojańską. Joanna została po lekcjach w szkole – usiadła w ławce i powiedziała, że się nie ruszy, dopóki nie zapamięta nazw wszystkich kości czaszki. („*Occiput*”, mówi, kiedy Naomi wychodzi, i rudowłosa dziewczynka zapamiętuje to słowo, żeby którejś nocy wykorzystać je w jakimś zaklęciu). Wąż z Essex na pewien czas gdzieś znika, bo i jak miałyby mieć się dobrze w tak łaskawym słońcu?

Ścieżką wijącą się ponad głową Naomi wolno idzie Stella i zrywa przydrożne przetaczniki. Są niebieskie, tak jak jej spódnica i wstążki, które zawiązała na nadgarstkach. Zmierza do domu, do dzieci. Podejrzewa, że będą głodne, i ta myśl jest odstręczająca – cała ta miękka papka trafiająca do ich ust, w ten błyszczący otwór; obrzydliwe, gdy się nad tym zastanowić. Stella nie ma ochoty na żadne jedzenie.

Will usnął w gabinecie. Na biurku leży kartka z zapisanym jednym słowem: „Droga”. Tylko tyle – „Droga”. Ostatnio Will pisze tyle listów, że na środkowym palcu pojawiła się opuchlizna, którą od czasu do czasu ssie, by zmniejszyć ból. Kiedy się obudzi, powie do siebie: „Droga...” i uśmiechnie się na widok pierwszej twarzy, która przyjdzie mu na myśl; po chwili uśmiech zniknie.

Martha obiera jajka. Cora wyprawia przyjęcie w noc świętojańską; przychodzą Charles i Katherine Ambrose'owie, a Charles niczego nie lubi bardziej (tak mówi) od jajek w soli selerowej. Będzie też Luke. Jego zdanie na temat jajek zupełnie jej nie interesuje. Pojawią się Ransome'owie: William, ostatnio bardzo poważny, i Stella w błękitnych jedwabkach.

Pan Caffyn siedzi po turecku na boisku, trzyma kanapkę z serem na kolanach i notuje: „W szkole jeszcze nigdy nie było tak spokojnie. Dzieci pracują pilnie i spodziewam się, że sprostają wymaganiom. W załączeniu formularz zamówienia na dwadzieścia zeszytów (w linie, z marginesem)”.

O trzeciej po południu Will odwiedza Cracknella. Starzec czuje się źle i leży na kanapie w butach; wie, że ten szmer w płucach do Bożego Narodzenia przeistoczy się w rżenie.

– Pani Cracknell zaleciłaby nalewkę z dzikiej róży, a ja nie pogardzę radą nieboszczki. Pastorze, tam są butelka i łyżka.

Gospodarz próbuje być dzielny i Will się uśmiecha, ale Cracknell pozostaje poważny.

– To nie ten kaszel ją zabrał – mówi, chwytając nadgarstek pastora. – To trumna, w której ją wynieśli.

W Colchester w ruinach po trzęsieniu ziemi Thomas Taylor wygrzewa w słońcu fantomowe kończyny. W ten piękny dzień zebrał piękną sumę, jego kapelusz ugina się pod ciężarem monet. Osy były na tyle miłe, że zbudowały gniazdo w plisie zasłony, i ta papierowa masa – ze swą złowieszczą symetrią – przyciąga turystów. Powietrze rozbrzmiewa bzycczeniem; owady są zbyt ospałe, by żądlić. Późnym popołudniem kuca przy nim czarnowłosy doktor, ubrany w dobry szary płaszcz. Jego dłonie są miejscami szorstkie, a skóra pachnie cytrynami. Obmacuje (niezbyt delikatnie) tkanę na obciętych kościach i mówi:

– Ktoś sknocił robotę. Szkoda, że mnie tam nie było. Byłby pan dumny.

Pięćdziesiąt mil na południowy zachód w linii prostej Londyn pokazuje się od najlepszej strony. I wie o tym: nie można mu się oprzeć. Dzieci karmią czarne łabędzie w Regent's Park i pelikany w St James's Park, a lipy lśnią w alejach. Hampstead Heath tętni życiem jak targowisko na wsi; nikt nie jeździ metrem. Słońce kładzie się na chodnikach, a żonglerzy i magicy bogacą się na Leicester Square. Nikt nie chce wracać do domu. Bo i po co? Przed pubami i kawiarniami rozzuchwalają się młodzi urzędnicy i jeśli uczucie, które w nich buzuje za sprawą piwa i kawy, nie do końca można nazwać miłością, to i tak jest im wszystko jedno.

W swych pokojach w Whitehall Charles Ambrose, ubrany na letnie przyjęcie w nową błękitną koszulę, wita gościa:

– Spencer. Mam tu pański list. Jest pan gotowy na lunch? Chcę panu przedstawić kilka osób.

Charles podchodzi raczej obojętnie do nowej filantropijnej manii Spencera – jego zdaniem to wciąż tylko rzucanie biedakom okruchów z pańskiego stołu – lecz lubi go, podobnie jak Katherine, i uznaje, że równie dobrze może zrobić coś dobrego, zamiast robić cokolwiek.

Spencer, który przyszedł przedstawić ideę Marthy, ma nadzieję, że pamięta odpowiednie statystyki i potrafi naśladować jej manierę, zarazem konkretną i pełną pasji. Wyobraża sobie twarz Marthy, kiedy przyniesie jej dobre wieści („Martho, powinnaś przyjść, kiedy będziemy wydawać instrukcje architektom, tak dobrze to wszystko rozumiesz...”). *Uśmiechnie się, co robi tak rzadko – myśli. Dostrzeże mnie.*

Przyjmuje drinka od Charlesa i mówi:

– Dziękuję, bardzo chętnie. Pomyślałem sobie, że może dołączy pan do Marthy i do mnie w przyszłym tygodniu? Wybieramy się do Edwarda Burtona, do Bethnal Green. To ten mężczyzna, którego zoperował Luke, jak pan pamięta. Martha się z nim zaprzyjaźniła i twierdzi, że jest doskonałym studium przypadku...

*Studium przypadku* – myśli Charles. Patrzy na Spencera czule. Jest stanowczo za szczupły. Czy na lunch będzie jagnięcina? Może dziki łosoś?

– Wybiera się pan na przyjęcie u Cory, zobaczyć, jak wesoła wdówka gra Persefonę z kwiatami we włosach?

Jednak Spencer nie może – w tym czasie, ubrany w biały kitel, będzie pełnił dyżur w szpitalu Royal Borough i być może nastawiał złamane kończyny; czuje ulgę, że zostanie mu oszczędzone udzielanie się w towarzystwie pod czujnym spojrzeniem Marthy.

Essex jest piękne jak panna młoda: przy drodze pieni się trybula, na błoniach stokrotki i głóg wystroiły się w biel, pszenica i jęczmień pęcznieją na polach, a powój oplata żywopłoty. Cora przeszła już cztery mile, lecz nie czuje zmęczenia. Przy piątej mija rolnika rozebranego do pasa i rozpina bluzkę – dlaczego jej skóra jest nieprzyzwoita, skoro jego nie jest? Ktoś nadchodzi ścieżką, więc zapina guziki – po co ściągać na siebie kłopoty?

Dochodzi do gospodarstwa, gdzie uprawia się róże na sprzedaż; akr lub dwa

kwiatów ułożonych w kolorowe pasy, jak bele bawełny schnące w słońcu. Powietrze jest przesycone zapachem róż; Cora oblizuje usta i czuje na języku smak rachatlukum.

Ostatnio często myśli o Willu. Nie może uznać, że zrobiła coś złego i że słusznie wypadła z jego łask; nie podoba się jej, jak łatwo pastor wpada w gniew. *Męska duma* – myśli – *nadwrażliwa i godna pożałowania!* Mimo to czuje wyrzut sumienia – może jednak nie miała prawa narzucać mu swojego zdania? Zastanawia się, czy nie paść przed nim na ziemię w geście na poły żartobliwych przeprosin, tylko po to, by zobaczyć, jak próbuje powstrzymać śmiech; jednak nie – musi dbać o własną dumę.

Ponadto brakuje jej całej rodziny Ransome'ów – James obiecał pokazać jej peryskop, który zrobił z kawałków potłuczonego lustra, a zamiłowanie Stelli do plotek stanowi doskonały substytut londyńskiego życia. Myśl o Stelli kładzie się cieniem na ścieżce – czy Will przeoczył dziwne zachowanie żony, to że od pewnego czasu ubiera się wyłącznie na niebiesko i wplata we włosy błękitne kwiaty? Nie widzi, jak Stella spaceruje po mokradłach w poszukiwaniu niebieskich kamieni i błękitnego szkła wyrzuconego przez morze, jak posyła do Colchester po róże, których łodygi zanurza się w atramencie, tak by ich płatki nabrały chabrowego odcienia? Jak schudła, a jednocześnie zdaje się żywsza, ma wypieki na policzkach, porusza się gorączkowo, a jej oczy koloru bratków jaśnieją jak nigdy? *Porozmawiam z Lukiem* – myśli Cora. *On będzie wiedział.*

Wraca do domu z naręczem kremowych dzikich róż i trzema nowymi piegami na policzku. Obejmuje Marthę w talii, zauważa, jak doskonale jej ramiona pasują do wgłębienia nad szerokimi biodrami przyjaciółki, i mówi:

– Są w drodze; wszyscy, którzy mnie kochali, i wszyscy, których ja kiedykolwiek kochałam.

Był ciepły wieczór i Stella Ransome szła przez błonia Aldwinter z mężem po prawej stronie i córką po lewej. Synowie zostali na plebanii pod opieką Naomi Banks i grali w węże i drabiny. Cora odwiedziła ich rano po drodze ze spaceru, z naręczem róż, które podrapały jej ręce, i poprosiła:

– Przyjdźcie wcześniej, dobrze? Zawsze kiedy organizuję przyjęcie, martwię się, że nikt nie przyjdzie i że zostanę sama, z butelkami dokoła, i będę siedzieć, i topić smutki.

Wcześniej tego dnia Stella stała przed lustrem i wygładzała na biodrach biały jedwab spódnicy, a Will zapytał:

– Dziś nie na błękitno?

Spojrzała na siebie i roześmiała się – wszystko wokół widziała w niebieskich barwach. Plisy spódnicy połyskiwały błękitem, jej skóra miała błękitnawy odcień, nawet oczy Willa – które na pewno miały kiedyś kolor żółodzi (chłopcy zbierali je jesienią i ustawiali rzędem na parapecie) – były niebieskie. Czasami myślała, że oczy przysłoniła jej powłoka z zabarwionych atramentem łez.

– Myślę, że mam błękitną krew – powiedziała i uniosła ręce (zauważyła przy tym, jakie są szczupłe i piękne).

– Nigdy w to nie wątpiłem, moja Gwiazdo Morza – odrzekł Will i pocałował ją dwa razy.

Szli dalej, jaskółki łowiły owady, uwijając się nad trawą, mijani mieszkańcy wioski szli rozpalić świętojańskie ogniska w ogrodach i na miedzach. W całej wsi rozbrzmiewały pozdrowienia do wtóru dzwonów u Wszystkich Świętych: „Cóż za noc! Cóż za wspianiała noc!”. William wsunął palec za koloratkę i poluźnił ją. Nie chciał zobaczyć Cory – bardzo chciał ją zobaczyć; cały dzień myślał o niej, jak spaceruje po mokradłach, a jej paznokcie oblepione są gliną Essex – nie myślał o niej wcale; była najgorszą z kobiet – była jego przyjaciółką. Z wdzięcznością popatrzył na srebrzystą głowę Stelli, lśniąca w słonecznej aureoli, i pomyślał, że przez te wszystkie lata ani razu nie musiał

martwić się o stałość jej uczuć – ani razu! Jej drobna dłoń obróciła się w jego dłoni – była gorąca, a na karku, tam gdzie wycięcie sukni odsłaniało skórę, zobaczył połyskujące krople potu. „Grypa” – orzekł lekarz z Colchester, odkładając stetoskop. „Jest osłabiona chorobą. Powinna odpoczywać, jeść i spać”. Nadeszło lato. Mieli się nie martwić.

Stella zobaczyła szary dom z zapalonymi lampami i z wazonem dzikiej róży w każdym oknie. Za oknami ktoś się krzątał i rozbrzmiewały dźwięki pianina. Nic nie cieszyło jej bardziej niż przyjęcie w ciepłą noc: lubiła być nieruchomym centrum przepływającego tłumu, wiedzieć, że jest podziwiana, przystawać przy kolejnych gościach i bez końca wypytywać o ich wnuki, choroby, zdobyte i stracone majątki. Czuła się jednak niesłychanie zmęczona, jak gdyby zużyła cały zapas energii na przejście tych stu jardów. Chciała być w domu w błękitnej alkwie, którą urządziła, i liczyć swoje skarby, podnosić do światła niebieski woskowany papier, w który owinięto mydło z goryczką, napawać się zapachem lub przesuwając palcem po owalu jajka rudzika, które synowie przynieśli jej w maju.

„Grypa” – tak powiedział Willowi lekarz. Stella Ransome nie była głupia, wiedziała, że to suchoty, gdy tylko zobaczyła czerwone krople na białej chusteczce. Widziała raz w młodości dziewczynę, która umierała na białą śmierć (tak to wtedy nazywano, bo ludzie wierzyli, że nazwanie choroby po imieniu może ją sprowadzić) – zmarła z wycieńczenia, stała się szczupłą i nieobecna, a koniec powitała z zadowoleniem, bez bólu, który odpłynął od niej w oparach opium. Tydzień przed śmiercią umierająca dziewczyna pluła krwią i zbryzgała nią białą pościel.

Stella wiedziała, że jej choroba nie osiągnęła jeszcze tego stadium; gdy będzie już tak źle, odciągnie Willa na bok i poprosi, żeby wysłał ją do sanatorium, gdzieś wysoko, gdzie będzie spędzać czas, patrząc na szczyty, które będą błękitne. Raz na lustrze pojawiła się czerwona mgiełka, kiedy nagle chwycił ją atak kaszlu podczas czesania – stało się to przy setnym pociągnięciu szczotki, a plamy dało się bez kłopotu zetrzeć. (Dlaczego krew, kiedy wydostaje się na zewnątrz, jest czerwona, podczas gdy każda żyłka pod cienką skórą jej nadgarstków wydaje się niebieska? To niesprawiedliwe).

Jednak nie mogła wyjechać – jeszcze nie teraz, nie kiedy Joanna wciąż była tak ponura, a Will tak często trzaskał drzwiami gabinetu, nie kiedy wioska



wciąż czuła, że w rzece czai się zagrożenie, a wieśniacy przychodzili w ciszy do kościoła i wychodzili zeń niepocieszeni. Gwiazda Morza, tak ją nazywał Will – czy to nie jest zarazem imię Najświętszej Dziewicy, która też ubierała się na niebiesko? Zaśmiała się i pomyślała: *Módl się za mną, Mario, Matko Boża, i użycz mi szaty.*

A potem stali już w drzwiach, witani przez Corę, całą w czarnych jedwabiach; wyglądała tak poważnie i spokojnie, że Will na chwilę zapomniał o swoim słusznym gniewie. Ujął jej dłoń, czym po raz kolejny ją zaskoczył, i powiedział:

– Coro, wyglądasz na zmęczoną; czyżbyś poszła na zbyt długi spacer?

Ubrana w kosztowną czerń Cora wydawała się wysoka i może nieco zdenerwowana; Will miał wrażenie, jakby spotkał ją po raz pierwszy – jak gdyby się w jakiś sposób oddaliła, co sprawiło, że miał ochotę pobiec za nią wszędzie, dokądkolwiek by się udała. Widział, jak wita gości, z wdziękiem, którego zapewne nauczyła się w wysokich salach Chelsea i Westminsteru; dokładnie wiedziała, co powiedzieć i w jaki sposób, kogo przywitać pocałunkiem, a kto wolał uścisk dłoni, który przypominał męski. Natychmiast posadziła Stellę na szerokim niskim siedzisku, na którym leżała błękitna jedwabna poduszeczka.

– Zobaczyłam ją w zeszłym tygodniu w Colchester – powiedziała – i pomyślałam, że powinnaś ją mieć; zabierz ją ze sobą, kiedy będziesz wychodziła.

Przed przyjęciem Cora rozczesała włosy i nosiła je rozpuszczone jak dziewczynka, spięte tylko srebrnymi grzebykami nad uchem; w uszy wpięła okrągłe perły, a płatki miała zaczerwienione, jak gdyby kolczyki jej ciążyły.

Kiedy zjawił się Charles Ambrose, olśniewający w nowej jedwabnej koszuli, ujął dłoń Cory i trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki.

– Spodziewałem się, że będziesz przykryta kwiatami, Coro, tymczasem stanowisz żaloszny widok – powiedział, jednak jego oczy wyrażały podziw.

– Ty za to wyglądasz tak wspaniale, że starczy za nas wszystkich – odpowiedziała, pocałowała go w pulchne policzki i pogładziła palcami szal Katherine („Później go ukradnę, zobaczysz”).

– Przybiera na wadze – zauważył Charles bez cienia krytyki, przyglądając się

Corze poruszającej się między niskimi stołami nakrytymi srebrną zastawą. Potem zjawił się Luke, którego z dumą przedstawiono („Oczywiście znacie już Skrzata!”). W butonierkę włożył przywiedły kaczeniec, a czarne włosy natarł oliwą.

– Coro – powiedział – przyniosłem coś dla ciebie; leżało u mnie przez lata i równie dobrze możesz to teraz mieć ty, jak ktoś inny.

Podał jej paczuszkę owiniętą w biały papier, niedbale, jak gdyby nie miało dlań znaczenia, czy jej się spodoba czy nie. Kiedy Cora ją rozpakowała, Katherine Ambrose zobaczyła ramkę, w której za szybą tkwił miniaturowy haftowany wachlarz; zdziwiło ją, że Luke’owi chciało się zabawiać płótnem i kolorowymi jedwabnymi niciami.

Martha, ubrana na zielono, wyglądała jak najprawdziwsza wiejska dziewczyna, zwłaszcza gdy wniosła bochenek chleba w kształcie kolby kukurydzy i dwa błyszczące kapłony przybrane gałązkami tymianku. Były też kaczki jaja i szynka szpikowana goździkami, półmiski z plasterkami pomidora posypanymi mięętą i ziemniaki malutkie jak perły. Joanna chodziła za nią do kuchni i z powrotem, pełna chęci, by w czymś pomóc, aż w końcu pozwolono jej pokroić cytrynę do przybrania łososia. Na stole ciężkie półmiski miażdżyły młode kwiaty lawendy; w powietrzu unosił się ich słodki aromat. Charles Ambrose przywiózł z Londynu dobre czerwone wino i kiedy otwierał trzecią butelkę, ustawił obok siebie kryształowe kieliszki i mokrym palcem zagrał na nich melodię. Martha i Joanna leżały na brzuchach na wełnianym dywanie, studiowały jakieś papiery i robiły plany. Wyglądały bardzo poważnie i ssły kostki lodu. Francis siedział przy oknie i podciągnąwszy kolana pod brodę, recytował liczby ciągu Fibonacciego.

Will najbardziej na świecie pragnął odciągnąć przyjaciółkę na bok, przysunąć dwa krzesła i opowiedzieć jej wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni: jak znalazł w papierach wiersz, który napisał jako chłopak, jak go spalił, a teraz tego żałuje; jak Jo pożyczyła od matki pierścionek z diamentem i sprawdziła jego twardość, wycinając swoje imię na szybie; co powiedział Cracknell, gdy siorbał nalewkę z dzikiej róży. A jednak nie mógł zrobić żadnej z tych rzeczy, gdyż ona była zajęta gdzie indziej. Posypywała truskawki cukrem i namawiała Stellę, żeby zjadła, nieśmiało zwracała się do Francisca, mówiąc, że jeśli ostatnio zajmują go właśnie liczby, to ma kilka książek, które mogłyby

przeczytać. Poza tym (Will próbował obudzić w sobie gniew) tkwili przecież w samym środku bezpardonowej batalii.

Lecz choć próbował go przywołać, gniew nie wzbierał; przypomniał sobie, jak ten zgarbiony mężczyzna pochylał się nad jego córką i coś szeptał – ale to był przecież tylko lekarz, doktor Garrett, ten skrzat godzien litości z powodu niskiego wzrostu i tego, że jedno ramię ma bardziej przygarbione niż drugie. Gdzie moje maniery? Co Cora z nimi zrobiła?

Podszedł do doktora, który wyjął żółty kwiat z butonierki i wyrywał płatki, i usłyszał siebie, jak mówi:

– Kiedy się poznaliśmy, byłem bardzo nieuprzejmy; nie powinienem był tak tracić panowania nad sobą. Wybacz mi pan? – Zaskoczony swoimi słowami spojrzał na kieliszek wina, który trzymał, jak gdyby to wino przemówiło, a nie on.

Doktor zaczerwienił się, zająknął i odparł z pewnego rodzaju wyższością:

– Nie ma o czym mówić. – Po chwili rumieniec zniknął, a on dodał: – To coś, co lubię czasem wypróbować, przetestowałem to raz na Corze; nie sądziliśmy, że mogłoby zaszkodzić.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł skłonić Corę do powiedzenia czegoś, czego ona nie chce powiedzieć.

Po tych słowach powiało między nimi chłodem, gdyż każdy pomyślał, że ten drugi nie ma prawa mieć zdania na temat tego, co Cora mogłaby lub czego nie mogłaby zrobić.

– Ona mówi, że jest pan geniuszem – powiedział Will. – To prawda?

– Tak sędzę – odparł Luke i odsłonił zęby w szerokim uśmiechu. – Pański kieliszek jest pusty, chętnie pomogę. Czy choć trochę interesuje pana medycyna, czy też koloratka wyklucza tego rodzaju zainteresowania?

W ciągu najbliższych minut jedyne, co Will mógł zrobić, to podziwiać tego człowieka, tak ambitnego i pełnego pasji.

– Oczywiście nie można wykonać operacji na samym sercu – mówił doktor. – Nawet gdyby udało nam się wstrzymać obieg krwi, inaczej mówiąc, odizolować go, mózg obumarłby z braku tlenu i pacjent zmarłby na stole operacyjnym. Martho, możesz nam przynieść więcej wina? Czy łatwo pan mdleje? Coś panu pokażę...

Skrzat wydobyl notatnik, który zawsze ze sobą nosił, i Will ujrzał szkic przedstawiający dziecko ze zdjętą skórą na piersi, połączone przewodem ze śpiącą matką.

– Wygląda pan na oburzonego. Nie ma powodu: to jest przyszłość! Jeśli układ krwionośny matki podłączymy do krwioobiegu dziecka tak, że jej serce będzie pracować dla dwojga, a jej płuca zapewnią obojgu tlen, będę mógł zoperować wady serca, z którymi wiele dzieci się rodzi. Mógłbym to zrobić, jednak nie chcę mi na to pozwolić. Zbladł pan.

Will w istocie zbladł, jednak nie dlatego, że poruszył go widok narządów i płynów ustrojowych, lecz dlatego, że chirurg mówił tak rzeczowo, jak gdyby wszystkie stworzenia Boże mogły być oskubane z pierza i wypatroszone jak kury.

– Zapominam, że nosi pan sutannę – powiedział Luke w taki sposób, że każde słowo zabrzmiało jak zniewaga.

Siedzący pod stołem Francis obrał pomarańczę przyniesioną z Harrodsa w papierowej torbie. Widział, jak Charles Ambrose siada obok Stelli i podaje jej szklankę zimnej wody; słyszał, jak rozmawiali o Corze i o tym, jak ładnie wszyscy wyglądają, jak pięknie udekorowała pokój, jak gdyby zaprosiła ogród do środka. Później Stella wytarła czoło wierzchem dłoni i powiedziała:

– Powinniśmy zaprosić lato tańcem. Czy ktoś umie grać?

– Umie zagrać walca – oświadczyła Joanna. – Nic poza tym.

– Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy – powtarzał Charles Ambrose, deptając żonie po nogach. – Może zwiniemy dywan?

– Wyjdź stamtąd – powiedziała Martha. Dostrzegła Francisa w jego kryjówce, wyciągnęła spod niego dywan i odsłoniła czarne deski podłogi.

Joanna usiadła przy pianinie, wyprostowana, przebiegła palcami po wszystkich klawiszach, skrzywiła się i powiedziała:

– Fatalnie! Będzie brzmiało fatalnie. Pianino jest stare i zawilgotniało!

Zaczęła grać melodię, która najpierw była za szybka, później za wolna; niektóre dźwięki brzmiały tak płasko, że nie dało się ich usłyszeć, lecz nikomu to nie przeszkadzało.

Na zewnątrz księżyc w pełni wisiał nisko na niebie („Księżyc kukurydziany”, powiedział Francis do siebie), woda w ujściu rzeki obmywała brzeg i pewnie

właśnie w tej chwili coś wpełzało na mokradła, ale nie dbali o to. *Pewnie mogłoby zapukać do drzwi trzy razy i nikt by nie usłyszał* – pomyślał Francis i złapał się na tym, że nasłuchuje odgłosów na progu i wyobraża sobie ślepie bestii, błyszczące spod grubej, opadniętej powieki.

Luke Garrett przeglądał ręcznie zapisane strony w słabo oświetlonym kącie pokoju, po czym odłożył notatnik i podszedł do Cory. Ukłonił się jak dworzanin i powiedział:

– Chodź, tańczysz niemal tak źle jak ja, będziemy dobraną parą.

Jednak usadowiona przy otwartym oknie Stella miała inny plan.

– Jestem zbyt zmęczona, żeby zatańczyć z mężem. Może zastąpi mnie moja przyjaciółka? Will! – zawołała władczo, śmiejąc się. – Pokaż Corze, że nie jesteś zwykłym pastorem, który tylko ślęczy nad książkami!

Will niechętnie wystąpił naprzód („Stello! Dajesz im złudną nadzieję...”) i stanął sam na środku pokoju. Bez swojej ambony i Biblii wyglądał na całkiem zagubionego; nieśmiało wyciągnął dłonie przed siebie.

– Coro – powiedział – nie ma sensu się jej sprzeciwiać. Próbowałem.

– Skrzat ma rację – odparła Cora. Wyszła mu na spotkanie i poprawiła spinę przy mankiecie. – Tańczę źle. Nie mam w sobie muzyki.

Stała przed Willem. Wydawała się mniejsza, jak gdyby widziana z daleka; nie czuła się tak niepewnie, odkąd opuściła dom przy Foulis Street.

– Ona mówi prawdę – powiedziała Martha. Westchnęła i poprawiła zieloną suknię. – Złamię panu nogę, jest ciężka. Może lepiej zatańczyć ze mną?

Jednak Stella wstała i podeszła do przodu; jak nauczycielka tańca położyła dłoń Cory na ramieniu męża.

– Zobaczcie, jak do siebie pasują! – Przyjrzała się im, po czym wróciła, zadowolona, i usiadła pod otwartym oknem. – A teraz – pogładziła błękitną poduszeczkę na kolanach – jedzcie, pijcie i bawcie się, bo jutro będzie deszcz.

Potem William Ransome położył dłoń nad biodrem Cory, w miejscu, gdzie jej bluzka łączyła się ze spódnicą, a Francis usłyszał westchnienie matki. Podniosła wzrok – stali nadal bez ruchu – nastąpiła chwila ciszy, której nikt nie przerwał. Przyglądający się wszystkiemu Francis rozgniół na języku cząstkę pomarańczy; zobaczył, jak matka uśmiecha się do Willa, a ten odpowiada niewzruszonym, surowym spojrzeniem – potem jej głowa poruszyła się, jak

gdyby odciągnięta do tyłu pod ciężarem włosów, a jego dłoń zgięła się i pociągnęła za jej spódnice.

*Nic z tego nie rozumiem* – pomyślał Francis, patrząc, jak Martha wycofuje się i staje obok Luke'a, i jak podobne mają miny – wydawali się jakby trochę przestraszeni.

– Nie mogę tego w kółko grać – powiedziała Joanna, przewracając oczami w stronę Francisa.

– Nie znam tej melodii – zauważył Will. – Nigdy jej nie słyszałem...

– Może spróbuję czegoś takiego? – zapytała Jo i muzyka zwolniła, stała się leniwa.

Martha zaproponowała:

– Nie! Nie coś takiego.

– Mam przestać? – Joanna zdjęła dłonie z klawiatury i przyjrzała się ojcu i Corze. Jak dziwnie wyglądali, kiedy stali bez ruchu! Zupełnie jak John i James, niepewni, czy czegoś nie zbroili.

– Nie, graj dalej, graj dalej! – zachęcał ją Luke, kierując ostrze sarkazmu w swoją stronę i wykrzywiając twarz w grymasie; miał ochotę zatrzaskać pianino.

A potem pastor powiedział:

– Nie, nie mogę, zapomniałem kroków.

Joanna grała dalej, zegar tykał, a on wciąż nie ruszał się z miejsca.

– Nie sądzę – odezwała się Cora – żebym je kiedykolwiek знаła. – Zdjęła dłoń z ramienia Willa, cofnęła się i zwróciła do jego żony: – Stello, zawiodłam cię.

– Raczej kiepskie przedstawienie – skwitował Charles Ambrose, zaglądając z żalem do pustego kieliszka.

– Lepiej, żebyś przestała grać – powiedział Will, odwracając się w stronę córki; spojrzał na nią niemal przepaszająco. Ukłonił się nisko przed partnerką. – Z każdym tańczyłoby ci się lepiej; mnie nigdy tego nie nauczono.

– Nie przepaszaj – odparła Cora – to wszystko moja wina. Potrafię tylko ślęczeć nad książkami i spacerować. Stello, ty drzysz. Jest ci zimno?

Odwróciła się od Willa i nachyliła, żeby wziąć drobne dłonie Stelli w swoje.

– Nie czuję tego – powiedziała Stella, lśniąca od potu – ale myślę, że Jo nie powinna kłaść się spać tak późno.

– Tak! – odpowiedział Will, trochę za szybko, jak gdyby z wdzięcznością. – Z pewnością nie powinna, a my musimy sprawdzić, co chłopcy zmalowali podczas naszej nieobecności... Coro, wybaczysz nam, jeśli się pożegnamy?

– Dochodzi północ – powiedział Charles, zerkając na zegarek. – Z dwunastym uderzeniem zegara zamienimy się w białe myszy i dynie. Katherine? Gdzie moja Kate? Gdzie moja żona?

– Tu jestem, jak zawsze – odparła Katherine Ambrose. Podała mu płaszcz i zobaczyła, jak Cora staje się żwawa, uprzejma, a jej maniery bez zarzutu. Wcisnęła błękitną jedwabną poduszczkę w rękę Stelli („Kochanie, musisz ją wziąć; widać, że uszyta z myślą o tobie...”) i pocałowała Joannę w policzek („Ja nigdy nie nauczyłam się grać – jesteś taka zdolna!”). Jednak Katherine nie dała się nabrać. Przecież taki krótki walc na tych gołych deskach powinien być drobnostką – nie było absolutnie nic zaskakującego w tych znanych krokach. Dlaczego więc ta chwila była tak niezręczna, a atmosfera tak gęsta, że Katherine nie zdziwiłaby się, gdyby usłyszała uderzenie pioruna? Cóż – wzruszyła ramionami i przyciągnęła męża do siebie, żeby go pocałować – zrobiło się późno, a Will Ransome był przecież pastorem, a nie dworzaninem.

Cora otworzyła drzwi i do środka wdarł się zapach Blackwater. Niebo rozjaśniało dziwne niebieskawe światło i Cora zadrżała, choć było ciepło. Spod stołu Francis obserwował, jak matka wyciąga dłonie i żegna się z gośćmi.

– Bardzo dziękuję, dziękuję; obiecacie, że znów przyjdziecie! – Była tak pełna życia; promieniała, jak gdyby bez względu na porę nigdy nie potrzebowała snu.

William Ransome wyszedł, prowadząc pod rękę żonę, a pod drugą córkę; wyglądało to tak (Francis zaczął obierać następną pomarańczę), jakby służyły mu za zbroję. Cora – jeszcze żywsza, jeszcze bardziej promieniejąca – niemalże wymiotła ich wszystkich na błonia. Zamknęła drzwi i klasnęła w dłonie z zadowoleniem, lecz jej bystremu synowi wydało się, że zabrzmiała tu jakaś fałszywa nuta, zupełnie jakby Joanna wciąż siedziała przy pianinie. Dlaczego William Ransome nie powiedział nic, kiedy wychodził – dlaczego matka nie podała mu dłoni – dlaczego Martha i Skrzat przyglądali jej się teraz badawczo, jak gdyby ich rozczarowała? No cóż – wyszedł spod stołu – po co przyglądać

się gatunkowi ludzkiemu i próbować go zrozumieć? Reguły, jakimi się kieruje, są nieprzeniknione i równie zmienne jak wiatr.

Kiedy Francisa kładziono do łóżka, recytował ciąg Fibonacciego, tak jak inne dziecko opowiadałoby bajkę. Później Martha i Luke zabrali się za sprzątanie ze stołu i rozwijanie dywanu, przy czym pozgniatali kwiaty lawendy na podłodze. Przez chwilę Cora była bardzo ożywiona („Czyż to nie był udany wieczór? Ależ zdolna dziewczyna z tej Jo, choć muzyka raczej nie jest jej powołaniem”), ale potem powiedziała, że jest zmęczona i musi się położyć. Przyjaciele patrzyli, jak bosy biegnie na górę, i poczuli, że strach ich zjednoczył.

– Myślę, że ona nawet nie jest tego świadoma – powiedział Luke, wypijając resztki dobrego czerwonego wina Charlesa. – Jest jak dziecko, pewnie nawet nie widzi tego, co zrobili, a to wszystko na oczach Stelli...

– Jego imię pojawia się codziennie. Codziennie. Co by pomyślał o tym, jak śmiałyby się z tego. Ale to, co zrobili, to nic takiego, nikt inny nic nie widział...

– W jej listach tak samo. Na każdej stronie! Co on jej może dać? Wiejski pastor, przestraszony tym, że świat się zmienia. A poza tym, on już ma głupiutką żonę, czy to mu nie wystarczy? Musi mieć jeszcze Corę?...

– Ona chce go mieć w swoich zbiorach. – Martha odrywała winogrona z gałązki i toczyła je po stole. – To o to chodzi. Gdyby mogła, włożyłaby go do szklanego słoja, podpisała części ciała po łacinie i postawiła na półce.

– Zabiłbym go, gdybym mógł – powiedział Luke, przerażony prawdziwością własnych słów. Wygiął palec wskazujący i kciuk, jak gdyby pomiędzy nimi tkwił skalpel. – Ona się ode mnie oddała...

Spojrzeli po sobie; czuli, jak wzbiera w nich antypatia i jak powietrze gęstnieje od ich bezużytecznej tęsknoty i pragnienia, które nie mogły znaleźć ujścia. W ciemnym pokoju oczy chirurga poczerniały; spojrzał na Marthę przeczesującą włosy i zobaczył, jak jej zielona suknia naprężyła się na szwach pod pachą; podszedł do niej, a ona odwróciła się ku schodom.

– Chodź ze mną – powiedziała i wyciągnęła ku niemu ramiona. – Chodź ze mną na górę.

Okna w jej pokoju były otwarte i zmierzch kładł się na ścianach. Powiedziała:

– Może być krew.



A on odpowiedział:

– Tak jest lepiej.

I to właśnie usta Cory całował, i to dłoń Cory poprowadziła go tam, gdzie pragnęła. Oboje byli dla siebie tylko namiastką, substytutem, jak używany płaszcz po zamożniejszych krewnych.

Po drugiej stronie błoni, w cieniu wieży kościoła Wszystkich Świętych, Joanna spała w kapciach, a Stella drzemała z głową złożoną na błękitnej poduszce. Trochę dalej, bliżej mokradeł, Will szedł sam, wściekły. Pożądanie nigdy nie przysparzało mu zmartwień – pobrali się ze Stellą młodo, z radością, a ich głód był niewinny i łatwo znajdował zaspokojenie. Oczywiście kochał Corę – wiedział o tym od pierwszej chwili – lecz to też go nie martwiło; gdyby była chłopcem albo matroną, kochałby ją nie mniej i tak samo podziwiałby jej szare oczy. Studiował Biblię, znał więc wielorakie miana miłości, czytał listy świętego Pawła i święte uczucie w nich wyrażane nieodmiennie przywoływało imię Cory: „Dziękuję Bogu mojemu, ilekroć was wspominam...”.

A jednak coś zmieniło się w tym gorącym pokoju, pachnącym morską solą i różami – położył dłoń na jej talii i zobaczył, jak jej gardło drgnęło, gdy mówiła – czy to właśnie przez to, czy też może dlatego, że apaszka zsunęła się jej z ramienia i Will ujrzał bliznę, i zastanawiał się, czy bolało i jak mocno, i jak zniosła ten ból. Przypomniawszy sobie, jak otoczył ją ramieniem i usłyszał drapanie swoich paznokci przesuwających się po jej sukni, jak rzuciła mu to długie, niewzruszone spojrzenie. Sądził, że mogła się go trochę bać, lecz nie – to nie strach czaił się w jej ciemnych oczach, lecz wyzwanie lub satysfakcja; czy ona się uśmiechnęła?

Doszedł do ujścia rzeki. Nie wiedział, co zrobić z pożądaniem, poza tym, że nie mógł go zaofiarować Stelli; był świadomy tego, że wydałaby mu się zbyt delikatna, ulotna – pragnął czegoś bliższego walce, i oburzało go to. Podszedł do krawędzi wody i szybkimi ruchami ulżył sobie na czarnym bagnisku, wydając przy tym dźwięki podobne do szczekania i z radością równą psiej.

Długo po północy, kiedy rok przeszedł już w drugą połowę, Francis Seaborne wyszedł z domu. Do lewej kieszeni włożył srebrny widelec, który znalazł w ruinach w Colchester, do prawej – szary kamyk z dziurką, w której mieścił się mały palec. Na górze Cora leżała w łóżku i mocno naciskała bliznę na obojczyku z nadzieją na powrót bólu; w innym pokoju Luke i Martha właśnie odsunęli się od siebie. Nikt nie zastanawiał się, gdzie jest Frankie; jeśli w ogóle o nim myśleli, to najpierw z niepokojem, a potem z wygodną pewnością, że to nieodgadnione dziecko potrafi trzymać się z dala od kłopotów.

Nikt nie próbował zrozumieć jego zamiłowania do nocnych spacerów; uznano to za kolejne z jego dziwactw. To, że nie mógł znieść towarzystwa, za to przed świtem straszył w drzwiach sypialni, doskonale pasowało do osobowości tego zagadkowego chłopca. Gdyby ktoś zapytał, odpowiedziałby, że próbuje pojąć świat i jego mechanizmy: dlaczego (na przykład) koła dorożki zdają się obracać w stronę przeciwną do kierunku jazdy? Dlaczego najpierw widział, jak przedmiot upada na ziemię, a dopiero potem słyszał dźwięk? Dlaczego, kiedy podnosił prawą rękę, jego odbicie podnosiło lewą? Obserwował matkę zajętą błotem i kamieniami i nie widział związku między jej i swoimi poszukiwaniami. Ona patrzyła w dół – on w górę. Nijak nie mogła mu pomóc. Jediną osobą, do której miał cierpliwość, była Stella Ransome. Widział, jak zbiera niebieskie kamienie i kwiaty, i pomyślał, że się rozumieją. Zauważył też, że jej oczy są zbyt jasne, i zastanawiał się, dlaczego nikt o tym nie mówi; ale czyż oni wszyscy nie są właśnie tacy – patrzą, lecz nie widzą?

Wyszedł pod osłoną cieni, które rzucał księżyc, i zastanawiał się, dlaczego są do siebie równoległe. Wieczorne zamieszanie zburzyło jego spokój – przyglądał się uważnie, lecz nie znajdował porządku ani sensu w tym, co zobaczył – a podczas samotnego nocnego spaceru znajdzie zagadki, które łatwiej rozwikłać. Pomyślał, że mógłby pójść nad Blackwater i sprawdzić, co się czai w wodzie. Uważał, że to niesprawiedliwe, iż spośród wszystkich dzieci w Aldwinter tylko on jeden nie widział bestii, chociażby w snach. Szedł przez

blonia na wschód, pod Dębem Zdrajcy do High Line. Dokoła szeptały niskie głosy i płonęły ogniska – próbowały odstraszyć złe duchy, które miały odwagę nawiedzić wiek nowoczesności. Ktoś grał na skrzypcach, minęły go dwie ubrane na biało kobiety, w gęstwinie żywopłotu śpiewał słowik. Kiedy doszedł do High Line, blonia zniknęły mu z oczu, nie docierały też stamtąd żadne dźwięki; tylko zapach palonego drewna i daleki skowyt rozkoszy, gdzieś po lewej stronie, a później poczuł się, jak gdyby był sam na świecie.

Doszedł do słonych mokradeł, widział już Koniec Świata i pragnął znaleźć punkt, gdzie Gwiazda Polarna przyszpila firmament, albo zobaczyć, jak księżyc rzuca swoje podrobione światło, lecz zamiast tego natknął się na czarną płachtę, do której przyszyto siatkę w intensywnie niebieskim kolorze. Wydawało mu się, że nie patrzy na sklepienie nieba, lecz na powierzchnię jeziora, na którego pomarszczonych wodach igrają promienie słońca. Od północy do południa nad bladym horyzontem wisiały drobne strzępki błękitnego światła, a pomiędzy nich wyglądał granat nieba. Od czasu do czasu, jak gdyby pod wpływem wiatru, coś się powoli poruszało i jasna siatka zamykała się i rozszerzała. Światło, które widział, nie było pożyczone, jak w przypadku białych obłoków obwiedzionych słonecznym blaskiem, lecz w pełni własne – jak wiele drobnych, nieruchomych błyskawic, które z niewyjaśnionych przyczyn płoną na niebiesko. Francis nie posiadał się ze szczęścia. Tak nagle i całkowicie nim zawładnęło, że mógł się tylko śmiać, wystraszony dziwnością tego zachwytu.

Kiedy tak stał i patrzył – wyginając szyję za daleko, przez co rano matka będzie się zastanawiała, dlaczego tak dziwnie trzyma głowę – jego uwagę zwrócił jakiś ruch na słonych piaskach. W błękitnym świetle świat wydał mu się jaśniejszy, niż powinien, i ujście rzeki połyskiwało oleistą czernią z błękitnymi punkcikami na powierzchni. Pomiedzy krawędzią wody a brzegiem, niedaleko żeber Lewiatana, poruszyła się sterta tkaniny. Towarzyszył temu dźwięk, bardzo cichy, jak chrapanie zwierzęcia; sterta poruszyła się, rozciągnęła na błocie i znieruchomiła.

Francis, zaintrygowany, zaczął się przyglądać, wyteżając wzrok w ciemności. *Jeśli to jest bestia z Blackwater – pomyślał – to wygląda żałośnie i należałoby ją utopić.* Chrapanie na chwilę ustało, a zawiniątko podczołgało się bliżej Lewiatana i znów zaczęło chrapać, lecz tym razem chrapanie zakończyło się kaszlnięciem i odgłosem z trudem łapanego oddechu.

Francis, bez cienia strachu, podszedł bliżej. Tobołek zatrzęsł się, a potem z pomrukiem uniósł do góry i chłopiec zobaczył brudny czarny płaszcz i gruby futrzany kołnierz, a nad nim szaloną twarz starca, którego raz czy dwa widział w kościele, gdzie chowani są wieśniacy. Cracknell – ów cuchnący starzec, który pokazał mu kiedyś szczypawki w rękawach płaszcza. Stęknienie zakończyło się atakiem kaszlu, który zgiął mężczyznę wpół; mocniej owinął się płaszczem i ucichł.

Cracknell leżał zwrócony nogami w stronę wody; słabym wzrokiem wypatrzył drobnego chłopca o czarnych, porządnie uczesanych włosach, i próbował go przywołać. Wydawało się jednak, że powietrze miało ostre krawędzie, które raniły gardło, i za każdym razem, gdy miał już imię chłopca na końcu języka (Freddie, prawda?), znów chwycił go kaszel. W końcu oddech powrócił i starzec zawołał:

– Chłopcze! Chłopcze! – Przywołał gestem Francis, który stał na ścieżce, kołysząc się, jakieś piętnaście stóp od niego.

– Nie wiem, co pan robi – odparł Francis. Co ten człowiek robił? Chyba umierał, ale jakież to dziwne miejsce do umierania. Jego ojciec umarł pod czystym białym prześcieradłem. Odwrócił się na chwilę, żeby spojrzeć w górę – zauważył, że sieć się rozluźniła, a miejscami popękała i pomiędzy fragmentami światła ukazało się błękitnoczarne niebo.

– Sprowadź kogoś – powiedział Cracknell, po czym zaczął mamrotać, rozdrażniony bądź rozbawiony, i próbował przygwoździć Francis, zarazem błagalnym i wściekłym wzrokiem.

Chłopiec przykucnął i z rękami na kolanach przyjrzał się mężczyźnie z umiarkowanym zainteresowaniem. Cma usiadła we włosiu futrzanego kołnierza, w innych miejscach na płaszczu wypatrzył jasne plamy, które wyglądały na pleśń (Czy pleśń może wyrosnąć na ubraniu? Postanowił się tego dowiedzieć).

– Ransome – wydusił z siebie Cracknell, który może i nie pragnął wyznawać grzechów, ale chciał, żeby ostatnia twarz, jaką ujrzy w życiu, należała do dobrego człowieka. Wysunął dłoń, żeby pociągnąć za płaszcz chłopca; chciał dodać słowo „proszę”, lecz mówienie okazało się już dlań zbyt dużym wysiłkiem.

Chłopiec przechylił głowę i wsłuchał się w nazwisko.

– Ransome? – powtórzył. Pomyślał, że to miało sens. Mężczyzna z białym paskiem pod szyją odwiedził w ostatnich tygodniach trzech wieśniaków (policzył), z których przynajmniej dwóch umarło. Czy przynosił śmierć, czy tylko ułatwiał rozstanie się z życiem? Chłopiec przypuszczał, że to drugie, ale chciał mieć pewność. Francis przyjrzał się Cracknellowi i dostrzegł, że w kącikach jego ust zbiera się piana, a klatka piersiowa unosi się pod płaszczem. Nawet w prawie całkowitej ciemności było widać, że skóra mężczyzny nabrała woskowatego połysku, kości wokół oczodołów stały się sine, a oczy były zapadnięte. Widok był zarazem przerażający i zwyczajny – zapewne tak zwykle wygląda kres.

Cracknell odkrył, że nie może mówić; i tak ledwo już łapał oddech w zimnym powietrzu. Co ten chłopak wyprawia? Czemu kuca przy nim, spokojny, a co jakiś czas patrzy w górę i wtedy się uśmiecha?

Jego serce uderzyło mocniej – na pewno teraz pobiegnie, przyprowadzi Ransome’a, a ten przyniesie lampę i gruby koc, żeby okryć jego drżące kończyny. Jednak Francis, który doskonale rozumiał, co się dzieje, doszedł do wniosku, że byłaby to strata czasu. Poza tym uznał, że podzielenie się cudem, który roztaczał się nad ich głowami, nie tylko nie pomniejszy jego przyjemności, lecz ją podwoi. Nachylił się nad mężczyznę i powiedział:

– Niech pan patrzy. – Złapał starca za kosmyk siwych włosów i pociągnął opadającą głowę.

Cracknell nie miał wyjścia, musiał odwrócić wzrok od czarnej wody ku temu, co kiedyś uważał za niebiosa.

– Niech pan patrzy – powtórzył chłopiec. – Widzi pan? – Zobaczył, jak zamglone oczy mężczyzny otwierają się szerzej, a usta rozdziawiają. Świeące strzępki chmur przygasały z nadejściem świtu, ale połączyły się w blady łuk, który przedzielił niebo, a kiedy spoglądali w górę, przeleciał nad nimi ekstatycznie rozśpiewany skowronek.

Francis położył się koło starca. Nie przejmował się błotem, które wsiąkało w ubranie, smrodem ciała Cracknella ani porannym chłodem. Ich głowy się zetknęły, a Cracknell, oszołomiony, obrócił szyję, żeby nasycić się widokiem, i próbował czasem zaintonować fragmenty hymnu.

– Moja dusza się raduje – zaśpiewał i w tej chwili, u kresu, wątpił mniej niż

kiedykolwiek przedtem. Życie uszło z niego wraz z długim, spokojnym oddechem.

Francis poklepał go po dłoni i powiedział:

– Dobrze już, dobrze. – Czuł się w pełni usatysfakcjonowany, bo niczego nie lubił bardziej, niż gdy wszystko układało się tak, jak przewidział.

Błonia 2

Aldwinter

22 czerwca

Drogi Willu,

jest czwarta rano i zaczęło się lato. Właśnie oglądam coś dziwnego na niebie – widziałeś? Obłoki srebrzyste. Kolejny znak!

Dawno temu powiedziałeś, jak Ci przykro, że straciłam męża tak wcześnie. Pamiętam, jak chciałam, żebyś powiedział, że on umarł – nie straciłam go, nie miałam z tym nic wspólnego.

Dlaczego było Ci przykro? Nie znałeś go. Nie znałeś mnie. Przypuszczam, że uczą was tych uprzejmych zdań, kiedy nakładają wam koloratkę.

Jak mogłam Ci wtedy powiedzieć, jakie to uczucie – nie tylko śmierć (widzisz, jak łatwo to powiedzieć!), ale wszystko przed nią.

Umarł, a ja się cieszyłam i zarazem rozpaczałam. Wierzysz, że można odczuwać naraz dwie całkowicie sprzeczne emocje, i obie w pełni prawdziwe? Przypuszczam, że nie wierzysz – zapewne Twoje pojęcia absolutnej prawdy i absolutnego dobra na to nie pozwalają.

Rozpaczałam, gdyż nie znałam innego życia. Byłam tak młoda, kiedy się pobraliśmy, tak młoda, kiedy się spotkaliśmy, że prawie nie istniałam – to on powołał mnie do życia. Sprawił, że stałam się tym, kim jestem dzisiaj.

A jednocześnie – w dokładnie tym samym czasie! – myślałam, że umrę ze szczęścia. Wcześniej zaznałam w życiu tak mało szczęścia, że myślałam, iż nie da się tak żyć i zarazem się nie wypalić. Tego dnia, kiedy się spotkaliśmy, spacerowałam po lesie i prawie nie mogłam oddychać z zadowolenia.

Poznałam kiedyś kobietę, która powiedziała mi, że mąż traktował ją jak psa. Stawiał jej na podłodze miskę z jedzeniem. Kiedy szli na spacer, kazał jej przybiegać do nogi. Kiedy odzywała się niepytana, zwijał gazetę w rulon i uderzał ją w nos. Jej przyjaciele się temu przyglądali. Śmiali się. Mówili, że on jest taki zabawny.

Wiesz, co poczułam, gdy usłyszałam tę historię? Zazdrościłam jej, bo mnie nigdy nie traktowano jak psa. Mieliśmy psa – żalosne stworzenie; kiedyś wyciągnęłam kleszcza z jego futra i pękł jak owoc – i Michael przyciągał go do siebie, nie przeszkadzała mu ślina, głaskał go po uchu, przyglądając się przy tym mnie. Czasami uderzał go dłonią w boki, mocno – rozlegał się głuchy dźwięk – a pies tarzał się z rozkoszy. Kiedy Michael umierał, pies czuwał przy nim bez przerwy, jak cień. Nie przeżył jego śmierci.

Mnie Michael nigdy nie dotykał tak łagodnie. Patrzyłam na psa i mu zazdrościłam. Potrafisz sobie wyobrazić, że mogłam być zazdrosna o psa?

Na jakiś czas wracam do Londynu. Nie będę mieszkać na Foulis Street – to już nie jest mój dom. Charles i Katherine się mną zajmą.

Nie czuj się w obowiązku pisać.

Serdeczne pozdrowienia,

CORA

PS W sprawie Stelli. Otrzymacie wkrótce list od doktora Garretta. Oferuje pomoc, rozważcie, proszę, jego propozycję.

Joanna poszła nad ranem do kościoła, gdzie zastała ojca. Czuła, że wczorajszy wieczór naprawdę się udał, wspominała, jak siedziały z Marthą nad planami nowych domów w Londynie, do których miedzianymi rurami popłynęła czysta woda. Przyzwoicie grała na pianinie, założyła swoją elegancką sukienkę, zjadła pomarańczę (paznokcie wciąż miała poplamione skórą). Co prawda jej matka czuła się po tym przyjęciu wycieńczona, a ojciec tylko milczał, ale przecież (jak powiedział) zawsze miał tyle spraw do przemyślenia.

Znalazła go przygarbionego w cieniu, z dłutem w dłoni. Z furią zeszkrobywał węża owiniętego wokół oparcia ławy; z biegiem lat dębina stwardniała i szerniała, i choć złożone skrzydła bestii leżały już na kamiennej posadzce, stwór wciąż szczyrzył zęby i śmiał się w twarz swojemu przeciwnikowi.

– Nie! – krzyknęła Joanna (jak można zniszczyć coś, czego stworzenie wymagało takich zdolności!) – i podbiegła do ławki. Szarpała ojca za rękaw i krzyczała: – Nie wolno ci tego zrobić! To nawet nie jest twoje!

– Ja tu rządzę! Zrobię to, co uważam za słuszne! – odparł. Słowa te zabrzmiały tak, jakby nie wyszły z ust jej ojca, lecz małego chłopca, który chce postawić na swoim. Po chwili, jak gdyby pojął, że zachowuje się niepoważnie, pastor poprawił koszulę i powiedział: – To nie jest dobre, Jojo, nie powinno tu zostać. Patrz; czy nie widzisz, że to tutaj nie pasuje?

Jednak Joanna pogłaskała czubek ogona węża. Ledwo mogła ustać na nogach, a gdy spojrzała na jego urwane skrzydła, rozpłakała się.

– Nie powinieneś niszczyć rzeczy! – łkała. – Nie masz prawa!

Jej łzy stanowiły tak niecodzienny widok, że przy każdej innej okazji powstrzymałyby go, lecz tym razem William Ransome czuł się otoczony przez przeciwników, a tego przynajmniej mógł zniszczyć. Dręczyli go przez całą bezsenłą noc: skulony doktor o czarnych brwiach, Cracknell i jego krecie skórki, klasa pełna dziewczynek opętanych śmiechem, obraz wód Blackwater, które rozstępują się i ukazują na piasku Corę, za którą lśni mokra skóra Węża



z Essex... spiłował mrugające ślepie i powiedział:

– Idź do domu, Joanno, wracaj do ksiązek i nie mieszaj się do nie swoich spraw.

Joanna stała wyprostowana obok ojca i rozważała nawet uderzenie go pięścią w schyloną głowę. Po raz pierwszy poczuła bezsilny gniew dziecka, które wie, że jest mądrzejsze i sprawiedliwsze niż rodzic. Nagle drzwi kościoła otworzyły się i do środka wpadło światło, a wraz z nim płomiennowłosa Naomi Banks. Dziewczynka puściła się biegiem; nie mogła złapać tchu, a ręce miała ubłocone po łokcie.

– To się znów wydarzyło! – powiedziała, a jej głos odbił się głośnym echem w nawie kościoła. – Bestia wróciła; mówiłam, że tak będzie. A nie mówiłam! Nie mówiłam, że tak będzie?!

Nim Will dotarł na mokradła, grupka gapiów zebrała się już wokół tobołka na brzegu. Głowa Cracknella była tak mocno wykręcona w lewo i w górę – jak gdyby wyciągał szyję w kierunku tego, co odebrało mu życie – iż od razu stało się jasne (tak mówili), że miał skręcony kark.

– Poczekajmy na koronera – powiedział Will i nachylił się, żeby zamknąć zmarłemu oczy. – Od jakiegoś czasu chorował.

Na płaszczu mężczyzny, dokładnie na brzuchu, pomiędzy dwiema podartymi kieszeniami, leżał srebrny widelec i szary kamień z dziurką.

– Kto to zrobił? – zapytał pastor i rozejrzał się po twarzach swojej trzódki. – Kto położył tutaj te rzeczy i dlaczego?

Jednak oni się wycofali. Nie przyznali się do niczego, powtarzali tylko, iż wiedzą, że coś tu jest, wiedzieli od dawna, i że lepiej ryglować drzwi na czas przyływu. Jedna z kobiet się przeżegnała, za co pastor skarcił ją wzrokiem, gdyż już dawno oduczył ich przesądów.

– Bestia urwała mu mosiężny guzik – zauważył Banks i zmierzwił włosy córki. Nikt nie zwrócił na to uwagi; cud, że Cracknellowi w ogóle zostały jakiegokolwiek guziki.

– Nasz przyjaciel odszedł, bo chorował, a teraz ogląda chwałę Pana – powiedział Will z nadzieją, że to ostatnie było prawdą. – Mógł wyjść w nocy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a może się zgubił. Nie czas teraz na rozprawianie o węzach i potworach. Czy ktoś posłał po lekarza? Dziękuję. Tak,

zakryjcie mu twarz. Niech spoczywa w pokoju. Czy nie tego wszyscy koniec końców pragniemy?

Francis Seaborne stał na uboczu i od czasu do czasu poklepywał kieszeń kurtki, do której włożył błyszczący guzik z wytłoczoną kotwicą. Ktoś się rozplakał, lecz Frankie stracił już zainteresowanie i spoglądał w stronę horyzontu, gdzie zgromadziły się błękitne chmury. Tak bardzo przypominały pasma górskie tonące we mgle, iż pomyślał, że może ktoś uniósł całą wioskę i przeniósł ją gdzieś daleko od Essex, do innego kraju.

Droga Coro,

zobaczyłem tę pocztówkę i pomyślałem o Tobie – podoba Ci się?

Dostałem Twój list. Dziękuję. Napiszę znów niedługo. Stella przesyła pozdrowienia.

Z pozdrowieniami,

WILLIAM RANSOME

List do Filipian 1, 3–11

Doktor Luke Garrett

Szpital Kliniczny Royal Borough

23 czerwca

Drogi Pastorze Ransome,

mam nadzieję, że miewa się Pan dobrze. Piszę w sprawie pani Ransome, którą spotkałem dwukrotnie. I przy obydwu spotkaniach zaobserwowałem następujące syndromy: znacznie podwyższoną temperaturę, intensywne wypieki na twarzy, rozszerzone źrenice; szybkie, nieregularne tętno, wysypkę na przedramionach.

Sądzę też, że cierpi na łagodne delirium.

Radziłbym, by przywiózł Pan Panią Ransome do szpitala Royal Borough, gdzie, jak Pan wie, jestem zatrudniony. Mój kolega, doktor David Butler, zgodził się ją zbadać. Jest specjalistą chorób płuc. Za Pańską zgodą będę obecny przy badaniu. Może trzeba będzie rozważyć pewne zabiegi chirurgiczne.

Nie trzeba się umawiać. Proszę się zgłosić tak szybko, jak to możliwe.

Z poważaniem,  
DOKTOR LUKE GARRETT

Pastor William Ransome

Plebania

Aldwinter

Essex

24 lipca

Droga Coro,

mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Nie mogłem napisać wcześniej, choć chciałem – coś się wydarzyło: Cracknell jest kolejną ofiarą.

Dlaczego tak to ujmuję? Wiedziałem przecież, że chorował: odwiedziłem go dzień przed śmiercią. Chciał, żebym mu przeczytał, ale w całym domu nie znaleźliśmy żadnej książki, z wyjątkiem mojej Biblii, której oczywiście nie chciał. W końcu wyrecytowałem Dżabersmoka. Śmiał się. Powtarzał: „miecz migbłystalny świstotnie”<sup>[10]</sup>; bardzo go to bawiło.

Znaleźliśmy go na mokradłach. Zbliżał się przypływ i woda doszła do butów.

Wyglądał, jak gdyby patrzył na coś w górze, ale koroner mówi, że nikt mu nie pomógł zejść z tego świata. Musiał przeleżeć tak całą noc. Bez niego Koniec Świata zdaje się już tonąć w błocie. Joanna postanowiła zatrzymać Magog (a może Gog); założyła jej sznurek na szyję i poprowadziła do domu. Jest teraz w ogrodzie za domem i je kwiaty Stelli. Patrzy na mnie, kiedy to piszę. Nie podobają mi się jej prostokątne oczy.

Oczywiście wieśniacy podnieśli larum i zamknęli dzieci w domach. Mówią, że w nocy, kiedy to się wydarzyło, na niebie ukazało się dziwne niebieskie światło – pewna kobieta (matka małej Harriet, może ją pamiętasz?) powtarza, że zasłona została przedarta, i bez przerwy przesiaduje w kościele. Gdyby jej pozwolić, weszłaby na ambonę. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby zobaczyła Fata Morganę, tak jak my! W najlepszym razie wylądowałyby w szpitalu psychiatrycznym.

Ktoś wieszka podkowy na Dębie Zdrajcy (prawdopodobnie Evansford, który znajduje wielką przyjemność w odczuwaniu strachu), a jeden z rolników spalił swoje plony. Nie wiem, co robić. Czy odbywa się nad nami sąd? Jeśli tak, to co uczyniliśmy i jak możemy to odpokutować? Przyjąłem tę trzódkę i chciałem być dobrym pasterzem, ale widzę, że coś ją gna poza krawędź urwiska.

Napisał Twój doktor skrzat. W liście robi wrażenie solidnego, zdecydowanego człowieka – nie potrafiłem mu odmówić. W przyszłym tygodniu jedziemy do

Londynu, choć Stella ostatnio wygląda lepiej i przesypia całą noc.

A jednak jestem zaniepokojony. Doktor Garrett pokazał mi, co zrobiłby niemowlętom i kobietom, gdyby mu pozwolono, i poczułem obrzydzenie. Nie z powodu ran i szwów, lecz przez jego arogancję. Powiedział, że gdybym wierzył w nieśmiertelną duszę, miałbym dla swojego trupa nie więcej szacunku niż dla trupa królika; „wszyscy jesteśmy tylko pasażerami” – tak powiedział. Dodał jeszcze, że skoro to on wielbi naukę, naczynia krwionośne, cząsteczki i komórki, z których się składamy, to z nas dwóch to ja jestem barbarzyńcą!

Odkąd wyjechałaś, czytam jak student. Mam nadzieję, że nie pomyślisz, iż jestem zbyt dumny, że tak precedzam własne myśli, porządkuję je. Co powiada Locke? Wszyscy jesteśmy krótkowzroczni. Myślę, że teraz bardziej niż kiedykolwiek przydałyby mi się okulary o szklach jak denka butelek.

Nie zgodzę się nigdy, że moja wiara jest oparta na przesądach. Przypuszczam, że trochę mną z tego powodu gardzisz – a Twój doktor na pewno tak! – i niemal pragnę zaprzeczyć swojej wierze, by sprawić Ci radość. Jednak moja wiara jest wiarą rozumu, nie ciemności – Oświecenie poradziło sobie z przesądami. Skoro rozumny Stwórca umieścił gwiazdy na firmamencie, my musimy znaleźć sposób, żeby je pojąć – musimy być również stworzeniami rozumnymi, które wielbią porządek!

Coro, jest coś więcej – coś jeszcze poza liczeniem atomów, wyznaczaniem orbity naszej planety, ustalaniem daty powrotu komety Halleya – coś w nas tętni oprócz pulsu. Pamiętasz tego Francuza, który przywiązał gołębia do płyty fotograficznej, poderznął mu gardło i wierzył, że uchwycił smuzkę duszy uciekającą przez ranę? To oczywiście absurd, a jednak – czy nie widzisz, jak stoi z nożem i wyobraża sobie, że tak w istocie może być?

Jak inaczej wyjaśnić tyle rozmaitych zjawisk? Jak wyjaśnić, że całe moje jestestwo staje się uważne i pełne miłości, kiedy zwracam się ku Chrystusowi?

I jak inaczej wyjaśnić moją tęsknotę za Tobą? Coro, byłem zadowolony.

Wyczerpałem zapas nowości – nie czekały mnie zaskoczenia i żadnych nie szukałem. Oddałem się służbie Bogu. I nagle zjawiałaś się Ty – i od włosów, które są zawsze w nieładzie, po męskie ubrania, nigdy mi się nie podobałaś (nie masz mi za złe?). Jednak zdaje się, że nauczyłem się Ciebie na pamięć, jak gdybym znał Cię od początku. Od razu poczułem, że mogę powiedzieć Ci wszystko, czego komu innemu i gdzie indziej nigdy bym nie powiedział – i to wszystko jest dla mnie „poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy”! Czy powinienem się wstydzić albo niepokoić? Nie robię tego. I stanowczo odmawiam.

Jak Ci się to widzi, Ty przebrzydła ateistko, apostatko? Poprowadziłaś mnie do Boga. Z miłością – i z modlitwą, czy Ci się to podoba czy nie,

Pastor William Ransome

Plebania

Aldwinter

Essex

30 lipca

Coro,

nie dostałem odpowiedzi – czy mówiłem zbyt otwarcie? Czy nie dość otwarcie?

Boję się o Stellę. Czasami wydaje mi się, że jej umysł gdzieś błądzi, a później ona staje się dawną sobą i opowiada mi, że w St Osyth mają nowego pastora i że on jeszcze nie ma żony, a w Colchester otwarto nowy sklep z ciastkami prosto z Paryża.

Cały dzień pisze coś w niebieskim zeszycie. Nie pozwala mi zajrzeć.

Jutro jedziemy do Londynu. Pomyśl o nas.

Twój w Chrystusie,

WILLIAM RANSOME

Stella wzdrygnęła się pod dotykiem zimnego stetoskopu i oddychała zgodnie z poleceniami: najgłębiej jak mogła i nie zważając na kaszel. Atak kaszlu, który nastąpił, nie należał do tych najgorszych, ale i tak okazał się poważny – przechylił ją do przodu w krzesło i sprawił, że nieco popuściła. Poprosiła o czystą chusteczkę.

– Nie zawsze jest tak źle – powiedziała i osuszyła wargi. Współczuła tym trzem mężczyznom, którzy obserwowali ją z nietęgimi minami; jakże byli przestraszeni! Czy sami nigdy nie chorowali? Will, który z niepokoju lub skrepowania unikał jej wzroku. I Skrzat, który stał w odległym kącie, ale spojrzeniu jego czarnych oczu nie umykało nic. Wreszcie trzeci, doktor Butler, najstarszy z nich i o najdelikatniejszych manierach, wysubtelnionych podczas lat spędzonych przy łóżkach, zarówno zgrzebnych, jak i królewskich, na pocieszaniu chorych. Odsunął stetoskop i delikatnie opuścił bluzkę pacjentki.

– Nie mam wątpliwości, że to gruźlica – powiedział, gdy zobaczył, zgodnie z zapowiedziami Luke’a, ładne rumieńce na policzkach kobiety. – Choć naturalnie, dla pewności pobierzemy próbkę płwociny.

Pełna siwa broda rekompensowała doktorowi jajowatą, całkowicie łysą głowę (jego studenci mawiali, że myśli w tej głowie poruszają się tak szybko, iż z biegiem lat tarcie uniemożliwiło porost włosów).

– Kapitan tych żołnierzy śmierci – wyszeptała Stella w chusteczkę, do wyhaftowanych na niej niezapominajek. To wszystko było zbędne; powiedziałyby im to samo przed miesiącami, gdyby tylko ktoś ją zapytał. Za wysokim otwartym oknem białe chmury rozstały się, żeby odsłonić błękit. – Sama to zrobiłam – powiedziała tonem zwierzenia (choć nikt jej nie usłyszał).

– Dla pewności? Ale jak to możliwe? – zapytał Will. Zastanawiał się, czy w pomieszczeniu naprawdę zrobiło się w tej chwili ciemniej, czy to tylko jego strach. Wyobraził sobie, że pod leżanką, na której spoczywała uśmiechnięta Stella, coś się porusza w cieniu, a wraz z tym obrazem przyszedł zapach rzeki. – Jak może pan być pewny? W jej rodzinie nie odnotowano przypadków tej

choroby, żadnych. Stello, powiedz im. – Jak mógł niczego nie zauważyć? Czy aż tak zaślepiło go to, co przybyło do Aldwinter? – Lekarz powiedział, że to grypa; panowała w całej wiosce i wszyscy czuli się potem osłabieni...

– Historia rodziny nie ma tu nic do rzeczy – wyjaśnił Luke. – Choroba nie przechodzi z ojca na syna. Wywołuje ją bakteria gruźlicy, nic więcej. – Do głosu doszła jego niechęć do Willa, sprecyzował więc złośliwie: – Bakterie, pastorce, to mikroorganizmy, które mogą przenosić choroby zakaźne.

– Chciałbym mieć pewność – powtórzył doktor Butler i z niepokojem spojrzął na kolegę po fachu. Ten, choć nie słynął z dobrych manier, rzadko bywał aż tak niegrzeczny. – Pani Ransome, czy da pani radę zakasłać jeszcze raz, choćby lekko, i splunąć do naczynia?

– Urodziłam piątkę dzieci – odpowiedziała Stella impulsywnie. – Dwoje zmarło. Plucie to dla mnie drobnostka.

Przyniesiono stalowe naczynie, w którym wyraźnie odbijał się fragment nieba. Przykryła go brązową substancją wykrztuszoną mozolnie z płuc i z uprzejmym skinieniem głowy podała doktorowi Butlerowi.

– Co zamierza pan z tym zrobić? – zapytał Will. – Jak to może pomóc?

Jak kompletnie nic sobie z tego nie robiła – była taka spokojna! To nienaturalne – na pewno jakiś rodzaj hysterii – czyż nie powinna płakać i poprosić, żeby on usiadł obok niej i trzymał ją za rękę?

– Teraz możemy zabarwić bakterie, tak by można je było łatwo dostrzec pod mikroskopem – powiedział doktor Butler z werwą, którą natchnął go entuzjazm. – Może się okazać, że się mylimy, a pani Ransome cierpi na zapalenie płuc lub jakąś łagodniejszą chorobę...

*Mikroskop!* – pomyślała Stella. Joanna prosi ich ciągle o mikroskop, bo chce zobaczyć na własne oczy, że jabłka i cebula zbudowane są z komórek, tak jak domy z cegieł.

– Też chcę to zobaczyć – oświadczyła. – Proszę mi pokazać.

Doktor Butler pomyślał, że to typowa prośba, aczkolwiek zazwyczaj to młodzi mężczyźni chcą spojrzeć wrogowi w oczy. Kto by przypuszczał, że ta drobna kobieta o srebrnych włosach okaże się taka rezolutna. Oczywiście jej zachowanie po części wynikało z delirium; stan, w którym odczuwa się pełen dystansu spokój, ogarnął ją wcześniej, niż to się dzieje w przypadku większości

pacjentów.

– Jeśli zechce pani poczekać godzinę, przyniosę – rzekł, a gdy zauważył, że mąż chorej chce się sprzeciwić, dodał: – Choć mam nadzieję, że nie będzie tam nic do oglądania.

– Stello – powiedział Will błagalnie – Stello, czy naprawdę musisz?

Wszystko działo się tak szybko – wydawało się, że minęły minuty, odkąd w zimowy wieczór wracał do domu z Końca Świata, niosąc przytroczone do pasa króliki, prezent od Cracknella, a przy świetle lampy czekała na niego w oknie rodzina. A teraz wszystko się rozpadało. Zamknął oczy i zobaczył w ciemności jasne ślepie Węza z Essex, błyszczące i radosne.

– Więc pomódl się za mnie – poprosiła Stella, litując się nad nim, ale i dlatego, że chciała, by zmówił za nią modlitwę.

Doktor Butler wyszedł, niosąc przykryte naczynie, a Skrzat podążył za nim. Will uklęknął przy jej krześle. Czy jednak było tutaj miejsce na modlitwę, pomiędzy fiolkami i szklami, które obnażały każdą tajemnicę? Choroba musiała zagnieździć się dawno temu, kiedy żyli w radosnej niewiedzy – ma modlić się o to, by wskazówki zegara się cofnęły, lecz skoro tak, dlaczego na tym poprzestawać, dlaczego nie pomodlić się o przywrócenie do życia wszystkich zmarłych w Aldwinter? Czy Stella naprawdę była aż tak wyjątkowa i cenna, że Bóg mógłby interweniować w jej sprawie, skoro na ogół trzyma się z boku? Ale to przecież słowa niegrzecznego chłopca ze szkółki niedzielnej – nie można modlić się o łaski, lecz o dar posłuszeństwa.

– Bądź wola Twoja – powiedział. – Daj nam łaskę, Panie.

Wrócili z ponurymi minami i poprosili Willa na bok, jak gdyby to on chorował, a nie ona. Przekazywali sobie wiadomość, jak w grze w głuchy telefon, zatem kiedy dotarła do zainteresowanej – „Kochanie, nie jesteś zdrowa, lecz oni wiedzą, jak ci pomóc” – prawda skurczyła się do nieistotnej drobnostki.

– Suchoty – powiedziała Stella, ożywiona wiadomością. – Biała śmierć. *Phthisis*. Skrofuły. Znam jej nazwy. Co pan tam trzyma? Proszę mi to dać.

Było to szkiełko, na którym wytrawiono jej przyszłość. Po krótkich negocjacjach przyniesiono mikroskop, a ona zapytała:

– To wszystko? Całkiem jak ziarnka ryżu.

Wstrząsnął nią kolejny atak, teraz więc, mocno osłabiona, położyła policzek



na twardym oparciu krzesła i tylko słuchała, jak rozmawiają o jej przyszłości.

– Zalecam izolację, a kiedy jej stan się pogorszy, trzeba będzie odesłać dzieci z domu. – Luke zrezygnował z okazywania litości: cóż po niej w obliczu śmiertelnej choroby?

– Proszę spokojnie to przemyśleć, pastorze. Wiem, że to szok – powiedział doktor Butler – jednak nowoczesna medycyna może zrobić dużo. Zaleciłbym zastrzyki z tuberkuliny, które Robert Koch wprowadził niedawno w Niemczech...

Will – wciąż lekko oszołomiony – pomyślał o igłach wbijanych w ciało Stelli i poczuł mdłości. Spojrzał na Luke'a Garretta i zapytał:

– A pan? Co pan na to? Wyciągnie pan te swoje noże?

– Może leczenie zapadowe...

– Doktorze Garrett! – Doktor Butler był w szoku. – Nawet nie chcę o tym słyszeć! Próbowano tego tylko dwa czy trzy razy, z czego ani razu w tym kraju. Nie czas teraz na eksperymenty.

– Nie życzę sobie, żeby pan jej dotykał – powiedział Will, który znowu poczuł mdłości na wspomnienie zgarbionego Skrzata mamroczącego coś nad Joanną.

– Pani Ransome, proszę pozwolić, że wyjaśnię – odezwał się Garrett, zwracając się do pacjentki. – To proste i wiem, że pani zrozumie. Chore płuco zapadnie się dzięki wprowadzeniu powietrza: leży w klatce piersiowej jak przebity balonik, dzięki czemu objawy choroby mogą osłabnąć i jest szansa na wyleczenie...

– Ona nie jest jednym z pańskich trupów. To moja żona, a pan mówi tak, jakby chodziło o podroby u rzeźnika!

Luke stracił cierpliwość i odparł:

– Czy naprawdę pozwoli pan, żeby pańska duma i ignorancja jeszcze bardziej zaszkodziły jej zdrowiu? Boi się pan czasów, w których przyszło panu żyć? Wolalby pan, żeby pańskie dzieci chorowały na ospę, a w wodzie roiło się od bakterii cholery?

– Panowie – wtrącił się doktor Butler, wyraźnie zdenerwowany – proszę o rozsądek. Pasterze Ransome, skoro przyprowadził pan żonę do mnie, jest teraz moją pacjentką, a ja zalecam zastrzyki z tuberkuliny. Proszę to rozważyć.

Nie musi pan decydować od razu, ale lepiej wcześniej niż później, zanim zaczną się krwotoki, a obawiam się, że się zaczną.

– A co ze mną? – Stella uniosła się na łokciu, przygładziła włosy i zapytała, wyraźnie niezadowolona: – Mnie nikt nie zapyta o zdanie? Will, czy to nie jest moje ciało? Czy to nie moja choroba?

LIPIEC

W Aldwinter poszukują Naomi Banks. Dziewczynka zniknęła w dniu, w którym znaleziono Cracknella; zostawiła liścik: KTO SIĘ NIE SCHOWA, TEN KRYJE, z trzema pocałunkami na rewersie. Zdruzgotany Banks pływa po Blackwater.

– Najpierw żona, potem łódź, a teraz to – mówi. – Nie zostało mi już nic.

Przeszukano każdy dom – bez skutku. Sklepikarz twierdzi, że w tym tygodniu kasa się nie zgadza – kto wie, może w takim stanie ducha jej ręce stały się lepkie?

Wieśniacy są nieufni. Żaden koroner z Colchester ich nie przekona, że serce Cracknella się zatrzymało, bo nadszedł jego czas – to sprawka Węża z Essex, bez dwóch zdań. Szukają znaków i je znajdują: jęczmień nie obrodził, kury nie znoszą jaj, mleko kwaśniej. Dąb Zdrajcy jest tak obwieszony podkowami, iż można się obawiać, że silny wiatr połamie gałęzie. Nawet ci, którzy nie widzieli obłoków srebrzystych, chętnie opowiadali, jak wyglądały tamtej nocy nad błoniami, jak zabarwiły wodę na błękitno. W St Osyth ktoś utonął („A nie mówiłem? A nie mówiłam?”).

Mieszkańcy wioski trzymają nocne warty. Siedzą przy małych ogniskach na mokradłach i zapisują w dzienniku obserwacji: „Godzina 2.00, wiatr południowo-wschodni, widoczność dobra, odpływ. Niczego nie spostrzeżono, ale słychać ciche szuranie i sapanie od 2.46 do 2.49”. Banksowi nie wolno stać na warcie, gdyż odkąd zaginęła Naomi, jeszcze częściej zagląda do butelki. Dzieci w Aldwinter źle znoszą zamknięcie w czterech ścianach. W jednym z domów chłopiec niemal traci głowę z nudów i gryzie matkę w dłoń.

– O, tutaj. – Kobieta pokazuje ranę Willowi. – Wiedziałam, że coś się święci, gdy tylko do domu wleciał rudzik. To wąż z niego wychodzi. – Syczy na pastora i obnaża zęby.

Stella jest w domu i codziennie pisze w błękitnym zeszycie – „chciałabym otrzymać chrzest jeszcze raz, w błękitnej wodzie w jasną, błękitną noc” – i zamyka go, kiedy wchodzi Will. Stella miewa dobre i złe dni. Doglądają jej

goście – czy słyszała o tej kobiecie i o tamtej sprawie, i czyż to nie zabawne, i wciąż wygląda tak pięknie, i gdzie też znalazła te wszystkie jasne koraliki – a potem odchodzą, kręcą głowami i dezynfekują ręce.

– Zupełnie nie jest sobą – mówią. – Powiedziała mi, że czasem słyszy Węża przez sen! Powiedziała, że on zna jej imię! – A później dodają: – Myślisz, że naprawdę go widziała? Myślisz, że naprawdę jest tam coś do zobaczenia?

Will czuje się tak, jak gdyby stapał po cienkiej linie, a zachwianie się w jedną lub drugą stronę grozi śmiertelnym upadkiem. Z jednej strony w ogóle nie chce słyszeć o tym żalonym przesądzie – to nie do pomyślenia, żeby zwykłą plotkę tak oblec w ciało! Jego obowiązkiem jest dawać odpór plotkom. Próbuje dodać ludziom otuchy podczas kazań („Bóg jest naszą ostoją i siłą; przychodzi nam z pomocą, gdy jesteśmy w kłopotach”), jest jednak oczywiste, że wierni wątpią w jego słowa. Ludzi w kościele nie ubywa, lecz stają się zaczepni i nie chcą śpiewać. Nikt nie wspomina o oskrobanym oparciu ławki, na którym wciąż można się dopatrzyć śladów ogona; wszyscy wydają się zadowoleni, że potwór zniknął.

A jednak, z drugiej strony, Will – kiedy leży w bezsenną noc, sam, gdyż Stella śpi teraz w innym pokoju – zastanawia się, czy to nie kara. Bóg wie, że on sam ma parę wykroczeń na sumieniu (przypomina sobie, jak stał na mokradłach, zgięty wpół z pożądania); zastanawia się, czy Wąż z Essex ma jego nazwisko na liście.

Nie ma wieści od Cory. Myśli o niej. Czasami wydaje mu się, że odwiedziła go nocą i dała mu swoje oczy, żeby widział świat na jej sposób; nie potrafi spojrzeć na grudkę błota w ogrodzie i nie pragnąć rozłupać jej i sprawdzić, czy w środku coś się nie kryje. Chce jej wszystko opowiedzieć, lecz nie może, i dlatego materia świata zdaje mu się licha i bura. „W gabinecie za regałem na książki utknęła ważka – pisze – i nie mogę myśleć, bo słyszę trzepot skrzydeł”. A potem wyrzuca kartkę.

Cora czyta listy, lecz nie odpowiada. Zabiera Marthę i Francisa do Londynu.

– O tej porze roku jest najpiękniejszy – mówi i wydaje fortunę na dobry hotel, ekstrawaganckie posiłki, na buty, które się jej nie podobają i których nigdy nie założy. Pije z Lukiem Garrettem w barze Gordon’s na Embankment, ciasnej piwnicy, gdzie para skrapla się z sufitu na świece. Zapytana o dobrego pastora, zbywa temat władczy gestem. Jednak Garrett nie jest głupcem

i wolałby raczej, żeby beztriosko wspominała o Willu w co drugim zdaniu.

Jeśli po tym, co się stało w noc świętojańską, Luke i Martha spodziewali się albo zakochać w sobie, albo zacząć sobą gardzić, spotyka ich duże zaskoczenie. Okazało się, że w ich relacji pojawiła się lekkość, jak między żołnierzami, którzy wspólnie przeżyli bitwę. Nie wracają do tamtej nocy, nawet pamięcią; oboje czują, że to było potrzebne, i nic więcej. Zgadza się bez słów, że Spencer nie powinien się o tym dowiedzieć – Luke go uwielbia, a Martha ma z niego pożytek. Zebrał wokół siebie ludzi o politycznych wpływach i finansowej sile przebicia, uważa, że Bethnal Green może skorzystać na budowie nowych mieszkań, których lokatorzy nie będą musieli spełniać warunków moralnych i które dadzą ludziom więcej niż tylko dach nad głową.

W Limehouse Martha i Edward Burton dzielą się porcją frytek, snują plany i patrzą, jak ze statków przybyłych z Nowej Zelandii wyładowuje się w dokach mrożoną jagnięcinę. Zrobimy to, zrobimy tamto – mówią i zlizują sól z palców, jak para przyjaciół. Nie zauważają nawet, że każde z nich bierze obecność drugiego w swojej przyszłości za pewnik.

– Po prostu lubię podnieść głowę i widzieć, że ona jest obok – zwierza się Edward matce, która ma wątpliwości: Martha jest dobrą dziewczyną z Londynu, ale zadziera nosa i mówi inaczej niż oni.

Edward nie zauważa jednak, kiedy wraca do domu z jednym z pism Marthy w ręku, że w uliczce czeka na niego cierpliwie mężczyzna, który zranił go w cieniu katedry Świętego Pawła.

Samuel Hall czeka na sposobność, odkąd Edward wyszedł ze szpitala; nosi inny płaszcz, lecz w kieszeni ma ten sam nóż z krótkim ostrzem, który tak łatwo wchodzi między zebra. Niemal zapomniał, skąd się wzięła ta nienawiść – zdaje się, że jakaś kłótnia o kobietę? – ale to już nieistotne. Zemsta stała się jego jedyną ambicją, a paliwem są alkohol i brak celu; już raz zniweczono jego plan zemsty, więc teraz czeka, żeby dokończyć dzieła. To, że Edward Burton stał się pupilkiem bogaczy, którzy ciągle go odwiedzają, sprawiło, że Hall stał się nieprzejednany: oni wszyscy są wrogami. Patrzy, jak Edward wysypuje sól z rękawa, wkłada klucz do zamka i woła czekającą na niego matkę. *A więc nie dzisiaj – myśli – nie, ale już niedługo.*

Na pogrzeb Cracknella przychodzi wiele osób, gdyż nikogo nie kocha się bardziej niż zmarłych. Joanna śpiewa *Amazing Grace* i nie ma w kościele

nikogo, kto nie uroniłby łzy. Cora Seaborne przysyła wieniec, który kosztował fortunę, co widać na pierwszy rzut oka.

Will polubił spacerować i często myśli, że choćby na mocy rachunku prawdopodobieństwa czasem stawia stopy tam, gdzie stąpała Cora. Kiedy chodzi, rozwija za sobą myśli jak nitkę, która się rozdwaja. Nie może się zdecydować w kwestii Cory; tak cieszyła go miłość, którą ją darzył – sądził wcześniej, że było to uczucie godne tego, by podziwiali je apostołowie; jak gdyby na skrawku błotnistej ziemi zbudowali niebo – ale potem coś się zmieniło. Wciąż czuje, jak jej ciało poddało się pod jego dłoń, i pamięta, co wydarzyło się później, i wstydi się, lecz nie (jak sądzi) aż tak bardzo, jak powinien.

No i Stella, spokojna w błękitnym, bawełnianym szlafroku; kiedy ma za sobą światło, mogłaby zawstydzić niejednego świętego z witraża. Czasem mówi o ofierze i leży nieruchomo, jak gdyby już spoczywała na ołtarzu, a potem ożywia się i pisze coś w nocy w niebieskim zeszycie. Co on z nią pocznie? Myśli o igle i skalpeli w dłoni chirurga i całe jego jestestwo wzdraga się na tę myśl. Ceni rozum, którym obdarzono człowieka, lecz nie ufa ruchomym piaskom zwodniczej zmyślności – rzecz w tym, że człowiek zawsze miał w zwyczaju popełniać błędy. Wystarczy pomyśleć o czasach, nim Galileusz kazał Ziemi obracać się wokół Słońca, albo o tym, iż niegdyś myślano, że mężczyzna składał w kobiecie przykucniętego homunkulusa. Nauka może się puszyć i mówić: „Tym razem mamy rację”, ale czy on ma pozwolić, żeby udowadniała to na Stelli?

Will targuje się z Bogiem, jak niegdyś Jerubbaal.

– Jeśli Twoją wolą nie jest, aby przeżyła terapię, zapobiegij jej w jakiś sposób, i niech to będzie znak – modli się. Nie jest ślepy na logiczny absurd tej modlitwy, lecz cóż robić: Bóg może się posługiwać logiką równie dobrze jak innymi środkami. W niedzielę wchodzi na ambonę i przypomina wiernym, jak to Mojżesz sporządził pal z owiniętym wokół niego miedzianym węzłem i jak dał w ten sposób nadzieję swojemu ludowi. Pod koniec lipca mieszkańcy przestają wystawiać nocną wartę.

Pentonville Road

27 lipca

Jest późno i pomyślisz pewnie, że jestem pijany, ale moja ręka jest pewna – mógłbym zszyć człowieka rozciętego od gardła po pępek i ani razu nie spuścić oczka!

Coro, kocham Cię – posłuchaj, KOCHAM CIĘ – Och, wiem, mówiłem to wielokrotnie, a Ty się uśmiechałaś i przyjmowałaś moje słowa, bo to w końcu tylko Skrzat, tylko Twój przyjaciel, nic, czym trzeba by się kłopotać. To nawet nie kamyk zdolny zmącić Twoje spokojne wody, Twój straszny spokój, Twoją TOLERANCJĘ dla mnie – którą czasem można nawet pomylić z miłością, kiedy Cię rozbawię lub pokażę Ci coś zmyślnego, jak pies, co przynosi swojej pani przeżutą zabawkę...

Lecz chcę, żebyś zrozumiała – muszę Ci opowiedzieć, jak noszę Cię w sobie niczym nowotwór, który powinienem wyciąć nożem – jest ciężki i czarny, BOLI, sączy coś w moją krew, w nagie zakończenia nerwów – lecz nie mógłbym go wyciąć i przeżyć!

Kocham Cię. Kocham Cię, odkąd weszłaś w brudnym ubraniu do tego jasnego pokoju, ujęłaś moją dłoń i powiedziałaś, że żaden inny lekarz się nie nada – kochałem Cię za to, jak zapytałaś, czy mogę go uratować, a ja wiedziałem, że masz nadzieję, że nie będę mógł, i wtedy zrozumiałem, że nie będę próbował... Kocham Twoją żalobną suknię, która jest oszustwem, kocham Cię, kiedy widzę, jak próbujesz kochać swojego syna, kocham Cię, gdy obejmujesz Marthę, kocham Cię, gdy jesteś brzydka, bo płakałaś lub jesteś zmęczona, i kocham Cię, gdy zakładasz diamenty i udajesz piękność... czy sądzisz, że ktoś jeszcze mógłby poznać wszystkie Cory, tak jak ja je poznałem, i kochać każdą z nich równie mocno, jak ja je kocham?

Ciągle próbowałem zrobić z moją miłością coś dobrego – kiedy Michael umierał, jak zły święty w pokoju z odsłoniętymi zasłonami, i znów próbowałem, kiedy wreszcie wrócił tam, skąd przyszedł. Próbowałem kochać Cię na sposoby, które mnie nie zniszczą – nie chciałem mieć Cię na własność – dałem Ci spokój, żebyś nacieszyła się nowym przyjacielem – lecz i tak nie mogę spać, bo kiedy tylko zapadam w sen, pojawiaasz się Ty i nie masz wstydu, żądasz, żebym robił z Tobą różne rzeczy, a ja budzę się z Twoim smakiem w ustach – lecz odkąd Cię znam, tylko położyłem dłoń na Twoim ramieniu, nic więcej... masz mnie za skrzata, lecz ja okazałem się aniołem!

Nie pisz. Nie przyjeżdżaj. Nie potrzebuję tego. Nie dlatego napisałem. Myślisz, że moja miłość umrze z głodu bez Twoich okruchów? Myślisz, że nie umiem okazać pokory? TO jest pokora – powiedzieć, że Cię kocham, gdy wiem, że nie możesz odwzajemnić uczucia. Poniżę się.

Więcej nie mogę dać, lecz to za mało.

LUKE



Ja jestem gwiazdą Stella tak powiedział! Stella moja gwiazda wysokich błękitnych mórz!

Zrobiłam mszał błękitny atrament na błękitnych kartkach zszyty błękitną nicią tak błękitną jak błękitnokrwiste żyły, które są błękitne.

ODEBRALI MI DZIECI!!!

Dwoje dzieci o sinych ciałach i troje co przeżyło a teraz żadnego z nich nie ma pod moim dachem!

Chcą mi aplikować różne rzeczy noże igły krople łyżeczki tego i owego nie powiedziałam nie nie mogę tego robić nie dajcie mi żyć z błękitnymi rzeczami dokoła z kobaltowymi koralikami moim lapis lazuli moimi czarnymi perłami, które są błękitne moim kałamarzem z błękitnym atramentem moim pojemniczkiem błękitnej farby moimi wstążkami, które są w kolorze indygo moją spódnicą co jest modra moimi chabrami moimi fiołkowymi oczami

A jednak znoszę to wszystko całkiem dobrze, albowiem obiecano, że choć przejdę przez rzeki nie utonę! Chociaż przejdę przez ogień, nie spłonę!

SIERPIEŃ

Nic nie przekonywało Charlesa Ambrose'a do darwinizmu skuteczniej niż spacer po wąskich uliczkach Bethnal Green. Nie widział tam równych sobie, którzy mieli mniej szczęścia i gorsze warunki w życiu, lecz stworzenia od urodzenia nieprzystosowane do tego, by przetrwać wyścig ewolucyjny. Spoglądał w ich blade wychudzone twarze – które często wyrażały nieufność, jak gdyby w każdej chwili spodziewały się spotkania z ciężkim butem – i czuł, że mieszkali tam, gdzie ich miejsce. Przekonanie, że jeśli od początku mieliby dostęp do dobrych szkół i cytrusów, to pewnego dnia mogliby zasiąść obok niego w klubie Garrick, uważał za nedorzeczność – ich los dowodził tylko nieumiejętności przystosowania się i przeżycia. Dlaczego tak często byli niscy? Dlaczego wrzeszczeli i ryczeli przez okna i z balkonów? I dlaczego w południe tak wielu było już tak pijanych? Kiedy skręcał w ciasną uliczkę, przyciskając delikatny lniany płaszcz bliżej do ciała, poczuł się tak, jak gdyby patrzył na nich przez stalowe kraty. Nie znaczy to, że im nie współczuł, przecież nawet zwierzętom w zoo trzeba czyścić klatki.

Tego sierpniowego popołudnia w mieszkaniu Edwarda Burtona zebrała się ich czwórka: Spencer, Martha, Charles i Luke. Zamierzali zanurzyć się w Bethnal Green, którego slumsy i rudery przeznaczono do rozbiórki, a na ich miejscu miały powstać dobre, czyste osiedla, obiecane przez Parlament.

– Łatwo jest uchylać ustawy – powiedział Spencer, nieświadomy, jak bardzo naśladuje Marthę – lecz jak bardzo musi wzrosnąć śmiertelność niemowląt, zanim uchwały zostaną wprowadzone w życie? Potrzebujemy czynów, a nie ustaw!

Matka Edwarda podała biszkopty cytrynowe na tacy, z której ponuro patrzyła twarz królowej, i martwiła się, że jej syn jest zmęczony. W takim towarzystwie zwykle milczał i odpowiadał tylko na ciche dygresje Marthy – czy rana wciąż sprawiała mu ból? Czy mógłby pokazać Spencerowi plany nowego osiedla, nad którymi pracował?

– To jest całkiem wykonalne – powiedział Spencer, choć w ogóle się na tym

nie znał. Przeciągnął dłonią po białym papierze, na którym Edward pracowicie, choć po amatorsku, nakreślił plan kamienicy z kwadratowym ogrodem na podwórku. – Czy mogę to wziąć? Chciałbym pokazać współpracownikom. Mogę?

Tymczasem Luke zjadł już piąte ciastko i pełen podziwu dla widocznego zamięłowania pani Burton do czystości powiedział:

– Martha nie spocznie, dopóki na Tower Hill nie zagości Utopia Tomasza Morusa.

Zlizał cukier z kciuka i uśmiechnięty wyjrzał wesoło przez okno na rzędy spadzistych dachów. Pisanie do Cory przypominało przecięcie czyraka – z czasem może boleć mocniej, ale na razie czuł tylko ulgę. To, co napisał, było prawdą – przynajmniej w chwili, gdy trzymał pióro w ręku – nie oczekiwał niczego w zamian, niczego nie oferował, sądził, że sam nic jej nie jest dłużny. Prawdopodobnie euforia potrwa jeszcze najwyżej dzień, lecz póki trwała, uderzała mu do głowy i sprawiała, że wszystkim życzył dobrze. Chwilami wyobrażał sobie zapieczętowaną kopertę na bagażniku roweru listonosza i martwił się, czy list ją rozbawi – poruszy – czy może go zignoruje i będzie żyć równie beztrudnie jak dawniej? Pomyślał, iż najbardziej prawdopodobna jest ostatnia możliwość; trudno było zrozumieć, skąd czerpała zadowolenie, bądź skłonić ją, żeby okazała coś więcej niż ciepłe uczucia wobec wszystkich, których znała.

– Zatem ruszamy na podbój slumsów – powiedział Charles dość wesoło. Kiedy wkładał płaszcz, przypomniało mu się, jak pewnej nocy przed laty bawili się z kolegą w turystów w dzielnicy nędzy. Włożyli damskie ciuszki i stanęli pod latarniami, lecz bez skutku – nawet wspólnymi siłami nie zdołali zwabić choćby jednego klienta.

– Ktoś może wam sprzedać nieświeżą ostrygę – ostrzegł Edward Burton, wciąż zbyt osłabiony, by wrócić do pracy w towarzystwie ubezpieczeniowym – ale miejcie oczy otwarte, a bezpiecznie wróćcie do domu.

Kiedy wychodzili, w fabrykach i biurach jeszcze pracowano, ulice świeciły więc pustkami i niósł się po nich stukot kół pociągów, przetaczanych na bocznicę kilkaset jardów dalej. Wysokie kamienice zasłaniały światło, a rozwieszane nad nimi pranie nigdy nie grzeszyło czystością. Choć lato było łagodne, skąpe promienie słońca, które tu docierały, wydawały się gorętsze

i wkrótce Martha poczuła, jak jej ubranie robi się wilgotne między łopatkami. Chodniki, śliskie od resztek jedzenia, wydzielały słodkawą woń rozkładu. Domy, niegdyś luksusowe, podzielono na wiele małych mieszkań, wynajmowanych za ceny nieproporcjonalne do wysokości tygodniówek. Pokoje były podnajmowane, a potem znów podnajmowane, tak że nikt już nie pamiętał, co znaczyła rodzina, i w rezultacie obcy sobie ludzie bili się o filiżanki, talerze i parę jardów przestrzeni. A niespełna milę stąd, w City, kamienicznicy i ich prawnicy, ich krawcy, bankierzy i kucharze, widzieli tylko cyfry w księgach rachunkowych.

Co jakiś czas Martha zauważała coś, co dawało nadzieję, coś, czego inni nie widzieli, a czasem pozdrawiała kogoś skinieniem głowy i uśmiechem, bo twarze tych obcych ludzi były jej znajome. Zza koronkowej firanki wyłoniła się kobieta w czerwonym żakiecie, żeby na parapecie podlać bodziszki, i wyrzuciła kilka zwiędłych kwiatów, które wylądowały w rynsztoku obok butelki po guinnessie. Pojawili się polscy robotnicy szukający pracy, którzy już odkryli, że nawet jeśli Dick Whittington mylił się w kwestii londyńskich chodników, to przynajmniej zimy są tu łagodne, a doki nigdy nie śpią. Mężczyźni byli pogodni i głośni, opierali się o futryny, na głowach mieli przekrzywione czapki, podawali sobie z rąk do rąk polską gazetę; palili papierosy w czarnych bibułkach, a dym utworzył aromatyczną chmurę. Minęła ich rozgadana żydowska rodzina zmierzająca na przystanek autobusowy (dziewczyny nosiły czerwone buty), chwilę później drugą stroną ulicy przeszła Hinduska, w każdym jej uchu błyszczała odrobina złota.

Lecz nawet Martha musiała przyznać, że co rusz oglądali żałosne sceny: młoda matka siedziała na schodach i z zazdrością patrzyła, jak dwoje dzieci je tani chleb z margaryną, a grupka mężczyzn przyglądała się, jak buldog trenowany do walk wczepia się zębami w wysoko zawieszoną linę. Ktoś wyrzucił numer „Vanity Fair”, z którego okładki spokojnie uśmiechała się aktorka w żółtej sukience, obok w rynsztoku poruszał łapkami szczur o przebiegłych oczkach. Gdy mijali mężczyzn z psem, Martha nie potrafiła ukryć niesmaku i otwarcie spojrzała na nich spode łba; wtedy jeden, z wysoko podwiniętymi rękawami koszuli, spod których widoczny był wyblakły tatuaż, szarpnął się w jej stronę i wybuchnął śmiechem, gdy przestraszona potruchtała dalej. Luke, który znał ciemną stronę miasta lepiej, niż to się wydawało jego

znajomym, czuł się nieco rozbawiony tym, jak Spencer okazuje swoje społeczne zaangażowanie, postanowił zachować się po rycersku i iść bliżej Marthy.

– Czy to się uda? Musi się udać – powiedziała Martha i wskazała Charlesa, który siedł przed nią obok Spencera, z obrzydzeniem klucząc między gnijącymi resztkami owoców, znad których wzleciała chmura muszek. – Musi przecież widzieć, że tak dalej być nie może, przecież dzieli z nimi wspólny ludzki los!

– Jak miałyby się nie udać? Zawsze uważałem, że jest trochę głupi, ale nie jest złym człowiekiem. Dobry wieczór, skarbie – powiedział i uśmiechnął się do kobiety, która w zapraszającej pozie stała w drzwiach mijanego domu. Nosila perukę z kręconymi włosami i posłała mu całusa. – Szkoda zachodu, Spencer próbował, dla mnie już nie ma nadziei – dodał.

Jego przyjaciel, kroczący na czele pochodu, wskazywał wyjątkowo wąską alejkę, z której bił odór rozkładu.

– Wiesz, że on to robi dla ciebie. Oddałby fortunę żebrakowi, gdybyś go o to poprosiła, choć zwykle nawet żebraków nie zauważa...

Chciała zaprzeczyć, lecz poczuła, że po tym, co się zdarzyło, Skrzat zasłużył na jej szczerłość.

– Chyba nie jestem aż tak zła, prawda? Niczego mu nie obiecywałam. A poza tym, raczej nie spodobałabym się jego rodzinie! Ale sama sobie z tym nie poradzę. Jestem kobietą, i to biedną. Mogliby uciąć mi język.

Doszli do podwórka zabudowanego z czterech stron kamienicami. Luke patrzył, jak jego przyjaciel stoi z założonymi rękami, kontempluje nierozwiązywalne problemy Londynu i mówi coś cichym, jednostajnym głosem do Ambrose'a, który słuchał nieuważnie, gdyż jego uwagę przyciągnęła dziewczynka w kostiumie wróżki, siedząca na schodach i paląca papierosa.

– Zapisał się do Ligi Socjalistycznej, myśli o zamówieniu czegoś u Williama Morrisa. Martho, musisz mu delikatnie powiedzieć, że nic z tego nie będzie.

Dziewczynka-wróżka zgasila papierosa i zapaliła następnego; jej skrzydła zadrżały i zgubiły pióro.

Martha poczuła się winna, powiedziała więc ze złością:

– A nie mogę być po prostu dla niego miła, i tyle? Nie jest marionetką, potrafi za siebie myśleć, słuchaj...

– A te nowe mieszkania na Thames Embankment – perorował Spencer – te,

z których byli tak dumni i podawali je za przykład postępu; widział je pan? Niewiele lepsze od klatek. Ludzie są tam stłoczeni jak śledzie w beczce. Niektóre pokoje nie mają okien, a jeśli już trafi się taki, w którym okno jest, to bywa nie większe od znaczka. Swoich psów nie trzymaliby w takich warunkach.

Nie mógł powstrzymać się od spojrzenia na Marthę, która podeszła bliżej i powiedziała, tracąc panowanie nad sobą:

– Charles, spójrz na siebie. Przecież ty nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do domu, do Katherine, aksamitnych kapci i wina, którego jeden łyk kosztuje więcej, niż ci ludzie mają na cały tydzień. Myślisz, że oni są przedstawicielami innego gatunku, że sami sprowadzili na siebie ten los, bo są niemoralni albo głupi, i że gdyby dostali lepsze mieszkania, zniszczyliby je w tydzień. Cóż, może naprawdę są inni niż ty, bo ty zrzedzisz z powodu każdego pensa zapłaconego podatku, a ci ludzie tutaj, nawet jeśli nie mieliby nic, oddaliby połowę – nie, Luke, nie przestanę – a ty co, myślisz, że dlatego, że Cora nauczyła mnie, jakim widelcem jeść rybę, zapomniałam, gdzie się urodziłam?

– Martho, moja droga – Charles Ambrose potrafił zachować nienagane maniery w dużo trudniejszym położeniu, a poza tym doskonale wiedział, że go przejrzano – wszyscy znamy twoje stanowisko i je podziwiamy. Widziałem już dość na dziś, jeśli więc pozwolisz mi wrócić do mojego naturalnego środowiska, zrobię co w mojej mocy, by wykonać każdy twój rozkaz. – Zrozumiał, że ironiczny ukłon nie jest w stanie ugłaskać Marthy, powiedział więc, jak gdyby powierzał jej tajemnicę państwową: – Ustawa została przyjęta. Mamy plan działania. To tylko kwestia podjęcia kolejnych kroków.

Martha uśmiechnęła się najlepiej, jak potrafiła, dlatego że Spencer nieco się wycofał, jakby nagle nie był już pewny swojego przywiązania do kobiety, która wrzeszczy na ulicy na ważniejszych od siebie, a także dlatego, że Luke znów zmienił się w Skrzata i nigdy jeszcze nie wyglądał na równie ukontentowanego.

– Kolejne kroki! Och, Charles, przepraszam. Mówią, że powinnam policzyć do dziesięciu. Czekać, co to za dźwięki? Co to jest, co to za dźwięki?

Odwrócili się i usłyszeli dobiegającą z głębi wąskiej uliczki muzyczkę katarynki. Nierówno grana melodia przyśpieszyła, gdy ktoś mocniej pokręcił korbką, po czym zmieniła się w żwawy marsz. Dziewczynka pobięła

w kierunku muzyki, szeleszcząc skrzydłami, a kiedy kataryniarz wyłonił się z uliczki, dołączyli do niej inni, jak gdyby wypłynęli z okolicznych murów; niektórzy boso, inni w butach podbitych ćwiekami – ci krzesali iskry podczas biegu; dwaj jasnowłosi chłopcy trzymali po jednym kotku; dziewczyna w białej sukni szła na końcu i udawała obojętność. Charles, który trzymał się z boku, zobaczył mężczyznę w swoim wieku, ubranego w strzępy wojskowej bluzy. Na jego piersi, na zielono-karmazynowej wstążce, wisiał medal za kampanie afgańskie, a pusty lewy rękaw przypiął szpilką na wysokości łokcia. Prawą ręką coraz szybciej kręcił korbką katarynki i rozpoczął własny taniec. Dziewczyna w białej sukience zrobiła obrót, roześmiała się i wyciągnęła rękę do Garretta; jeden z chłopców uniósł kocię i śpiewał mu słowa, które sam ułożył. Martha spojrzała na Spencera i dostrzegła, że jest zbulwersowany; gardziła nim za to – pewnie wyobrażał sobie, że biedacy powinni znosić nędzę przyzwoicie i z godnością, zamiast chwycić przyjemność, kiedy tylko nadarzy się okazja.

– Dobierzcie się w pary! – huknął żołnierz. – Posłuchajcie tego. – Tym razem nie zagrał melodii wojskowej, lecz coś o statku i marynarzach, którzy wypatrzyli ład. Martha wyciągnęła ręce w kierunku przechodzącego chłopca, który zostawił kotka na progu i z wielką siłą w chudych ramionach zakręcił Marthą tak, że Spencer zobaczył, jak jej włosy rozsypały się jak wachlarz, pszenicznazłote na tle brudnych cegieł.

– „Stawiajcie żagle, chłopcy na schwał – zaśpiewała dziewczyna w białej sukience – czeka na nas Australia” – a gdy mijala Charlesa, schyliła głowę, jak gdyby przyjmowała komplement, którego jednakże tamten nie zamierzał powiedzieć.

Wszystkiemu przyglądał się, ukryty nieopodal w uliczce, wróg Edwarda Burtona. Każdego ranka Samuel Hall, otumaniony piwem i wstrętem, budził się z uczuciem nienawiści, ostrym jak nóż. Codzienne czuwanie przed domem Burtona pozwoliło mu obserwować nie tylko jego samego, ale też odwiedzających go często gości, których zamożność aż biła w oczy – można było odnieść wrażenie, że Burton trafił do szpitala Royal Borough jako biedak, a opuścił go jako król. Co oni mogli wiedzieć o jego okrucieństwie – o tym, jak przekreślił jedyną szansę Halla na szczęście? Co gorsza, w „Standard” pisano o operacji, która ukradła Hallowi nadzieję na sprawiedliwość: dwie szpalty i fotografia chirurga, który wyglądał jak gniewny demon. Nienawiść Halla do



Burtona wzrosła dwukrotnie i skupiła się na chirurgu – jakim prawem krzyżował szyki Bogu? Nóż wszedł w ciało – dźgnął serce – i to powinien być koniec wszystkiego, a Samuel zaznałby spokoju!

Ale oto i on, ten człowiek, tutaj – czarne brwi, lekko przygarbiony, w towarzystwie trzech osób: kobiety, którą poznał po gęstych, wysoko upiętych włosach, i dwóch nieznanym mu mężczyznom. Hall widział, jak Burton wita ich w drzwiach, a później obserwował ich sylwetki w oknie; podawali sobie talerze z jedzeniem, podczas gdy Hall nie mógł jeść – oni się śmiali, on pamiętał jedynie smutek! Śledził ich cały czas i widział, jak tańczą – tymczasem on nie potrafił już odczuwać radości. Włożył dłoń do kieszeni i ukłuł się w kciuk ostrzem schowanego w niej noża. Jeśliby Edward Burton miał pozostać na zawsze poza jego zasięgiem, przynajmniej tutaj widział szansę odwetu.

Żołnierz zrobił sobie przerwę – zmęczyła mu się ręka – i w zapadłej naraz ciszy tancerze poczuli się zawstydzeni. Kamienice i rynsztoki wydały się nagle wstrętniejsze i bardziej ponure; Luke zdjął dłoń z pasa dziewczyny i ukłonił się, jak gdyby przeproszał.

– „Czeszą włosy ością dorsza” – zaśpiewała, próbując zachęcić żołnierza, by grał dalej, lecz on, zmęczony, odmówił.

Charles spojrział na zegarek. Był to na swój sposób uroczy wieczór, choć pomyślał, że może pominie kilka szczegółów w swoim raporcie dla departamentu; teraz jednak miał ochotę na kolację, a nim nastąpi szczęśliwy finał dnia, będzie potrzebował wziąć przynajmniej godzinną kąpiel. *Może też – pomyślał, tylko trochę zawstydzony – dobrze byłoby spalić ubrania.*

– Spencer, Martho, czy widzieliśmy już dość? – zapytał. – Czy wypełniliśmy swój obowiązek? Lecz kto to jest, tam? Doktorze Garrett, zdaje się, że on ma do pana jakąś sprawę. Czy to ktoś znajomy?

Wskazał ręką na prawo, gdzie z początku Luke dostrzegł tylko rozchodzące się dzieci i żołnierza liczącego miedziaki w czapce. Po chwili dziewczyna w stroju wróżki zawyła i rzuciła przekleństwo – została mocno popchnięta i upadła z krzykiem na kamienie.

– Co się dzieje? – zapytał Charles i szczerzej otulił się płaszczem. Czy to kieszonkowcy? Katherine mówiła, żeby uważał! – Spencer? Widzi pan, co się dzieje?

Grupka dzieci się rozstała, kocię oswobodziło się i miauczało z parapetu, a Charles zobaczył, że w ich stronę zmierza jakiś niski mężczyzna w brązowym płaszczu, z opuszczoną głową i jedną ręką wetkniętą do kieszeni. Martha pomyślała, że nieznajomy ma jakieś kłopoty, wystąpiła więc naprzód, wyciągnęła do niego ręce i zapytała:

– O co chodzi? Co się stało? Możemy pomóc?

Samuel Hall nie odpowiedział, przyśpieszył tylko kroku. Zrozumieli, że chodzi mu o Luke'a; dotarł do chirurga, który z początku był nawet nieco rozbawiony i odepchnął mężczyznę, jak gdyby żartował.

– Czy ja pana znam? Spotkaliśmy się gdzieś?

Hall zaczął coś mamrotać pod nosem. Zionął przetrawionym piwem i na przemian wkładał dłoń do kieszeni i ją z niej wyjmował, jak gdyby nie potrafił się zdecydować, co ma zrobić.

– Źle, że wmieszałeś się w nie swoje sprawy – powiedział wreszcie. – To niesprawiedliwe. Pokażę ci teraz, co go czeka!

Dopiero wtedy Luke naprawdę się przestraszył, lecz mimo swojej siły nie był w stanie odepchnąć napastnika; przyciśnięty do ściany, gorączkowo wodził palcami po ceglach. Rozejrzał się w poszukiwaniu ratunku i znalazł go w Spencerze, który złapał mężczyznę za ramiona i odciągnął od przyjaciela. Tamtego chwycił pijacki szloch, który brzmiał też zarazem jak śmiech; spojrzał w górę i powiedział:

– Nie do wiary! Znowu zabrano mi to, co mi się należy!

– Biedak jest szalony – zauważył Charles, przyglądając się mężczyźnie w rynsztoku. Nagle zobaczył, jak ten wkłada rękę do kieszeni i wyjmuje nóż. – Uwaga! – powiedział i postąpił do przodu. Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. – Uwaga! On ma nóż! Spencer, nie podchodź!

Jednak Spencer stał odwrócony tyłem do mężczyzny i reagował wolno wskutek szoku po walce; spojrzał pustym wzrokiem na Charlesa i na przyjaciela.

– Luke? – zapytał. – Jesteś ranny?

– Wyczerpany – odpowiedział Luke. – Nic poza tym.

Lecz wtedy zobaczył, jak Hall wstaje z ziemi – błysnęło ostrze noża – unosi rękę i ze zwierzęcym rykiem rzuca się na jego przyjaciela. W następnej chwili,

która ciągnęła się w nieskończoność, ujrzał Spencera na stole w kostnicy, z jasnymi włosami na drewnianym blacie; nie mógł tego znieść, nigdy nie był tak przerażony. Rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami – chwycił mężczyznę – chwycił nóż – potoczyli się na chodnik. Samuel Hall upadł pierwszy, z dużym impetem – jego głowa uderzyła o krawężnik z odgłosem jak dźwięk rozłupywanego orzecha.

Żołnierz zagłębił się już w inną uliczkę, słyszeli dobiegającą z niej melodię wygrywaną przez katarynkę – brzmiała jak kołysanka, tak że przyglądające się im dzieci mogły pomyśleć, że czarnowłosa mężczyzna, który z nimi tańczył, a teraz leży nieruchomo, po prostu śpi. Jednak on nie zemdlał ani nie stracił przytomności; leżał bez ruchu, wiedział bowiem, co mu się stało, i nie chciał na to patrzeć.

– Luke, słyszysz nas? – zapytała Martha i delikatnie go dotknęła. Poruszył się, usiadł i odwrócił ku nim, a wtedy Martha całkiem zbladła. Jego koszula od kołnierza po pas była szkarłatna, a prawa dłoń i przedramię całe we krwi. Gdy Charles podszedł bliżej – pewny, że mężczyzna w brązowym płaszczu już nigdy się nie podniesie – pomyślał zrazu, że doktor trzyma w ręce kawałek mięsa. Okazało się jednak, że to skóra jego dłoni – odcięta od kości, kiedy złapał ostrze noża – zwisała luźno: gruby, błyszczący płat. Spod niej widać było szarawe kości; jakieś ścięgno lub więzadło, odcięte, białało wśród czerwieni krwi jak biała wstążka przecięta nożyczkami. Wydawało się, że Luke nie czuje bólu; ścisnął tylko prawy nadgarstek lewą dłonią, wpatrywał się w odsłonięte kości i recytował w kółko, niby słowa liturgii:

– *Scaphoid, unciform, carpus, metacarpus...* – Potem przewrócił oczami i osunął się w ramiona klęczących przyjaciół.

Około mili na zachód od tego mrocznego podwórka Cora doszła do katedry Świętego Pawła. W kieszeni niosła list. Pobyt w Londynie okazał się ciężki i niewesoły, odwiedzający ją znajomi uznawali, że jest niedostępna i roztargniona. Corze z kolei oni wydawali się zbyt gładcy, ich zdania zbyt okrągłe; dłonie kobiet białe, paznokcie ostre i błyszczące; mężczyźni mieli gładko ogolone, zaróżowione twarze, jak mali chłopcy, albo nosili bezsensowne wąsy. Znali się na polityce i wiedzieli, gdzie zjeść najmodniejsze dania, lecz Cora ciągle miała ochotę zrzucić wszystko ze stołu i zapytać: „Świetnie, ale czy mówiłam wam, jak stałam nad stalową studzienką w Clerkenwell i słyszałam, jak ukryta pod spodem rzeka pędzi na spotkanie Tamizy – czy wiecie, że śmiałam się w dniu, w którym umarł mój mąż – czy widzieliście kiedykolwiek, jak całuję syna? Czy kiedykolwiek rozmawiacie o czymś, co naprawdę ma znaczenie?”.

Katherine Ambrose przyszła z wizytą w towarzystwie Joanny. Zaraz po tym, jak Stella usłyszała diagnozę, Katherine i Charles Ambrose'owie wzięli dzieci Ransome'ów pod opiekę (doktor Butler, w oczekiwaniu na decyzję Willa w sprawie kuracji żony, zalecił spokój, dobre, czyste powietrze oraz odesłanie dzieci z domu). Charles, oburzony, że jego spokojny dom jest teraz głośny i pełen dzieci, i tak wracał do domu wcześniej niż trzeba, z kieszeniami pełnymi krówek Cadbury i z kartami, w które grał z dziećmi aż do nieco zbyt późnego wieczora. Dzieci tęskniły za Stellą, ale dzielnie znosiły rozłąkę: Joanna pożerała książki z biblioteki Ambrose'ów i nauczyła się zakręcać włosy na papiloty, a James rysował niemożliwie skomplikowane maszyny i wysyłał mamie rysunki w zalakowanej kopercie.

– Cieszę się, że was widzę – powiedziała szczerze Cora, patrząc na Joannę, która w ciągu zaledwie miesiąca stała się prawie kobietą; miała oczy matki oraz usta ojca. Pilnie studiowała książki Charlesa i zamierzała (jak mówiła) zostać lekarką, pielęgniarką lub inżynierem (jeszcze się nie zdecydowała), a gdy nachodziło ją wspomnienie matki, jej fiołkowe oczy wilgotniały.

– Co porabiasz w Londynie, Coro? – zapytała Katherine, skubiąc kawałek chleba z masłem. – Dlaczego wyjechałaś, skoro tam byłaś tak szczęśliwa i miałaś tyle do oglądania? Jeśli ktokolwiek ma rozwikłać zagadkę bestii z Blackwater, to tylko ty! W noc świętojańską wyglądałaś, jakbyś spędziła tam całe życie, i wątpiliśmy, czy kiedykolwiek wsiądziesz do pociągu.

– Och, całe to błoto i bagno – odpowiedziała Cora wesoło; jej przyjaciółka jednak nawet na moment nie dała się zwieść. – Jestem miejską myszką, zawsze byłam. Te szalone dziewczęta, szeptanie o wężu, podkowy na dębie... Zwariowałabym, gdybym została tam dłużej. Poza tym – odruchowo pokruszyła kawałek chleba – nie wiedziałam, co robię.

– Ale wraca pani do Essex niedługo, prawda? – zapytała Joanna. – Nie powinno się zostawiać przyjaciół w chorobie, bo wtedy właśnie najbardziej nas potrzebują! – Łzy napłynęły jej do oczu i nic nie mogło ich powstrzymać.

– O tak – bąknęła Cora, zawstydzona swoim zachowaniem. – Jojo, oczywiście, że wracam.

Później Katherine zapytała:

– Co się tam naprawdę stało? Will Ransome... Tyle o nim mówiłaś, że aż się bałam, do czego to może doprowadzić! Lecz potem zobaczyłam was razem i okazało się, że prawie ze sobą nie rozmawialiście, pomyślałam nawet, że się nie lubicie... To dziwna przyjaźń, ale ty nigdy nie postępowałaś tak jak inni. A teraz, kiedy Stella jest w takim stanie...

Lecz Cora – która, odkąd owdowiała, nie potrafiła ukryć przed światem żadnej myśli – zamknęła się w sobie i odparła sucho:

– Nie ma w tym nic dziwnego; przez jakiś czas dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie, to wszystko.

Gdyby Cora potrafiła wyjaśnić, co poszło nie tak, może by to zrobiła, lecz mimo ciągłego rozmyślenia – długo w noc i od razu po przebudzeniu – nie potrafiła zrozumieć, co się właściwie stało. Ceniła uczucie Willa, gdyż wiedziała, że nigdy nie zapragnie jej tak, jak kiedyś Michael; jego uczuciu granice wyznaczały Stella, jego wiara, a także coś, co z całą wdzięcznością brała za niemożność ujrzenia w niej kobiety. Kiedyś powiedziała Marcie:

– Dla niego równie dobrze mogłabym być głową w słoju z formaldehydem. To dlatego woli do mnie pisać, niż mnie widywać. Dla niego jestem umysłem,

nie ciałem: jestem bezpieczna jak dziecko. Nie widzisz, że to właśnie mi odpowiada?

Wierzyła, że tak właśnie jest. Nawet teraz, gdy myślała o tej chwili, kiedy wszystko się zmieniło, uważała, że sama ponosi winę – niepotrzebnie tak na niego spojrzała i wciąż nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Dotyk jego palców na skórze coś w niej obudził, on to dostrzegł i stracił równowagę. Jego listy nadal były uprzejme, jednak Cora czuła, że utracili niewinność.

A potem przyszedł list Luke'a, i to ona straciła równowagę. Zawsze była świadoma jego miłości, którą tak często i beztrosko wyznawał, lecz teraz nie mogła już się śmiać i mówić, że też kocha swojego Skrzata – oni również utracili niewinność. Co gorsza, czuła, że to zamach na jej wolność – przez wiele lat, kiedy powinna cieszyć się radosną młodością, była w czyimś posiadaniu, a teraz, po zaledwie kilku miesiącach wolności, ktoś znów chce mieć ją na własność. „Wiem, że nie możesz odwzajemnić uczucia”, napisał, lecz przecież nikt nie pisze takich listów bez nadziei.

Kiedy przechodziła przez Strand, znalazła skrzynkę pocztową przy katedrze Świętego Pawła i z pewną pogardą wrzuciła list adresowany do doktora Garretta. Skądś dobiegły dźwięki muzyki; podążyła za nimi i zobaczyła na schodach katedry mężczyznę w podartej wojskowej bluzie, który kręcił korbką katarynki. Lewy rękaw był pusty, a słońce oświetliło medal na jego piersi. Melodia była wesoła i poprawiła jej nastrój; podeszła do niego i wrzuciła do czapki kilka monet.

Cora Seaborne,  
Midland Grand Hotel  
Londyn  
20 sierpnia

Luke,  
dostałam Twój list. Jak mogłeś – JAK MOGŁEŚ?  
Myślisz, że powinnam się nad Tobą litować? Nic z tego. Litujesz się nad sobą dość za nas dwoje.  
Twierdzisz, że mnie kochasz. Wiem o tym. Ja też Cię Kocham – jak mogłoby być inaczej? – a Ty uważasz, że to okruchy!

Przyjaźń to nie okruchy – nie zbierasz resztek, podczas gdy komuś innemu dostaje się cały bochenek. Tylko tyle mogę dać. Kiedyś może mogłam więcej – lecz na razie mam tylko tyle.

Nie wracajmy już do tego.

CORA

Cora Seaborne  
Midland Grand Hotel  
Londyn  
21 sierpnia

Luke, mój Skrzacie, mój drogi, co ja narobiłam – napisałam do Ciebie, zanim dowiedziałam się, co się stało – Martha właśnie mi powiedziała, co zrobiłeś; nie jestem zaskoczona – zawsze uważałam Cię za najodważniejszego mężczyznę, jakiego znam...

A ja chciałam prawić Ci kazania na temat przyjaźni, choć nigdy nie zrobiłam dla Ciebie tego, co Ty zrobiłeś dla niego!

Napisz, kiedy mogę Cię odwiedzić. Napisz, gdzie jesteś.

Z miłością, drogi Luke'u – uwierz mi

CORA

Doktor George Spencer  
Pentonville Road  
Londyn, 29 sierpnia

Szanowna Pani Seaborne,  
mam nadzieję, że miewa się Pani dobrze. Od razu powiem, że Luke nie wie, że do Pani piszę – miałyby mi to za złe, lecz sądzę, że powinna Pani wiedzieć, co go spotkało.

Wiem, co do Pani napisał. Widziałem odpowiedź. Nie sądziłem, że jest Pani zdolna do takiego okrucieństwa.

Nie piszę jednak, żeby Panią rozliczać, lecz by opowiedzieć, co się zdarzyło po naszej wizycie w Bethnal Green.

Na pewno już Pani wie, że spotkaliśmy tam mężczyznę, który ranił Edwarda Burtona,

i że Luke stanął w mojej obronie. Najgorsze jest to, że chwycił nóż za ostrze, przez co poważnie zranił prawą dłoń. Przechodnie bardzo nam pomogli: jakaś dziewczyna oderwała dół sukni i zrobiła opaskę uciskową, zgodnie z moimi instrukcjami, ktoś inny przyniósł drzwi, na których ponieśliśmy Luke'a jak na noszach, przez małe uliczki do Commercial Street, gdzie udało się złapać dorożkę. Na szczęście znajdowaliśmy się bardzo blisko Szpitala Królewskiego w Whitechapel i jeden z lekarzy natychmiast się Lukiem zajął. Najpierw oczyszczono ranę, gdyż najbardziej obawialiśmy się infekcji. Był to bardzo bolesny zabieg, lecz Luke odmówił znieczulenia, gdyż twierdzi, że swój umysł ceni najwyżej i nie pozwoli, żeby przy nim majstrowano.

Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli od razu powiem, jaka to rana. Zniesie to Pani? Wiem, że chętnie ogląda Pani kości ukryte w ziemi, ciekawi mnie jednak, jak zapatruje się Pani na żywą tkankę.

Nóż wszedł w dłoń przy podstawie kciuka, a potem – manewr ten przypominał oddzielanie mięsa od ości ryby – zdarł skórę z wnętrza dłoni. Mięśnie zostały przecięte, lecz najgorsze jest to, że zerwały się dwa ze ścięgien kontrolujących ruch palca wskazującego i środkowego. Uszkodzenia były doskonale widoczne, a rana tak czysta, że student mógłby na nią spojrzeć i zdać egzamin z anatomii.

Poprosił, żebym to ja operował. Znowu odmówił znieczulenia, za to rozprawiał o technikach hipnozy, które zgłębiał, i o tym, jak pewnemu zahipnotyzowanemu lekarzowi z Wiednia usunięto trzy zęby mądrości, a on nawet nie mrugnął.

Powiedział, że nauczył się wchodzić w tak głęboki trans, że raz upadł na podłogę i nie wybudził się z hipnozy. Następnie powtórzył, iż nie sądzi, by ból był trudniejszy do zniesienia niż intensywna przyjemność (tej jego obsesji nigdy nie potrafiłem zrozumieć), i zmusił mnie, żebym przyrzekł, że nie zaaplikuję mu znieczulenia, jeśli nie będzie mnie o to błagał. Dobrze zapamiętałem jego słowa. Powiedział: „Ufam mojemu umysłowi bardziej niż twoim dłoniom”.

Nie mogłem poprosić pielęgniarki o asystowanie. To byłoby nie w porządku. Sądzę, że gdyby mógł, przygotowałby salę operacyjną po swojemu, lecz tym razem był w stanie tylko leżeć na swoim stole operacyjnym i wydawać polecenia: obaj mieliśmy włożyć bawełniane maseczki, miałem też ustawić lustro, w którym będzie mógł obserwować operację, gdyby wybudził się z transu.

Powinien operować go najświetniejszy europejski chirurg, a nie ja – moje zdolności są co najwyżej przeciętne (w istocie Luke kpił z nich od czasów studenckich). Trzęsły mi się ręce, gdy podnosiłem instrumenty, grzechotały na tacy, i wiedziałem, że Luke zauważy, jak się boję. Poprosił, żebym odwinął bandażę, tak aby mógł obejrzeć ranę i wydać instrukcje, zanim wejdzie w hipnozę, i choć nie umiem sobie wyobrazić bólu, który musiał znosić przy zdejmowaniu opatrunku, on tylko przygryzł dolną wargę



i bardzo zbladł. Odchyliłem płat skóry we wnętrzu jego dłoni, a on przyjrzał się zerwanym ścięgom, jak gdyby należały do jednego z trupów, które kiedyś kroiliśmy i zszywaliśmy. Powiedział mi, jakich szwów mam użyć, żeby połączyć ze sobą końce zerwanych ścięgien i upewnić się, że pochewka pozostanie nietknięta – i że mam uważać, by napięcie skóry dłoni nie uszkodziło rany po jej zamknięciu. Następnie zaczął szeptać do siebie, co przyniosło mu ukojenie: recytował fragmenty wierszy, wymieniał nazwy substancji chemicznych i kości. W końcu zwrócił oczy w stronę drzwi, uśmiechnął się, jak gdyby zobaczył w nich starego przyjaciela, i wszedł w trans.

Zdradziłem go. Złożyłem obietnicę, choć wiedziałem, że ją złamię. Odczekałem parę chwil, dotknąłem lekko ciała na jego dłoni i upewniwszy się, że jest mniej więcej bez czucia, wezwałem pielęgniarkę i podaliśmy znieczulenie.

Operowałem ponad dwie godziny. Nie będę Pani zanudzał szczegółami operacji, powiem tylko, że zrobiłem, co było w mojej mocy, lecz okazało się to niewystarczające. Luke zawsze był niezrównany w precyzji i w odwadze; gdyby mógł się sam zoperować, za rok nikt nie wiedziałby nawet, jak poważnie był ranny. Zamknąłem ranę, Luke został wybudzony, a kiedy poczuł w gardle ból po tubie ze znieczuleniem, zrozumiał, co zrobiłem, i sędzę, że gdyby mógł, udusiłby mnie.

Został w szpitalu dwa dni i w tym czasie nie przyjmował żadnych gości. Zażądał usunięcia opatrunku, żeby przyjrzeć się mojej robocie. Powiedział, że ślepe dziecko założyłoby szwy lepiej, lecz przynajmniej dobrze oczyściłem ranę; nic nie wskazywało na infekcję. Kiedy poczuł się na tyle dobrze, by wyjść do domu, poszedłem z nim na Pentonville Road, gdzie na wycieracze znaleźliśmy list od Pani. Będę szczery – Pani list dokonał dzieła, którego nie zdołał dokonać nóż. Luke jest zdruzgotany – zgasła mu Pani wszystkie światła! Stłukła wszystkie okna!

Minęły trzy tygodnie i nie przyniosły dobrych wieści. Ścięgna poruszające palcem wskazującym i środkowym znacznie się skróciły i wygięły dłoń na kształt haka. Może zdołałby odzyskać część sprawności, gdyby zechciał wykonywać zalecone ćwiczenia, lecz on stracił nadzieję. Czegoś go Pani pozbawiła. Jest nieobecny. Nie ma siły woli. Widziałem taki stan w oczach psów, którym właściciele złamali ducha, gdy były szczeniętami.

Pani drugi list był z pewnością uprzejmy, lecz czyż nie zna go Pani na tyle dobrze, by zachować swoją litość dla siebie?

Nie będę pisał więcej, chyba że Luke mnie o to poprosi.

On sam nie może pisać. Nie potrafi utrzymać pióra w dłoni.

Z poważaniem,  
GEORGE SPENCER

IV

TE DNI OSTATNIE  
REBELII

WRZESIEŃ

Jesień jest dla Aldwinter łagodna: hojne słońce pada ukośnie na błonia i przebacza liczne grzechy. Dzikie róże ubrały się w karmazyn, a dzieci rozłupują orzechy włoskie i plamią sobie palce na zielono. Sznury gęsi wzlatują nad ujściem rzeki, a pajęczyny ubierają janowiec w jedwab.

Nie wszystko jednak jest tak, jak trzeba. Koniec Świata zapada się w trzęsawisko, a na ogołoconym płocie rośnie grzyb. Nabrzeże jest puste: lepiej nie dojadać zimą, niż wypłynąć na przeklęte wody. Docierają plotki z Point Clear i St Osyth, z Wivenhoe i Brightlingsea: pewien rybak zobaczył bestię w Blackwater którejś nocy podczas odpływu i oszalał; znaleziono podtopioną dziewczynkę z szaro-czarnym znamieniem na brzuchu; na słone mokradło wyrzuciło martwego psa z głową wykręconą pod dziwnym kątem. Od czasu do czasu jakiś nieprzekonany do swej roli wartownik rozpala ogień przy Lewiatanie, robi wpis w dzienniku, ale nie może doczekać poranka.

Wciąż ani śladu Naomi Banks. Nikt nie mówi, że pewnego dnia poszła na mokradła i spotkała Węża, lecz wszyscy tak sądzą. Banks zaniedbuje sieci i pozwala żaglom niszczyć; dostaje zakaz wstępu do karczmy Pod Białym Zajęcem, gdyż podsycy strach kompanów od kufła.

– Kto się nie schowa, ten nie żyje! – ryczy od progu i wytacza się na ulicę.

W mieszkaniu przy Pentonville Road dłoń Luke'a goi się całkiem nieźle. Spencer zmienia opatrunki, podziwia swoje szwy i widzi, jak palce podwinęły się do wewnątrz; sam Luke spokojnie wygląda na mokrą ulicę i milczy. Zapamiętał list Cory od pierwszych słów („Jak mogłeś – JAK MOGŁEŚ?”) do podpisu. Drugi list, mimo okazanej w nim skruchy, pozostawia bez odpowiedzi.

Martha pisze do Spencera. Informuje go, że Edward Burton i jego matka tracą mieszkanie – nie są w stanie udźwignąć kosztów czynszu. Pranie dla całego Londynu i szycie dywaników ich nie uratują. Czy coś w ich sprawie zrobiono? Czy Charles ma jakieś wieści? Kiedy będzie mogła przekazać Burtonowi dobre nowiny? Spencer wyczytuje między wersami ton ponaglenia, lecz tłumaczy go sobie miękkim sercem Marthy i jej dobrym, twardym

sumieniem. Nie ma jednak dla niej żadnych wieści i nie wie, co odpisać.

W wysokim białym domu Ambrose'ów dzieci stały się niemal równie pulchne jak Charles. Joanna zna tablicę okresową pierwiastków, niesamowite właściwości przeciwprostokątnej i z daleka potrafi rozpoznać błąd logiczny *post hoc*. W poniedziałek postanawia wejść do Parlamentu, w środę zmienia zdanie i chce zostać prawniczką. Charles ukrywa przed nią to, że obydwie ścieżki zapewne okażą się dla niej niedostępne; w końcu straci nadzieję, tak jak jej poprzedniczki. Czasami Joanna przypomina sobie dziecinne czary, które rzucała z Naomi Banks, i wtedy sumienie nie daje jej spokoju; gdzie się teraz podziewa jej rudowłosa towarzyszka? Czy jej loki wiją się pięć sążni pod wodą? Wciąż ma rysunek ich złączonych dłoni, który wykonała Naomi, i pyta Katherine, czy może go oprawić.

Którejś nocy Katherine budzi się, słyszy płacz i znajduje braci w ramionach siostry. Chcą do mamy, tęsknią za wioską; zapada decyzja, że pojedą do Essex pod koniec tygodnia. A poza tym, dodaje Joanna, trzeba też pomyśleć o Magog, wciąż przywiązanej do płotu w ogrodzie i tęskniącej za panem. Na pocieszenie Ambrose'owie zabierają dzieci do Harrodsa i kupują więcej ciasta, niż te są w stanie zjeść.

Cora zostaje w swoim londyńskim hotelu; nie znosi tamtejszych dywanów i zasłon. Ma w kieszeni list od Spencera, który radzi, by nie odwiedzała Luke'a. List jest tak uprzejmy, że papier wręcz mrozi dłonie. Martha widzi, jak Cora chodzi po pokojach, i nie wie, co powiedzieć, by nie spotkać się z nieprzyjemną odpowiedzią. Cory nie interesują już książki i kości – jest znudzona i w złym humorze, a między jej brwiami pojawiła się nowa zmarszczka. Wyrzuty Spencera mocno ją dotknęły i przygnębiły. Nigdy nie dostrzegала w sobie choćby śladu egoizmu czy okrucieństwa – to ona zawsze była ofiarą, nigdy sprawcą. To coś nowego. Popełniła błąd, okazała się nieuważna, nie chciała nikogo skrzywdzić, lecz jednak zraniła – i to bardzo.

Listy Willa są jej drogie; czyta je często, ale nie odpowiada. Cóż miałyby napisać? Kupuje pocztówkę na stacji i pisze: SZKODA, ŻE CIĘ TU NIE MA, ale z mówienia tego, co się myśli, jeszcze nigdy nie wynikło nic dobrego. Pod jego nieobecność – bez wspólnych spacerów po błoniach, bez listów na progu (zaadresowanych jego starannym pismem, w którym ona rozpoznaje rękę ucznia) – świat staje się nudny i traci ostre kontury; nic jej nie zachwyca ani nie

zaskakuje. Później uderza ją własna głupota: czuć takie przygnębienie, bo nie może porozmawiać z jakimś pastorem z Essex, z którym nie ma nic wspólnego! – toż to absurd; jej duma buntuje się przeciw temu. W końcu dochodzi do prostego wniosku: nie pisze, bo tak właśnie chce.

Próbuje – jak tyle razy wcześniej – przelać niewykorzystany afekt na Francisa. Jak to możliwe, by matka i syn czerpali z bycia ze sobą tak mało radości? Próbuje wszystkiego: rozmów na jego ulubione tematy, żartów i gier, próbuje piec ciasta, kupuje powieści, które, jak sądzi, mu się spodobają. Czasami widzi, że jest zaniepokojony – a może tak jej się tylko wydaje – i próbuje go pocieszać; często jeżdżą metrem tam, dokąd on chce. Jednak on wypowiada niewiele słów i okazuje jeszcze mniej emocji. Czasem zdaje się jej, że się nad nią lituje lub (to jest o wiele gorsze!) uważa ją za śmieszna. Marcie puszczają nerwy.

– Naprawdę sądziłaś, że możesz to ciągnąć w nieskończoność? Nie chciałaś przyjaciół ani kochanków; chciałaś adoratorów! Masz teraz do czynienia z buntem chłopskim. Frankie – mówi – idziemy na spacer.

Will stoi na ambonie kościoła Wszystkich Świętych, patrzy na swoją trzódkę i nie wie, co powiedzieć. Wierni są na przemian nieufni bądź gorliwi; czasem wydaje mu się, że mają ochotę pobiec na oślep w wieczność, czasem przyglądają mu się spode łba, jak gdyby Kłopot był jego sprawką. Ktoś gdzieś musiał złamać prawo Boże, co do tego panuje powszechna zgoda, a jeśli nie można zaufać pastorowi, że znajdzie sprawcę, biada im wszystkim.

Ponadto Will cały czas waha się jak igła kompasu między biegunem południowym a północnym: z jednej strony jego żona, którą kocha i która jest jedynym usankcjonowanym źródłem wszystkich jego radości, a z drugiej Cora, która nim nie jest i która tylko przysporzyła mu kłopotów. Wieść o nieszczęściu Luke'a dotarła do niego za pośrednictwem Charlesa. Jakiś inny duchowny mógłby pomyśleć, że tak szybki koniec kariery chirurga to część Bożego planu, jak gdyby sam Wszechmogący trzymał nóż, gdyż dzięki temu Stelli nie grozi już skalpel. Will, oczywiście, nie jest tak zacofany, a jednak trudno nie poczuć, że przedłużono im okres łaski: brutalna kuracja, którą zaproponował Garrett – leczenie przez zapadnięcie płuca – jest teraz niemożliwa, gdyż żaden inny chirurg w Anglii się na nią nie zgodzi.

Bez Cory jego myśli błądzą bez celu. Po co oglądać to albo natykać się na

tamto, skoro nie może jej o tym opowiedzieć i patrzeć, jak w odpowiedzi śmieje się lub patrzy krzywo? Nie może się uspokoić, wyciszyć, często irytuje się na myśl, że oboje pozwolili, by zwykłe uchybienie w etykiecie (tak to nazywa) przecięło węzeł, który ich łączył. Może jest zbyt pochłonięta swoim rannym przyjacielem, żeby pamiętać o wiejskim pastorze i jego chorej żonie – pewnie nosi mu ciężkostrawne potrawy, których nie powinien jeść, uczy się przemywać ranę, wyciągać jedwabne nici z ciała. W jego myślach Cora nosi biel, siada u stóp doktora, nachyla się nad jego zrujnowaną ręką – Will z przerażeniem odkrywa, że zazdrości lekarzowi. *A jednak* – myśli sobie – *już niedługo z miasta na wieś, lub na odwrót, przyjdzie list*. Musi się tylko okazać, kto pierwszy wydobędzie papier listowy, kto polize stalówkę.

Pod żebrami Stelli Ransome formują się gruźelki (gdyby Cora mogła je zobaczyć, przywiodłyby jej na myśl kamienie ropusze, które ustawia nad kominkiem). Wysyłają fagocyty; wywiązuje się infekcja. Naczynia krwionośne w płucach zaczynają się rozpadać i ukazują się jako szkarłatne plamki na błękitnych chusteczkach.

Spośród nich tylko Stella jest szczęśliwa. To *spes phthisica*, stan euforyczny, dzięki któremu osoba chora na gruźlicę jest pełna optymizmu i spokojna. Stellę wypełnia niewysłowiona radość, łaska uwznioślona przez cierpienie; z nabożną czcią oddaje się swej taksonomii błękitu. Jak sroka, która stroi gniazdo, otacza się talizmanami: ciemnobłękitnymi nasionami i szkiełkami wyłowionymi z morza, szpulami granatowych nici, a jej oczy przez cały czas wpatrzone są w niebo. Czuje, że stopy wzniosły się ponad błoto, w którym kiedyś brodziły – budzi się w nocy zlaną potem, w euforycznej gorączce, i wie, że właśnie ujrzała twarz niebieskookiego Chrystusa. Czasami słyszy szept Węża, który ją wzywa, i nie boi się. Już raz Wąż był wrogiem człowieka; ona dobrze go zna.

Jej miłość do męża i dzieci nie maleje, lecz staje się odległa, jak gdyby ktoś powiesił między nimi delikatną, błękitną kotarę. Will troszczy się o nią i jest czuły – prawie jej nie opuszcza – zauważa, że skóra na jej dłoniach jest sucha, przywozi więc z Colchester buteleczkę balsamu Yardleya.

Czasami Stella przyciąga jego głowę i kładzie ją sobie na ramieniu, jak gdyby to on chorował. Nie stała się bardziej naiwna, widzi więc, że jego przywiązanie do Cory jest silniejsze niż wcześniej, i lituje się nad nim. „Mój ukochany jest jej, a ona jest jego”, pisze w swoim błękitnym zeszycie, bez cienia goryczki.

- Kiedy wraca Cora? – pyta tej nocy i gra błękitną wstążką w kocia kołyskę.
- Kiedy wyjedzie z Londynu? Brakuje mi waszych rozmów.

W nocy na łóżku szukałam tego, którego miłuje moja dusza i go nie znalazłam  
Kiedyś dzieliliśmy poduszkę a on powiedział Stello moja gwiazdo moje tchnienie jest  
twoim a twoje moim teraz jego drzwi od moich dzieli piętnaście kroków i jest  
bezpieczny od zarazy która jest we mnie

Ach ale on ma teraz lepszą towarzyszkę! Niech kładzie usta na jej ustach bo jego  
miłość jest słodsza niż wino i ona jest w stanie ją znieść!

Jak rozumiem pewną niebieską farbę nazywają ultramaryną, bo kamień, z którego  
pochodzi płynie do nas przez morze



Na podwyższenie w budynku Assembly Hall przy Mile End weszła kobieta. Drobna, o ciemnych brwiach, ubrana na czarno, przyjrzała się zebrany z uśmiechem. Około setki kobiet i mężczyzn czekało i szeptało pod białym sklepieniem: „Więc to jest ta słynna Eleonora Marks Aveling, godna córka swojego ojca, a nawet ktoś więcej”.

Wśród widzów – zdyszany po spacerze – siedział Edward Burton, który czuł się tak, jakby pod płaszczem nic z niego nie zostało. Obok wierciła się nerwowo Martha.

– Poznałam ją kiedyś – pochwaliła się. – Powiedziała, żeby mówić do niej Tussy, jak przyjaciele.

Gdyby to od niego zależało, Burton nie wybrałby się na spotkanie Ligi Socjalistycznej, ale Marcie nie sposób było się sprzeciwić.

– Nie ma sensu słuchać tylko mnie – powiedziała, nalewając stygnącej herbaty z czajniczka. – Nie ma sensu uczyć się wszystkiego z drugiej ręki. Pójdę z tobą, pójdziemy razem, nie możesz tkwić tu bez końca ze swoimi planami.

W ciągu tych tygodni, kiedy Edward wracał do zdrowia, Ziemia odchyliła się nieco dalej od Słońca, powietrze jaśniało i lśniło, jak gdyby patrzył na świat przez wypolerowaną tafłę szkła. Zauważył ostatnio, że nawet jeśli jego ciało było zmęczone, to umysł – wreszcie! – nie; Samuel Hall wyrwał go z długiego snu. Nie mógł uwierzyć, że kiedyś bez szemrania zajmował przypisane mu miejsce, że wpasowywał się gładko w tę bezlitosną maszynę pracującego Londynu. Teraz widział chore ciało, drżące w konwulsjach, kiedy strząsa z siebie gorączkę – a choroba krąży po arteriach dróg i kanałów, trucizna osadza się w halach i fabrykach. Przebudził się – i było to bolesne przebudzenie, bez wytchnienia; jadł chleb i myślał o ludziach umierających z przepracowania w młynach; patrzył, jak matka zszywa ścinki materiału, i wiedział, że warta jest mniej niż cegły na ulicy. Gospodarz podniósł im czynsz, dla Edwarda nie był to jednak dowód pazerności tego konkretnego człowieka, lecz kolejny symptom

choroby trapiącej społeczeństwo. Myślał o rozłupanej czaszce Samuela Halla i poczucie winy mieszało się z litością – Hall czuł się ponizony przez niewolniczy system, tak jak wszyscy.

Tej nowej żarliwości nie dawało się odróżnić od tego, co czuł do Marthy, i nie próbował nawet oddzielać jednego od drugiego. Zanim ją poznał, rzadko przebywał w towarzystwie kobiet: były dlań cennymi obiektami, o które należało walczyć, i rzadko czymś więcej. Lecz teraz zależało mu wyłącznie na jej towarzystwie i prawie nie pamiętał imion chłopców i mężczyzn, którzy tłoczyli się przy jego biurku w Holborn. Zdawała mu się ni mężczyzną, ni kobietą, lecz osobą jakiejś zupełnie innej płci. To, jak stała w oknie z dłonią z tyłu; chwila, kiedy zauważył plamkę potu na jej sukni pomiędzy łopatkami, wywołało to w nim pragnienie, którego, jak się obawiał, nie ugasi, choćby pił długo i zachłannie. Była zarazem żywa, waleczna i obojętna na pochwały – nie ustępowała pola, rozśmieszała go, nie próbowała przypodobać się na siłę, nie lubiła gierki. Edward wiedział, że ustępuje jej pod względem błyskotliwości i siły. To, że o Corze Seaborne mówiła na przemian z czułością i z wściekłością, zdawało się doskonale do niej pasować. Nie znał nikogo takiego jak ona i akceptował ją w pełni. Za to jego matka była nieufna.

– To nie do wiary! – mawiała (urazona, że kiedy Martha opuszczała ich mieszkanie, było ono zawsze odrobinę czystsze niż przed jej wizytą). – Kobieta powinna mieć własny dom, a w nim swojego mężczyznę. Taka strata; a czy ona w ogóle powinna przebywać tutaj sama?

Na podwyższeniu w sali budynku Assembly Hall nie ma teatralnych fajerków, a tym bardziej śladu kaznodziejskiej gorliwości; mówczyni przybrała rzeczowy ton, była może tylko odrobinę zmęczona. *Nacierpiała się* – pomyślał Burton, w pełni o tym przekonany.

– To smutna i odrażająca historia – zaczęła Eleonora Marks i zebrany zdało się, że kiedy mówiła, zaczęła rosnąć, a jej wzburzone loki jakby się prostowały. – Ten haniebny sojusz panów, prawników i sędziów przeciwko niewolnikom na tygodniówkach...

Martha kiwnęła potakująco głową – raz, drugi – i robiła notatki w zeszycie; po policzkach siedzącej bez ruchu w pierwszym rzędzie kobiety ze śpiącym dzieckiem zaczęły płynąć łzy. Od czasu do czasu podnosił się głos protestu, lecz malkontenta natychmiast uciszano spojrzeniem; na podium tłoczyły się

dziewczęta, które ucierpiały w wyniku wypadku przy maszynie, oraz chłopcy poparzeni przy wielkich piecach, podczas gdy wszystkiemu przyglądali się korpulentni mężczyźni, którzy pieścili swe zegarki z dewizką i patrzyli, jak pomnaża się ich kapitał.

– Czasy są ciężkie, a zanim uda się obalić ten porządek, nadejdą jeszcze cięższe. To nie koniec naszej walki, to dopiero początek!

Ludzie wiwatowali, ktoś rzucił na scenę kapelusz; na koniec przemówienia zamiast ukłonu była podniesiona ręka, gest zarazem pożegnania, jak i zachęty. *Tak* – pomyślał Edward Burton. Powstał i położył dłoń na obolałej piersi. *Tak, rozumiem, ale jak to zrobić?*

Na ławce w małym parku na skwerku jadł frytki z octem. Odświętnie ubrane dzieci stały przy krawężniku, a za ich plecami gazeciarze wykrzykiwali najnowsze wiadomości z „Evening Standard”.

– Jak to zrobić? – zapytał. – Czasami to, co czytam i co słyszę, całkiem mnie ogłupia. Jest we mnie złość i nie wiem, co z nią zrobić.

– Im o to właśnie chodzi – odparła Martha. – Funkcją wyrobnika nie jest myślenie. Dziewczyny u Bryanta i Maya, chłopcy w kamieniołomach... wydaje ci się, że mają czas myśleć, knuć, planować rewolucję? I właśnie to jest wielką zbrodnią: nie trzeba zakuwać ludzi w łańcuchy, gdy zniewolone są ich umysły. Kiedyś uważałam, że nie jesteśmy lepsi niż konie zaprzęgnięte do pług, teraz jednak myślę, że jest o wiele gorzej: jesteśmy tylko częściami ich maszyny. Śrubami mocującymi koło, które kręci się w kółko!

– Co począć? Przecież muszę pracować. Nie mogę wymknąć się maszynie.

– Jeszcze nie; zmiany dokonują się powoli. Nawet Ziemia obraca się cal po calu.

Zmęczony Edward oparł się o ławkę. Złociły się liście kasztanów, dębów i londyńskich lip; przyjaciółka była przy nim.

– Martha – powiedział. Tylko tyle, lecz w tej chwili to wystarczyło.

– Jesteś blady – zauważyła. – Ned. Chodź, zabiorę cię do domu.

Pocałowała go, a na jej ustach wyczuł ziarnko soli.

Edward Burton  
Templar Street 4

Martho – wyjdiesz za mnie? Czyż nie stanowimy dobrej pary, Ty i ja?

EDWARD

*DOSTARCZONE OSOBIŚCIE*

Drogi Nedzie,

nie mogę za Ciebie wyjść – w ogóle nie mogę wyjść za mąż.

Nie mogę obiecać Ci miłości, szacunku i posłuszeństwa. Jestem posłuszna tylko poleceniom własnego rozumu – szanuję tylko tych, których czyny na to zasługują!

Nie mogę też kochać Cię tak, jak żona ma obowiązek kochać męża. Wiem, że nadejdzie dzień, w którym Cora Seaborne będzie mnie miała dość, lecz ja nie będę jej miała dość nigdy.

Poza tym – myślisz, że polityka kończy się za progiem? Że to tylko kwestia ulicznych odezw i pikiet, a nie coś, co przenika życie prywatne?

Nie prosź mnie, bym zaakceptowała instytucję, która na mnie nakłada ograniczenia, a Ciebie pozostawia wolnym. Można żyć inaczej – są inne więzy poza tymi, które sankcjonuje państwo! Żyjmy tak, jak myślimy – wolni i bez strachu – niech wiąże nas tylko uczucie i wspólny cel.

Skoro nie możesz pojąć mnie za żonę, czy zechcesz mieć przyjaciółkę – czy zechcesz towarzyszkę?

Twoja przyjaciółka,

MARTHA

Edward Burton  
Templar Street 4

Droga Martho,  
tak, zechcę.

EDWARD

Mała Harriet, ubrana na żółto, najmłodsza spośród histerycznie śmiejących się dziewczynek, zbudziła się przed świtem i zwymiotowała na poduszkę. Jej matka poruszyła się w rogu łóżka, wstała, żeby pocieszyć córkę, wciągnęła do płuc poranne powietrze, zakrztusiła się i również zwymiotowała. Przez wybite okno, niesiony znad Blackwater ciepłym zachodnim wiatrem, do pokoju wdarł się obrzydliwy smród. Posnuł się po Końcu Świata, niczego tam nie znalazł, poleciał dalej i dotarł do granic Aldwinter, gdzie paliły się nieliczne światła. Pozostawił dziecko w ramionach matki, dotarł do chaty Banksa i, pchany bryzą, poruszył czerwonymi żaglami barek na przystani. Banks, otumaniony alkoholem, spał zbyt głęboko, by się obudzić, lecz coś niepokoiło go przez sen i trzy razy wypowiedział imię zaginionej córki. Odór popłynął dalej, minął karczmę Pod Białym Zającem, na której progu pies skamlał za dawno zmarłym panem, i dotarł do szkoły, gdzie pan Caffyn – który już od wczesnego ranka sprawdzał zeszyty do gramatyki i utyskiwał na błędne użycie przecinka – krzyknął z obrzydzenia i pobiegł po szklanekę wody. Gawrony zwęszyły ucztę i zaczęły się gromadzić na błoniach przy Dębie Zdrajcy. Do domu Cory smród wślizgnął się nad drzwiami, przesączył się w pościel, lecz właścicielki nie znalazł. Okrążył wieżę kościoła Wszystkich Świętych i dotarł do okna plebanii; William Ransome, który przesiedział bezsenną noc w gabinecie, pomyślał, że może to mysz rozkłada się pod deskami podłogi. Przycisnął mankiet koszuli do ust, ukucnął pod biurkiem, obok pustego krzesła stojącego przy jego własnym, lecz nie znalazł niczego. Stella, w błękitnej satynowej koszuli, która na łopatkach układała się w małe twarde skrzydła, stanęła w progu.

– Co tu się wyrabia? – zapytała głosem sytuującym się gdzieś między śmiechem a kaszlem. – Co tu się wyrabia? – Pod nosem trzymała bukietek lawendy.

– Coś gdzieś zdechło – odparł Will, otulając jej ramiona swoją kurtką, z obawy, że znów złapie ją jeden z tych ataków kaszlu, które wstrząsały jej drobnym ciałem, jak gdyby znalazło się w paszczy drapieżnika. – Może coś na

bloniach? Owca?

– Mam nadzieję, że to nie Magog – powiedziała Stella. – Dzieci nigdy by nam nie wybaczyły.

A jednak nie – ostatnia członkini rodziny Cracknella stała spokojnie w końcu ogrodu i przeżuwała wczesne śniadanie.

– Will, może powinniśmy rozpalić ogień. Och, ten smród jest paskudny, paskudny. Wyjdiesz na błonia i zobaczysz, że ziemia się rozwarła i z dołu spoglądają grzesznicy; mają połamane kości i wargi spierzchnięte z pragnienia!

Jej oczy załśniły, jak gdyby ucieszyła ją ta wizja, co zaniepokoiło Willa bardziej niż paskudne powietrze, którego smak niemal czuł na języku: coś cuchnącego, pod czym kryła się ohydna słodycz. Czy wypada tam pójść – może powinien – a z pewnością musi; któż inny miałby szukać przyczyny całego zła, które ostatnio spadło na wioskę? Rozpalił ogień i po chwili zamiast odoru poczuli zapach płonącego drewna; Stella wrzuciła do paleniska lawendę i zapachniało niedawno minionym latem.

– No idź – ponagliła męża i zaczęła wygładzać papiery na jego biurku (*Tyle listów! Czy on ich nigdy nie chowa?*), po czym podała mu płaszcz. – Założę się, że za chwilę usłyszymy dzwonek do drzwi i ktoś będzie cię potrzebował.

Pocałował ją i powiedział:

– Może jakaś łódź utknęła na mokradłach, ładunek się rozsypał i ryby zaczęły gnić; poranek jest wystarczająco ciepły...

– Szkoda, że nie ma z nami dzieci – zauważyła. – Na pewno Jojo wstałaby przed nami, wzięła lampę i poszła zobaczyć, co się stało, a James zrobiłby rysunek do gazet.

Na High Line zebrał się tłum. Pan Caffyn owinął głowę białą szmatą, jakby był ranny, inni przyciskali do ust rękawy i zerkali podejrzliwie na Willa – szukali wzrokiem Biblii lub broni ukrytej pod pachą. W tamtej chwili – dopóki nie wyczuł nie tylko smrodu rozkładu, ale i strachu – nie pomyślał nawet, że ten paskudny odór mógł mieć również inną niż niefortunny zbieg okoliczności przyczynę. Oto jednak matka Harriet żegnała się znakiem krzyża (i płakała, co zdarzało się jej często); Banks, który jeszcze nie wytrzeźwiał, odmawiał pójścia nad wodę, gdyż bał się, że bestia wypluła z siebie rude loki. Evansford, jak zwykle w czarnej koszuli, wyglądał tego dnia jak grabarz, któremu zabrano

nieboszczyka, i z widoczną przyjemnością recytował fragmenty Apokalipsy. Nawet pan Caffyn, który co roku powtarzał uczniom, że 31 października to tylko rocznica ogłoszenia dziewięćdziesięciu pięciu tez Marcina Lutra, wyglądał (w oczach Willa), jakby go bardzo mdliło.

– Dzień dobry w ten piękny poranek – zaczął pastor. – A cóż to takiego wyciągnęło nas wszystkich z łóżek?

Odpowiedziała mu cisza.

– Jak wszyscy wiecie, jestem szcurem lądowym – powiedział rubasznie i poklepał Banksa po plecach – nie możecie więc oczekiwać, że będę miał o czymkolwiek pojęcie. Panie Banks, zna pan Blackwater lepiej niż ktokolwiek spośród nas; jak pan sądzi, co jest źródłem tego okropieństwa?

Zerwał się wiatr, smród zgęstniał. Willa zatkało, lecz mówił dalej:

– Może to algi, które zdryfowały tu z obcych mórz? Ławica śledzi wyrzucona na plażę?

– Niczego takiego dotąd nie wahałem ani nikt mi o niczym takim nie opowiadał – odparł Banks głosem przytłumionym przez rękaw płaszcza. – Wiem tylko, że to coś nienaturalnego.

– Tak pan mówi – odpowiedział Will, którego oczy łzawiły. – Tak pan mówi, lecz nie ma nic bardziej naturalnego niż smród martwego ciała, a sądzę, że właśnie z tym mamy do czynienia. W swoim czasie obaj będziemy pachnieć tak samo.

Zebrany tłumek spojrział na niego z niesmakiem, a on zreflektował się, że żarty były w tej sytuacji nie na miejscu. Dobrze więc – czas spróbować Pisma.

– Przeto się nie boimy, choćby waliła się ziemia i góry zapadały w otchłań morza. Niech wody jego burzą się i kipią, niech góry się chwieją pod jego naporem, i tak dalej!

– Powiem wam, co to jest – włączyła się matka Harriet. – A panu, Banks, nie muszę mówić. I panu, i pani... – Skinęła znacząco głową w kierunku pana Caffyna i w stronę jednej czy dwóch kobiet, czyli grupki, która zdawała się obojętna na smród i właśnie zaczęła oddalać się High Line, w kierunku Blackwater, gdzie już wstał dzień. – W końcu po nas przyszedł, Wąż z Essex, bestia z rzeki, a my nie jesteśmy gotowi! Najpierw przyszedł po moją małą, właśnie tak! Najpierw ją nawiedził i moja córeczka teraz choruje, a ja nie



umiem jej pocieszyć.

Evansford zauważył, iż sam Odkupiciel zapowiedział, że będzie płacz i zgrzytanie zębów. Kobieta, zachęcona tą uwagą, kontynuowała swoją przemowę:

– Tak cuchnie oddech bestii, mówię wam, czuć w nim krew i kości wszystkich, których pożarła: chłopca ze St Osyth, mężczyznę, którego wyrzuciło na nasz brzeg...

– Zgniłe miazmaty, jak uczono naszych przodków – dodał pan Caffyn. – Źródło choroby. Patrzcie! Mam gorączkę! Zaraza! Zaczęła się!

W istocie, na jego wysokim uczonym czole perlił się pot, następnie Will zauważył, że mężczyzna zaczął się trząść, a jego usta wykrzywił grymas, który mógł zapowiadać płacz bądź wybuch śmiechu.

– Morze zwróciło pogrzebanych umarłych! – dorzucił Banks; w jego głosie brzmiała coraz silniejsza ekscytacja (skoro nie ma nadziei potrzymać w ramionach żywej Naomi, przynajmniej będzie mógł złożyć ją do grobu). – Śmierć i piekło oddały nam też swoich zmarłych!

– Piekło! Miazmaty! – zakrzyknął Will, coraz bardziej bezsilny. Zauważył przy tym, że albo smród zelżał, albo on przyzwyczyił się już do tego okropieństwa. – Wąż! Zaraza! Panie Caffyn, nie jest pan chory, za to przydałaby się panu filiżanka herbaty. Ludzie! Co z wami?! Miałem was za rozsądnych. Banks, to pan pokazał mi, jak działa sekstans! Caffyn, pan nauczył moją córkę, jak obliczyć, w jakiej odległości jest burza! Nie żyjemy w ciemnym średniowieczu, nie jesteśmy dziećmi, które straszy się upiorami i demonami. Lud, który błędził w ciemności, ujrzał wielką światłość! Tam nic nie ma, nie ma się czego bać, i nigdy nie było; pójdziemy na brzeg i znajdziemy najwyżej martwą owcę, którą prąd przyniósł z Maldon, a nie jakiegoś... jakiegoś potwora zesłanego jako kara za nasze grzechy!

Lecz czy aż tak trudno sobie wyobrazić, że ten sam Umysł, który niegdyś rozdzielił wody Morza Czerwonego, teraz wysyła upomnienie parafianom podmokłej wioski w hrabstwie Essex? Apostoł Paweł włożył dłoń w gniazdo węży i żaden go nie ukąsił – to był znak. Oczywiście, od tamtej pory Ziemia obróciła się tysiące razy, lecz czy czasy znaków naprawdę bezpowrotnie minęły? Dlaczego myśl, że w ujściu rzeki coś czyha, od zawsze wydawała mu się nie do przyjęcia – może rzecz nie w fiasku wiary w węża, lecz w fiasku

wiary w swojego Boga? W tym momencie Will poczuł strach tłumu, strach o smaku miedzianej monety na języku; i nie był to strach przed Bożym sądem, lecz strach, że Bóg ich nie osądzi, i że to w ogóle niemożliwe. *Coro* – pomyślał i spróbował chwycić się powietrza, jak gdyby w ten sposób chciał wyczarować silny chwyt jej dłoni – *Cora! Gdyby tu tylko była. Gdyby tylko była...*

– Dobrze więc – powiedział, rozgniewany, choć próbował to ukryć. – Co nam przyjdzie ze stania tutaj, dławienia się smrodem i wyobrażania sobie, co mogło się stać? Sam pójdę i zobaczę, a wy możecie dołączyć lub nie, jak wolicie, mówię wam jednak, że do zachodu słońca ta historia się zakończy i nie będzie więcej gadania o węzłach.

Ruszył na wschód High Line, w kierunku Blackwater i źródła obrzydliwego smrodu. Tłumek podążył za nim, mamrocząc i sprzecząc się; matka Harriet ufnie chwyciła jego ramię i oświadczyła:

– Pożegnałam się z córką, bo nie wiem, czy wrócę do domu.

Na błoniach Dąb Zdrajcy tak gęsto obsiadły gawrony, że wyglądały jak jakieś pierzaste owoce. Will szedł w cieniu drzewa. Podekscytowany tłum ucichł. Smród stał się nie do zniesienia i pan Caffyn, ujrawszy światło w oknach szkoły, pobiegł w jej stronę szukać schronienia. Stwierdził, że przyjęcie posady w tak dalekim i błotnistym zakątku kraju było błędem, choć nie może powiedzieć, iż go nie ostrzegano. Po chwili wiatr się zlitował, osłabł i zmienił kierunek. Gawrony poderwały się do lotu; wyglądały jak popiół z płonących kartek. Wiatr zmienił kierunek i odór zaczął słabnąć, spychany w kierunku ujścia, by jutro obudzić mieszkańców innych wiosek; Banks, by dodać sobie animuszu, zaintonował fragment szanty i pociągnął łyk rumu. Doszli do Końca Świata i każdy odwrócił wzrok; choć wszyscy widzieli omszały pagórek, pod którym spoczywał Cracknell i czekał na nagrobek, to i tak trudno im było nie myśleć, że nie siedzi tam, za brudnymi szybami domostwa, i nie zajmuje się zdejmowaniem szczyprawek z rękawa płaszcza. Została ich garstka: William Ransome, z matką dziewczynki po lewej stronie i rybakiem po prawej, oraz Evansford, który szedł z tyłu i wreszcie zamilkł.

Kobiety poszły przodem; rozmawiały wesoło i pokazywały sobie strzępiaste obłoki, zaróżowione blaskiem wschodzącego słońca. Od czasu do czasu odwracały się, żeby bić rękami powietrze, ze złudną nadzieją, że w ten sposób odpędzą smród, który narastał w miarę zbliżania się do słonych mokradeł.

Z obrzydzenia i strachu Willa ścisnęło w dołku; nie wierzył, że za chwilę staną oko w oko z Wężem z Essex, ujrzą go, jak wygrzewa skrzydła na plaży, kłapie dziobem i przetyka kawałek kości – a jednak był zaniepokojony.

– Coro – powiedział i oburzył się na dźwięk własnego głosu, który brzmiał jak głos bluźniercy. Idący obok Banks spojrzał na niego, lecz niewiele zrozumiał; może sam coś by powiedział, gdyby jedna z kobiet na przedzie się nie zatrzymała i wskazując ręką w dół, w kierunku brzegu, nie zaczęła krzyczeć. Jej współtowarzyszka w szoku straciła równowagę, nadepnęła rąbek spódnicy, potknęła się i poleciała w przód; otworzyła usta z przerażenia.

Następną chwilę Will miał zapamiętać, jakby została zamrożona w czasie, wytrawiona na płycie fotograficznej: upadająca kobieta – zatrzymany w ruchu Banks podążający w jej stronę – i on sam, bezużyteczny, a w jego ustach słodkawy zapach obrzydlistwa, który wydobył się z wód ujścia. Później obraz zniknął i z jakiegoś powodu Will nigdy nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że wszyscy znaleźli się na plaży, przy czarnych kościach Lewiatana, i patrzyli z przerażeniem i litością na to, co wyrzuciło morze.

Równolegle do krawędzi wody leżał rozkładający się trup zwierzęcia. Mierzył około dwudziestu stóp długości, a jeden jego koniec był tak cienki, że stawał się praktycznie punktem; stworzenie nie miało skrzydeł ani kończyn, a jego ciało było naprężone jak membrana bębna i błyszczało srebrem. Wzdłuż kręgosłupa ujrzeli pozostałości pojedynczej płetwy – wypustki podobne do drutów parasolki, pomiędzy którymi fragmenty membrany wysychały na wschodnim wietrze, połamane i rozproszone. Upadając, kobieta spotkała się z głową bestii: oczy większe niż zaciśnięta pięść patrzyły ślepo, za nimi para skrzeli odchylała się od srebrnego ciała i odsłaniała karmazynową, mięsistą koronkę podobną do blaszek grzyba. Zwierzę albo padło ofiarą ataku, albo zderzyło się z kadłubem barki płynącej do stolicy; w kilku miejscach jego napiętego ciała – które w promieniach wschodzącego słońca mieniło się jak olej na wodzie – widniały bezkrwawe rany. Tam gdzie ciało dotknęło piasku lub kamieni, zostawiło tłusty osad, jak gdyby ze skóry zaczął wytapiać się tłuszcz. W otwartej paszczy – w której było coś przywodzącego na myśl tępo zakończony dziób zięby – widniał komplet drobnych zębów. Kiedy stali przy zewłoku, kawałek mięsa oderwał się od kości tak elegancko, jak gdyby oddzielony nożem biesiadnika.

– Patrzcie – powiedział Banks. – Właśnie to kryło się w wodzie, nic więcej. – Zdjął kapelusz i przycisnął go do piersi. Wyglądał komicznie, jak ktoś, kto o świcie spotyka w Essex królową śpieszącą do Parlamentu. – To tylko biedne stare zwierzę, nic więcej. Pobłądziło w ciemności; ranne, wyrzucone na mokradła, a później jeszcze raz wciągnięte do wody przez przypływ.

*Rzeczywiście, to tylko biedne stare zwierzę* – pomyślał Will. I mimo że wyglądało jak przeniesione wprost z marginesu iluminowanego manuskryptu, nawet najbardziej przesądny z ludzi nie mógł wziąć tej gnijącej ryby za mitycznego potwora – to tylko zwierzę, jak oni wszyscy, a przy tym martwe, co ich wszystkich też przecież czeka. Stali tam i zgodzili się po cichu, że zagadka nie została rozwiązana – jej po prostu nigdy nie było. Nie do wiary, że to ślepe, rozkładające się stworzenie – wyrzucone ze swojego naturalnego środowiska, gdzie jego srebrne ciało było sprężyste i piękne – wywołało w nich taką panikę. Gdzie te obiecane skrzydła, muskularne łapy z długimi pazurami? Może ten stwór mógłby udusić Cracknella w mokrym uścisku w ujściu Blackwater, lecz przecież Cracknell umarł na brzegu i w butach.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał Evansford. Wyglądał, jak gdyby żałował, że wstało słońce, że u jego stóp leżą żaloszne zwłoki, że karząca dłoń przeznaczenia jednak się cofnęła. – Nie można tego tu zostawić. Zatruje rzekę.

– Przypływ zabierze trupa – odparł Banks z całkowitą pewnością; nikt lepiej od niego nie znał się na martwych rybach. – Przypływ, mewy.

Po chwili matka Harriet krzyknęła:

– Coś się rusza! – Kobieta już przedtem postąpiła naprzód i stała na kamieniach przy wzdętym brzuchu zwierzęcia. – Coś się rusza w środku!

Will podszedł bliżej i ujrzał, że pod skórą zewłoku coś się wiło i drgało; ruch ustał na chwilę i Will przetarł oczy. Pomyślał, że coś mu się przywidziało, zapewne z powodu wczesnej pory i słońca wiszącego nisko nad horyzontem; spojrzał jeszcze raz – w jednej chwili, jak gdyby wyswabadzał się z wielu guziczków, brzuch stworzenia otworzył się wzdłuż i na zewnątrz wysypała się biała, wijąca się masa. Odór był nie do zniesienia, ludzie zataczali się jak po ciosie; Banks nie wytrzymał – pobiegł w kierunku żeber Lewiatana i zwymiotował. Nie mógł patrzeć – po prostu nie mógł. Wyobraził sobie, że pomiędzy tymi poruszającymi się białymi szczątkami wypatrzy pukiel rudych włosów.

Jedna z kobiet, obojętna na ten widok, trąciła błyszczącą masę stopą i powiedziała:

– Tasiemiec. Patrzcie, długi na wiele jardów, i ciągle głodny. Pewnie to właśnie załatwiło bestię: tasiemiec zagłodził ją od środka. Już coś takiego widziałam. Pastorze, a pan nie chce spojrzeć? Czyżby w końcu znalazło się coś, czego pastor się boi?

Will pochylił głowę (wiedział, że został pokonany) i jednak spojrział. Poczul lekki zawrót głowy; ujrzał ostatnie poruszenia tasiemca, jego dziwne ciało, jak biała wstążka o nieregularnym splocie. O co chodziło Stwórcy, kiedy wymyślał tak obrzydliwe stworzenie, które na domiar złego pasożytowało na innych? Will przypuszczał, że musiało jednak czemuś służyć.

– Banks – powiedział i stłumił ochotę wygłoszenia krótkiego kazania, które podkreśliłoby, że miał rację, kiedy zabobonnym lękom mieszkańców przeciwstawiał Boży rozum. – Banks, co powinniśmy zrobić?

– Zostawić to tutaj – odparł Banks, w którego oczach popękały kolejne żyłki.  
– Przypływ zabierze truchło o jedenastej lub zaraz po. Natura ma swoje sposoby.

– I nie zaszkodzi to śledziom i koloniom ostryg?

– Widzi pastor te mewy? I gawrony, które przyleciały za nami z błoni? One i woda szybko sobie z tym poradzą, do niedzieli nie będzie śladu.

Już nic się nie poruszało. Oczy zwierzęcia zaszyły bielmem; Will wyobraził sobie, choć wiedział, że to nonsens, iż z jego paszczy uszło ostatnie tchnienie. Kamienie się poruszyły, woda podeszła bliżej; ciemna plama pojawiła się na czubku buta pastora, a po bokach pokazała się sól.

Katherine Ambrose

Plebania parafii Wszystkich Świętych

Aldwinter

11 września

Kochana Coro,

słyszałaś? Biorąc pod uwagę Twój upór, by już się nie interesować biednym starym Essex (doprawdy, nie widziałam, żebyś kiedykolwiek tak szybko porzuciła swoją

nową fascynację!), można założyć, że żyjesz w nieświadomości, i wreszcie będę miała przyjemność przekazania Ci czegoś, czego jeszcze nie wiesz, a jest to następująca nowina:

ZNALEŻLI WĘŻA Z ESSEX!

A teraz pozbieraj się, przynieś filiżankę herbaty (Charles, który czyta mi przez ramię, mówi, że jeśli słońce jest nad nokiem rei, czas na coś mocniejszego), a ja Ci wszystko opiszę. A jako że jestem właśnie w Aldwinter, wszystko usłyszałam z ust wielbnego Williama Ransome'a, który, o czym obie wiemy, niezdolny jest do upiększania i przesady – musisz więc przyjąć, że moja relacja jest tak trzeźwa i prawdziwa, jak gdyby to on sam ją spisał.

Oto co zaszło. Wczoraj rano całą wioskę zbudził obrzydliwy smród. Podejrzewam, że na początku mieszkańcy musieli pomyśleć, iż zostali otruci, gdyż odór okazał się dość silny, by każdego zemdlilo już w łóżku – tylko to sobie wyobraź!

W każdym razie ludzie odwagili się pójść na brzeg i oto co znaleźli – bestię jak się patrzy, tyle że kompletnie martwą. Tak wielką, jak się obawiano: Will ocenia ją na 20 jardów, z tym że okazała się niezbyt potężna. Przypominała raczej węgorza – jego zdaniem – i lśniła niczym srebro lub macica perłowa (na starość robi się poetyczny). Ci, co ją widzieli, natychmiast zrozumieli, jacy byli niemądrzy – to nie był żaden potwór, a do tego ani śladu skrzydeł. Faktycznie wyglądał, jakby mógł odgryźć kawałek nogi, lecz oczywistym było, że nigdy nie wyszedłby z wody, żeby porwać owcę albo dziecko. Z tego, co mi wiadomo, nastąpiła też nieprzyjemna chwila w związku z jakimś pasożytem, lecz nie chcę się nad tym rozwodzić. Tak to wygląda: bestia, jak sądzę, lecz ani nie dziwniejsza, ani nie groźniejsza niż słoń czy krokodyl. Zapewne będziesz się zastanawiać, czy w ogóle przypominała węże morskie, które Twoja ukochana Mary Anning zwykła odgrzebywać – śpieszę z żalem donieść, że nie. Will mówi, że zwierzę nie miało kończyn, a mimo swoich rozmiarów i niezwykłości okazało się niewątpliwie zwykłą rybą. Zastanawiano się nad powiadomieniem władz – Will wysłał wiadomość do Charlesa, bo akurat wtedy bawiliśmy w Colchester – lecz podobno podczas przyływu cielsko się rozpadło i prąd zabrał je w morze. Och, Coro! Tak mi przykro. Taki zawód! Liczyłam, że zobaczę gablotę w Muzeum Brytyjskim, a w niej potężnego, straszego węża morskiego, wypchanego, o szklanych oczach, a na ścianie obok Twoje nazwisko na mosiężnej tabliczce. A jakież to rozczarowanie dla tych, co czekali na dzień sądu: ciekawe, czy żałują, że żalowali za grzechy? Ja bym żalowała!

Następnego dnia przyjechaliśmy do Aldwinter, z nadzieją zobaczenia zwierzęcia na własne oczy, piszę więc z gabinetu Willa. Jest ciepło i przyjemnie: okno otwarte, a za nim koza skubie trawę. Dziwnie jest być tutaj bez dzieci Ransome'ów, które są przecież u nas w Londynie! Świat stanął na głowie. I jak dziwnie siedzieć tu pośród

rzeczy, które rozpoznaję jako Twoje – Twoje listy (nie zaglądałam, choć bardzo mnie kusilo!) – rękawiczka, którą pamiętam – skamieniałość (amonit, jak sądzę?), która również może pochodzić jedynie od Ciebie. Prawie czuję Twój zapach, coś jak aromat pierwszego wiosennego deszczu – jak gdybyś dopiero co wstała z krzesła, na którym siedzę! Jak na pastora, Will trzyma dziwne książki – obok siebie stoją Marks i Darwin, i bez wątpienia dobrze się dogadują.

Aldwinter zmieniło się nie do poznania. Kiedy przyjechaliśmy dziś rano (a powiem szczerze, że zawsze miałam wioskę za miejsce raczej ponure), w najlepsze trwało święto. Dzieci znów bawiły się na dworze, bo nikt już nie boi się bestii czyhającej za żywopłotem, a kobiety rozłożyły koce na trawie, usiadły, oparły się o siebie i plotkują bez końca. Skończyliśmy tegoroczny cydr (pyszny, i o wiele lepszy od każdego wina, jakiego skosztowałam w tym hrabstwie) i daliśmy radę całej szynce z Essex. Kochana Stella – gotowa jestem przysiąc, że jest jeszcze piękniejsza niż ostatnio (myślę, że to strasznie niesprawiedliwe) – włożyła błękitną sukienkę i potańczyła chwilę, kiedy grali skrzypkowie, lecz zaraz musiała się położyć. Od tamtej pory jej nie widziałam, choć słyszę kroki na górze, najczęściej jednak leży w łóżku i pisze w zeszytach.

Przywiozłam jej prezenty od dzieci i listy, ale jeszcze ich nie przeczytała. Stella nie wierzy, że ta dziwna ryba znaleziona na brzegu to Wąż z Essex, lecz miała ostatnio tyle dziwacznych pomysłów, że tylko ucisnęłam jej dłoń (tak gorącą i tak drobną!) i powiedziałam: „Oczywiście, że nie, oczywiście, że nie”, i pozwoliłam wpleść sobie błękitną wstążkę we włosy. To okrutna choroba, lecz obchodzi się z nią dość łagodnie. A teraz, Coro, do rzeczy. Pozwolę sobie, jako osoba starsza, udzielić Ci reprimendy. Wiem od Charlesa, że wciąż nie widziałas się z Lukiem Garrettem i że nie piszesz ani do Stelli, ani do Willa, choć musisz wiedzieć, jak ciężko jest chora (umierająca, można chyba przyjąć, lecz czyż na swój sposób nie umieramy wszyscy?) i jak tęskni za dziećmi.

Wiem, moja droga, że jesteś w żałobie. Przyznam, że nie pojmuję, jaka siła popchnęła Cię ku Michaelowi, którego zawsze trochę się bałam (mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że to mówię?), lecz coś między Wami musiało być. A teraz węzeł jest zerwany, a Ty dryfujesz sama – i zdaje się, że zrywasz również wszystkie inne więzi! Coro, nie możesz ciągle chować się przed wszystkim, co Cię rani. Każdy by tak chciał, lecz nam tak czynić nie wolno – żyć to znaczy dać się poobijać. Nie wiem, co zaszło między Tobą a Twoimi przyjaciółmi, wiem jednak, że nie jesteśmy stworzeni do życia w samotności. Powiedziałaś kiedyś, że zapominasz, iż jesteś kobietą, i wreszcie to zrozumiałam – uważasz, że być kobietą znaczy być słabą – uważasz, że jesteśmy siostrami w cierpieniu! Może i tak, lecz czy nie potrzeba więcej siły, by przejść milę, cierpiąc ból, niż siedem, nie czując żadnego? Jesteś kobietą i musisz zacząć żyć jak kobieta. To znaczy – mieć odwagę.

Z wyrazami miłości,

KATHERINE

PS Dziwna rzecz: wszyscy odczuli ulgę, poczuli w sercu lekkość – skrzypek z kwiatem w butonierce, wspaniałe jedzenie – lecz nikomu nie chciało się wejść na Dąb Zdrajcy, żeby zdjąć z niego podkowy. Kiedy słońce zachodziło, zerwał się wiatr, a podkowy na sznurkach obracały się i błyszczwały.

Nie uważasz, że to dziwne?

Cora Seaborne

Midland Grand Hotel

Londyn

12 września

Droga Katherine,

przyjmuję Twoją reprimendę i kocham Cię jak zawsze. Zdaje się, że rozczarowałam wszystkich, i już się do tego przyzwyczaiłam. Uważasz, że się nad sobą lituję? Tak, to prawda, choć przestałabym, gdybym znalazła źródło tej litości! Czasami myślę, że wiem, co mi doskwiera, lecz potem patrzę z dystansu i sprawa wydaje się nedorzecznnością: kto to słyszał, żeby kobietę tak przygnębiła utrata przyjaciela?

A zatem Wąż z Essex znaleziony. Miesiąc temu byłabym wściekła, lecz ostatnio wszystko jest przytłumione. Sądzę, że w istocie myślałam od czasu do czasu, że stanę na brzegu i zobaczę, jak z wód estuarium wystaje dziób ichtiozaura (Bóg mi świadkiem, że widziałam tam dziwniejsze rzeczy!), lecz teraz już o tym nie pamiętam. Dziś ta myśl wydaje mi się nedorzecznnością – ot, fantazje innej kobiety. W zeszłym tygodniu poszłam do Muzeum Historii Naturalnej i liczyłam kości tamtejszych skamieniałości; próbowałam przywołać dawne zdziwienie i ekscytację, lecz nie czułam nic.

Może wiesz, jak okrutna byłam dla doktora Garretta. Katherine, SKĄD MOGLAM WIEDZIEĆ? Nie chcą mnie tutaj – piszę, lecz on nie odpowiada. Nie wiem też, czy William Ransome chce mnie widzieć. Ciągłe popełniam gafy – sieję zniszczenie – jako przyjaciółka okazałam się równie niekompetentna, jak w roli żony czy matki... Och (właśnie przeczytałam to, co wyżej), ale się nad sobą użalam! Nie wyjdzie mi to na dobre. Co powiedziała by Will? Że zabrakło nam Bożej łaski lub coś w tym stylu; tak czy inaczej, nigdy nie martwiły go uchybienia innych, gdyż wszystkie one są konsekwencją ludzkiej kondycji, należy się więc ich spodziewać. Jeśli jednak tak jest



w istocie, powinien moje uchybienia znosić o wiele lepiej, a przynajmniej poinformować mnie, które z nich rozsierdziło go najmocniej...

Widzisz, co się ze mną stało? Nigdy nie byłam tak dziecinna, tak rozżalona! Nawet jako dziecko! Nawet w żałobie!

Napiszę do Luke'a. Napiszę do Stelli. Pojadę do Aldwinter.

BĘDĘ GRZECZNA. OBIECUJĘ.

Wiele miłości, kochana K – w rzeczy samej, masz całą moją miłość, gdyż nikt inny jej nie chce.

CORA SEABORNE

Cora Seaborne

Midland Grand Hotel

Londyn

12 września

Droga Stello, drogi Willu,

wiem, że listy zwykle się rozpoczynają zdaniem: „Mam nadzieję, że miewacie się dobrze”, lecz ja dobrze wiem, że u Was dzieje się nie najlepiej. Wieść, że jesteś tak bardzo chora, niewymownie mnie zasmuciła; pozdrawiam Cię najserdeczniej. Byłaś u doktora Butlera? Słyszałam, że nie ma lepszego.

Wracam do Essex. Napisz, co mogę przywieźć. Napisz, co najbardziej lubisz jeść. Mam przywieźć książki? Kwiaciarz przed hotelem sprzedaje peonie; przywiozę tyle, ile da się zmieścić w przedziale pierwszej klasy.

Podobno znaleziono Węża z Essex, który okazał się jednak tylko wielką rybą, a do tego od dawna martwą! Katherine pisze, że całe Aldwinter świętowało – tak żałuję, że mnie tam nie było i nie mogłam tego zobaczyć.

Z wyrazami miłości,

CORA SEABORNE

– Nie ma go tutaj – powiedziała Stella. Zamknęła niebieski zeszyt i związała go wstążką. – Będzie mu przykro, że się minęliście. Nie, nie siadaj koło mnie; nie chce mi się kasłać, ale czasem kaszel przychodzi, gdy się go nie spodziewam. A to co? Co to jest! Co mi przyniosłaś!

Ulga i rozczarowanie sprawiły, że pod Corą ugięły się nogi; ukryła emocje za uśmiechem, położyła paczkę na kolanach przyjaciółki i powiedziała:

– To tylko książka, która powinna ci się spodobać, i marcepan od Harrodsa; pamiętamy, jak za nim przepadasz. Frankie, chodź się przywitać.

Francis jednak czuł się zakłopotany, stał więc tylko w progu i studiował pomieszczenie. Przez lata gromadzenia skarbów jeszcze się z czymś takim nie zetknął; miał się za eksperta w sztuce kolekcjonowania, lecz teraz musiał przyznać, że został pokonany. Stella Ransome leżała na kanapie pomiędzy dwoma otwartymi oknami, w których wisały błękitne zasłony. Nosiła ciemnoniebieski szlafrok i niebieskie ranne pantofle oraz mnóstwo turkusowych koralików. Na palce wsunęła tandetne pierścionki, a na wszystkich parapetach lśniło niebieskie szkło butelek: butelki po sherry, po truciznach, flakoniki po perfumach, odłamki szkła znalezione w rynsztoku i wypolerowane nieprzezrocyste szkiełka, które wyrzuciło morze. Na stołach i krzesłach, starannie poukładane i posegregowane zgodnie z odcieniem i nasyceniem koloru: nakrętki od butelek i guziki, ścinki jedwabiu, poskładane kartki, piórka i kamienie – wszystko błękitne. Zachwycony, uklęknął w pewnej odległości od niej i powiedział:

– Podobają mi się pani zbiory. Ja też zbieram takie specjalne rzeczy.

Stella zwróciła ku niemu fiołkowe oczy i odparła bez zaskoczenia czy krytyki:

– Więc łączy nas zwyczaj znajdowania piękna tam, gdzie nikt inny go nie widzi. – Zniżyła głos i wyszeptwała, jak gdyby powierzała mu tajemnicę: – Podobny zwyczaj mają anioły, które czasem gościemy, niczego nieświadomi,

a ostatnio było ich tu wiele.

Corę zaniepokoiło to, że kiedy Stella położyła palec na ustach na znak tajemnicy, Francis odpowiedział tym samym; z całą pewnością kobieta bardzo zdziwaczała pod nieobecność Cory – czy to skutek choroby? Dlaczego Will nie dał jej o niczym znać? Chwilę później Stella znów była sobą i tryskała energią; poprawiła szlafrok i odezwała się:

– Mam dużo pytań i chcę ci wiele opowiedzieć. Jak się czuje doktor Garrett? Byłam zdruzgotana, kiedy się dowiedziałam. Nigdy nie zapomnę, jak mnie potraktował w szpitalu. To o wiele więcej niż zwykła uprzejmość. Rozmawiał ze mną jak z równą sobie. Nie pozwolił, żeby ukrywali przede mną prawdę. Czy rzeczywiście już nigdy nie będzie mógł operować? Byłam gotowa poddać się zabiegowi, który zaproponował, lecz teraz pewnie już nic z tego.

Corę ścisnęło w gardle, kiedy musiała powiedzieć coś o swoim Skrzacie, odparła więc beztrasko:

– Och, Spencer mówi, że dłoń świetnie się goi. Czy może być aż tak źle? Nie stracił przecież palca, a żeby stracił rozum, potrzeba czegoś więcej niż ulicznej bójki. Frankie, zostaw, to nie twoje.

Chłopiec zdejmował szarobłękitne kamyki z kominka i kładł je na dywanie. Następnie, ignorując prośbę matki, chuchnął na płaski kamyczek i wypolerował go rękawem.

– Niech się bawi, myślę, że on świetnie mnie rozumie – powiedziała Stella i wspólnie patrzyły, jak chłopiec układa z kamyczków siedmioramienną gwiazdę i od czasu do czasu popatruje na Stellę z miną, która, ku zaskoczeniu Cory, wyrażała uwielbienie.

– Zabrali mi dzieci – odezwała się Stella ponuro i na chwilę porzuciła beztraski ton. – Pamiętam ich twarze, mam tutaj fotografie. Zapomniałam tylko, jak to jest trzymać je w ramionach albo posadzić sobie na kolanach. Obecność Francisa sprawia mi radość. Pozwól mu robić to, na co ma ochotę. – Opadła na krzesło i Cora zobaczyła, że jej zaczerwienione policzki płoną jeszcze mocniej, a włosy pociemniały od potu. – Ale wracają. Katherine Ambrose mi je przywiezie – dodała i dotknęła Biblii. – Nasz Ojciec w niebie nigdy nie każe nam znosić więcej niż w naszej mocy.

– W istocie – powiedziała Cora.

– Mówią, że znaleziono Węża z Essex i że okazał się tylko gnijącą rybą! – Stella pochyliła się do przodu, jak gdyby zwierzała się z tajemnicy. – Coro, nie daj się oszukać. Zeszłej nocy w Brightlingsea morze wyrzuciło martwego psa ze skręconym karkiem, i wciąż ani śladu córki Banksa...

*Jaka ona radosna – pomyślała Cora. Zdaje się, że wręcz chciałaby, żeby Wąż powrócił do Blackwater!*

– Słyszę w nocy jego szept – zwierzyła się Stella – lecz nie rozumiem, co mówi...

Cora ujęła dłoń przyjaciółki: cóż mogła powiedzieć? Jej oczy lśniły, jakby ujrziała nie rękę, która karze, lecz taką, która daje odkupienie. Stella zapisała coś w zeszycie, a później potrząsnęła głową, jak gdyby obudziła się z lekkiego snu, i dodała:

– A co u Marthy? Pewnie nie cieszy jej powrót do Aldwinter?

Nie straciła zapału do plotkowania, przez jakiś czas obgadywały więc wszystkich wspólnych znajomych, a nieobecność Willa wypełniała pokój.

Francis usiadł nieco z dala i obserwował wszystko, tak jak zwykle. Patrzył, jak Stella ściska zeszyt i gładzi jego niebieską okładkę, jak w jednej chwili zachłannie słucha jego matki, a w następnej staje się senna i rozkojarzona i raz na jakiś czas wypowiada zdania, które dziwnie brzmią w jej ustach:

– Faktem jest, i wiem, że się zgodzisz, iż trzeba, ażeby to, co zniszczalne, przyodziło się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziło się w nieśmiertelność! – by w następnej chwili rażno obwieścić: – Magog zupełnie nie poruszyła śmierć Cracknella, jej mleko jest tak dobre jak zawsze.

Podczas tej rozmowy oczy jego matki ciemniały, jak zawsze, kiedy się martwiła; poklepywała dłoń Stelli Ransome, potakiwała głową i zgadzała się ze wszystkim, co mówiła przyjaciółka, a w pewnej chwili zaproponowała:

– Pokaż mi jeszcze raz, jak pięknie zaplatasz warkocze; próbowałam, ale nigdy mi nie wychodzi! – Po czym naląła sobie więcej herbaty.

– Przyjdź znów niedługo, dobrze? – poprosiła Stella, kiedy Cora zbierała się do wyjścia. – Musi ci być przykro, że nie zastałaś Willa. Przekażę mu pozdrowienia. Paniczu Seaborne – dodała, zwracając się do Francisca i wyciągając do niego ręce – powinniśmy zostać przyjaciółmi; dobrze się rozumiemy. Przyjdź znowu i przynieś swoje skarby, wspólnie je pooglądamy,

dobrze?

Francis podał jej rękę i poczuł, jak gorąca była dłoń Stelli i o ile mniejsza od jego dłoni.

– Mam trzy pióra sójki i poczwarkę – powiedział. – Przyniosę je jutro, jeśli pani chce.

Cora Seaborne

Błonia 2

Aldwinter

19 września

Drogi Willu,

wróciłam do Essex. Piszę, siedząc tak blisko grzejnika, że jedno kolano mam oparzone, a drugie – lodowate. Z murów emanuje przenikająca do kości wilgoć. Odbieram to jako osobisty afront. Czasami w nocy wydaje mi się, że czuję coś niby sól i coś jak zapach ryby, i że wonie te, niezbyt intensywne, dostają się przez okno – i mimo że potwór okazał się jedynie martwą rybą pokonaną przez prądy, łatwo mi sobie wyobrazić, że Wąż z Essex wciąż tu jest, obserwuje i czeka, może nawet na progu, i chce, żeby go wpuścić...

Żyję w niełasce. Martha jest na mnie obrażona: kiedy przynosi herbatę, stawia ją z hukiem i niezmiennie mnie oblewa. Chce wrócić do Londynu; nie mogę oprzeć się wrażeniu, że się ode mnie oddala. Luke poprosił, żebym go nie odwiedzała, choć Spencer przywiózł go do Colchester dla zmiany klimatu, a mnie wydaje się niemalże, że mogłabym tam pójść i się z nim zobaczyć! Spencer pisze, ale podpisuje się „z poważaniem”, choć wcale mnie nie poważa. Katherine Ambrose zaczęła na mnie patrzeć z czułym politowaniem, czego nie mogę znieść; chce mi pokazać, że mnie rozumie, jak gdyby chciała powiedzieć, że bez względu na moje poczynania jest po mojej stronie. Wolałabym raczej policzek.

U Frankiego zawsze byłam w niełasce, lecz teraz jeszcze bardziej niż zwykle. Sądzę, że w Stelli zobaczył coś, czego zawsze szukał u mnie i nigdy nie znalazł. Szanuje ją! Jakże mógłby inaczej? Nie spotkałam dzielniejszej istoty.

Czuję też, że – nawet jeśli w listach jesteś dla mnie miły – i u Ciebie popadłam w niełaskę. Zdaje mi się, że tyle moich posunięć okazało się nieroztropnymi: pozwolenie Luke’owi na eksperymenty na Joannie – ta dziwna czerwcową noc – i sam przyjazd tutaj!

Martha mówi, że jestem samolubna – próbowałam wszystkich przywiązać do siebie

siłą i nie dbałam o ich pragnienia. Odparłam, że wszyscy tak żyjemy, bo gdyby było inaczej, zawsze bylibyśmy sami, a ona na to tak mocno trzasnęła drzwiami, że stłukła szybę.

Zdaje się, że tylko Stella się na mnie nie gniewa. Spędziłam z nią popołudnie – mówiła Ci? – całowała mnie po rękach. Martwię się o jej głowę – w jednej chwili jest w rozpacz, w następnej zdaje się jedną nogą w niebie. I jest taka piękna, Will! Nigdy czegoś takiego nie widziałam – każdy malarz oddałby wiele za widok jej włosów rozrzuconych na poduszce i żywych oczu. Nie wierzy, że znaleziono węża. Mówi, że go słyszy, że do niej szepcze, lecz ona nie rozumie, co mówi.

Napisz, jak się miewasz. Czy wciąż wstajesz za wcześnie i pijesz kawę w szlafroku, zanim inni się obudzą? Skończyłeś tę okropną powieść o Pompejach? Czy widziałeś już zimorodka? Czy tęsknisz czasem za Cracknellem i chciałbyś oprzeć się o jego płót, i zobaczyć, jak obdziera krety ze skóry?

Czy możemy niedługo się zobaczyć?

Twoja,  
CORA

Pastor William Ransome  
Parafia Wszystkich Świętych  
Aldwinter  
20 września

Droga Coro,

Stella powiedziała mi, że ją odwiedziłaś. I tak bym zgadł – ktoś inny wydałby fortunę na słodycze od Harrodsa? (Nawiasem mówiąc – dziękuję. Patrzę właśnie, jak je pogryza, i cieszę się, że je coś innego oprócz filiżanek gorącego bovrilu).

Francis ją urzekł. Mówi, że są pokrewnymi duszami; ma to jakiś związek z jej nową manią kolekcjonowania bibelotów. Powiedziałem jej, że piszę do Ciebie liścik, a ona zapytała, czy Francis może ją znów odwiedzić, bo ma mu coś do powiedzenia. Lekarz mówi, że dopóki nie kaszle za mocno, można jej składać krótkie wizyty.

Czy Ty też to poczułaś – zmianę atmosfery w Aldwinter? Wiem, że słyszałaś o tym, jak znaleźliśmy to biedne martwe stworzenie na brzegu i jak wcześniej wyciągnęło nas z łóżek za sprawą smrodu. Tak bardzo żałowałem, że Cię przy tym nie było – pamiętam, że ciągle to sobie powtarzałem – pamiętam też, że nie mogłem pojąć, jak w ogóle mogłaś wyjechać...

Ta noc była jak pełnia wiosny i dożynki razem wzięte. Wszyscy siedzieli całą noc na

bloniach, śpiewali, tańczyli, cieszyli się, że mogą odetchnąć. Też poczułem ulgę, mimo że od zawsze wiedziałem, że nie ma się czego bać! Biedny Evansford wygląda żałośnie, bo okazało się, że na sądny dzień przyjdzie jeszcze poczekać. W niedzielę więcej ław świeci pustkami. No cóż, nie mam nikomu za złe czystego sumienia.

A mimo to ciężko nie rozpaczać. W domu jest cicho jak w grobie. Przestałem zamykać drzwi do gabinetu, bo i tak nikt nie wchodzi. Dzieci piszą prawie codziennie i przyjeżdżają w przyszłym tygodniu. Kiedy wyobrażam sobie, jak biegną ścieżką przez ogród, mam ochotę wywiesić flagę – chciałbym powitać je salwą!

Stella cieszy się na ich przyjazd, lecz jej serce jest już gdzie indziej. Czasami mówi, że będzie żyła – robi to, żeby mnie pocieszyć – a potem znów rzecze, że szuka tylko życia wiecznego; mam wówczas wrażenie, że już biegnie na cmentarz. Kocham ją. Kochamy się tak długo. Kocham ją, odkąd jestem mężczyzną. Równie trudno jest mi wyobrazić sobie życie bez niej, jak życie bez nóg i rąk. Kim bez niej będę? Jeśli ona nie będzie na mnie patrzeć – czy w ogóle będę istniał? Czy może pewnego dnia spojrzę w lustro i nie zobaczę w nim swojego odbicia?

I czy to, co mówię, jest prawdą, skoro wieść o Twoim przyjeździe ucieszyła mnie bardziej, niż mogłem się spodziewać?

Codziennie wieczorem około szóstej chodzę na spacer na zachód, z dala od mokradeł i ujścia rzeki. Nawet teraz zdaje mi się, że nie pozbędę się tego okropnego smrodu – odkryłem, że wolę odwrócić się tyłem do wody i wejść w las.

Chciałbym się z Tobą zobaczyć. Chodź ze mną. Lubisz spacerować, prawda?

WILLIAM RANSOME

Ubrana w swój męski tweedowy płaszcz czekała na błoniach i wypatrywała Willa. Wieczór był za ciepły i kołnierz płaszcz na karku tylko przeszkadzał – jesień okazała się równie niezdecydowana, jak lato łagodne. Ostatnio jednak Cora źle się czuła w swojej skórze, nie tylko wtedy, gdy wspominała dłoń Willa na talii; chciała się schować pod ubraniem, ukryć swą kobiecość pod jakąś garderobą i ciężkimi butami. Gdyby Martha nie schowała nożyczek, obciąłaby włosy i zadowolila się prostą fryzurą uczennicy.

Upłynęło wiele czasu od ostatniego spotkania z przyjacielem i zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek go poznała – tak bardzo się martwiła, jak ją przywita, że czuła suchość w ustach. Czy będzie surowy – skarci ją i okaże, jak się na niej zawiodł? Czy będzie mówił ciepło, tak jak kiedyś, czy będzie niepewny siebie, co ją zawsze mroziło?

Znad Blackwater wiatr przyniósł zapach soli; w długiej trawie rosły grzyby o kapeluszach perłowych jak muszle ostryg. Zjawił się po cichu, jakby skradał się niczym uśmiechnięty chłopiec; na ramieniu poczuła muśnięcie dłoni i usłyszała głos:

– Nie musiałaś się specjalnie dla mnie stroić.

Miarowy rytm i wolno wypowiedane samogłoski były tak znajome i tak jej drogie, iż nie rozumiała, skąd wzięły się jej wcześniejsze obawy, i dygnęła na powitanie.

Przyglądali się sobie nawzajem przez chwilę i nie mogli powstrzymać uśmiechu. Will nie założył koloratki i – co było typowym dla mieszkańca wsi lekceważeniem pór roku – nie włożył płaszcz. Rozpiął koszulę pod szyją i podwinął rękawy, jak gdyby pracował całe popołudnie. Od ich ostatniego spotkania jego włosy urosły i pojaśniały, w wieczornym świetle były prawie bursztynowe. Blizna na policzku dokładnie oddawała kształt racicy owcy, a oczy zdawały się podrażnione, jakby zatarł je przy lekturze popołudniowej gazety.



*Nie sypia* – pomyślała Cora z czułością, której się przestraszyła.

Kiedy na nią patrzył, poczuła, że nigdy nie wyglądała tak nieładnie: przez większą część lata zamykała się w domu, więc jej cera stała się szarawa i blada, a zaniedbane włosy rosły bezładnie na czubku głowy. Jeśli w ogóle spoglądała w lustro, to tylko po to, by ujrzeć zmarszczki wokół oczu i pojedynczą bruzdę między brwiami. Odczuwała to wszystko mocno, a zarazem przynosiło jej to ulgę. Cokolwiek wydarzyło się między nimi latem, dziś wydawało się nie do pomyślenia – zdecydowanie nie pasowała do męskiego ideału kochanki. Sama ta myśl była tak absurdalna, że roześmiała się z ulgą; jej śmiech go uradował, gdyż wymazał wiele minionych tygodni i przeniósł go w czasie do pokoju, w którym spotkali się po raz pierwszy.

– Chodźmy, pani Seaborne – zaproponował. – Mam ci tyle do powiedzenia.

I zamiast czuć się stłamszona bądź zbesztana, Cora poczuła, że spadł z niej cały ciężar ostatnich dni. Szli szybko, równym krokiem. Zostawili za sobą wioskę i słoną bryzę znad ujścia, minęli kościół Wszystkich Świętych i żadne z nich nie odwróciło wzroku, ponieważ wspólny wieczorny spacer nie wydawał im się niczym niestosownym.

Oboje zgromadzili tyle anegdot, skarg, niewiarygodnych opowieści i niedopracowanych teorii, że cała godzina upłynęła im na nieprzerwanej rozmowie. Jedno przyglądało się drugiemu i rozpoznawało wszystkie zapamiętane gesty, nadużywane wyrażenia, skłonność do przesady bądź zatajania, nagle zwroty w stronę czegoś nowego, za czym drugie z nich z radością podążało. Byli sobą zachwyceni, dokładnie tak jak od ich pierwszego spotkania – nie uważali, że to nieprzyzwoite tak dużo się uśmiechać i tak chętnie wybuchać śmiechem, podczas gdy Stella tonie w błękitnych poduszkach, podnosi strzępek bawełny do ust i odsuwa go poplamiony krwią, a w Colchester Luke Garrett czuje, że traci grunt pod nogami. To, że jedno z nich zdradziło drugie, zostało nie tyle przebaczone, ile zapomniane; zasklepili się, byli nienaruszalni.

– Tyle hałasu, a potwór okazał się tylko zdechłą rybą! – zaczęła Cora. – Koniec gadania o Wężu z Essex, jego skrzydłach i dziobie! Nigdy nie czułam się tak głupio. Pojechałam do czytelnicy (miałam cień nadziei spotkać tam ciebie) i odrobiłam pracę domową, jak przystało na grzeczną uczennicę: odkryłam wstęgora królewskiego, którego trzydzieści lat temu morze wyrzuciło na brzeg

na Bermudach, i przeczytałam, że kiedy te ryby umierają, trzymają się blisko powierzchni wody; muszę przeprosić Mary Anning za ośmieszenie jej płci i profesji.

– Ale za to jaka to była ryba – odparł Will i opisał, jak jej błyszczący brzuch pękł i jego odrażająca zawartość wylała się na kamienie.

Kiedy rozmawiali o Stelli, Cora odwróciła twarz; już raz płakała w obecności Willa i postanowiła więcej tego nie robić.

– Zażyczyła sobie, żeby jej pokazać szkiełko z mikroskopu – opowiadał Will, myśląc o odwadze żony. – Spojrzała na to, co wyszło z jej ciała, a była w tym zapisana śmierć, lecz ona zniosła to lepiej niż ja. Myślę, że wiedziała od wielu miesięcy. Widziała to wszystko wcześniej.

– Jest kobietą, której świat nie rozumie; ludzie myślą, że skoro jest taka ładna i dobrze ubrana, plotkuje i dużo mówi, to jest tylko nakręcaną zabawką, tancerką, która kręci się w kółko, ja jednak wiedziałam od pierwszego jej listu, że ma bystry umysł i nic jej nie umyka, nawet teraz.

– A teraz jeszcze mniej niż dotąd, choć coś się zmieniło.

Doszli do granicy lasu; ścieżka była tu węższa, krzaki czepiały się ubrań, a na dębach zebrały się kawki. Owoce gnęły na gałęziach, bo podczas miesięcy przepełnionych strachem przed Kłopotem nikt nie miał ochoty spacerować samotnie z koszykiem.

– Coś się zmieniło; mówiono mi wprawdzie, że nastąpią zmiany, ale czegoś takiego nie oczekiwałem. Oczywiście zawsze była wierząca, inaczej bym się z nią nie ożenił... wyglądasz na oburzoną! Jak mógłbym oczekiwać od kobiety, iż zaakceptuje to, że jestem zajęty w każdą niedzielę i jeszcze przez pół tygodnia, gdyby nie służyła temu samemu Bogu? Tak, miała wiarę, ale nie taką. Jej wiara była... – szukał odpowiedniego słowa – ...była grzeczna. Rozumiesz? A ta obecna jest inna, krępuje mnie. Ona śpiewa. Budzę się w nocy i słyszę śpiew dobiegający z jej pokoju. Wąż z Essex pomieszał jej się z opowieściami z Biblii, i ona chyba nie wierzy, że potwora już nie ma.

– Mówisz bardziej jak urzędnik niż pastor! Nie uważasz, że te kobiety, które poszły do grobu, zapomniałam, jak się nazywały, też takie były? Oślepione chwałą, na poły martwe. Pragnęły tylko, żeby ten krótki czas dobiegł jak najszybciej końca. Nie, nie kpię z ciebie i Bóg mi świadkiem, że nigdy nie

zakpię z niej. Lecz jeśli obstajesz przy swej wierze, powinieneś przynajmniej uznać, że wiara to dziwna rzecz i że ma mało wspólnego z wyprasowaną sutanną i porządkiem nabożeństwa. – Zauważyła, że jej ekscytacja rośnie; zapomniała już, jak łatwo wpadali w rozdrażnienie, i rozważała nawet porzucenie tematu i powrót na bezpieczny grunt, lecz było na to jeszcze za wcześnie. – Widzę jednak – dodała i złagodziła ton – oczywiście, że widzę: nic nie martwi nas tak bardzo, jak zmiana w tych, których kochamy. Mam taki powracający koszmar senny, mówiłam ci o nim wiele razy, że pewnego dnia wracam do domu i zastaję Marthę i Francisa; patrzą na mnie, unoszą dłonie do twarzy i ściągają je, a pod nimi jest bezbrzeżna nienawiść... – Zadrżała. – Lecz ona wciąż jest twoją Stellą, Gwiazdą Morza. „Miłość to nie miłość, jeśli, zmienny świat naśladując, sama się odmieni!”<sup>[11]</sup>. Co zrobisz? Jaką kurację zalecają lekarze?

Opowiedział jej o pełnym niepokoju popołudniu w szpitalu, o miłym doktorze Butlerze z jednej strony i sardonicznym Luke’u z drugiej; o tym, jak sama postawiła sobie diagnozę i z jakim spokojem przyjęła zalecenia lekarzy.

– Doktor Butler jest ostrożny, chce ją jeszcze raz zobaczyć i dać jej tuberkulinę, która jest najnowszym odkryciem.

– A Luke?

Nadal nie potrafiła wypowiedzieć tego imienia i nie zarumieniła się ze wstydu.

Will mógłby, choć z trudem, wybaczyć Skrzatowi, skoro jednak jego wiara nie nakazywała odczuwać sympatii do winowajców, odparł tylko:

– Wybacz mi, lecz prawda jest taka: cieszę się, że nie może operować. Chciał doprowadzić do zapadnięcia się jednego płuca, żeby wyleczyć drugie! Nie zrozum mnie źle: bardzo mi przykro z powodu jego obrażeń, lecz nie umiem myśleć o niczym poza Stellą i jej dobrem i tylko to się teraz liczy.

Następnie zaczerwienił się, jak gdyby przyłapany na kłamstwie: tylko to się liczy, powiedział – i tak powinno być! Tak powinno być!

– A co na to Stella? – Cora poczuła coś na kształt zazdrości; jak to jest być kochaną tak bez reszty?

– Mówi, że Chrystus przybywa zebrać swoje klejnoty i że jest gotowa – odparł Will. – Myślę, że wszystko jej jedno, co się stanie. Czasami mówi, jakby

w przyszłym roku o tej porze miała się wdrapywać z Jamesem na Dąb Zdrajcy, a czasami znajduję ją leżącą z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach, jak gdyby już spoczywała w trumnie. I błękit, wszędzie błękit: wysyła mnie po fiołki, a kiedy jej mówię, że teraz nie sezon na fiołki, niemal płacze ze złości!

A potem powiedział jej – nieśmiało, ze wstydem – o swoim pakcie z Bogiem i o tym, że był gotów oddać żonę w ręce Luke'a, na łaskę jego igieł i noży, gdyby znaki wydały mu się pomyślne.

– Kiedy nadeszły wieści o tym, co spotkało Garretta, może nie od razu wziąłem je za znak. Co innego Stella: widać było, że odczuła ulgę; powiedziała mi, że zgodziłaby się na operację, gdybym uważał, że to najlepsze wyjście, woli jednak oddać się w ręce Boga. Czasami myślę, że ona chce już nas opuścić, że chce ode mnie uciec!

Cora udała, że nie patrzy na przyjaciela, któremu tak rzadko zdarzało się nie panować nad emocjami; poczuła się zbита z tropu i powiedziała:

– Pamiętam, kiedy Michael zachorował. Jedliśmy śniadanie, a on nie mógł przełknąć jedzenia. Zesztywniał, poczerwieniał, pociągnął za obrus, a potem zaczął uderzać się w gardło; on nigdy nie panikował ani nie opuszczał gardy, od razu więc wiedzieliśmy, że coś jest naprawdę nie tak. Dokładnie w tamtej chwili do domu wleciał ptak. Nigdy nie byłam przesądna, lecz przez chwilę przypomniało mi się to wierzenie, że ptak w pomieszczeniu jest zapowiedzią śmierci. Serce zabiło mi mocniej, siedziałam i patrzyłam, jak się dławi... Potem oczywiście odzyskałam rozsądek, daliśmy mu wody, wymiotował, a niedługo później pojawiła się krew w stolcu i wezwaliśmy Luke'a. Zobaczyłam go wtedy po raz pierwszy i prawdę mówiąc, trochę się go bałam; czy to nie dziwne, że kiedy w naszych progach pojawia się ktoś nieznamy, nie wiadomo, kim może się dla nas stać... Och! – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, do czego zmierzałam. Nie wiem, czemu porównuję go do Stelli; równie dobrze mogliby należeć do różnych gatunków! Chodzi tylko o to, jak nas to wszystko zaskakuje.

Machnęła ramionami, a on poczuł wdzięczność: miała taki dziwny zwyczaj, budowała porozumienie, choć głęboko nie zgadzała się ze wszystkim, co znał i cenił.

Wieczór nadszedł szybko, a różowawe słońce skryło się za warstwą czarnych chmur. Tylko pnie buków i kasztanów były jeszcze oświetlone, reszta zanurzyła się w ciemności: zdawało się, że rzędy kolumn z brązu dźwigają gruby czarny

baldachim. Zbliżyli się do podnóża niewielkiego wzniesienia. Ścieżkę przecinały korzenie tworzące szerokie, acz płytkie stopnie schodów. Wszędzie rósł mech i układał się w intensywnie zielony dywan. Mimo rozmów i radości ze spotkania wciąż nie było między nimi tej bliskości, która przepełniała listy, gdzie ciągle pisali „ja” i „Ty”; kiedy jednak weszli w las, łatwiej było zbliżyć się do sedna sprawy – aczkolwiek nieśmiało i małymi krokami.

– Ucieszyłem się, kiedy napisałaś – powiedział niepewnie. – Miałem zły dzień, a potem ty zjawiałaś się w drzwiach.

– Cieszę się, że pokonałam swoją dumę. – Postawiła stopę na zielonym stopniu, zatrzymała się i dodała: – Byłeś tak rozgniewany tym, że pozwoliłam Luke’owi spróbować sztuczek na Joannie. Nigdy mi nie przeszkadzało, że ktoś się na mnie gniewa, jeśli czymś zawiniłam, ale wydawało mi się, że w tym wypadku na to nie zasługiwałam. Chciałam tylko pomóc! Gdybyś tylko widział to, co ja widziałam, te roześmiane dziewczynki, to, jak kręciły głowami w tę i z powrotem...

Niecierpliwie potrząsnął głową.

– To już nie ma znaczenia. Po co się teraz w to zagłębiać? – Po czym zaśmiał się i dodał: – Zawsze lubiłem się z tobą sprzeczać, lecz nie o rzeczy naprawdę ważne.

– Tylko o kwestie dobra i zła...

– Dokładnie. Spójrz, jesteśmy w katedrze.

Wysoko nad głowami drzewa pochylały się, tworząc łuk tęczy; gałąź pobliskiego dębu złamała się i pozostawiła zadaszoną wnękę nad głęboką półką.

– Wygląda to, jakby Cromwell wziął młotek i dłuto i zamierzył się na świątką.

– Widziałam, że przynajmniej pozbyłeś się węża ze swojego kościoła – powiedziała Cora. – Weszłam tam od razu po przyjeździe i zobaczyłam tylko kilka łusek; co się stało, że straciłeś cierpliwość?

Will przypomniał sobie tę wstydliwą chwilę na mokradłach w połowie lata, kiedy zostawił ich wszystkich w tyle. Zakasłał i odparł:

– Joanna natarłaby mi uszu, gdyby na czas nie przyszła wieść o Cracknellu. Spójrz: tyle kasztanów i ani śladu dzieci.

Schylił się, żeby podnieść jeden, i podał jej, zapakowany w zieloną łupinę.

Włożyła czubek palca w szczelinę, rozwarła owoc i znalazła kasztan na jedwabnej poduszeczce.

– Byłem rozzłoszczony – dodał. – To wszystko. Teraz, kiedy już nie ma kłopotu, prawie nie pamiętam, jak to było, kiedy ludzie siedzieli w domach i nie słyszało się dzieci bawiących się na dworze, i kiedy nic, co mówiłem, nie przekonywało ich, że to, czego się boją, tkwi w nich samych.

– Poczułam to w wiosce, jak tylko przyjechałam – zgodziła się Cora. – Zmianę atmosfery. Usłyszałam, jak śpiewa szkolny chór, i dopiero w domu przypomniało mi się, jak tamtego dnia dzieci śmiały się i śmiały, i coś poszło nie tak. Pomyśleć tylko, że kiedy tu przyjechałam po raz pierwszy, rzadko widziało się kogokolwiek na błoniach, a ja się obawiałam, że ludzie będą na mnie patrzeć podejrzliwie, jak gdyby to wszystko była moja wina! Jak gdyby to miało ze mną coś wspólnego!

– Czasami myślę, że miało – powiedział Will, opuścił ręce i kopnął mech. Spojrzał na nią karcącym wzrokiem, co tylko na poły było żartem.

Roześmiała się i odparła:

– Kłopot to nie moja sprawa, choć rzeczywiście raczej nie pomogłam, a tylko wszystko zagmatwałam. To, co napisałeś w liście, że wyczerpałeś zapas nowości, zrozumiałam wtedy jako zarzut, że wszystko niszczę. Wprosiłam się tu na siłę. Równie dobrze mogłam stłuc okno! Wyobraź sobie, że powiedziałaś, iż powinniśmy do siebie pisać, mimo że nasze domy dzieliło ledwie pół mili! A wszystko dlatego, że raz rozmawialiśmy...

– Była też sprawa owcy – odparł Will.

– Tak, w istocie.

Spojrzeli na siebie z uczuciem ulgi, że udało im się przejść nad pęknięciem otwierającym się na ścieżce przed nimi. Jednak szczelina się poszerzyła, a oni się potknęli. Will powiedział:

– Moje okna już były potłuczone. Nie, ja zostawiłem je uchylone. A dlaczego? Dlaczego, kiedy miałem wszystko, czego mężczyzna może sobie życzyć, zobaczyłem ciebie, i odtąd już zawsze byłem ci rad...

– Mnie to nie dziwi. – Wyjęła kasztan z łupinki i obracała go w dłoniach. – Naprawdę sądziłeś, że jeśli kochasz tutaj, nie możesz kochać tam? Biedny Will, biedny chłopczyk. Naprawdę sądziłeś, że tak mało możesz dać? Słuchaj, mam

go ugotować, upiec czy zamarynować w occie?

– To jak mówić do dziecka – odparł, poirytowany. – Wiem, co o mnie myślisz, w tajemnicy, nawet przed sobą: że jestem odurzonym wiarą półgłówkiem, o całe mile za tobą, bo ty jesteś po prostu daleko bardziej rozwiniętym bytem.

Przyjrzała mu się ponuro, lecz (pomyślał) nie bez rozbawienia, ledwo widocznego w kącikach ust, co sprawiło, że podsumował swoją wypowiedź okrutniej, niż zamierzał:

– Spójrz na siebie! Którąkolwiek Corą jesteś, tą w jedwabiu i diamentach czy tą w ubraniach, które nawet Cracknell by wyrzucił; tą, która zawsze się z nas śmieje, czy też tą, która przyrzeka miłość każdemu, kto chce słuchać: zawsze odgradzasz się murem, bo wiesz równie dobrze jak ja, że przeżyłaś młodość, nie zaznając miłości, jaka ci się należała...

– Przestań – odparowała Cora. Bliskość, której tak szukała w listach, była nie do zniesienia tutaj, pod czarnym baldachimem drzew; chciała znaleźć się z powrotem na bezpiecznym terytorium atramentu i papieru, a nie tu, gdzie się czerwieniła i gdzie zdawało się jej, że czuje pod słodkim aromatem odległego ogniska zapach jego ciała. Nieprzyzwoite było to (wypadał najlepiej, zamknięty w zalakowanej kopercie), że był tak bezsprzecznie mężczyzną z krwi i kości, co sprawiało, iż nie mogła zignorować pulsu tętniącego w szyi.

– Stój – powiedziała. – Wracaj, nie walcz ze mną. Czy nie mamy już tego dość?

Nieco zawstydzony ukucnął pod drzewem, zaczął zbierać kasztany i podawał jej po jednym.

– Chciałabym, żebyśmy byli dziećmi! – wyrzuciła z siebie Cora. Zamknęła palce na kasztanach i wspominała, jakimi kiedyś były skarbami, jak napawały dumą i stanowiły walutę w dziecięcych zabawach. Podeszła bliżej, usiadła obok niego na mchu. – Dlaczego nie możemy być dziećmi i bawić się ze sobą...

– Bo nie jesteś niewinna! – odparł Will. Oboje mieli przyprawiające o zawrót głowy uczucie, jak gdyby słowa wystrzeliły ich w powietrze, a oni jeszcze nie spadli. – Nie jesteś niewinna, ja też nie. Tylko się bawisz w niewinność. Odstraszasz mnie... – Pociągnął za rękaw jej płaszcza, niezbyt delikatnie. – Myślisz, że jeśli włożysz męski płaszcz, to może zapomnę, kim jesteś?

– A ty myślisz, że robię to dla ciebie? – zapytała. – Zapominam, że jestem kobietą. Odkładam to na bok. Bóg mi świadkiem, że żadna ze mnie matka, jako żona też zawsze czułam się nie na miejscu... Uważasz, że powinnam się torturować i wkładać wysokie obcasy, zakrywać piegi, żeby łatwiej ci było się przede mną bronić?

– Nie. Myślę, że bronisz się przed sobą; powiedziałaś mi kiedyś, że chciałabyś być tylko umysłem, niematerialnym, nie niepokojonym potrzebami ciała...

– Tak, chciałabym, tak! Zdradziło mnie, nie znoszę go! Nie żyję w nim, żyję tutaj, w umyśle i w słowach...

– Tak – odparł – tak, wiem, tak; lecz jesteś także tutaj. – I rozchyliwszy połę jej płaszcza, pociągnął za bluzkę, tam gdzie chowała się w spódnicy, dokładnie w miejscu, którego wtedy dotknął i poczuł się pohańbiony. Tym razem hańba zachowywała dystans i wydawało się teraz czymś wręcz obscenicznym trzymać się od Cory z daleka – skoro poznał już każdy zakamarek jej umysłu, każdy zakręt myśli, jakże mógłby nie zaznajomić się z patyną jej skóry, z jej zapachem i smakiem? Nie dotknąć jej teraz byłoby pogwałceniem naturalnego prawa. W gęstniejącej ciemności oparła się o miękkie zielone schody i bez zaskoczenia patrzyła mu w oczy, rzucając wyzwanie: uniósł jej bluzkę i pomiędzy czarną tkaniną różnych części garderoby odnalazł miękkie brzuch, blady, ze srebrnymi liniami, które wykreślił jej syn; pocałował raz i nie mógł przestać, a ona skręcała się z rozkoszy.

Słońce zeszło niżej – las zamknął się wokół nich – miedziane pnie drzew pokryły się patyną. Złocona świątynia zniknęła, zastąpił ją zapach gnijących liści, długiej trawy i jabłek, które strącił wiatr i teraz psuły się na ścieżce. Napotkała jego wzrok, jak zawsze odważnie, i poczuła, że pędzi ku niemu niczym wzburzona rzeka.

– Proszę – powiedziała, szarpiąc za spódnicę. – Proszę.

Dla niego było to jak rozkaz. Znalazł ją bez trudu, wsunął dłoń i poruszał się w niej. Jej jasna głowa opadła; milczała. Pokazał jej dłoń – błyszczała – i włożył palec do ust – swoich, potem jej – i podzielili się po równo.



Nieco później tej samej nocy, zaledwie pięć mil dalej, Luke Garrett szedł samotnie wzdłuż bielejących skoszonych pól jęczmienia. Uparł się, że dojdzie do rzeki Colne, i wyruszył w drogę w tej okrutnej godzinie przed świtem, kiedy nawet najłżejszy ciężar wydaje się nie do udźwignięcia, a perspektywa wschodu słońca jest nierealnie odległa.

Chociaż księżyc jeszcze nie zaszedł, brzask już musnął niebo na wschodzie i z pól podnosiła się mgła. Chwilami jej strzępy atakowały go podczas marszu, zostawiały mokry oddech na policzku i przepadały bez śladu jak westchnienia. Już jakiś czas temu stracił z oczu Colne i teraz nie wiedział, gdzie jest, i nie dbał o to; gdyby mógł, zostawiłby za sobą własną skórę. W oczach londyńczyka krajobraz Essex zdawał się jednostajny w swej dziwności: wszystkie zaorane pola były czarne, z wyjątkiem tych, gdzie zżęty jęczmień lśnił blado w poświacie zachodzącego księżyca; w niskich żywopłotach tętniło życie. Dęby w alejach – masywni wartownicy – miały na niego oko; był tu intruzem.

Doszedł do gęsto porośniętego trawą zbocza prowadzącego do wioski drzemiącej w kotlinie; roztaczał się stąd widok na okoliczne pagórki. Zatrzymał się i oparł o pień dębu. Z powodu choroby lub jakiegoś nieszczęśliwego zdarzenia drzewo przedwcześnie straciło liście i nawet w tak słabym świetle zobaczył wczepioną w gałęzie soczyście zieloną jemiołę. Może komuś innemu przywiodłaby ona na myśl bożonarodzeniowe pocałunki pod jej gałązkami, lecz on wiedział, że w istocie to pasożyt wysysający z żywiciela wszystko co dobre. Pomyślał, że zielone wiązki zwisające z nagich gałęzi wyglądają jak guzy na płucu.

Przystanąwszy na chwilę, poczuł różne rodzaje bólu: stopy, nienawykłe do marszów dłuższych niż mila w mieście, były poobcierane; bolało go spuchnięte kolano, którym uderzył o słupek, gdy się potknął – szpetnie przy tym zaklął. Co gorsza, pozwolił, aby jego ranna dłoń zwisała luźno, więc zbierająca się w niej krew pulsowała w gojącej się ranie. W miejscu, gdzie nóż i skalpel rozcięły dłoń, skóra wyglądała jak wąskie, zszyte ze sobą wargi.

– „Raz człowiek całkiem pokrzywiony – powiedział – pokonał pokrzywioną miłą”.

Ból jednakże wcale mu nie przeszkadzał, przeciwnie – odciągał myśli od miażdżącego go nieszczęścia, które towarzyszyło mu, odkąd wrócił z Londynu z bezużyteczną dłonią i listem Cory w kieszeni. „Jak mogłeś?”, napisała, a on poczuł jej gniew i zrozumiał: jak mógł? „Nie posiadaj niczego, co nie jest piękne lub użyteczne”, powiedziała mu kiedyś, a on nie należał do żadnej z tych kategorii. Przysadziste, patrzące wilkiem stworzenie, coś pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, a teraz (włożył kciuk lewej dłoni do wnętrza prawej i aż zatoczył się z bólu) na dodatek bezużyteczne.

Odkąd został zraniony, budził się co noc zlany potem, który zbierał się nad obojczykami i zraszał poduszkę. „Bezużyteczny” – powtarzał i okładał się pięścią po skroniach, aż zaczynała go boleć głowa – „bezużyteczny, bezużyteczny”. Wszystko, co nadawało jego życiu sens, odebrano mu w parę godzin.

Czasami budził się i o niczym nie pamiętał. Przez parę chwil świat stał przed nim otworem: zeszyty i modele serca z komorami i wielkimi naczyniami, list od Edwarda Burtona z początku rekonwalescencji, a obok koperta, do której Cora włożyła kamień z objaśnieniem skreślonym jej uczniowskim charakterem pisma. Potem jednak przypominał sobie i widział, że to wszystko fałsz, jak teatralne dekoracje, i na jego życie opadała czarna kurtyna. To, co czuł, nie było melancholią – tę być może chętnie by przywitał, gdyż mógł sobie wyobrazić pewną przyjemność w słabnącym smutku, który szukał towarzystwa na parkowych ławkach. On jednak miotał się między gorzką furią a dziwnym odrętwieniem, co zredukowało wachlarz jego emocji do wzruszenia ramion.

Nadchodził świt, a on siedział pod dębem i w końcu znalazł spokój. *Skoro jestem bezużyteczny – pomyślał – to czy nie mogę zrobić ze sobą porządku?* Nie miał obowiązku żyć dalej – żadnego przymusu, aby przejść choćby jeszcze jeden jard. Nie było Boga, który mógłby go potępić lub pocieszać – odpowiadał tylko przed własnym rozumem.

Na wschodzie koralowe światło rozjaśniło nisko wiszące chmury. Luke wyliczył powody, dla których warto żyć, i każdy z nich uznał za niewystarczający. Kiedyś ambicja dała mu siłę, żeby pokonać ubóstwo i upokorzenie, ale dziś należała do przeszłości. Jego umysł stał się odrętwiały

i powolny, a poza tym jakież z niego pożytek, jeśli się ma zmasakrowaną dłoń? Kiedyś mógł pozwolić, by żywiła go miłość do Cory, lecz i to stracił. Jej złość nie zgasiła jego miłości – bynajmniej – lecz zmieniła ją w coś potajemnego, sekretnego, czego się wstydził. Czy ona by go opłakiwała? Przypuszczał, że tak, i wyobraził sobie, jak wkłada jedną z tych czarnych sukni, w których jej skóra wyglądała tak blado. Wyobraził też sobie, jak William Ransome podnosi wzrok znad swoich książek i widzi ją na progu, z rozchyłonymi ustami i łzą lśniąca na policzku – och, na pewno by go opłakiwała, w końcu była w tym świetna.

Ujrzał też rozpacz swej matki; cóż, jak dotąd nie postawiła jego zdjęcia na kominku – może sprawiłoby jej przyjemność szukanie na targu przecenionej srebrnej ramki i włożenie za szkło czarnego pukla jego włosów z dzieciństwa. Była też, oczywiście, Martha – myśl o niej wywołała coś na kształt uśmiechu: to, co zrobili w noc świętojańską, obojgu sprawiło rozkosz, choć był to tylko marny substytut. *Ależ bałagan* – pomyślał – *ależ robimy bałagan*. Jeśli miłość jest łucznikiem, to ktoś chyba wydlubał mu oczy, a on kuśtykał dalej, strzelał na oślep i nigdy nie trafiał do celu.

Nie, nie widział powodów, by żyć – niech kurtyna opadnie, gdy on tak zdecyduje. Podniósł wzrok na gałęzie dębu i uznał, że nadadzą się na szubienicę.

A więc jeszcze chwila na ziemi, wśród podnoszących się mgieł – skoro nie ma piekła, którego trzeba się strzec, ani nieba, na które można by zasłużyć, skończy ze sobą tutaj i teraz, z gliną z Essex pod paznokciami i powietrzem poranka w płucach. Wziął oddech i poczuł wszystkie pory roku: wiosenną zielenią traw, zakwitającą gdzieś dziką różę, tajemniczy zapach grzyba porastającego dąb, a pod tym wszystkim coś ostrzejszego, jak ukryta obietnica zimy.

Pojawiła się lisica, jej oczy rozbłysły jak lampy uliczne, kiedy na niego spojrzała. Potem cofnęła się, usiadła i patrzyła przez chwilę z uwagą. Przechyliła głowę – rozważyła obecność intruza na swoim terytorium – uznała, że może zostać, i straciła zainteresowanie. Potarła nosem białe futerko na piersi. Następnie głód napełnił ją radością i energią, ruszyła więc w dół zbocza krótkimi susami – czasami wywąchiwała coś w trawie, przebierała wtedy zgiętymi przednimi łapami – i zniknęła za pagórkiem, z jasnym ogonem wysoko w górze. Luke poczuł do niej taką miłość, że chciał krzyczeć, i pojął, że

żaden człowiek nie miał lepszego pożegnania.

Kiedy Luke wybierał sobie szubienicę wśród dębów, Banks siedział przy ognisku na kamienistej plaży, blisko kości Lewiatana, i robił wpis w dzienniku: „Widoczność słaba; wiatr północno-wschodni; przyływ 6.23”. Choć Banks na własne oczy widział wielką srebrną rybę wyrzuconą na słone mokradła oraz to, co wypadło z jej wnętrza, wiedział – z pewnością, która zaczęła wymazywać wszystkie inne przekonania – że Węża z Essex wcale nie znaleziono. Jak mogło być inaczej, skoro Banks budził się co noc, czuł jego oddech na policzku i spodziewał się, że lada chwila ocknie się w uścisku mokrych czarnych skrzydeł? Kiedy całe Aldwinter świętowało, wytaczało beczki cydru i wypijało je do dna, on siedział na uboczu sam i rozmyślał o córce i jej włosach barwy koralu.

– Całkiem sama z całym złodem, który niesie morze – mówił – i naznaczona przez Węża.

Tam przecież coś było – widział to i zapamiętał – czarne, miejscami pomarszczone, ciągle głodne. Topił smutki w tanim ginie; tak odpędzał złe obrazy, które atakowały go nocą, lecz tutaj, kiedy siedział naprzeciwko wzbierającej fali, obrazy wracały ze zdwojoną siłą: w toni Blackwater wąż o płaskim pysku łypał złowrogo i wyciągał szponiastą łapę po jego córkę, która ugrzęzła na płyciźnie.

– Zrobiłem, co mogłem, żeby ją trzymać z dala od wody – powiedział Banks, któremu zbierało się na płacz. Rozglądał się za świadkiem, lecz nikogo nie znalazł: urodziła się w czepku, ta Naomi, i zabiła matkę przy porodzie; i jak zrobiłby każdy dobry żeglarz, Banks włożył kawałek czepka do cynowego medalionu, który ona nosiła codziennie dla odstraszenia złych wodnych duchów. – Zrobiłem, co mogłem – powtórzył; i podniosła się mgła, i snuła się przy ognisku.

Wyjął z kieszeni butelkę i wypił do dna; gin palił gardło i Banks kasłał, zgięty wpół, a kiedy podniósł głowę, zobaczył, że zza płomieni przygląda mu się ze spokojem czarnowłosa syn tej kobiety z Londynu, która zadaje się

z pastorem.

– Nie za wcześnie dla ciebie? – zapytał. Chłopiec zawsze go niepokoił, przez ten natarczywy wzrok i zwyczaj ciągłego poklepywania się po kieszeniach. Skoro bestia chciała porwać jakieś dziecko, powinna wybrać jego. Na widok chłopca Banksowi jeżyły się włosy na karku, a widział też pewnego razu, jak mały ukradł w wiejskim sklepie pięć niebieskich cukierków!

– A czy pora nie jest ta sama dla pana i dla mnie? – zapytał Francis Seaborne.  
– Widział go pan?

– O czym ty gadasz? Czego chcesz? – odparł Banks, zdecydowany zaprzeczyć istnieniu węża. – Nic tam nie ma, chłopcze, nic do oglądania.

– Nie sędzę, żeby pan tak myślał – stwierdził Francis i podszedł bliżej. – Bo gdyby tak było, po co siedziałby pan tutaj i pisał w swojej książce? To wydaje się logiczne.

– Słaba widoczność – wyjaśnił Banks, wymachując dziennikiem przed chłopcem. – I cały czas się pogarsza; ledwo ciebie widzę, a co powiedzieć o Blackwater.

– A ja widzę – powiedział chłopiec i wyjął rękę z kieszeni, żeby pokazać na wschód, gdzie mgła zgromadziła się nad słonym mokradłem. – Mam dobry wzrok. Tam. Nie widzi pan?

– Gdzie twoja matka? Nie trzyma cię w domu? Zostań tam, dobrze?... No, gdzie cię niesie?

Francis odszedł od ognia i zanurzył się w białym powietrzu, i przez chwilę Banks znowu został sam; potem po jego lewej stronie, dość blisko, zjawiała się szczupła postać i zapytała ponownie:

– No to widział go pan? Nie słyszał pan, jak pytałem?

– Nie, nie, tam nic nie ma – odparł Banks, wstał i kopnął kamyk, który przeleciał nad ogniskiem. – Nic tam nie ma, a ja idę do domu. Nie łap mnie za rękę! Tylko jedno dziecko ją trzymało, ale je straciłem, moja córka zaginęła i już nie wróci.

Zimna dłoń chłopca miała siłę nieproporcjonalną do drobnych palców; chłopak szarpał się z Banksem i próbował przyciągnąć go bliżej wzbierającej wody.

– Niech pan wyteży wzrok, nie widzi pan?

Banks wyrwał mu się; nie przestraszył się tego, co mogło się kryć na błotnistym brzegu, lecz chłopca, który wpatrywał się w niego nieustępliwie.

– Idę teraz do domu – powiedział i odwrócił się, by odejść. Wtedy właśnie usłyszeli, że gdzieś w pobliżu coś się poruszyło. Był to dziwny, niski, przytłumiony dźwięk, rozchodzący się głucho w gęstniejącej mgle – przypominał odgłos powolnego przeżuwania, choć tak mogło też hałasować zwierzę próbujące wygramolić się na brzeg. Następnie usłyszeli jęk – dość wysoki ton, pod koniec podobny do kwiku – i gęstą białą mgłą rozproszył wiatr. Banks dojrzał kontur czegoś ciemnego, garbatego, miejscami gładkiego i lśniącego, miejscami nierównego i chropowatego. Poruszyło się na kamieniach i znów usłyszeli jęk; Banks zawołał chłopca, ale mgła spowiła go bladym całunem i już nic nie widział. Ciągnęło go w stronę dogasającego ogniska, pobiegł więc, potykając się po drodze o kępy traw i grzęznąc w błocie; raz upadł i poczuł, jak jego rzepka przesuwana się pod skórą. Później pokuśtykał do domu. Po drodze, mimo przerażenia, poprawił mu się nastrój. *Miałem rację, tak, miałem rację!* – myślał.

Francis tymczasem pozostał na posterunku. Przyjął, że się boi, gdyż miał spocone dłonie i przyśpieszony oddech, lecz uznał, że to nie powód, by brać nogi za pas. Rzadko myślał o Corze – nie dlatego, że nią gardził, lecz dlatego, że była w jego życiu czymś stałym, więc nie miał powodu, by zawracać nią sobie głowę. A jednak teraz o niej pomyślał – o tym, jak często pochylała się nad fragmentem skały i szkicowała go; o tym, jak przywoływała go do siebie i wymieniała nazwy minerałów, które znalazła. Może on też mógłby zrobić to samo, tutaj, lub coś podobnego: zaobserwować fenomen z bliska, sporządzić raport, po czym go jej pokazać. Pomysł sprawił mu satysfakcję. Szedł dalej; za bladą, mleczną zasłoną świeciło słońce, a mgła rzedła coraz bardziej. Muł się złocił, woda w strumieniu biegła w stronę kamienistej plaży; znów usłyszał szuranie i tarcie, a w odległości kilku jardów zamajaczył ciemny kształt. Poruszał się tak powoli, jak gdyby dokładnie w tym momencie formował się z niebytu. Ze wschodu nadszedł powiew, rozgonił mgłę i nastąpiła chwila jasności, w której chłopiec wyraźnie zobaczył, co woda wyrzuciła na brzeg.

Zrobił przegląd uczuć tak dokładnie, jak gdyby porządkował swoje skarby: najpierw odczuł ulgę, oddech zwolnił, a serce przestało bić jak oszalone, potem nadeszło rozczarowanie, a natychmiast po nim rozbawienie. Śmiech zgromadził

się w nim jak bąbelki i nie dało się go powstrzymać; musiał go przeczekać jak atak kaszlu lub torsje. Po chwili ustał, a Francis znów był sobą, wycierał oczy w rękaw i głowił się, co robić dalej. To coś, co dostrzegł, znów zniknęło – skryło się za mgłą lub zostało zabrane przez fale – najważniejsze więc, żeby zdecydować, jaki będzie następny krok. Na pewno musi komuś powiedzieć – jego pierwsza myśl poszybowała ku Corze. Ale nie – nie powinien wychodzić z domu tak wcześnie rano – wyobraził sobie, że matka, zamiast słuchać jego relacji, będzie chciała mu wyjaśnić, że postąpił źle, a taki obrót spraw był dla niego nie do zniesienia. Następnie przypomniał sobie o Stelli Ransome, o odwiedzinach w jej błękitnej sypialni, o tym, że pozwoliła mu dotykać swoich skarbów i że świetnie rozumiała, dlaczego nosił w kieszeni powyginaną monetę, kawałek jaja mewy i miseczkę żołądzia. Tak często wywoływał u innych konsternację bądź prowokował podejrzliwość, że jej natychmiastowa sympatia zagwarantowała Stelli jego pełną lojalność. Powie jej, co widział, a ona powie mu, co robić.

Droga Pani Ransome

Chciałbym Pani o czymś powiedzieć. Czy mogę przyjść w dogodnym czasie.

Z poważaniem Francis Seaborne (Panicz)

PS Wkładam list pod drzwi, bo sprawa jest pilna.



Doktor Garrett znalazł gałąź, która powinna utrzymać przysadzistego mężczyznę. Wieszanie się będzie bez wątpienia nieprzyjemne: zdecydowanie wolałby upadek z wysoka i skręcony kark niż powolny ucisk na gardło; rozumiał jednak mechanizm, wiedział, że wysunie się język, rozluźnią się jelita, naczynia krwionośne utworzą szkarłatne pajęczyny na białkach oczu, a nigdy nie bał się rzeczy, które rozumiał. Zranioną dłonią pogmerał przy sprzączce paska (jakby to miało jakieś znaczenie, czy coś sobie jeszcze uszkodzi lub zerwie szwy!), a kiedy przewlekał pasek przez sprzączkę, żeby utworzyć pętlę, natrafił kciukiem na wyżłobiony w klamrze symbol. Wąż owinięty wokół laski, znak jego profesji: wysunięty język, wygrawerowany przez rzemieślnika, mrugające oko. Teraz był kpina – nie miał prawa go nosić – pomyśleć tylko, że kiedyś z dumą pokazywał ów znak bogów i bogiń! Co gorsza, klamra przywiodła mu na myśl Spencera – jego pociągłą, zaniepokojoną twarz, jego lojalność, to, jak zawsze śpieszył za nim, żeby zapobiec jakiejś katastrofie. Jak to możliwe, że kiedy siedział pod swoją szubienicą i wyliczał powody, dla których warto żyć, nie pomyślał o przyjacielu? Jego obecność była czymś stałym, pewnym, tak że w końcu prawie przestał ją zauważać. Znów przebiegł palcem po symbolu na klamrze, niezadowolony, że miesza mu szyki, i próbował również umniejszyć znaczenie Spencera. W końcu to dorosły człowiek, o kieszeniach tak głębokich, jak jego serce wielkie – trochę nudny przy pierwszym spotkaniu, lecz ogólnie lubiany; będzie tęsknił za Lukiem, lecz nie bardziej, niż gdyby ten wyjechał za granicę. Jednak Luke wiedział, że to nieprawda. Od czasu studiów, kiedy siedzieli w jednej ławce i rozcinali skórę amputowanych rąk, żeby obejrzeć kości i ścięgna, Spencer darzył go przyjaźnią stałą i niezawodną, uczuciem silniejszym niż to, które mógłby mu dać rodzony brat. Cierpliwie znosił wszystkie zniewagi i afronty (których było bez liku), pieniędzmi i dobrymi manierami łagodził gniew wykładowców i wierzycieli, dzięki jego cichemu poparciu Luke mógł stawiać kolejne kroki na drodze do upragnionego celu. Powoli zbudowali bliskość, jakiej żaden z nich nie zaznał

z którąkolwiek z kochanek; Luke pamiętał, jak kiedyś Spencer, wypiwszy za dużo wina, usnął z głową na jego ramieniu, a Luke nie poruszył się, żeby nie zbudzić przyjaciela, choć ramię mu zeszywniało i zaczęło boleć. Wyobraził go sobie teraz – jak się budzi w hotelu George – może ma na sobie tę niedorzeczną piżamę w paski, z monogramem na kieszeni (widzi jego wyraźnie przerzedzone jasne włosy) – i pewnie myśli najpierw o Marcie, a potem o przyjacielu w pokoju obok; wyobraził go sobie, ubranego zbyt starannie, jak schodzi cicho, żeby zjeść jajko na śniadanie, i zastanawia się, kiedy Luke się obudzi, jak się niepokoi i puka do jego drzwi. Czy poszedłby na policję, czy raczej szukałby go na własną rękę? Czy znalazłby powieszzonego przyjaciela, ze skórą za uchem zerwaną przez sprzączkę paska, i czy siłowałby się z gałęzią, żeby go zdjąć?

Nie – to nie do pomyślenia, żeby mógł wyrzucić taką krzywdę. Ale zarazem niesprawiedliwe – czy ma żyć dalej, niczym automat, tylko z powodu George’a Spencera? Jakież to upokarzające, że od stryczka nie uratuje go ani nadzieja na sławę w medycynie, ani zdobycie Cory, lecz że może go od niego wybawić po prostu przyjaciel. Jakież to upokarzające – kolejna porażka, i to u końca drogi! Spokój, który wcześniej czuł, rozpułnął się bez śladu, zastąpiony przez znajomą furię; na oślep chłostał trawę paskiem i wzniecał tumany kurzu, a za nim, w gałęziach dębu, coś się poruszyło, ujrzawszy słońce.

Krótko po południu Spencer stał w drzwiach hotelu George i załamywał ręce na widok podjeżdżającej dorożki. Woźnica otworzył drzwi i wyciągnął dłoń po pieniądze, i oto pojawił się Luke, ze zranioną dłonią przyciśniętą do piersi i zmierzwionymi włosami. Słuszny gniew Spencera zelżał, gdy ten zobaczył, że przyjaciel ma otarty policzek, jak po upadku, i że patrzy nieprzytomnie, błyskając białkami oczu.

– Mój Boże, coś ty zrobił?! – zapytał i wyciągnął rękę, żeby wprowadzić Luke’a do hotelu, ten jednak odepchnął ją jak nadąsane dziecko, precisnął się obok niego i wszedł do lobby.

Woźnica przeliczył monety.

– Gdzie on był? – zapytał Spencer. – Skąd pan przyjechał?

Mężczyzna nie odpowiedział, potrząsnął tylko głową i popukał się w czoło, jakby chciał powiedzieć, że jego pasażer to jakiś wariat.

Nad nimi ktoś trzasnął drzwiami tak, że zadzwoniły szyby, i Spencer udał się

na górę, pełen strachu i nadziei.

Luke stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Całe jego masywne ciało zeszywniało; Spencer wyobraził sobie, że upadnie na gołą podłogę i rozbije się na kawałki.

– Co się stało? – Podszedł bliżej. – Czy wszystko w porządku?

Kiedy przyjaciel odwrócił się do niego, Spencera zmroziło jego gorzkie spojrzenie.

– W porządku? – powtórzył Luke i zazgrzytał zębami; wyglądał prawie tak, jak gdyby miał się roześmiać. Następnie potrząsnął głową, chrząknął, zamierzył się lewą ręką na Spencera i uderzył go mocno w skroń, rozcinając skórę nad okiem.

Spencer się zatoczył, wpadł na brzydki kredens i zaklął; przed oczami wirowały mu gwiazdy, a za nimi Luke, wściekły i zrozpaczony, mówił:

– Gdyby nie ty, byłoby po wszystkim, wszystko byłoby już skończone. Boże, przestań tak na mnie patrzeć, nigdy cię tutaj nie chciałem...

Potem, jakby ktoś nagle przeciął linę, która trzymała go w pionie, zwałił się na zamknięte drzwi, osunął na podłogę i zwinął, podciągając kolana do piersi. Osłonił ciałem zabandażowaną dłoń; zamiast zwykłego, dobrego płaczu zaczął wydawać z siebie niskie, rytmiczne jęki, bardziej jak ranne zwierzę niż człowiek.

– Przykro mi – powiedział Spencer, nieco nieśmiało. – Nic z tego. Ja i tak sobie nie pójdę.

Po czym, przygotowany na kolejny cios, ostrożnie usiadł obok przyjaciela i zachowując angielski dystans, poklepał go po ramieniu. Po chwili zaczął je niezbyt delikatnie pocierać, jakby głaskał futro psa, który wraca do łask, i oświadczył:

– Nigdzie nie odchodzę. Wypłacz się, ja bym tak zrobił, potem zjemy śniadanie i poczujesz się lepiej.

Później, bardzo się rumieniąc, pocałował przyjaciela w przedziałek we włosach, powstał i dodał:

– Doprowadź się do porządku. Czekam na dole.

Stella Ransome  
Plebania kościoła Wszystkich Świętych  
22 września

Drogi Francisie,  
dziękuję za wiadomość. Nigdy nie widziałam ładniejszego charakteru pisma!  
Odwiedź mnie czym prędzej, jestem zawsze w domu i bardzo jestem ciekawa, co  
masz mi do powiedzenia.  
Jeśli przed naszym spotkaniem znajdziesz coś niebieskiego, przynieś mi, proszę.

Najserdeczniej,  
STELLA

Cora Seaborne  
Błonia 2  
Aldwinter  
22 września

Drogi Willu,  
jak długo zostałeś sam pod bukami, po ciemku? Czy kiedy wróciłeś do domu, mogłeś  
spać? Czy martwisz się – czy już masz poczucie winy? Jeśli możesz, trzymaj je na  
dystans. Ja nie czuję się winna.

Jest poranek i ciężka mgła, która przynosi do pokoju dziwne światło, a wraz z nim  
zapach ujścia rzeki – czasami myślę, że nigdy przed nim nie umknę, jakbym już się  
w nim utopiła. Mgła stoi tak blisko okna, że zdaje się, iż dom uniósł się w powietrze  
i zanurzył w chmurach.

Czy opowiadałam Ci o sadzie moich rodziców? Drzewa podparto na swego rodzaju  
drewnianych rusztowaniach, żeby w ten sposób nauczyć je rosnąć w równych  
rzędach. Pamiętam, że uważałam, iż torturami zmuszono je do przybrania  
nienaturalnych kształtów, i przez dwa lata odmawiałam jedzenia owoców z tych  
drzew.

Pamiętam też, jak pewnego popołudnia jadłam lunch. Musiałam być dzieckiem, bo  
widzę opadające na ramiona dwa długie, jasne warkocze, czyli takie, jakie nosiłam  
w dzieciństwie. Rzecz na pewno działa się wiosną, gdyż płatki kwiatów wpadały nam  
do filizanek i na talerze, a ja próbowałam pleść wianki. Tego dnia odwiedził nas  
mężczyzna, którego nazwiska nie pamiętam: jakiś znajomy ojca, pomarszczony  
człowiek o żółtawej skórze. Wyglądał jak jabłko, lecz takie, które leżało niejedzone

zbyt długo.

Polubił mnie, bo widział, że ciągle siedzę z nosem w książce. Całe popołudnie dzielił się ze mną ciekawostkami: że „szach-mat” pochodzi z sanskrytu i znaczy „król jest bezsilny”, i że Nelson nigdy nie uporał się z chorobą morską.

Najmocniej jednak wryła mi się w pamięć ta drobnostka. Zapytał: „Są słowa, które pisze się tak samo, i tak samo wymawia, lecz mają przeciwne znaczenie. Znasz jakieś?”. Nie znałam odpowiedzi, co oczywiście niezwykle go uradowało, i powiedział (z manierą magika, który wyciąga chusteczki z rękawa): DZIELIĆ. Dzielić coś z kimś, to być z tym kimś za sprawą tej rzeczy związanym, lecz dzielić znaczy też przeciąć coś, połamać lub pokawałkować.

Wczoraj w nocy to słowo przyszło do mnie z taką jasnością, jakbyś to Ty mi o nim powiedział kilka godzin wcześniej – to wspomnienie zmieszało się z obrazami majowego kwiecia, jabłek w trawie, żołądzi, które znaleźliśmy na ścieżce, i rozdarciem na szwie Twojej koszuli – nigdy nie umiałam nazwać w listach tego, co jest między nami, kiedy siedzimy razem w ciepłym pokoju lub gdy spacerujemy po lesie; nie wiem nawet, czy trzeba to nazywać, nawet teraz, gdy wciąż czuję Cię w sobie... lecz na razie to słowo jest najlepszym, na co mnie stać...

Dzielimy się sobą – coś nas dzieli – to, co mnie do ciebie ciągnie, jest zarazem tym, co mnie odpycha.

Przekazuję ten list przez Francisa; mówi, że musi o czymś powiedzieć Stelli. Ma dla niej upominki: niebieski bilet na omnibus z Colchester i biały kamyczek z błękitnym paskiem. Martha zaprowadzi go przez błonia i weźmie ze sobą słoik dżemu śliwkowego.

CORA

– Dobrze pani wygląda – powiedziała Martha, szczerze, acz z pewnym przestrachem, gdyż Stella Ransome wręcz płonęła od nadmiaru życia. – Nie przeszkadzamy? Frankie chciał przyjść i podobno ma dla pani prezenty. Cora posyła dżem, ale obawiam się, że nie zgęstniał. Zawsze jej taki wychodzi.

Stella siedziała na niebieskiej kanapie, owinięta w wiele koców. Widziała, jak idą przez błonia: najpierw światło latarni podskakiwało we mgle, potem zjawiły się dwie postaci obramowane światłem; przez chwilę myślała, że wzywają ją do domu, uznała jednak, że aniołowie raczej nie pukaliby do drzwi. A poza tym, czy czarnowłosy chłopiec nie napisał, że przyjdzie, aby jej coś powiedzieć?

– Dobrze się czuję – odparła. – Wiem, że moje serce bije szybko i mocno, a umysł otwiera się jak błękitny kwiat. Jestem na tej ziemi tylko przez chwilę i bardzo chcę żyć intensywnie! Frankie – ucieszyła się z odwiedzin chłopca – usiądź tutaj, przy oknie, żebym cię widziała. Nie za blisko; trochę ostatnio kaszlę, ale niezbyt mocno.

– Przyniosłem pani różne rzeczy – powiedział Francis. Przykucnął w bezpiecznej odległości i rozłożył przed sobą bilet, kamień z niebieskim paskiem i folię po cukierku w kolorze jaja rudzika. – Granat, turkus, ultramaryna – wymienił, po kolei dotykając przedmiotów. Potem włożył dłoń do drugiej kieszeni i wyjął białą kopertę. – I mam pani przekazać to: list do pani męża od mojej mamy.

– Turkus – zachwyciła się Stella. Zanotowała wszystko w pamięci. Turkus! Ultramaryna! Ten chłopiec nie przestaje jej zadziwiać. Dzieci wracają jutro. Czy one też rozumieją? Coś jej mówi, że nie. – Połóż skarby na parapecie, tam gdzie zrobiłam miejsce. Damy Williamowi jego list, ucieszy się. Tęsknił za nią, kiedy wyjechała.

Zwróciła wzrok ku Marcie, która zastanawiała się, co te oczy widziały, a czego nie.

– Czy on jest w domu? – zapytała zaciekawiona Martha. Cora wróciła do

domu późno wieczorem, odurzona, jakby piła, choć w jej oddechu nie czuć było alkoholu; powiedziała tylko: „Poszliśmy na tak długi, cudowny spacer”, a potem zwinęła się w fotelu i zasnęła, ledwie zamknęła oczy.

– Poszedł do ogrodu nakarmić Magog, o ile znajdzie ją w tej mgle. Jo przyjeżdża jutro, od razu do niej pójdzie i będzie chciała wiedzieć, co dostała na śniadanie i czy nadal tęskni za Cracknellem. Proszę go poszukać, a przy okazji dać mu list, dobrze?

Stella delikatnie puściła oko do Francisa, który w lot zrozumiał, że nowa przyjaciółka chce zostać z nim sam na sam, i zrobiło mu się ciepło na sercu.

– Muszę pani coś powiedzieć – zaczął, kiedy Martha wyszła. Stał dokładnie tam, gdzie poproszono go, by stanął, ani o cal bliżej, sztywno i prosto, z racji wagi wiadomości, którą przynosił.

– Tak, czekałam na ciebie – powiedziała Stella. *Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie!* – pomyślała. Jej dzieci będą tu lada chwila, tymczasem odwiedzał ją ten chłopiec; przytuliłaby go, gdyby mogła. Czasami patrzyła na swe ramiona i zdawało jej się, że każdym porem wylewa się miłość! – Co chcesz mi powiedzieć? Nie zabawię tu długo, więc nie zwlekaj.

– Byłem nieposłuszny wobec matki – odezwał się Francis dość ostrożnie. Nie uważał tego za grzech, lecz zorientował się już, że zwykle patrzy się na takie zachowanie z pewną surowością.

– Ach – odparła Stella. – Nie martwiłabym się tym. W końcu Chrystus przybył wzywać do pokuty grzeszników, a nie sprawiedliwych.

Francis o tym nie wiedział, ale poczuł ulgę, że nie dostanie bury. Podszedł nieco bliżej. Trzymał rękę w kieszeni i obracał w palcach mosiężny guzik.

– Wstałem dziś o wpół do szóstej i poszedłem na słone mokradła, i był tam ten pan Banks, i dużo mgły. Chciałem się przekonać, czy go zobaczę. Węża. Kłopot. To, co podobno jest w wodzie. Ludzie mówili, że go znaleźli, ale ja wątpiłem, bo oczywiście sam go nie widziałem.

– Ach! Wąż z Essex, mój stary adwersarz, mój wróg! – Oczy Stelli rozbliły, a rumieniec na policzkach rozlał się wyżej; pochyliła się do przodu i powiedziała tonem zwierzenia: – Ja go słyszę. Szepcze. Wszystko zapisuję.

Przekartkowała niebieski zeszyt, wyciągnęła otwarty w stronę Francisa i chłopiec zobaczył, napisane raz za razem w dwóch starannie zapisanych

kolumnach, słowa: KTO SIĘ NIE SCHOWA, TEN KRYJE.

– Wszystko w porządku – powiedziała Stella. Zastanawiała się, czy nie przestraszyła chłopca. – Ty i ja świetnie się rozumiemy, jak już mówiłam. Francis, oni wszyscy dali się oszukać. Znam wroga. Można go udobruchać. Robiono to już wcześniej.

Przyjrzała się wnętrzu swoich dłoni i próbowała je odczytać – czyżby na przecięciu linii rozumu z linią losu pojawiły się rany? – podniosła je do góry, lecz Francis niczego nie zobaczył.

– Więc – kontynuował chłopiec – było tyle mgły, że niewiele widziałem, a później usłyszałem hałas, no i zjawił się. – Pokazał ręką, jak gdyby wąż z Essex miał za chwilę wypełznąć spod stołu. – Był tam, wielki, ciemny i się poruszał; mógłbym łatwo trafić go kamieniem, gdybym chciał! Patrzyłem i patrzyłem, i próbowałem powiedzieć Banksowi, ale on nie chciał podejść. Ale potem mgła rozviała się na chwilę i wyszło słońce, i zobaczyłem, co to naprawdę było.

Powiedział jej, co zobaczył i jak się śmiał, i jak później to coś połknęły mgła i fale.

– Och... – westchnęła z niedowierzaniem, czego się obawiał, i trochę zawiedziona. – Och! – powtórzyła i też zaczęła się śmiać, i nie mogła przestać.

Francis patrzył i przypomniało mu się, jak jego ojciec złapał się kiedyś za gardło, jak gdyby sądził, że można je skłonić, by się uspokoiło. Choroba ojca interesowała go, lecz nie budziła niepokoju. Kiedy jednak oczy Stelli napełniły się łzami, on też zapłakał. Czy powinien jej pomóc? Podeszedł bliżej i podał jej szklankę wody; atak minął, kobieta wypła z wdzięcznością, po czym złożyła dłonie na kolanach i powiedziała:

– No dobrze, Francisie. Co powinniśmy w tej sprawie zrobić?

– Powinniśmy im pokazać – odparł. – Powinniśmy tam pójść i im pokazać.

– Pokazać im – powtórzyła za nim. – Tak, tkanka rzeczy, na które liczymy, dowód na istnienie tego, czego się nie widziało... – Dotknęła kropelek potu, które zebrały się nad jej wargą. – Ci, co kroczyli w ciemności, ujrzą wielką światłość! Wybawimy ich od strachu. Podaj mi zeszyt i pióro, jestem gotowa pisać! Siadaj. – Wskazała chłopcu wolne miejsce obok siebie i Francis ukląkł tam, oparł się o jej ramię i patrzył, jak kobieta przewraca poplamione



niebieskim atramentem kartki. – Pokażę ci teraz, co razem zrobimy – dodała. Zaczęła coś kreślić, zapomniała już o chwili słabości; jej drobne ciało emanowało witalnością i poczuciem celu. – Nadszedł mój czas – powiedziała. – Piaski się zapadają. Usłyszałam jego zew! Stopy mam po kostki zanurzone w błękitnej wodzie...

Francis nie wiedział, czy powinien się niepokoić, czy może zawołać Marthę; dłonie kobiety drżały, jej słowa były splątanymi sznurami jasnych koralików, a czarne źrenice się rozszerzyły. Jednak ona przyciągnęła go do siebie i chłopiec – który nie mógł znieść, kiedy matka nieśmiało okazywała mu czułość – oparł się o nią i poczuł jej ciepło bijące od ramienia i karku.

– Nie mogę tego zrobić bez ciebie – zwierzyła się. – Nie mogę zrobić tego sama, a kto inny mnie rozumie, Frankie? Któż inny może mi pomóc?

Powiedziała mu, co ma na myśli. Inne dziecko mogłoby się przestraszyć lub położyć głowę na jej ramieniu i się rozplakać. Jednak kiedy rysowała w zeszycie i pokazała mu, jaka jest jego rola, zrozumiał, że jest komuś potrzebny i nie wynika to z poczucia obowiązku. Poczuł coś nowego, co przeanalizował dokładniej później, w samotności, i pojął, że to duma.

– Kiedy mam to zrobić? – zapytał.

Wyrwała kartki z zeszytu (podała mu się, jak precyzyjnie przedstawiła, co mają zrobić, i jak pieczołowicie to zaplanowała) i włożyła mu je do kieszeni.

– Jutro – odpowiedziała. – Po tym, jak już zobaczę moje dzieci. Pomożesz? Obiecujesz?

– Tak – odparł. – Obiecuję.

W ogrodzie Martha przyglądała się, jak Will próbuje włożyć na głowę Magog wieniec powitalny; koza, coraz okrąglejsza dzięki resztkom ze stołu, raz po raz zrzucała wieniec i patrzyła na Willa niezadowolonym wzrokiem, który – jak oboje zrozumieli – mówił, że Cracknellowi nigdy nie przysłoby do głowy tak ją znieważać. Zamrugła oczami o prostokątnych źrenicach i wycofała się do zamglonego ogrodu.

– Kiedy przyjeżdżają dzieci? – zapytała Martha. – Musiał się pan za nimi stęsknić.

– Codziennie się za nie modliłem – powiedział. – Odkąd wyjechały, nic nie

układa się tak, jak trzeba.

Wyglądał bardzo młodo, w koszuli rozdartej na ramieniu i z owocami żurawiny z wyrzuconego wieńca wplątanymi we włosy. Mówił inaczej niż podczas kazania z ambony; posługiwał się lokalnym dialektem, co miało ten ciekawy skutek, że bardziej niż zwykle przyciągało wzrok ku jego odsłoniętym żyłastym ramionom.

– Przyjadą jutro, pociągiem w południe – dodał.

Martha przyjrzała mu się uważnie – czy powinna zdobyć się na śmiałość i zapytać, gdzie poprzedniego wieczoru spacerował z Corą? Czy on też od tamtej pory był nieco nieswój, niespokojny? A może to tylko dlatego, że wracają dzieci, a Stella leży z gorączką w błękitnym pokoju.

– Będę na nie niecierpliwie czekać – powiedziała. – Przysłano mnie, żebym to panu przekazała.

Dała mu list, na który spojrział bez zainteresowania.

– Proszę go tam zostawić – odparł. – Lepiej przyprowadzę Magog.

Uklonił się w dziwaczny sposób – na poły ironicznie, na poły komicznie – i wszedł w białe powietrze.

Martha przestępowała właśnie próg, żeby zabrać Francisa z powrotem, i stanęła jak wryta. Frankie – który nawet jako dziecko nie znosił, gdy go ktoś przytulał – siedział u Stelli na kolanach i obejmował ją za szyję; kobieta przykryła ich oboje błękitną chustą i kołysali się pod nią lekko w tę i z powrotem.

Z tych kilku mglistych dni Martha najintensywniej zapamiętała ten obraz: żona Willa i syn Cory pasowali do siebie jak dwa kawałki stłuczonego naczynia, które ponownie sklejo.

Czarnooki chłopiec przyszedł i wskazał mi drogę.

Błogosław duszo moja PANA!

I całe moje wnętrze święte imię Jego!

Niech mnie nie ominie ten kielich bo pragnę

I mój język wysechł już z pragnienia

– Nie najlepszy na to poranek – zauważył Thomas Taylor, lustrując oświetloną lampami ulicę Colchester. Podniósł rękaw płaszcza; na każdym jego włóknie ujrzał kroplę wody lśniąca w świetle gazowej latarni. Mgła znad morza utrzymywała się już drugi dzień i choć słonawy całun spowijający Aldwinter oszczędził miasto, ulice były mimo wszystko dziwnie głucho, a od czasu do czasu jakiś przechodzień potykał się o krawężnik lub wpadał w objęcia zaskoczonego nieznanego. W ruinach za Taylorem kłęby mgły snuły się nad dywanami lub wisały w pustych kominkach, a ci z gości Czerwonego Lwa, którym nie brakowało fantazji, przysięgali, że widzieli, jak szara dama zasuwa story w oknie na piętrze.

Od pewnego czasu Taylor miał ucznia, który siedział teraz po turecku na kamieniu. Był to dziwny miedzianowłosy chłopak, drobny i małomówny, chętnie wypełniający jego polecenia. A do tego w pogodniejsze poranki rysował zabawne karykatury przechodzących turystów, którzy chętnie rozstawali się z monetami i często wracali po kolejny obrazek.

– Kompletnie nic nie widzę – powiedział uczeń. – Nikt nawet nie wie, że tu jesteśmy. Równie dobrze możemy iść do domu.

Taylor znalazł dzieciaka przed miesiącem, zwiniętego w kłębek w ruinach jadalni, z rozbitymi fragmentami muru pod głową, pogrążonego we śnie. Za nic nie dało się z niego wyciągnąć, skąd przyszedł ani dokąd idzie; wspominał tylko coś o rzece i długim marszu, a pęcherze i siniaki na stopie i kolanie dowodziły, że miał za sobą podróż, i to trudną. Taylor usadowił się na swoim wózek przed progiem jadalni i wypędził chłopaka z ruin za pomocą licznych przestróg o niebezpieczeństwach wynikających z wchodzenia na cudzy teren. Następnie wysłał go na drugą stronę ulicy po dwie herbaty i największą kanapkę z bekonem, jaką da radę zjeść. *Już tych pieniędzy nie zobaczę* – pomyślał, kiedy patrzył, jak drobny chłopiec odchodzi, powłócząc obolałą nogą. Chłopak jednak wrócił z papierowym zawiniątkiem i dwoma parującymi kubkami.

– Nowo przybyły, jak mniemam? – zapytał Taylor, patrząc, jak chłopak je

małymi kęsami, choć łąpczywie. Nie doczekał się odpowiedzi. Posiłek i herbata zrobiły swoje: chłopiec przyjął najczystszy spośród licznych koców Taylora i znalazłszy strzęp dywanu, niechętnie przyznał, że czuje się bezpieczny, i zasnął na kilka godzin. Taylor z radością odkrył, że nic nie chwyta ludzi za serce skuteczniej niż śpiące dziecko z poplamioną buzią – tego popołudnia podwoił zarobek. Jego wrodzona chciwość walczyła z dobrym sercem: kiedy dziecko się przebudziło, jeszcze raz spróbował ustalić, skąd jest i gdzie są jego rodzice, i zrobił też nieśmiałą aluzję do miejscowego policjanta. Te próby spotkały się odpowiednio z milczeniem i popłochem, Taylor więc uznał, że wolno mu zaproponować chłopakowi wejście w dochodową spółkę i zaoferować wikt oraz dach nad głową. Żeby okazać dobrą wolę, oddał mu skromną część dziennego przychodu. Zaskoczony chłopak przyglądał się monetom przez parę minut, po czym dokładnie przeliczył je w kieszeni.

– Mam córkę – powiedział Taylor, by dodać mu otuchy. – Nie oczekuję, że będziesz się mną opiekował, choć nie zaszkodziłoby, gdybyś czasem popchnął wózek, bo zaczyna mi dokuczać artretyzm. Myślę, że się jej spodobaś, bo sama nigdy nie założyła rodziny. Może powiesz chociaż, jak masz na imię? Nie? Cóż, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym nazywał cię Rudzielcem, tak wabił się mój kot, to na pewno świetnie się dogadamy.

I w rzeczy samej okazało się, że świetnie się dogadali. Córka Taylora przywykła do większych dziwactw ojca, poza tym uważała, że strata nóg daje mu prawo postępować niekonwencjonalnie. Rudzielec nigdy nie wykazał się, jak to określał Taylor, darem gadki, lecz do szczęścia wystarczały mu ołówek i papier, choć czasami jego gorączkowo kreślone rysunki niepokoiły i zastanawiały Taylora.

– Równie dobrze możemy iść do domu – powiedział chłopak, wpatrując się w mgłę; wtedy jednak usłyszeli wrzawę i kroki grupki ludzi, którzy zbliżali się od strony wieży kościoła Świętego Mikołaja. Taylor przybrał odpowiednią do pracy pozę.

– Tylko zły przedsiębiorca zwija kram z powodu złej pogody – stwierdził i potrząsnął czapką z monetami. Grupka się zbliżyła i Taylor usłyszał głosy: „Tylko kilka minut, zobaczymy, co u niego, proszę” i „James, pośpiesz się, musimy zdążyć na pociąg” oraz „Jestem głodny, a przecież obiecałeś, no obiecałeś...”.

– Czyżby to moi starzy przyjaciele?! – zawołał Taylor na widok szkarłatnego surduta i zakończonego mosiężnym czubkiem parasola, którym ktoś wymachiwał wysoko w górze. – Panie Ambrose, czy to... – Wtem dał się słyszeć odgłos otwierania i zamykania drzwi i cała grupa zniknęła po kolei za rozświetlonymi oknami hotelu George. – A niech cię wszyscy diabli, Rudzielcu – powiedział Taylor, który rozejrzał się za chłopcem, lecz go nie znalazł. – To był bardzo hojny jegomość. Co z tobą, chłopcze? Gdzie się podziałeś?

Uczeń opuścił posterunek bezgłośnie i szybko, przykucnął za cokołem i wysunął dolną wargę w próbie powstrzymania łez.

*Dzieci!* – pomyślał Taylor, wzniosł oczy ku niebu i podał chłopcu tabliczkę czekolady. *Trzeba mi było przygarnąć psa.*

– A niech mnie – powiedział Charles Ambrose na widok Spencera i Luke’a Garretta. Pierwszy miał rozcięty łuk brwiowy, na który przyklejono kilka plastrów; drugi wyglądał dużo gorzej: zabandażowana prawa dłoń, ziemista cera, wychudły tak, że masywne czoło upodabniało go bardziej niż kiedykolwiek do małpy.

Mężczyźni stali obok siebie i wyglądali jak chłopcy, których właśnie przyłapano na jakiejś psocie. Katherine cmoknęła z troską, ucałowała obu w policzki, a Luke’owi szepnęła coś słodko do ucha, na co ten poczerwieniał i się odwrócił. Ambrose’owie przyprowadzili dzieci, które na swój sposób wyczuły, że atmosfera jest ciężka, i próbowały rozładować napięcie.

– Jest coś do jedzenia? – zapytał John i wprawnym okiem rozejrzał się po pokoju.

– John, wstydz się – obruszyła się Joanna. – Doktorze Garrett, jak pańska dłoń? Mogę na nią spojrzeć? Chciałabym zobaczyć szwy. Chcę zostać lekarką. Nauczyłam się nazw wszystkich kości ramienia, żeby pokazać tacie, kiedy wrócę do domu: *humerus, ulna, radius...*

– A więc już nie inżynierem – powiedziała Katherine i odciągnęła dziewczynę od Luke’a, który nie powiedział jeszcze słowa, a tylko wzdrygnął się lekko, jak gdyby dziewczyna wypowiadała bluźnierstwa; nieco zawstydzony, próbował schować zranioną dłoń.

– Mam jeszcze trochę czasu do namysłu – odparła Joanna. – Miną lata, zanim

pójdę na uniwersytet.

– Albo nigdy nie pójdziesz – wtrącił James Ransome, dosyć jadownicie; odkąd Jo nagle zmieniła zainteresowania z magii na naukę (jedno i drugie, jego zdaniem, tak samo bezsensowne), James czuł, że stracił pozycję najbliższego dziecka w rodzinie. – Proszę spojrzeć – zwrócił się do Spencera i wyjął z kieszeni kartkę. – Zaprojektowałem nowy typ zaworu do toalet. Może go pan wykorzystać w swoich domach. Jeśli pan chce, może pan wziąć projekt za darmo – dodał w nagłym przypiływie hojności; nie był odporny na marksistowski wpływ Marthy. – Opatentuję go, jak już pan go wykorzysta.

– To naprawdę bardzo miło z twojej strony – powiedział Spencer i przyjrzał się planom, tak szczegółowym, że przypominały każdy profesjonalny projekt, jaki widział. Charles Ambrose spojrział na niego z wyrazem niemal ojcowskiej wdzięczności.

– Miał pan wieści od Marthy? – zapytał Charles i usiadł przy ogniu, podczas gdy Katherine odciągnęła Luke'a Garretta na bok i zabawiała go błąhą rozmową, żeby trzymać go w bezpiecznej odległości. Spencer trochę poczerwieniał, jak zawsze, kiedy padało imię Marthy.

– Napisała do mnie dwa razy. Podobno Edward Burton i jego matka mają stracić mieszkanie! Właściciel kamienicy nagle podniósł czynsz prawie dwukrotnie; ich sąsiedzi już się wynieśli. Tymczasem nasze przedsięwzięcie wlecze się w żółwym tempie! Ona jest tak dobra. Martwi się losem człowieka, którego ledwo zna.

– Zrobiłem, co mogłem – odparł Charles szczerze. Jeśli sumienie i argumenty nie wystarczyły, by z całych sił starał się wcielić ustawę mieszkaniową w życie, dokonał tego widok rannego Luke'a Garretta w rynsztoku. Wiedział, że nie ma lekarstwa na zniweczenie ambicji całego życia, lecz można przynajmniej się postarać, by tragedia przyniosła też jakiś dobry skutek. – W Parlamencie jest dużo entuzjazmu, lecz to, co w Izbie Gmin nazywa się entuzjazmem, gdzie indziej uchodzi za lenistwo.

– Chciałbym móc przekazać jej dobre wieści – powiedział Spencer i załamał rękę. Jak zwykle nie potrafił ukryć osobistych motywów swej filantropii. Jego pociągła, nieśmiała twarz się zaczerwieniła, a on strzepnął z ubrania cienki jasny włos.

Charles, który polubił tego młodego człowieka za jego dobrą naturę

i prostolinijność, sam też wymieniał listy z Marthą i poczuł teraz ogromną litość. Czy powinien mu powiedzieć, jak się sprawy mają, i odebrać nadzieję? Zapewne powinien, choć nie miał pojęcia, co ta irytująca kobieta miała jeszcze w planach, a podejrzewał, że czeka ich niejeden wstrząs. Upewnił się, że dzieci są czymś zajęte, i rzekł łagodnie:

– Martha przejmuję się czynszem Burtona nie tylko z dobroci serca: podobno zamierza złączyć z nim swój los.

Cios dosięgnął celu. Spencer zrobił krok w tył, jakby chciał odeprzeć kolejny, i bąknął:

– Burton? Ale... – Potrząsnął głową jak otumaniony pies, a Charles w swej dobroci spróbował zażartować:

– Wszyscy jesteśmy równie wstrząśnięci! Dziesięć lat mieszkała u Cory i jest gotowa zamienić to na trzy pokoje i rybę z frytkami na kolację! Nic nie wiadomo o dacie ślubu i nikt nie potrafi wyobrazić jej sobie w welonie...

Spencer bezgłośnie poruszył ustami raz czy dwa, jak gdyby próbował wymówić imię Marthy, lecz nie dał rady; wydawał się skurczony i patrzył zmieszany na swoje dłonie – najwyraźniej nie miał pojęcia, co z nimi począć. Charles odwrócił wzrok – wiedział, że Spencer zaraz weźmie się w garść. W kącie pokoju siedział John i w zamyśleniu, acz zawzięcie, pochłaniał wyciągnięte skądś przed chwilą krakersy, a Joanna i James spierali się uprzejmie o to, kto pierwszy znalazł rysunek chorego stawu biodrowego. Odwrócił się i zobaczył, jak Spencer zapina marynarkę, jak gdyby chciał zamknąć coś, co groziło wyrwaniem się na zewnątrz.

– Napiszę, żeby jej pogratulować – powiedział wreszcie. – Miło usłyszeć w końcu jakieś dobre wieści.

Oczy zalśniły mu od wstrzymywanych łez i mrugnął do Luke'a, tępo wpatrującego się w podłogę obok Katherine, która straciła już wszelką nadzieję i pozostało jej jedynie nalegać, by coś zjadł.

– Tak – powiedział Charles. Czuł się zmieszany, gdyż litował się nad Spencerem. Marzył teraz, by dało się przyśpieszyć bieg wskazówek: wzywało ich Aldwinter, a potem mieli przed sobą powrót do zacisznego domu. – Tak, to był naprawdę zły rok, to prawda, lecz mamy za sobą dopiero trzy czwarte.

Spencer, który myślał dogłębnie, choć niezbyt szybko, powiedział, wolno,

wykręcając palce:

– Zastanawiałem się, dlaczego aż tak się przejęła podwyżką czynszu za mieszkanie Edwarda Burtona. To jednak drobnostka, w szerszej perspektywie... Luke, wiedziałeś? Słyszałeś o tym? – Odwrócił się w kierunku przyjaciela, przyzwyczajony, że tamten zakpi z niego lub podpowie, co robić, lecz Luke'a już nie było. – No cóż – skwitował i zwrócił się do Charlesa z wymuszonym uśmiechem. – Proszę mnie o wszystkim informować.

Nastąpiły uściski dłoni, w których mieszały się współczucie, stanowczość i zakłopotanie, następnie zebrano dzieci, które rozpiierzchły się po mieszkaniu. Pytały, gdzie podział się Luke i jak się goi jego dłoń; John przeprosił, że wyjadł mu wszystko, i dodał, iż nie doszłoby do tego, gdyby dostał obiecane ciasto, i że odkupi zjedzone ciastka, gdy dostanie kieszonkowe.

– Martwię się o naszego kochanego Skrzata – powiedziała Katherine i uścisnęła dłoń Spencera. Zauważyła, jak pobladł, uznała jednak, iż to dlatego, że również martwi się o przyjaciela. – Gdzie on się podział? Zniknął tak nagle.

Jej instynkt macierzyński – nieco rozbudzony za sprawą dzieci Ransome'ów – skupił się na chirurgu. Cały wieczór siedział przy niej i chował prawą dłoń pod lewą, jakby przyłapał ją na czymś wstydlwym.

– Czy on je? Pije? Widział się z Corą?

– Wciąż niewiele czasu upłynęło – wtrącił Charles i pomógł żonie włożyć płaszcz, który następnie zapiął pod samą szyję; czuł, że przez tych trzydzieści minut przedawkował melancholię, i chciał zabrać dzieci do domu. – Na Boże Narodzenie znów będzie sobą. Panie Spencer, proszę przyjść niedługo na lunch, przejrzymy plany. Joanno, Jamesie, podziękujcie panu Spencerowi za gościnę; doktora Garretta zobaczycie niedługo. Do zobaczenia!

John zatrzymał się w drzwiach, bo nagle coś sobie przypomniał.

– Zobaczymy mamusię! – wykrzyknął i objął siostrę. – Myślisz, że czuje się lepiej? Nadal jest taka ładna?

Na High Street, gdzie mgła zrzędała w porannym słońcu, Joanna pomyślała o matce i aż ją zemdlilo. Z początku za nią tęskniła i uczucie to było jak tępy ból w starej ranie; wszystko było nie tak, jak powinno. Katherine Ambrose była miła, lecz inaczej niż Stella; pokój Joanny okazał się wygodny, ale Stella urządziłaby go inaczej. Obiad podawano za wcześnie i na nieodpowiednich



talerzach; na parapecie brakowało fiołków afrykańskich. Katherine śmiała się nie z tego, co trzeba, i nie śmiała się z tego, z czego należało; do kolacji dostawali gorące mleko, a nie rumianek.

Na początku pisała do matki codziennie i nieraz atrament rozmazał się od łez, a w nocy nie mogła zasnąć, jeśli nie wyobraziła sobie, że w kuchni na dole krząta się drobna jasnowłosa postać w sukience z błękitną bordiurą. Jednak te obrazy szybko wyblakły; w odpowiedziach matka dawała wyraz żarliwej miłości, używała dziwnych sformułowań i rzadko odnosiła się do słów Joanny. Listy przychodziły coraz rzadziej, a te, które dostała, brzmiały jak religijne ulotki, które kobiety w brązowych pończochach rozdają przed stacją metra na Oxford Street, i Joanna się wstydziła. Po kilku tygodniach poczuła się w Londynie jak w domu. W metrze i w omnibusie zachowywała się swobodnie, patrzyła prosto w oczy ekspedientkom u Harrodsa i doskonale orientowała się, gdzie mają najlepsze zeszyty i ołówki. Aldwinter skurczyło się do rozmiarów nudnego, błotnistego zaścianka, a Wąż z Essex stał się wsiowym stworem, zbyt tępym, by zawracać nim sobie głowę. Tęskniła za ojcem, lecz w sposób niedokuczliwy, i czuła, że rozłąka dobrze im zrobi; przeczytała *Małe kobiety* i doszła do wniosku, że jeśli Jo March dała sobie radę sama, to ona z pewnością też może. Była harda, jak przystało na jej wiek, i zwykle jej to służyło. Kiedy jednak znajdowała pióro kruka lub widziała pajaka owijającego muchę w całun, przypominały jej się dawne zaklęcia i rudowłosa przyjaciółka, i przygniatały ją poczucie winy i żal.

Kiedy więc spojrzała na ruiny po drugiej stronie ulicy, zobaczyła inwalidę i dziecko, które siedziało ze skrzyżowanymi nogami na marmurowym postumencie i pochylało się nad kartkami, zabrakło jej tchu i wyrwawszy się z uścisku brata, popędziła na oślep przed siebie.

Na chwilę oświetlił ją przejeżdżający omnibus, potem zniknęła za grupką starszych turystów zmierzających do Muzeum Zamkowego.

– Joanno! – zawołała Katherine i poczuła mdłości i zamęt; stała na krawężniku i usiłowała zarazem przywołać dziewczynę i uważać, by chłopcy nie wtargnęli na jezdnię. Charles, święcie przekonany, że żaden pojazd w Essex nie odważy się ochlapać błotem jego szkarłatnego płaszcza, statecznie kroczył w stronę ruin. Jakież było jego zdziwienie, gdy dotarł na miejsce: Joanna wrzeszczała na inwalidę i okładała go po ramionach.

– Co pan zrobił Naomi!?! – krzyczała. – Co pan zrobił z jej pięknymi włosami!?!

Charles stanął pomiędzy nimi i przyjął lekki cios dłonią w ramię.

– Joanno, nikt nie podziwia twojej bezpośredniości tak bardzo jak ja, ale tym razem chyba trochę przesadziłaś. Przepraszam pana za zachowanie mojej... Jo, jak mam cię nazywać?... Przykro mi, że został pan tak skandalicznie napadnięty! Może mógłbym to panu jakoś zrekompensować?

Do odwróconego kapelusza Taylora posypały się monety; mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– No dobrze – zaczął Charles, który gorąco pragnął znaleźć się gdzie indziej.  
– Dziecko, co cię napadło?

Joanna nie słuchała, wodziła tylko wzrokiem od Taylora do chudego chłopca w brudnej kurtce. Bardzo pobladła, a jej twarz wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, czy przybrać wyraz kobiecej furii czy dziecinnego niezadowolenia; chłopiec tymczasem wpatrywał się w ziemię. Kompletnie skonfundowany Charles wyciągnął dłoń ku Joannie, która – głośno przełykając, by powstrzymać łzy – w końcu się odezwała:

– Powiedzieli, że kradłaś ze sklepu, ale ja im powiedziałam, że nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła, a potem, kiedy nie wróciłaś, myśleliśmy, że zginęłaś przez Kłopot, a ty cały czas byłaś tutaj. Naomi Banks, powinnam ci podbić oko!

Przez chwilę wyglądała, jak gdyby naprawdę miała to zrobić, potem jednak rzuciła się na szyję dziecku, które, jak Charles zdążył się zorientować, nie było chłopcem, lecz chudą dziewczynką. Jej przycięte krótko kręcone włosy sterczały niechlujnie i lśniły jak miedź. Dziewczynka trzymała się na dystans od Joanny – która teraz zanosila się niemal histerycznym płaczem – skrzyżowała ręce i patrzyła z wyższością.

– Kłopot? – zapytał Taylor i kolejny raz pożałował, że nie przygarnął psów. – Kradzież? Mój Rudzielec? Wyznam – powiedział i potrząsnął monetami w kapeluszu – że się pogubiłem.

– Myślę, iż możemy wywnioskować – odparł Charles – że pański pracownik pana nabierał i w istocie jest dziewczynką o imieniu Naomi oraz przyjaciółką Joanny.

Na tym kończyło się jego rozumienie, gdyż nikomu nie przyszło na myśl, by

powiedzieć mu o zaginionej córce rybaka. Rudowłosa dziewczynka wyczerpała zapas dumy. Zdusiła płacz i odwzajemniła uścisk Joanny.

– Chciałam wrócić do domu, naprawdę, ale za bardzo się bałam być blisko wody, a poza tym i tak nikt mnie nie chciał! – Odsunęła się i surowo spojrzała na Joannę spod rzęs błyszczących od łez. – Nie chciałaś już być moją przyjaciółką, a wszyscy się mnie bali przez to, co się stało w szkole, i przez to coś w wodzie, a ja wcale nie chciałam; nawet nie wiem, co się stało, poza tym, że tak się bałam, że nie mogłam przestać się śmiać...

– Rudzielcu? – zapytał Taylor i podsumował sytuację najlepiej, jak potrafił: – Czy źle się tobą opiekowałem? – Chytrze łypnął na Charlesa, który dorzucił jeszcze monetę lub dwie do kapelusza bez dna. – To wszystko moja wina, moja wina, nie byłem dobrym przyjacielem...

– To ta kobieta – powiedziała Naomi, której piegi pojaśniały w bruzdkach wyżłobionych przez łzy. – Odkąd przyjechała, wszystko było nie tak. To ona go tam wpuściła! To ona wpuściła potwora do rzeki!

– To ty nic nie wiesz? – zdziwiła się Joanna i zauważyła zarazem, że Naomi sięga jej zaledwie do ramienia. – Już go nie ma, nie ma Węża z Essex, niczego tam nie ma i nigdy nie było, oprócz biednej wielkiej ryby, która zdechła w wodzie. Wracaj, Nomi. – Ucałowała dłoń dziewczynki i poczuła na ustach kurz ruin i brud miasta. – Nie chcesz zobaczyć taty?

Na te słowa Naomi opuściły resztki dumy i zaczęła płakać, nie agresywnie jak dziecko, lecz miarowo, jak pozbawiona złudzeń kobieta. Kiedy na miejscu zjawiała się Katherine Ambrose, wraz z Johnem i Jamesem, jej oczom ukazała się pieta: na marmurowym cokole siedziała Joanna i trzymała na kolanach szczupłą dziewczynkę, której szeptała do ucha coś, co brzmiało jak dziecinne zakłęcie.

– Obawiam się – powiedział Charles, spoglądając na zegarek – że właśnie dorobiliśmy się kolejnej pociechy.

W swojej błękitnej sypialni Stella usłyszała kroki dzieci i wyciągnęła ramiona na powitanie: poznała tupanie Johna w progę i stateczny krok Jamesa, wiedziała, że Joanna rzuci płaszcz i przybiegnie długimi susami, pędem. A potem w drzwiach pojawił się Will, z triumfalnym uśmiechem kogoś, kto przynosi dary.

– Kochanie, dzieci wróciły, wysokie jak tyczki – powiedział głośno, po czym cicho dodał do Joanny: – Bądź delikatna; jest słabsza, niż się wydaje.

Joanna obawiała się, że zobaczy matkę przykutą do łóżka, wychudzoną, o szarej cerze, anemicznie poprawiającą koc. Zamiast tego ujrzała Stellę pełną życia, z błyszczącymi oczami i różem na policzkach; na ich przyjazd założyła turkusowe koraliki, które trzykrotnie oplotła wokół szyi, i szal w błękitnoskrzydłe motyle.

– Jojo – odezwała się Stella i wyciągnęła ciało w ich stronę; chciała czym prędzej ich dotknąć. – Moja Joanna – powiedziała, smakując imiona dzieci. – James. John.

Tak dobrze znała ich niepowtarzalne zapachy: włosy Johna pachniały trochę jak ciepła owsianka, zapach Jamesa był ostrzejszy, uparty, jak jego umysł. Joanna poczuła pod szalem kruche, delikatne kości, i zadrzała; matce to nie umknęło i wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Podoba mi się twój naszyjnik – powiedział John z podziwem, po czym wręczył mamie pół tabliczki czekolady. – Przyniosłem ci prezent.

Stella wiedziała, jakie to dla niego poświęcenie, i pocałowała go. Potem odwróciła się do Jamesa, który, odkąd wszedł, nie przestawał mówić: o „Cutty Sark”, o metrze, o oglądaniu nowego systemu kanalizacji Bazalgette’a.

– Nie wszystko naraz – mitygowała go Stella. – Po kolei; nie chcę, żeby mi coś umknęło.

– Nie męczcie jej – powiedział Will. Patrzył od progu i poczuł w gardle zarazem przyjemność i smutek; mógłby tak stać przez godzinę i przyglądać się,

jak Stella przytula dzieci. Sam też chciał je poczuć w ramionach, ciepłe, drobne i ruchliwe, jednak cały czas zastanawiał się, jak o tym opowie Corze, w liście lub w rozmowie, jak ją to ucieszy, jak jej szare oczy zasnują się mgłą. *Pomóż mi, Boże, bo jestem rozdarty* – pomyślał, ale nie, to nie tak, że częściowo był tutaj, a częściowo w szarym domu po drugiej stronie błoni; był w pełni obecny w obu tych miejscach. – Nie męczcie jej – powtórzył i podszedł bliżej, aż przyciągnęły go drobne dłonie. – Jeszcze trochę, a potem pozwólcie jej pospać.

– Mam was wszystkich – powiedziała Stella. – Mam was wszystkich, kochani; pobądźcie ze mną, zanim odejdę.

ON wzywa mnie do sali balowej

Uniósł nade mną sztandar który głosi MIŁOŚĆ

ON posłał węża do błękitnokwietnego ogrodu w Edenie i posyła go teraz abyśmy zapłacili karę a jak przez nieposłuszeństwo jednego wszyscy grzesznicy Aldwinter wydani są na sąd tak przez moje posłuszeństwo zostaną odkupieni

Wąż sługa Boży w błękitnej Blackwater przychodzi pobrać podatek spłacę co oni są winni i wąż wróci skąd przyszedł a ja przejdę przez wrota CHWAŁY!

Banks siedział na nabrzeżu przy opuszczonych żaglach i machinalnie robił bilans strat: żona, łódź, dziecko, wszystko przeciekło mu przez palce jak słona woda. Za zasłoną mgły w ujściu wzbierał przyływ, a jemu przypomniawszy się czarnowłosy chłopiec, którego widział o świcie przy ognisku, i to, jak ciągnął go w stronę brzegu.

– Nic nie widziałem – powiedział w półmrok. – Zupełnie nic nie widziałem.

Jednak przed oczami miał wyraźny obraz: dziwne wieści, Wąż z Essex, opuchnięty, z ostro zakończonym ogonem, bada kamienistą plażę. Od czasu do czasu blada mgła się rozstępowała, a światła barek i kutrów rozbłyskiwały w zmierzchu; później mleczna zasłona opadała i Banks znów zostawał sam. Dla otuchy szeptał rymowaną żeglarza:

– „Na sterburcie światło zielone, sterburtę masz po prawej stronie...” – Lecz cóż po płomieniach za kolorową szybką, skoro w głębinach coś się kryło i spokojnie czekało?

Drobna dłoń pojawiła się na jego ramieniu tak łagodnie i delikatnie, że ani się nie przestraszył, ani jej nie strząsnął. Dotyk był znajomy i zaborczy – nikt inny nie mógłby go tak dotknąć – zza mgły i pijackich majaków wychyły wspomnienia.

– To chodź do domu, malutka – powiedział niepewnie i podniósł dłoń z nadzieją, że dziecko ją znajdzie. – Wracaj do staruszka.

Opatulona w stary płaszcz Joanny Naomi spojrzała na ojca i zauważyła, że pod jej nieobecność jego włosy mocno się przerzedziły, co obudziło w niej nieoczekiwaną czułość. Przez chwilę nie był jej ojcem, lecz niemal przedłużeniem jej istoty, tak że nie musiała o nim myśleć, bo stali się jednym. Pojęła wtedy, że on też zna strach i rozczarowanie, i że czegoś pragnął, cierpiał i coś lubił. To ją poruszyło i przeniosło w czasie; usiadła koło niego na nabrzeżu, tak jak dawniej, skrzyżowała nogi i przyciągnęła do siebie sieć. Wprawdzie wzięła ją w ręce, znalazła dziurę i zaproponowała:

– Naprawię ją, jeśli chcesz.

Od zawsze nienawidziła naprawiać sieci – między palcami tworzyły się pęcherze, które słona woda dodatkowo podrażniała – lecz jej dłonie nie zapomniały rytmu, a praca przynosiła otuchę.

– Przepraszam, że sobie poszłam – powiedziała. Wiązała porwane oka sieci i odwróciła twarz, żeby ojciec mógł płakać w samotności. – Bałam się różnych rzeczy, ale już wszystko w porządku. – Przybliżyła się i zapięła ojcu płaszcz. – Zarobiłam też trochę pieniędzy, całkiem sama! Pójdziemy do domu i pomożesz mi je policzyć.

Późnym popołudniem mgła znad morza zgęstniała i podeszła do Aldwintar od wschodu. Snuła się po parapetach, zbierała w rowach i dołach, a wilgoć zmieniła ton dzwonu kościoła Wszystkich Świętych. Cora, która niespokojnie przechadzała się po błoniach, spojrzała prosto w słońce i zobaczyła na jego powierzchni ciemne plamki szalejących burz. *Komu mam powiedzieć, jeśli nie jemu?* – pomyślała. *Któż inny mi wierzy, kiedy mówię o rzeczach niemożliwych?*

– Jestem zmęczona – powiedziała Stella w niebieskim pokoju – przyszedł czas na odpoczynek.

James i John spojrzeli znad talii kart, by po chwili wrócić do gry, niezainteresowani i zadowoleni jak zwierzęta w bezpiecznej kryjówce. Joanna, która kilka razy przeczytała akapit Newtona i nadal nic nie rozumiała, zobaczyła, że czoło matki jest spocone i przyklepiają się do niego włosy, i przestraszyła się na ten widok. Stella, spostrzegawcza jak zawsze, przywołała córkę do siebie i powiedziała:

– Wiem, że to widzisz, Jojo, wiem, że widzisz to, czego oni nie widzą. Ale jestem szczęśliwa. Nawet kiedy wyjechaliście i w domu panowała cisza, myślałam sobie, że nigdy nie czułam się szczęśliwsza. Wierzysz mi? Nie wytrzymałabym bez godziny cierpienia, bo to ono wyniosło mnie w górę, ono wskazało mi drogę! – Rozprostowała spódnice i zaczęła po kolei podnosić swoje błękitne skarby: muszlę, odłamki szkła, bilety i gałązki lawendy, i układać je w fałdach tkaniny. – Powinnam posprzątać – stwierdziła i rozejrzała się po pokoju. – Przynies mi tu wszystkie skarby, Jo: butelki, kamienie i wstążki. Chcę je ze sobą zabrać.

W gabinecie Will położył czystą kartkę papieru obok listu Cory i nie był

w stanie wziąć pióra do ręki. „Trzymaj poczucie winy na dystans”, napisała – jakby można je było przepędzić; jakby ona miała o tym pojęcie! Cora ze wszystkiego się wyplątała, nie wiedziała więc, że nie chodzi tylko o ogólne robienie czegoś niewłaściwego, lecz o zranienie konkretnej osoby; że w istocie wbił gwoździe jeszcze głębiej w dłonie i stopy żony oraz że równie dobrze mógłby teraz narwać ciernistych gałęzi i owinąć je ciasno wokół głowy Stelli. *Jestem największym z grzeszników* – pomyślał i od razu przyszła mu do głowy wątpliwość: czy w takiej myśli nie czaiła się pycha, czyli kolejny grzech dorzucony do poprzedniego? Pomyślał o Corze, z łatwością przywołał jej obraz – piegi wysoko na policzkach, szare oczy, wyprostowana sylwetka w podartym płaszczu, mimo to majestatyczna niczym królowa – i na chwilę zaślepiła go furia (*Otóż to, kolejny grzech – dopisz go do listy i wywieś na tablicy!*). Odkąd na początku roku dostał list od Ambrose’a, czuł, że wiatr się zmienia – należało wtedy zapiąć płaszcz i zatrzasać okno, zamiast stać w przeciągu. Lecz to przecież Cora – Cora! (wypowiedział jej imię na głos) – właśnie Cora jako pierwsza dążyła do bliskości, w pierwszym uścisku dłoni – nie, nawet wcześniej, kiedy szarpali się w błocie – to ona zachwycała i rozwścieczała, była hojna i samolubna, kpiła z niego jak nikt inny; to Cora, która tylko w jego obecności potrafiła płakać! Furia zelżała, a on przypomniał sobie, jak całował jej brzuch, jaka była gorąca, jaka miękka, jaka podobna do ufnego zwierzęcia; nie czuł wtedy, że grzeszą, teraz też w zasadzie tak nie uważał: *To było jak łaska* – pomyślał, jak dar, o który nie zabiegał i na który nie zasługiwał!

„Jak długo zostałeś sam pod bukami, po ciemku?” zapytała, i w rzeczy samej został długo: poszedł do ujścia rzeki, do czarnych kręgów Lewiatana, spojrzął na wodę i zapragnął, żeby z głębiny wyłonił się wąż i połknął go jak Jonasza. *Nad rzekami Essex takem siedział i płakał* – pomyślał, a na górze cicho zamknęły się drzwi pokoju Stelli i usłyszał kroki na podeście schodów. Serce ścisnął mu ból: Stella, jego jasna gwiazda, właśnie rozbłyskiwała i gasła; bał się, że zostawi po sobie pustkę, w którą on się osunie, bez nadziei. Chciał wejść do niej na górę, położyć się obok w ich łóżku i zasnąć, tak jak zawsze, ze Stellą wtuloną w jego plecy, lecz to okazało się niemożliwe, ostatnio bowiem chciała cały czas przebywać sama i pisać w niebieskim zeszycie, z oczami namiętnie utkwionymi gdzieś indziej. Siedział dalej w ciemnym gabinecie, niezdolny pisać – niezdolny się modlić – zapatrzył się na słońce w czerwonej oprawie



i zastanawiał się, czy Cora też na nie patrzy.

Po przeciwnej stroni błoni Francis Seaborne siedział ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywał się w zegar. Do kieszeni napchał tyle niebieskawych kamieni, że jakkolwiek by się starał, ciągle było mu niewygodnie. Tymczasem jego matka chodziła po domu, rozkojarzona i niespokojna, od czasu do czasu zaglądała do syna i bez słowa całowała go w czoło. Chłopiec trzymał kartkę od Stelli Ransome, na której widniały jasne instrukcje zapisane niebieskim atramentem oraz obrazek, który go przerażał, choć patrzyło się nań z rozkoszą. Składał i rozkładał kartkę; wskazówka minutowa przesuwiała się powoli, a on niemal pragnął, by poruszała się jeszcze wolniej: nie chodziło o to, że wątpił w mądrość otrzymanych poleceń – po prostu nie wiedział, czy starczy mu odwagi, by je wykonać. Punktualnie o piątej Francis wszedł do przedpokoju, gdzie grzecznie czekały płaszcz i buty, i wyruszył w mgłę. Spojrzał w górę i spróbował znaleźć wschodzący księżyc łowcy, lecz ten się ukrył; wróci dopiero za rok.

Joanna zostawiła matkę pogrążoną we śnie i poszła szukać przyjaciółki; chciała odzyskać ich dawne terytorium plotek i zakłócić oraz pokazać jej, że na mokradłach nie straszy już cień węża. Szybko się okazało, że dni, w których oddawały się magii, stały się odległym wspomnieniem z dzieciństwa, które teraz mogło jedynie wywołać rumieniec wstydu. Mimo to dobrze było przejść się po starych ścieżkach, w równym tempie.

– Tutaj znalazłam Cracknella. – Naomi wskazała fragment kamienistej plaży koło wąskiego strumyka. – Leżał z głową skrzyżowaną w bok. Pomyślałam, że może upadł, był przecież taki stary. A starzy ludzie się przewracają. Lecz on miał otwarte oczy. Zobaczyłam w nich coś ciemnego i pomyślałam, że może to ostatnia rzecz, jaką widział, potwór, ale później to coś zniknęło i zostałam tylko ja, a jego oczy stały się lustrami. Mówią, że był stary i chory; dziwne, że myśleliśmy, że to wąż go zabił!

Kiedy mijały Lewiatana, poczuły na policzkach wilgotne powietrze; mgła na brzegach Blackwater była gęsta, namacalna, pełna perłowych ziarenek. Nieco dalej strażnik zapewne musiał zostawić rozpalony ogień i opuścić stanowisko; z dogasającego ogniska unosiła się żółtawa chmura, którą wiatr poruszał wraz z mgłą.

– Już go nie ma – powiedziała Joanna – i w ogóle nie było się czego bać, ale

i tak serce bije mi bardzo szybko, słyszę! Boisz się? Idziemy dalej?

– Tak. Dwa razy tak – odparła Naomi. („Żeby mieć odwagę, trzeba się bać” – nauczył ją tego ojciec, na barce). – Chodźmy. Uważaj tutaj, woda robi się głęboka. – Dobrze знаła mokradła, przepływające przez nie strumienie i rosnące na nich wysokie trawy. – Złap mnie za rękę, zaufaj mi – powiedziała. – Odpływ zaczął się przed godziną. Jesteśmy bezpieczne.

Cieszyła się, że znów widzi przyjaciółkę, choć wszystko się zmieniło: nie była już biedną Naomi, nierozgarniętą, potulną, wpatrzoną w córkę pastora – znajdowały się w jej żywiole i Naomi czuła, że trzyma ster. Wieczór był jednak ciemny i niespokojny. Mgła znad morza to odsłaniała małe fragmenty mokradeł (kiedy się rozstąpiła, zobaczyły czapkę białą, która czekała, aż mgła opadnie), to znów gęstniała, a one zostawały całkiem same. W pewnej chwili słońce przebiło się przez mleczone opary i dziewczynki zauważyły, że ze wszystkich stron otaczają je nurkujące i kwilące perkozki.

– Naprawdę zabłądziłyśmy – powiedziała Joanna. Roześmiała się, choć marzyła już tylko o domu. – Wracajmy już – dodała. – A co, jeśli nie znajdziemy drogi? – Trzymała się Naomi; była trochę zła na przyjaciółkę, że ta odebrała jej przywództwo. Po chwili potknęła się o gnijący płótek otaczający kolonię ostryg i krzyknęła.

– A co, jeśli on nadal tu jest? – zapytała Naomi półzartem. – I zaczął się na nas? – Karygodne pragnienie zemsty kazało jej wyrwać się Joannie i wejść w mgłę. Następnie przyłożyła dłonie do ust i wydała okrzyk. – Wezwę go, dobrze? – powiedziała i sama przestraszyła się swoich słów; mimo to nie chciała przestać. – Uważaj! Zbliża się!

– Przestań – poprosiła Joanna, walcząc z płaczem, który nie przystoi kobiecie. – Przestań! Wracaj. Nie mogę znaleźć ścieżki...

Kiedy Naomi znów się pojawiła, nieco zawstydzona, Joanna uderzyła ją w ramię.

– Jesteś okropna, okropna. Mogłam wpaść do wody i się utopić, i to byłaby twoja wina... Co? O co chodzi tym razem? Nomi, przestań się wygłupiać, skoro dobrze wiesz, że ten cały wąż to tylko wielka ryba...

Naomi znieruchomiała, wyciągnęła rękę i nakazała Joannie spokój. Nie patrzyła w stronę ujścia, gdzie Blackwater łączyła się z wodami Colne, lecz na

brzeg, gdzie wciąż tliło się widoczne przez mgłę ognisko.

– Co? – zapytała Joanna i poczuła na języku smak strachu, jak miedzianą monetę. – Co tam widzisz, co to jest?

Naomi zgięła i zacisnęła mocniej dłoń na rękawie Joanny, przyciągnęła przyjaciółkę bliżej i wyszeptała do ucha:

– Ciii... cicho... patrz, tam, przy Lewiatanie. Nie widzisz? Nie słyszysz?

Joanna usłyszała, albo tak jej się wydawało, jakieś sapanie lub szuranie, które rozbrzmiewało i cichło bez uchwytnego rytmu. Uspokoilo się, potem powróciło, chyba bliżej. Od czubka głowy do końców palców przebiegł ją zimny dreszcz; poczuła się jak sparaliżowana. On tam jest – czał się cały czas i czekał – poczuła niemal ulgę, że cała historia nie okazała się jednak bajką dla naiwnych.

Obłok mgły się podniósł i wreszcie go zobaczyły, nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym stały: czarny, płaskonosy i potężniejszy, niż którakolwiek z nich sobie wyobrażała, bez skrzydeł, a może tylko pogrążony we śnie, o obłym ogonie i brzydkim bezkształtnym cielsku; ani śladu lśniących rybich czy smoczyczych łusek. Naomi wydała z siebie pół krzyk, pół śmiech i odwróciła się, żeby skryć twarz w ramionach Joanny.

– Mówiłam ci! – wyszeptała i syknęła: – Czy nie mówiłam wszystkim?

Joanna zrobiła krok do przodu, dziwnie spokojna, następnie cielsko przesunęło się i znów usłyszały szuranie, jak gdyby zgrzytanie zębów głodnej bestii – dziewczyna krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Mgła znów spowiła zjawę i widziały tylko spokojnie czekający cień.

– Musimy iść – odezwała się Joanna i zdusiła krzyk przerażenia. – Możesz nas stąd wyprowadzić; patrz, na brzegu wciąż pali się ogień, idź w jego stronę, Nomi, nie spuszczaaj z niego oka i ani mru-mru...

Jednak żar zamókł, światło przygasło i przez chwilę błądziły po omacku po kamienistej plaży, i tylko duma kazała im powstrzymać łyzy.

– Kto się nie schowa, ten kryje, kto się nie schowa, ten kryje... – mamrotała Naomi dla dodania otuchy; potem niskie promienie słońca przebiły się przez mgłę i dziewczynki spostrzegły, że zamiast się oddalić, weszły niemal wprost w potężne czarne cielsko. Joanna zapiszczała i zakryła usta dłonią. Był tam – wreszcie – na wyciągnięcie ręki: ślepy, może pogrążony we śnie, bardzo

niezdarny na brzegu; czy w wodzie, w swoim żywiole, był zwinny i lśniący? Czy gdy nurkował, stawał się gładki i błyszczący? A gdzie się podziały skrzydła, które podobno przypominały rozłożone parasole – czy ktoś je obciął? I jeszcze coś – niebieskawe znaki na brzuchu, coś, co niemal rozpoznawała, prawie mogła zobaczyć w rzednącej mgle.

Obok niej stała Naomi, sztywno wyprostowana, z ramionami w górze, gotowa w każdej chwili wybuchnąć śmiechem, który wywołał szaleństwo w klasie. Pokazywała znaki palcem i układała usta w jakieś słowa; znowu usłyszały szuranie, Naomi się wzdrygnęła, lecz mimo to podeszła bliżej.

– Mamusia – powiedziała – mamusia...

Joanna przez chwilę myślała, że Naomi woła matkę, która spoczywała na cmentarzu pod najtańszym kamieniem.

– Patrz – wyszeptała Naomi. – Spójrz tam. Poznają te litery, nawet do góry nogami. Tam jest napisane „Gracie”. Gracie, imię mojej mamy, pierwsze słowo, jakie napisałam, i nigdy go nie zapomniałam. Minęło już dziesięć lat...

Pobiegła po kamieniach, w rzednącej mgle. Joanna próbowała ją do siebie przywołać, jednak przyjaciółkę opuścił strach, a przy okazji zabrał też i jej przerażenie, więc i ona ruszyła w stronę ruchomego kształtu.

Coraz mocniejsze słońce rzucało teraz jasne światło na brzeg i dziewczynki w tej samej chwili ujrzały to, co wyrzuciła nań woda. Ich oczom ukazała się czarna łódź, mała, o zakładkowym poszyciu. Musiała zatonać w Blackwater dawno temu, gdyż osiadły już na niej skorupiaki, przez co wydawało się, że ma pofałdowaną skórę, chropowatą i pełną blizn. Przewrócony kadłub przegnił i zaczął się zapadać, co nadało mu wygląd płaskiego pyska obwążującego brzeg; poruszał się wraz z ostatnimi drganiami opadającej fali odpływu, a drewno od czasu do czasu skrzypiało. Pod warstwą morskich i wodorostów dało się odczytać imię „Gracie”, namalowane na biało i niebiesko – łódź Banksa, dawno już uznana za straconą, przez cały ten czas pozostawała na łasce pływów i pojawiała się na mokradłach, napędzając stracha całej wiosce.

Trzymały się siebie kurczowo i nie wiedziały, czy się śmiać czy płakać.

– Tkwiała tu cały czas – odezwała się Naomi. – Myślał, że ktoś ją ukradł z przystani, ale ja powiedziałam, że nie, tylko ty jej nigdy dobrze nie cumujesz i tyle...

– Pomyśl o pani Seaborne, która przywiozła tu swój zeszyt, żałowała, że nie wzięła aparatu i marzyła o gablocie w Muzeum Brytyjskim... – powiedziała Joanna i zaczęła się śmiać. Czuła, że nie jest lojalna wobec Cory, choć wiedziała, że ona też dostrzegłaby komizm sytuacji.

– ...i te podkowy na Dębie Zdrajcy, wartownicy i dzieci zamknięte w domach...

– Musimy powiedzieć mojemu ojcu – zasugerowała Joanna. – Trzeba przyprowadzić tu wszystkich i im pokazać. Ale co będzie, jeśli wrócimy i się okaże, że woda znów zabrała łódź? Nikt nam nie uwierzy...

– Ja zostanę – powiedziała Naomi. Kiedy słońce stało nisko i barwiło mokradła na kolor miedzi, trudno było uwierzyć, że mogły tak się bać. – Zostanę. To przecież właściwie moja łódź. („Gracie” – pomyślała – *rozpoznałabym ją wszędzie!*) Idź, Jo, jak najszybciej, zanim zrobi się ciemno.

– Zabawne – zauważyła Joanna i skierowała się w stronę ścieżki nad brzegiem. – Spod łodzi wystaje coś niebieskiego, widzisz? Może to chabry? Ale na nie jest już za późno...

Nieco dalej, pomiędzy żebrami Lewiatana, siedział Francis Seaborne, wyciągał ciemne drzazgi z wnętrza dłoni i obserwował – nikt go nie widział i nikt go nie szukał.

Will drzemał w gabinecie i nic mu się nie śniło. Kiedy się obudził, miał tak niespokojną głowę i atakowały go tak intensywne wspomnienia, że przez chwilę nie mógł odróżnić snu od jawy. Na biurku leżała czysta kartka papieru, ale cóż mu teraz po niej? Nie wierzył, że da się opowiedzieć Corze o tym, jak głębokie fundamenty, na których zbudował siebie, przesunęły się, pękły i zostały odbudowane. Każdemu zdaniu, które przychodziło mu do głowy, natychmiast przeczyło kolejne, wyrażające równie mocną, choć całkiem przeciwną prawdę: złamaliśmy prawo – pozostaliśmy mu posłuszni; na Boga, czemu nie zostałeś w Londynie! – dzięki Bogu, że żyjesz w tym czasie, dzięki Bogu, że dzielimy tę ziemię! W rezultacie zdania wzajemnie się znosiły, a on nie miał nic do powiedzenia. „*Nie gardzisz, Boże, duchem skruszonym i sercem pokornym*” – pomyślał i zapragnął, by jego serce było pokorniejsze, a duch doszczętniej skruszony.

Z rozmyślań wyrwało go poruszenie: kroki, odgłosy zamykania i otwierania

bramy; pomyślał o Stelli, jak budzi się na górze i może go potrzebuje, i serce zabiło mu mocniej, jak zawsze. Z wyrazem niesmaku odepchnął list Cory; w najgorszym razie to skaza, w najlepszym – pusta rozrywka, kiedy każda jego myśl powinna kierować się ku jego ukochanej, która leży na górze, gdzieś pomiędzy tym a tamtym światem. Okazało się, że to tylko Joanna, która wracała ze słonych mokradeł, z ich zapachem na płaszczu. Jej oczy błyszcząły, psotne, wesołe.

– Musisz iść ze mną – oznajmiła, szarpiąc go za rękaw. – Musisz pójść i zobaczyć, co znalazłyśmy. Pokażemy wszystkim i wszystko będzie w porządku.

Wyszli po cichu, żeby nie obudzić Stelli, i przemierzali błonia, gdzie w granatowym zmierzchu Dąb Zdrajcy rzucał długi cień, a po mgle nie pozostał nawet ślad.

– Poczekaj trochę – mówiła Joanna. Zmusiła ojca do biegu i odmawiała odpowiedzi na jego pytania („Jestem zmęczony, nie możesz mi powiedzieć?”. „Poczekaj, sam zobaczysz”). Przemknęli przez High Line, o tej porze lśniąca od wilgoci, a kiedy dotarli do kościoła Wszystkich Świętych, zobaczyli Francisa Seaborne’a, który biegł do domu jak zwyczajny chłopiec. Potem minęli Koniec Świata, tak podupadły, odkąd zabrakło Cracknella, że niemal utonął w glinie.

– Jeszcze kawałek – powiedziała i pociągnęła ojca. – Przy Lewiatanie, gdzie czeka Naomi.

Naomi Banks czekała na nich, a nieopodal, w kręgu ułożonym z kamieni, płonęło ognisko.

Will usłyszał krzyk mew, które wreszcie zobaczyły ląd, i wciągnął do płuc powietrze pachnące solą i słodczą ostryg. Kamuszniki uwijały się w strumieniach i rozbrzmiewała gulgotliwa pieśń kulika. Naomi wypatrzyła ich i przywołała do siebie, i Will w końcu ujrział znalezisko dziewcząt: w klarownym świetle wieczoru spoczywała zniszczona łódź, pokryta skorupiakami i morskoczym. Przyływ wyrzucił ją na brzeg, tak że dziób tarł o kamienie, co nadało jej wygląd czegoś niemal żywego; Will odczytał wyraźnie widoczne słowo „Gracie”, namalowane na kadłubie.

– Tyle strachu – zwrócił się do Naomi – a to była tylko łódź twojego ojca?

Przytaknęła, dumna, jak gdyby to wszystko było jej dziełem. Will uklonił się

i uściśnął dłonie obu dziewcząt.

– Dobra robota – pochwalił je. – To wy powinnyście odpowiadać za tę parafię. – Pomodlił się w myślach, z sercem przepełnionym wdzięcznością: *Niech to już będzie koniec tego wszystkiego: strachu, szeptów i dzieci, które prawie straciły rozum na lekcji!* – Naomi, chodźmy po twojego ojca – powiedział. – Trzeba zakończyć tę historię. I pomyśleć, że mieliśmy dwa Węże z Essex, a obydwaj łagodne jak baranki!

– Biedna łajba. – Joanna nachyliła się ku łodzi, ostukała drewno i skrzywiła na widok skorupiaków, których ostre muszle czuła pod palcami. – Biedactwo. Tak marnie skończyła, a powinna pływać po morzu. Zobaczcie – dodała. – Niebieskie kwiaty na kamieniach, zupełnie jakby ktoś je tu położył, i niebieskie szkiełka.

Podniosła kawałek wygładzonego przez morze szkła i schowała go do kieszeni.

– Chodźcie do domu – powiedział Will i odciągnął ją od łodzi. – Ani się obejrzymy, jak będzie ciemno, a trzeba jeszcze zawiadomić Banksa.

Ruszyli, ze splecionymi ramionami, jak współpracownicy, i z poczuciem wykonania dobrej roboty odwrócili się plecami do Blackwater.

Kiedy Cora podniosła wzrok znad książki, której wszakże nie czytała, w drzwiach stanął Francis. Zauważyła, że biegł: grzywka przykleiła mu się do czoła, a jego szczupła pierś falowała pod kurtką. Chłopiec tak rzadko był nieswój, że Cora na ten widok zaczęła wstawać z krzesła.

– Frankie? – zapytała. – Frankie? Nic ci nie jest?

Stał grzecznie w drzwiach, jakby nie wiedział, czy wolno mu wejść; wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru, rozwinął ją i rozprostował na dłoni. Potem, z kartką przy piersi, spojrzał na matkę wzrokiem, którego nigdy, choćby raz, u niego nie widziała, i powiedział tonem, jak gdyby przeproszał:

– Chyba zrobiłem coś złego.

Choć jego głos brzmiał dziecięco jak nigdy dotąd, chłopiec zaczął cicho płakać, bez dziecięcego pociągania nosem i przelękania łez.

Cora poczuła, jakby wezbrało w niej całe cierpienie, jakiego zaznała w życiu, i na chwilę odebrało jej mowę.

– Nie miałem złych zamiarów – odezwał się Francis. – Powiedziała, że potrzebuje pomocy, była miła i dałem jej ulubione rzeczy...

Musiała się bardzo powstrzymywać, żeby do niego nie podbiec i nie spróbować go objąć; przez lata próbowała wiele razy, ale zawsze ją odpychał. Lepiej poczekać, aż sam przyjdzie. Wróciła na krzesło i powiedziała:

– Frankie, skoro chciałeś tylko być uprzejmy, to jak mogłeś zrobić coś złego?

Po chwili Frankie siedział jej na kolanach, z głową wciśniętą między jej policzek a ramię; objął matkę za szyję – poczuła na sobie jego ciepłe łyzy i szybkie bicie serca.

– A teraz – wzięła jego twarz w dłonie, choć trochę się bała, że się wyrwie i już do niej nie wróci – powiedz mi, co zrobiłeś nie tak, a ja ci powiem, jak możemy to naprawić.

– Chodzi o panią Ransome – odpowiedział. – Chcę ci pokazać, ale mi nie wolno! Chcę ci pokazać, ale powiedziałem jej, że tego nie zrobię!

Niemożność pogodzenia złożonej obietnicy z pragnieniem mieszała mu w głowie – w którąkolwiek stronę się obróci, coś się stłucze. Rozluźnił palce, w których ścisnął kartkę, tak że Cora mogła ją wyjąć. Błękitnym atramentem na błękitnym papierze napisano: „JUTRO / O SZÓSTEJ / DOKONA SIĘ MOJA WOLA!”, a pod spodem widniał nakreślony ręką dziecka szkic kobiety – długowłosej i uśmiechniętej – leżącej pod skłębioną falą. Stella Ransome podpisała się i zrobiła dopisek: „Włóż kurtkę, może być zimno”.

– Mój Boże, Stella – powiedziała Cora. Nie mogła jednak przestraszyć Francisa ani zerwać się do drzwi i zrzucić go z kolan; a co, jeśli nigdy nie wróci? Jej syn przyszedł do niej z otwartymi ramionami i szukał jej wzroku. Poczowała mdłości i spróbowała zapytać obojętnym tonem, jakby jego odpowiedź nie znaczyła tak wiele: – Frankie, czy poszedłeś z nią nad wodę? Pomogłeś jej zejść?

– Powiedziała, że wzywają ją do domu – odparł. – Powiedziała, że Wąż z Essex chce ją zobaczyć, a ja powiedziałem, że tam nic nie ma, ale ona powiedziała, że nieznane są ścieżki Pana i że i tak została tu za długo.

Zakrył twarz dłońmi i zaczął dygotać, jak gdyby wciąż stał na brzegu rzeki, długo po zachodzie słońca.

– Już dobrze – wyszeptała. – Wszystko w porządku. – Pocięszała syna



i zdziwiła się, że on nie protestuje i zwraca ku niej twarz. Tuliła go, dla jego i własnego dobra. Wezwała Marthę, która przyszła po chwili. Chłód, który ostatnio okazywała przyjaciółce, stopniał na progu.

– Weź go, Martho, proszę – powiedziała Cora. – Mój Boże, mój Boże, gdzie mój płaszcz, gdzie moje buty? Frankie, zrobiłeś, co mogłeś, a teraz pora na mnie. Nie, zostań, niedługo wrócę.

Will szedł High Line z Joanną i Naomi u boku. *Są takie dumne!* – pomyślał z uśmiechem. Jak zawsze zastanawiał się, jak najlepiej opowiedzieć to Corze i co ucieszy ją najbardziej. Może to jednak teraz niemożliwe: wszystko się stłukło, zostało posklejane na nowo i trudno rozpoznać prawdziwy kształt rzeczy. Wtem Joanna wykrzyknęła:

– Coro! – Po czym pomachała.

I oto jego przyjaciółka biegła lub prawie biegła; przez chwilę myślał (i to kazało mu wydać odgłos, którego nie potrafił powstrzymać), że może to do niego jej tak śpieszno, że już nie mogła wytrzymać w domu.

– Co się stało? – zapytała Naomi i dla otuchy dotknęła swojego medalionu. Coś musiało się stać: policzki Cory były mokre, usta otwarte ze zdenerwowania, a w ręku trzymała kartkę i machała nią, jakby dawała im sygnał, którego nie potrafili jednak odczytać. Dotarła do nich i nawet się nie zatrzymując, szarpnęła za rękaw Willa i powiedziała:

– Myślę, że Stella jest nad wodą i coś chyba jest nie tak.

– Właśnie stamtąd wracamy. Nic tam nie ma, to tylko łódź, która zginęła Banksowi...

Jednak Cora zdążyła już pośpieszyć dalej, a kartka, którą rzuciła Willowi, leżała teraz na mokrej ścieżce. Will przez jakiś czas nie mógł się ruszyć ani wykrztusić z siebie słowa. Coś przecież było nie tak, to jasne, powinien był zauważyć to od razu – było tam, poza jego zasięgiem – lecz nie potrafił tego uchwycić. Joanna schyliła się po kartkę. Najpierw nie mogła tego pojąć, a potem w jej głowie powstał obraz tak straszny i dziwny, że aż próbowała odegnąć go od siebie dłońmi.

– Tatusiu! – krzyknęła i nie zdołała powstrzymać łez. – Mama przecież śpi? Zostawiliśmy ją bezpieczną na górze?

Will pobladł i zakręciło mu się w głowie.

– Przecież ją słyszałem, jej kroki, zamykanie drzwi. Powiedziała, że chce odpocząć...

Zobaczyli, że Cora dotarła już do miejsca, gdzie droga schodziła ku mokradłom, i że zrzuciła płaszcz, żeby łatwiej jej się biegło. Will podążył za nią. Przeklinał ciało, które stało się ociężałe, niechętne, jakby należało do innego człowieka, a on tylko zamieszkiwał je jak duch. Dotarł do wraku ostatni – Cora klęczała w błocie i napierała na kadłub tak, że pod tkaniną sukni drgały jej mięśnie na plecach. Obok niej klęczały obie dziewczynki; wszystkie trzy sprawiały wrażenie wiernych oddających cześć brzydkiemu i wrogiemu bogowi, który nie odpowiada na modlitwy. Ujrzał (jak mógł nie zauważyć tego wcześniej?) kamienie w błękitne paski ułożone wokół łodzi, fragment błękitnej tasiemki, błękitne butelki postawione na kamieniach.

– Powiedziała, że jest zmęczona i musi odpocząć... – powtórzył, kompletnie zagubiony. Co one tu w ogóle robią, w błocie, w sukienkach ciężkich od błota, z głowami pochylonymi z wysiłku?

– Stella! Stella! – wołały w kółko, jak gdyby szukały małej dziewczynki, która nie wróciła na czas ze spaceru. Mimo że dłonie ślizgały im się na mokrym drewnie, zdołały jednak unieść łódź. Okazała się nie tak ciężka, jak się zdawała, a poruszona zaczęła się kruszyć.

W jej cieniu cicha, owinięta całunem, spoczywała Stella Ransome w otoczeniu swoich dewocjonaliów. Na jej widok Will krzyknął, Cora także; łódź wyslizgnęła się jej z rąk, uderzyła w ziemię i się rozpadła. Stellę zalały wtedy ostatnie promienie słońca i spod niebieskiej sukni wydobyły pięknie zarysowane kości ramion i bioder. Kobieta trzymała w dłoniach bukietek pachnącej lawendy, obok niej leżały niebieskie butelki oraz ścinki batystu i bawełny. Głowa spoczywała na niebieskiej jedwabnej poduszeczce, a w nogach leżał niebieski zeszyt, odkształcony przez wilgoć. Skórę miała siną, usta przyprószone błękitem, nitki żył ułożone w marmurkowy wzór przeświecały przez skórę, zamknięte powieki połyskiwały fioletem. William Ransome uklęknął i przyciągnął żonę do siebie.

– Stello – powiedział i pocałował ją w czoło. – Jestem, przyszliśmy zabrać cię do domu.

– Nie zostawiaj nas, kochana, jeszcze nie teraz – włączyła się Cora. – Nie

odchodzi.

Ujęła jej drobną jasną dłoń i ogrzała w swoich. Joanna pociągnęła za rąbek sukni, żeby zakryć nagie, zsiniałe stopy matki.

– Słuchajcie, dzwoni zębami z zimna, słyszycie?

Zdjęła swój płaszcz, ściągnęła też ten, który Will miał na ramionach, i wspólnymi siłami owinęli w nie Stellę.

– Stello, kochana, słyszysz nas? – zapytała Cora. Jej rozpacz i czułość kryły też nowe dla niej poczucie winy. I w istocie, Stella słyszała: jej ciemne powieki poruszyły się i uniosły, a oczy były bardziej błękitne niż zwykle.

– Nie znalazł we mnie żadnej skazy – powiedziała. – Stałam w drzwiach jego sali balowej, a on uniósł nade mną sztandar miłości.

Oddychała płytko i złapał ją kaszel, który zostawił w kąciuku ust kroplę krwi. Will wytarł ją kciukiem i odezwał się:

– Jeszcze nie teraz, jeszcze trochę. Potrzebuję cię. Kochana, obiecaliśmy sobie, że zawsze będziemy razem, nie pamiętasz?

Poczuł radość, wręcz nieprzyzwoitą otuchę: oto jego odkupienie, tu, na kamienistym brzegu, gdzie wszystkie jego myśli zajmuje Stella. *To łaska, znowu!* – pomyślał. *Bezmiar łaski zstąpił na największego z grzeszników!*

– Zgaśniemy oboje tego samego dnia, jak świece pozostawione w otwartym oknie – zapewniła go z uśmiechem. – Pamiętam! Pamiętam! Ale widzisz, słyszałam, jak wzywają mnie do domu, i coś czało się w wodzie, i szeptało w nocy, i było głodne, pomyślałam więc, że pójdę nad wodę i przebłagam bestię dla dobra Aldwintera. – Obróciła się w ramionach Willa, żeby spojrzeć ku ujściu rzeki, gdzie na czystym niebie jasno lśniła Gwiazda Wieczorna. – Przyszedł po mnie? – zapytała niespokojna. – Przyszedł?

– Już go nie ma – odparł Will. – Byłaś dzielna jak lwica i go przepędziłaś. Wracaj teraz z nami do domu, chodź do domu.

Joanna i Naomi pomogły mu wstać. Jakże łatwo było unieść Stellę, jak gdyby już zaczęła rozpływać się w błękitnym powietrzu!

– Coro – wezwała przyjaciółkę cichym głosem i wyciągnęła do niej dłoń – jesteś zawsze taka ciepła. Niech Francis weźmie sobie moje kamienie, talizmany, wszystko zostawiam. Niech je odda Blackwater, żeby stała się błękitna.

## LISTOPAD

Przechylony glob kręci się dalej, a gwiazdny myśliwy przemierza niebo Essex ze starym psem przy nodze. Jesień odpędza nadgorliwą zimę: trwa ciepły, jasny miesiąc, piękny nadmiarem barbarzyńskiej urody. Na błoniach Aldwinter dęby błyszczą w słońcu jak miedź, a w żywopłotach czerwienią się jagody. Jaskółki odleciały, lecz na słonych mokradłach łabędzie nad strumieniami straszą dzieci i psy. Henry Banks pali wrak łodzi na brzegu Blackwater. Wilgotne drewno syczy, pod czarną farbą pojawiają się pęcherzyki.

– Gracie – mówi – byłaś tutaj cały czas.

Naomi stoi przy ojcu i nieufnie obserwuje wzbierającą wodę. Ma uczucie, że zastygła w pół kroku, z jedną stopą w wodzie, a drugą na brzegu. *Co teraz?* – myśli. *Co teraz?* Głęboko w skórze pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym tkwi drzazga z kadłuba łodzi, talizman, którego dotyka, zadziwiona, ile zdziałały jej ręce.

Londyn poddaje się szybko i wywiesza białe flagi – w połowie listopada szron pokrywa szyby omnibusów na Strandzie. Charles Ambrose znów bawi się w ojca, Joanna ciągle przesiaduje przy jego biurku i nieodmiennie wybiera najmniej odpowiednie książki. James, który w porze śniadania znalazł w rynsztoku zepsute okulary, do kolacji zbudował mikroskop. Charles skrywa jednak szczególne upodobanie do Johna, w którego apetycie i spokojnej, dobrej naturze widzi siebie. Leży na brzuchu i gra w karty; w Noc Guya Fawkesa rozdziera płaszcz i nic sobie z tego nie robi. Wieczorem wymienia spojrzenia z Katherine i oboje kręcą głowami: obecność tej trójki gości w ich

poukładanym, eleganckim domu jest zjawiskiem co najmniej tak dziwnym, jak najstraszniejszy rzeczny potwór. Listy między Londynem a Aldwinter kursują z taką częstotliwością i szybkością, iż domownicy żartują, że pod domem stoi nocny pociąg pocztowy na ich prywatny użytek. John bierze te słowa na serio i proponuje, że upiecze ciasto dla maszynisty.

Do Charlesa pisze Spencer. W liście nie daje się wyczuć jego dawnego wigoru; Spencer jest wciąż oddany sprawie lepszej polityki mieszkaniowej, teraz jednak skupia się na rozważnym inwestowaniu fortuny, która tak mu ciąży. Píše (mgliście, choć nie ma potrzeby rozwijać tematu), że „może nieruchomości” – nieruchomości to ostatnio najlepsza inwestycja – i Charles rozumie wszystko w lot. Mógłby się założyć, że pewna kamienica w Bethnal Green ma już nowego właściciela, człowieka o dobrym sercu i adekwatnie kiepskim rozeznaniu w interesach.

Edward Burton, który nie wrócił jeszcze do pracy, podnosi wzrok znad planów i spogląda na siedzącą przy stole Marthę. Cora Seaborne dała jej maszynę do pisania, która robi dużo hałasu, lecz jemu to nie przeszkadza. Dlaczego miałoby przeszkadzać? Jeszcze przed miesiącem groziła mu eksmisja, a teraz żyje w poczuciu bezpieczeństwa i spokoju, którym nie może się nadziwić po przebudzeniu. Nowy właściciel kamienicy zatrudnił dwóch urzędników do przeprowadzenia inspekcji wszystkich mieszkań. Przyszli z aparatem fotograficznym i podziękowali za herbatę; zauważyli nieszczelne okno, spaczone drzwi, skrzypiący trzeci stopień schodów. Po tygodniu usterki naprawiono, a na ulicy zapachniało farbą i gipsem. Przy śniadaniu i kolacji robotnicy i pielęgniarki, urzędnicy i matki oraz starsi mężczyźni szykowali się na oczywistą podwyżkę czynszu, która jednak nie została wprowadzona. Teraz sąsiedzi zbierają się na klatkach schodowych, drapią się po głowach i zgadzają się, że nowy właściciel jest po prostu głupcem. Przy świadkach chętnie wyrażają niechęć – jeden z mieszkańców butnie obwieszcza, że nie potrzebuje czyjejś litości – lecz za zamkniętymi drzwiami wychwalają pod niebiosa imię właściciela; gdybyż tylko je znali!

Martha nosi w kieszeni list od Spencera, w którym ten życzy jej szczęścia. „Przez długi czas zastanawiałem się, jaki ze mnie pożytek, skoro do zaoferowania mam tylko pieniądze. Bawię się w chirurgię, bo to szacowny sposób spędzania czasu, lecz nigdy nie miałem do tego serca, a Luke’owi

Garrettowi nie dorastam do pięt. To dzięki Tobie znalazłem cel i mogę spojrzeć w lustro bez obrzydzenia. Pragnąłbym, żebyś mnie kochała, ale i tak dziękuję Ci, że pomogłaś mi znaleźć sposób, żeby Cię kochać i spróbować naprawić zło, które mi pokazałaś”. List jest tak skromny i czuły, że Martha przez chwilę się zastanawia, czy nie byłoby jej lepiej, gdyby związała życie ze Spencerem. Lecz nie – odkąd nie ma przy niej Cory, pragnie właśnie Edwarda Burtona, milczącego i zręcznego, jej towarzysza i przyjaciela.

To dziwne, lecz w Bethnal Green nie tęskni za Corą bardziej niż tęskniła na Foulis Street w Colchester czy w szarym domku na błoniach Aldwinter. Jej tęsknota jest stała, jak Gwiazda Polarna, nie musi jej szukać. Nie czuje złości, że skończyły się lata wspólnego życia: rozumie, jak czas zmienia obrót spraw i że to, co było potrzebne kiedyś, nie musi być konieczne dzisiaj. Poza tym (podnosi wzrok znad maszyny – widzi, jak Edward marszczy czoło nad planami – i dotyka pisma, które właśnie opublikowało jej artykuł) kobieta, której jedyną ambicją jest być kochaną, jest uboga. Ona ma teraz ważniejsze cele.

Pokoje Luke’a Garretta na Pentonville Road to teraz szekspirowska wspólna przestrzeń dwojga serc. Są chwile, kiedy jeden gorąco pragnie widzieć drugiego na samym dnie Blackwater, lecz od źródeł Tamizy aż do jej ujścia trudno byłoby znaleźć bardziej oddaną sobie parę.

Na początku listopada Spencer opuszcza swój dom na Queen’s Gate (którego coraz bardziej się wstydzi) i wprowadza się do przyjaciela. Luke czuje się w obowiązku głośno protestować (nie potrzebuje niańki – „dziękuję bardzo” – nie chce w ogóle nikogo oglądać; Spencer jest zazwyczaj irytującym współtowarzyszem), lecz w istocie się cieszy. Co więcej, Spencer odkopał stare przysłowie o uratowaniu komuś życia i z pewną regularnością przypomina Luke’owi, iż skoro zapobiegł jego śmierci, to on, Spencer, jest teraz jego własnością i Luke jest zań odpowiedzialny.

– Krótko mówiąc, jestem teraz twoim niewolnikiem – mówi i wiesza zdjęcie swojej matki obok portretu Ignaza Semmelweisa.

Nie ma wyraźnej poprawy stanu okaleczonej dłoni: zdjęto szwy, blizna nie wygląda gorzej, niż można by oczekiwać, Luke nie stracił czucia, jednak dwa palce uparcie pozostają zgięte i pacjent ma kłopoty z posługiwaniem się jakimkolwiek instrumentem subtelniejszym niż widelec. Sumiennie (aczkolwiek z irytacją) wykonuje serie ćwiczeń z gumową opaską, choć kieruje nim raczej

nadzieja niż realistyczne oczekiwania. Widmo Cory towarzyszy mu bezustannie. Luke lubuje się w dwóch równie nieprawdopodobnych scenariuszach. Pierwszy: nabawi się martwicy, która zmieni go w cuchnący, zaropiały wrak człowieka, co w Corze wzbudzi bezbrzeżny żal. Drugi: znajdzie sposób na wyleczenie dłoni, przeprowadzi operację tak śmiałą i nowatorską, że z miejsca stanie się sławny, zaskarbi sobie wieczne uwielbienie Cory, którym przy świadkach wzgardzi. Mimo złożonych obietnic nie potrafi kochać tak jak Spencer, skromnie i po cichu, bez nadziei na wzajemność. Nieprzejednana nienawiść do Cory motywuje go silniej niż nalegania Spencera, żeby zjadł porządne śniadanie („Jesteś chudy, a to ci nie służy...”). Spencer – mądrzejszy niż się wszystkim wydaje – rozumie coś, czego Luke nie pojmuje: iż miłość od nienawiści oddziela kotara cieńsza niż bibułka i że wystarczy dotyk Cory, by przebić się na drugą stronę.

Jednak coś jeszcze, oprócz uczucia i lojalności, każe Luke’owi przynosić schab na kolację, a Spencerowi siłą wyciągać przyjaciela do restauracji lub czytelnicy. Jest też praktyczna korzyść z takiego układu: Spencer nakłonił Luke’a do powrotu do szpitala Royal Borough – w którym Garrett był i chirurgiem, i pacjentem – i zaproponował rozwiązanie. Choć on sam jako chirurg biegłością nie mógł się równać z Lukiem, to umie niemało, z pewnością więcej niż niektórzy ich koledzy. Brakuje mu jednak – co wesoło przyznaje – odwagi i wiedzy przyjaciela, dla którego każda rana lub choroba to nie zagrożenie, lecz szansa na wykazanie się umiejętnościami. W tej sytuacji, mówi, może mogliby we dwóch stworzyć coś w rodzaju chimery, z mózgiem Luke’a i dłońmi Spencera.

– Obiecuję w ogóle nie myśleć – dodaje. – Zawsze powtarzasz, że kiepsko mi to wychodzi.

Triumfalnym gestem Spencer otwiera drzwi sali operacyjnej, z nadzieją, że Luke nie oprze się temu widokowi. I ma rację: zapach karbolu, błysk skalpeli i stalowych tac, sterta wypranych bawełnianych maseczek – wszystko to działa na Luke’a jak impuls elektryczny. Nie był w szpitalu, odkąd założono mu szwy, gdyż sądził, że taka wizyta sprowadziłaby nań prawdziwe męki Tantala. Zamiast tego wstępuje w niego nowe życie. Cień dębu-szubienicy, który kładł się na każdej jego myśli, rozplywa się. Przygarbione ciało znów wydaje się dysponować wręcz przerażającymi zasobami energii potencjalnej. Zjawia się

Rollings, gładzi brodę i zerkając w oczy Spencera, mówi nieśmiało, jak gdyby właśnie przyszedł mu do głowy pewien pomysł:

– Mamy złamanie otwarte puszczeli; obawiam się, że to niezły bigos. A facet nie ma też jak zapłacić. Pewnie żaden z was nie ma ochoty rzucić na to okiem?

Nadchodzi niedziela i William Ransome staje na ambonie. Widzi pękniętą szybę w oknie wychodzącym za zachód i robi stosowną notatkę. Spogląda na ciemną ławę z okaleczonym oparciem i odwraca wzrok. Wiernych jest ledwie garstka – zniknął strach, który kazał im prosić Boga o zmiłowanie – ale jest to radosne zgromadzenie: śpiewają hymn *Sławmy Pana w sercach radzi* i życzą bliźnim jak najlepiej. Z Dębu Zdrajcy zniknęły podkowy, z wyjątkiem jednej, która wisi tak wysoko, że pewnie zostanie tam tak długo, aż nikt nie będzie pamiętał, czemu miała służyć. Will wspomina o wężu tylko raz – o dwukrotnym złudzeniu, o irracjonalnym strachu – w łagodnej homilii o rajskim ogrodzie. Wierni wychodzą ze świątyni i nie wątpią, że zachowywali się niemądrze, lecz nie bez powodu. Od teraz postanawiają trzymać języki na wodzy.

Will schodzi wąskimi schodkami z ambony (próbując oszczędzać lewe kolano, które ostatnio boli go nad ranem) i krótko pozdrawia wiernych, którzy na niego czekają:

– Środa po południu, na pewno przyjdę. Nie, nie Psalm czterdziesty szósty, może myśli pani o dwudziestym trzecim? Przesyła pozdrowienia; żałuje, że nie mogła przyjść.

Wszystko zostało mu wybaczone. Poblążają mu jak nigdy wcześniej: wciąż rozmawiają o tej kobiecie z Londynu, która bez przerwy u niego przesiadywała; wiedzą, jak tulił żonę na mokradłach. Dostrzegli na nim nalot, co w ich oczach czyni go cenniejszym: nie jest ze stali, lecz ze srebra. Poza tym wiedzą, kto czeka za drzwiami plebanii i dlaczego pastorowi tak śpieszno do domu – niebieskooka żona, która co tydzień spaceruje po błoniach, opatulona po uszy, zażywa świeżego powietrza i pozdrawia sąsiadów, po czym bez tchu wraca do zacisznej sypialni. Ludzie zostawiają na progu upominki: syrop z dzikiej róży i orzechy włoskie w łupinach, kartki z życzeniami i chusteczki, tak małe i delikatne, że zupełnie bezużyteczne.

Will zdejmuje koloratkę i zrzuca czarny płaszcz; ostatnio robi to niecierpliwie i gwałtownie, choć równie pośpiesznie wkłada wszystko z powrotem. Stella już czeka, skulona pod kocem jak mała kotka, i wyciąga ramiona.



– Opowiedz, kogo spotkałeś i co mówili – prosi, bo jest w nastroju do plotek. Poklepuje łóżko, on siada bliżej, i znów są dziećmi albo prawie: śmieją się, nie dbają o innych i przywołują niemal zapomniane zdania, które, gdyby usłyszał je ktoś inny, brzmiałyby jak nonsens. Lecz nikt ich nie słyszy: dom jest pusty, dzieci nie ma już od dawna, a nieobecność zmieniła ich życie w fantastyczne legendy.

– Pamiętasz Jo? – pytają się nawzajem. – Pamiętasz Johna i Jamesa? – I znajdują przyjemność w tęsknocie, gdyż jest coś słodkiego w bólu, który można ukoić biletem kolejowym lub znaczkiem pocztowym. Will jak zawsze dusi się w małych pokojach o niskim suficie, mięśnie bołą go z niedostatku ruchu. Wciela się w pokojówkę albo matkę, czasem wkłada fartuch i zaskakuje Stellę (i siebie) świetną pieczenią i wykrochmalonym prześcieradłem. Z Londynu przyjeżdża doktor Butler i wyraża zadowolenie: teraz wszystko jest kwestią organizacji, a Stelli będzie tu lepiej niż gdzie indziej, trzeba tylko zachować środki ostrożności. Myje ręce mydłem karbolowym i radzi Willowi robić to samo.

Jak zawsze to Stella jest szczęśliwsza z nich dwojga i czuje, że odbija od nabrzeża, stawia żagle na wiatr. Tęskni za dziećmi – czasem już nie wie, czy to miłość czy choroba każe jej ścisnąć krawędź łóżka, aż bieleją jej knykcie i z trudem łapie powietrze – lecz (mówi) każdy włos na ich głowie jest policzony. A skoro dla Ojca Niebieskiego jesteście ważniejsi niż wiele wróbli, na pewno dopilnuje, aby John nie wpadł w Londynie pod omnibus.

Kiedy myśli o Wężu z Essex – a robi to, choć rzadko – to z czymś na kształt litości i zupełnie przy tym zapomina, że źródłem paniki okazały się tylko trup ryby, drewno i strach. *Biedna bestia* – myśli – *nie miała ze mną szans*. Czasami opada ją niepokój i szuka wtedy zeszytu w błękitnych okładkach, zapisanego niebieskim atramentem, lecz zabrała go woda i wszystkie jego włókna i nitki rozpuściły się w ciemnej toni Blackwater.

Will codziennie spaceruje między polami, gdzie zasiano pszenicę ozimą, której młode źdźbła są tak delikatne i miękkie, że sprawiają wrażenie, jak gdyby na ziemi rozłożono zielony aksamit. Zdobywa się na wysiłek, który, jak sądzi, może go kiedyś zabić, i nie myśli o Corze, kiedy jest w domu. Jednak powraca do niej myślami, gdy jest w lesie, na drodze w Colchester czy na mokradłach nad Blackwater. Wydobywa ją na wierzch, tak jakby trzymał ją w ukryciu pod

płaszczem, i przygląda się jej ze wszystkich stron w dziennym świetle lub w perłowym blasku księżyca. Kim ona dla niego jest? Nie potrafi zdecydować. Nie brakuje mu jej, gdyż jest intensywnie obecna, wszędzie wokół: w porostach na nagich gałęziach buków, w pustułce, która przelatuje nad dębami, powiewając rozpostartym ogonem. Kiedy dochodzi do zielonych schodów – które już wyblakły, zielony dywan pokrywa błoto – wspomina, jak niecierpliwie uniosła spódnicę, jak smakowała i, jakżeby inaczej, poddaje się tęsknocie i żądzy. Lecz to przecież nie wszystko, co czuje – jak proste by to było i jak pożałowania godne! Prawda jest taka (a on pozostaje oddany prawdzie), że kiedy próbuje powiedzieć, kim jest dla niego Cora, nie znajduje określenia lepszego i prawdziwszego niż to: „Jest moją przyjaciółką”.

Mimo to nie pisze do niej – nie czuje potrzeby. Przecież ona mówi do niego cały czas: w wysoko podniesionych ogonach klaczy, w powiedzonkach, których się od siebie nauczyli, w łukowatej bliźnie na policzku; wyobraża sobie, że i on do niej przemawia, że ich rozmowy toczą się dalej, po cichu, w nieśpiesznym locie owoców klonu.

Cora Seaborne  
Foulis St 11  
Londyn W1

Drogi Willu,

wróciłam na Foulis Street i jestem sama.

Martha przeprowadziła się do Edwarda – w połowie żona, w połowie konspiratorka – lecz wciąż jest tutaj, w aromacie cytryny na poduszce, w tym, jak poukładała talerze. Frankie wyjechał do szkoły i pisze, czego dotąd nie robił. Listy są krótkie, pismo wyraźne jak druk. I zawsze podpisuje się TWÓJ SYN, FRANCIS, jak gdybym mogła zapomnieć. Luke wraca do zdrowia, choć bardziej dla Spencera niż dla mnie. Mam nadzieję zobaczyć ich wszystkich niebawem.

Przechodzę z pokoju do pokoju, zdejmuję pokrowce z mebli, dotykam każdego krzesła i stołu. W zasadzie mieszkam w kuchni, gdzie mam zawsze napalone w piecu: maluję i piszę, kataloguję znaleźiska z Essex. Żałosne okazy: amonit, fragmenty zębów, idealnie biała muszla ostrygi – ale znalezione, nie kradzione, zostają u mnie.

Na kolację jem jajko i popijam guinnessem, czytam Brontë i Hardy’ego, Dantego i Keatsa, Henry’ego Jamesa i Conan Doyle’a. Zaznaczam sobie fragmenty, a potem

spoglądam na swoje podkreślenia i myślę, że Ty te same miejsca potraktowałbyś ołówkiem; na marginesie rysuję Węża z Essex i dodaję mu solidne skrzydła, żeby mu się dobrze leciało.

Samotność mi służy. Czasem wkładam ciężkie stare buty i męski płaszcz, a czasem jedwab, i nikt nic z tego nie rozumie, a ja najmniej.

Wczoraj rano przespacerowałam się do Clerkenwell, stanęłam nad studzienką, pod którą płynie Fleet, i wyobraziłam sobie, że słyszę wody wszystkich rzek, jakie znam: źródła Fleet w Hampstead, gdzie bawiłam się w dzieciństwie, szerokiej Tamizy i Blackwater z sekretami, których nie warto było strzec.

Potem prąd porwał mnie na wybrzeże w Essex, na mokradła i kamienie, w ustach miałam słone powietrze, które smakuje jak mięso ostrygi, i poczułam, jak moje serce się dzieli, tak jak wtedy, w ciemnym lesie na zielonych schodach, i tak jak odczuwam to teraz: coś podzieliło się na pół, coś z kimś dzieli i to nas łączy.

Przez okno wpada słońce i ogrzewa mi plecy, słyszę śpiew zięby. Jestem rozerwana i wyleczona – pragnę wszystkiego i niczego nie potrzebuję – kocham Cię i jest mi dobrze bez Ciebie.

Mimo to przyjeżdżaj szybko!

CORA SEABORNE

## OD AUTORKI

Jestem wdzięczna książkom, które ukazały mi epokę wiktoriańską tak podobną do naszej współczesności, iż zdawało mi się, że sama te czasy pamiętam.

W *Inventing the Victorians* (2002) Matthew Sweet rozprawia się z wizerunkiem pruderyjnej epoki zniewolonej przez religię i niezrozumiałe konwenanse, a pokazuje za to, że dziewiętnasty wiek to czas domów towarowych, wielkich marek, apetytów seksualnych i fascynacji dziwnością.

Zapomniana książka napisana przez anonimowego pastora z Essex, *Man's Age in the World According to Holy Scripture and Science* (1865) sugeruje istnienie kleru, który widział możliwość pogodzenia wiary i rozumu. Uśmiecham się, wyobrażając sobie tę pozycję w zbiorach Williama Ransome'a.

W *Victorian Homes* (1974) David Rubinstein zestawia ówczesne relacje na temat kryzysów mieszkaniowych, skorumpowanych kamieniczników, astronomicznych czynszów i politycznych matactw; nie wydałyby się nie na miejscu, gdyby wydrukować je w jutrzejszej prasie. *The Bitter Cry of Outcast London* (1883) skompilował wielebny Andrew Mearns (publikacja jest dostępna w internecie); kreśli w niej fałszywe paralele pomiędzy ubóstwem a brakiem cnót moralnych, z którymi czytelnik nader często spotka się i w dzisiejszej retoryce politycznej.

Tym, którzy wyobrażają sobie, że kobieta epoki wiktoriańskiej głównie cierpiała na wapory lub globusa pod okiem wąsatego męża, powinni zapoznać się z biografią Eleonory Marks (2014) pióra Rachel Holmes. W przedmowie autorka pisze: „Feminizm nie zaczął się w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, lecz sto lat wcześniej”.

W poszukiwaniu informacji o leczeniu gruźlicy – a w szczególności wpływu choroby na stan ducha – pomocą służyła mi Helen Bynum, korespondencyjnie i dzięki książce *Spitting Blood: The History of Tuberculosis* (2012). Z kolei *The Sick Rose: Disease and the Art of Medical Illustration* Richarda Barnetta (2014) pokazuje niepokojące piękno choroby i cierpienia.

Monumentalna praca Roya Portera *The Greatest Benefit to Mankind: A Medical History of Humanity from Antiquity to the Present* (1999) oraz jego zarys historii chirurgii *Blood and Guts: A Short History of Medicine* (2003), a także *A Surgical Revolution: Surgery in Scotland, 1837–1901* (2007) Petera F. Jonesa miały nieoceniony wpływ na umysł i pracę doktora Luke’a Garretta. Za błędy i pominięcia w kwestiach medycznych w całości odpowiada autorka.

Charakter *spes pthisica*, delirycznej euforii Stelli Ransome, wiele zawdzięcza książce Maggie Nelson, zatytułowanej *Bluets* – wybornym rozmyślaniom nad pożądaniem i cierpieniem, widzianym przez błękitną soczewkę.

*Strange News Out of Essex*, broszura ostrzegająca mieszkańców wioski Henham-on-the-Mount przed Wężem z Essex, jest autentyczna. Zarówno oryginał z 1669, jak również faksymile Millera Christy’ego z 1885 roku znajdują się w Bibliotece Brytyjskiej; kopię faksymile przechowuje biblioteka w Saffron Walden w hrabstwie Essex, gdzie tekst został ogłoszony. Z broszury tej zostały zaczerpnięte tytuły czterech części niniejszej książki.

„Smoki morskie” Mary Anning można zobaczyć w londyńskim Muzeum Historii Naturalnej.

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym zacząć od podziękowania kochanemu Robowi, którego towarzystwo jest nieodmiennie fascynujące i czarujące i który jako pierwszy powiedział mi o legendzie Węża z Essex.

Jestem głęboko wdzięczna Hannah Westland i Jenny Hewson za mądre rady i wsparcie, i za ich niesamowitą umiejętność chwywania moich myśli szybciej, niż sama to potrafię: praca z nimi to zaszczyt i radość. Podziękowania zechcą przyjmując: Anna-Marie Fitzgerald, Flora Willis, Ruth Petrie, Emily Berry, Zoe Waldie i Lexie Hamblin, które zrobiły tak wiele dla mnie i dla niniejszej książki.

Podziękowania dla mojej rodziny, która była dla mnie tak dobra, w szczególności dla Ethana i Amelie, niestrudzonych podróżników w czasie i przestrzeni. Dziękuję moim trzem najmniejszym muzom: Dotty, Mary oraz Alice.

Podziękowania niech przyjmą: Louisa Yates, moja pierwsza czytelniczka i nauczycielka; Helen Bynum, która zechciała podzielić się ze mną wiedzą na temat gruźlicy; Helen Macdonald – za wskazówki w kwestiach ornitologicznych i botanicznych. Wstępne wersje znacznych partii powieści powstały w Bibliotece Gladstone’a, gdzie przy moim biurku musiałam chyba zostawić kawałek cienia; dziękuję przyjaciołom z biblioteki, szczególnie Peterowi Francisowi.

Za cierpliwość, przyjaźń i mądrość najserdeczniejsze podziękowania zechcą przyjmując: Michelle Woolfenden, Tom Woolfenden, Sally Roe, Sally Craythorne, Holly O’Neill, Anna Mouser, Jon Windeatt, Ben Johncock, Ellie Eaton, Kate Jones i Stephen Crowe. Jestem bezgranicznie wdzięczna za przychylność i wsparcie, jakie okazali mi pisarze, z których wielu podziwiam od lat; szczególne podziękowania zechcą przyjmując: Sarah Waters, John Burnside, Sophie Hannah, Melissa Harrison, Katherine Angel i Vanessa Gebbie. Kobietom z FOC, którym jako pierwszemu czytałam fragmenty książki, dziękuję z całego serca.

Książka nie powstałaby bez wsparcia Arts Council, za które bardzo dziękuję, jak i za pomoc Sama Ruddocka i Chrisa Gribble'a z Norwich Writers' Centre.

## PRZYPISY

- [1] To diabeł wcielony! (franc.)
- [2] Herman Melville, *Moby Dick, czyli biały wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński.
- [3] Icenowie – jedno z plemion Brytów; w starożytności zamieszkiwali tereny dzisiejszych hrabstw Norfolk i Suffolk.
- [4] Boudika – (zm. 60 lub 61 r. n.e.) królowa Icenów, ok. 60 r. n.e. stanęła na czele powstania Brytów przeciwko Rzymianom, zajęła i zniszczyła Londinium (Londyn).
- [5] High Line – dosł. ulica Wysoka (ang. *high* –wysoki).
- [6] William Szekspir, *Makbet*, przeł. Leon Ulrich.
- [7] Anna Boleyn (1507–1536) – druga żona króla Anglii Henryka VIII Tudora, matka królowej Elżbiety I.
- [8] Morgana la Fay (wł. *Fata Morgana*) – postać ze średniowiecznych legend, siostra króla Artura, władcy zamku Camelot; była czarodziejką, rządziła rajską wyspą Avalon.
- [9] 15 czerwca 1815 roku na niebie nad belgijskim miastem Verviers obserwowano zmagania dwóch armii. Jak się okazało, był to miraż bitwy pod Waterloo, toczonej w tym czasie w odległości 105 km od Verviers.
- [10] W przekładzie Macieja Słomczyńskiego.
- [11] William Szekspir, *Sonet 116*, przeł. Stanisław Barańczak.